Książę

Coulter Catherine

calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER
KSIĄŻĘ

ROZDZIAŁ 1

Lady Felicity Trammerley, najstarsza córka hrabiego Braecourt, od kołyski słyszała od kochającej matki, że wiele jej się od życia należy. A już najwięcej od narzeczonego, księcia Portmaine. Wystarczy, że zgodzi się za niego wyjść. Bez wątpienia jej przyzwolenie było dla księcia wielkim osiągnięciem. Sądził, że jest łagodna i potulna jak baranek, czyli posiada cechy, których sobie życzył u narzeczonej. Bardzo się starała, żeby go przekonać, że tak właśnie jest. Wytrwałość i ciężka praca. Matka zwykła ją głaskać po pięknych czarnych lokach, powtarzając, że dzięki wytrwałości zawsze dostanie to, czego chce. Czasami jednak trudno się było opanować, tak jak teraz, kiedy jej wreszcie powiedział, jaki jest cel tej wizyty. Trzymała język za zębami. Pozwoliła mu mówić. Wiedziała, że musi postępować rozważnie, chociaż zaręczyny zostały formalnie ogłoszone w ubiegłym tygodniu. Zdawała sobie sprawę, że nie może okazywać złości, nawet kiedy w typowy dla siebie zwięzły i arogancki sposób wyjaśnił, po co przyjechał. Cóż za samolubny gbur! - Mój drogi, wiesz, że cieszę się z tego spadku - odezwała się głosem pełnym słodyczy - chociaż to zaledwie szkocki tytuł i majątek. Ale nie rozumiem, dlaczego tak ci spieszno wyjeżdżać z Londynu w środku sezonu. Po to, by obejrzeć jakieś stare zamczysko, które zapewne od stu lat jest ruiną? Wieżyczki nie rozsypią się chyba w proch, jeśli przełożysz podróż do lata. Mój Boże, chyba nie ma tam fosy? Są strasznie niezdrowe. Jestem pewna, że nikt nie oczekuje, że wyrzekniesz się przyjemności sezonu z takiego powodu.

Nie chciała dodawać, że w grę wchodziły również jej własne przyjemności, ponieważ parasol władzy i pieniędzy, który nad nią roztaczał, sprawiał, iż okazywano jej należyte względy i traktowano jak przyszłą księżnę Portmaine. Co prawda zostało kilka starych matron, które wciąż nie przyjęły tego faktu do wiadomości, ale po ślubie z łatwością się z nimi upora.

Ian Charles Curlew Carmichael, piąty książę Portmaine, patrzył z pobłażaniem na filigranową i niezwykle wdzięczną kobiecą postać siedzącą naprzeciwko. Uśmiechnął się, ponieważ trudno było inaczej, bo samo patrzenie na nią sprawiało przyjemność. Była bardzo piękna. Mówiła łagodnym głosem, jak przystoi księżnej. Poruszała się z gracją jak księżna. Tak, dokonał właściwego wyboru.

- Nie - odezwał się w końcu - masz rację, Felicity. Pewnie, że nikt nie oczekuje po mnie takiego zapału w przestrzeganiu moich właścicielskich powinności - nikt, poza mną samym i wujem Richardem. To on mnie nauczył troszczyć się o to, co do mnie należy. Zawsze powtarzał, że jeśli nie zrobię tego ja, zrobi to ktoś inny, a ja wyjdę na głupca. Muszę tam jechać. Jeśli uda mi się wyjechać w ciągu tygodnia, wrócę za miesiąc. Jestem pewien, że to rozumiesz, moja droga. Nie mogę się po prostu odwrócić od obowiązków, nawet jeśli kolidują z innymi, weselszymi zajęciami.

Tak naprawdę, dobry byłby każdy pretekst, byle tylko uciec od rozbawionego zgiełku londyńskiego sezonu. Niekończące się zabawy i bale niesłychanie go nudziły i sprawiały, że czuł wszechogarniające otępienie.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że panie uwielbiają takie rozrywki, a był przecież dżentelmenem. Tym razem uda mu się pozostać dżentelmenem, a jednocześnie zgrabnie się wywinąć. Odczuwał w tej chwili wyłącznie olbrzymią ulgę i praktycznie brak poczucia winy.

Lady Felicity zesztywniała, słysząc, z jaką łatwością książę odprawia jej zastrzeżenia. Woli jechać na drugi koniec świata niż zostać z nią w Londynie, pal go diabli. Przełknęła jadowitą odpowiedź i zdołała powiedzieć w miarę pogodnie: - Ależ Ian, sam mówiłeś, że nawet nie znasz tych ludzi. A przecież wiesz, że Szkoci to zwyczajni barbarzyńcy. Jestem pewna, że nie przywitają Anglika z otwartymi ramionami. Dlaczego nie poślesz prawnika, pana Jerkina, żeby w twoim imieniu dopilnował wszystkich spraw?

Książę spojrzał w jasnozielone, lekko unoszące się w kącikach oczy, które tak przypominały mu pierwszą żonę. Nie, nie może teraz myśleć o Mariannę, nie teraz. To nieuczciwe. Musi o niej zapomnieć. Kiedy Felicity zostanie księżną, zajmie miejsce Mariannę. Sprawi, że wreszcie zapomni o swej dawno zmarłej żonie.

- Pewnie masz rację, moja droga, ale mimo to wizyta w Penderleigh jest moim obowiązkiem. Choćby po to, bym mógł zdecydować, co zrobić z zamkiem i całą posiadłością. Poza tym ci podli barbarzyńcy, jak ich przed chwilą nazwałaś, są moimi dalekimi krewnymi.

- Powiedziałam, że to zwyczajni barbarzyńcy. Nie mówiłam, że są podli.

- Wybacz, zabrzmiało to podobnie. Tytuł dostałem dzięki ciotce, która, o ile wiem, wciąż mieszka w Penderleigh, a to wskutek niezrozumiałego dla mnie postanowienia szkockiego sądu sprzed wielu lat.

Szkoda mi zostawiać cię samą w centrum towarzyskich wydarzeń - miał tyle przyzwoitości, by unikać jej wzroku, gdy mówił te słowa - ale wiesz, że zawsze możesz liczyć na Gilesa. Zabierze cię wszędzie, gdzie tylko zechcesz. Lubisz go przecież, jest dowcipny, wesoły i świetnie tańczy. No i zna każdą plotkę, która krąży po Londynie. Nie mam pojęcia, jak on to robi.

Książę zadumał się na chwilę, a potem potrząsnął głową i roześmiał się. - Co sądzisz o tej jego pasiastej żółtej kamizelce, zapinanej na srebrne guziki wielkości spodków, na którą nakłada jaskrawozielony surdut?

Wyobraził sobie, jak Giles paraduje w tym stroju. Powiedział mu kiedyś, że wygląda jak paw, któremu ktoś wyskubał pióra z ogona, na co kuzyn dał mu kuksańca, odgryzając się, że sam ubiera się jak staroświecki nudziarz.

Padłby zapewne z wrażenia, gdyby wiedział, że lady Felicity uważa Gilesa za szczyt męskiego wyrafinowania w kwestiach mody i ceni jego styl bardziej niż niewyszukany w swej prostocie strój narzeczonego. I zaśmiałby się z niedowierzaniem słysząc, że drobny i szczupły Giles znacznie mniej onieśmiela jego wybrankę niż on sam. Nie miał pojęcia, że właśnie w tej chwili Felicity ścisnęło w żołądku na wspomnienie grubiańskiego komentarza lorda Sayera, jej brata, kiedy ten dowiedział się o zaręczynach od piejącego z zachwytu ojca. Uszczypnął ją w brodę, zaśmiał się w ten swój jowialny, obrzydliwy sposób i zmierzył wzrokiem całe jej drobne ciało. - Cóż, kochana, książę to kawał chłopa. Parę dni temu starliśmy się na ringu, więc wiem, jak wygląda bez surduta. Same mięśnie, ani grama tłuszczu. No i proporcje całkiem niezłe, jeśli chodzi o te sprawy, chyba wiesz, co mam na myśli. Mam nadzieję, że nie wiesz, bo jesteś panienką i na dodatek wielką cnotką. Zaręczam ci, że czeka cię upojna noc poślubna. Pewnie nie będziesz mogła przez kilka dni chodzić.

Felicity uświadomiła sobie, że przygląda się narzeczonemu z przerażeniem w oczach i szybko odwróciła wzrok. Po chwili przypomniała sobie, że Ian jest księciem, a książąt nie traktuje się w ten

sposób. Książętom należy się podziw. Kiedy w końcu zostanie jego żoną, odbije sobie wszystko, co będzie musiała znosić w sypialni. Da mu syna - wiedziała, że wszyscy, nawet jej ukochana matka, tego od niej oczekują - ale potem on z pewnością da jej spokój i zadowoli się kochankami.

Lady Felicity uśmiechnęła się. Zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu dalej protestować. Ileż razy widziała chłód w jego oczach, kiedy próbowała się sprzeciwić. Wyprostowała się pewnie. Kiedy tylko zostanie księżną Portmaine, wszystko się zmieni.

Zdołała utrzymać promienny uśmiech. - Wiesz, że będę strasznie za tobą tęsknić.

Książę podniósł się z niebieskiej sofy i ujął jej drobne dłonie. - Ja też będę za tobą tęsknić, moja droga. Cieszę się, że rozumiesz, dlaczego muszę wyjechać. Niedługo wrócę, zobaczysz.

Felicity nie rozumiała, dlaczego wyjeżdża, ale postanowiła trzymać język za zębami. Pozwoliła mu pocałować się w policzek. Miał ciepłe usta, ale to jej nie przeszkadzało. Byłoby doskonale, gdyby jako mąż zechciał na tym poprzestać; niestety matka ostrzegała ją, że będzie musiała znosić o wiele więcej niż zwykłe pocałunki. Wszystkie damy muszą to znosić, nawet jej ukochane maleństwo, mówiła, głaszcząc córkę po głowie.

Z pomocą lokaja Ian nałożył płaszcz. - Sierpień wydaje się tak odległy - odezwała się Felicity. - Całe sześć miesięcy do naszego ślubu. To będzie wydarzenie roku: największy ślub w kościele świętego Jerzego. Wszyscy, którzy coś znaczą, będą naszymi gośćmi.

Przed oczami przemknął mu żywy obraz pierwszej żony, Mariannę. Ślub odbył się w tym samym kościele, a wszyscy ważni tego świata zabiegali o zaproszenie. To był najszczęśliwszy dzień w jego życiu. Mariannę, jego piękna Mariannę. Była teraz tak daleko, oddalona o całą wieczność.

Spojrzał na Felicity, w której towarzystwie odkrył zapomniane przyjemności, jakich przez długi czas brakowało w jego życiu. Była niezwykle podobna do Mariannę, a poznawszy ją lepiej, odkrywał tę samą delikatność i skromność, tę samą łagodność i dobroć.

Nie mógł zaprzeczyć, że nadszedł czas na ponowny ożenek. Miał dwadzieścia osiem lat, życie było jak zawsze niepewne, a wszyscy oczekiwali, że w końcu doczeka się dziedzica. Pomyślał, że ma dużo szczęścia, skoro na swojej drodze spotkał takie kobiety jak Mariannę i Felicity.

Popatrzył na nią jeszcze przez chwilę i pożegnał się.

*

Po południu, w salonie jednej z kamienic w Portmaine, Giles Braidston, kręcąc w szczupłych palcach nóżkę kieliszka wypełnionego brandy, powiedział do swojego kuzyna, księcia Portmaine: - Słyszałem od Felicity, że postanowiłeś jechać do Szkocji. Męcząca przygoda, jeśli chcesz znać moje zdanie, ale tobie to pewnie odpowiada. Niekończąca się podróż, pośpiech i łóżka w przydrożnych gospodach, które mają więcej pcheł niż psy gospodarzy. Pewnie zdajesz sobie sprawę, że Felicity jest, powiedzmy to łagodnie, trochę poruszona twoją decyzją. Powiedziałbym nawet, że to staroświecka obraza majestatu, ale może nie jestem najlepszym sędzią. Wychodzi jej to całkiem nieźle - nos na kwintę, buzia w ciup, a oczy aż ciemne z wściekłości. Tak, dziewczyna umie okazywać niezadowolenie - jestem pewien, że matka ją tego nauczyła jeszcze w dzieciństwie.

Ian pochylał się nad dębowym biurkiem, na którym rozłożona była mapa Szkocji. - Do diabła, Giles, z tego, co widzę, podróż do Penderleigh zajmie mi co najmniej pięć dni. Podobno drogi to wąskie przesmyki, prędzej dla owiec niż powozu. Blisko stamtąd do Berwick-on-Tweed, na wschodnim wybrzeżu. Przepraszam, przyjacielu, mówiłeś coś?

- Mówiłem o twojej narzeczonej i obrazie majestatu.

Ian odparł pogodnie: - Jeśli Felicity cię nasłała, żebym zmienił zdanie, to zapomnij o tym. Muszę

jechać. To mój obowiązek. Zajmiesz się nią, prawda?

- Oczywiście, że się zajmę. I to z dużą przyjemnością, ponieważ kiedy robię coś w twoim imieniu, wszyscy są dla mnie mili. To, że jestem twoim oficjalnym spadkobiercą, kuzynie, ma swoje dobre strony, dziękuję ci za to.

Książę pomyślał o stercie rachunków Gilesa, które kazał miesiąc temu uregulować. Lubił swojego lekkomyślnego kuzyna i nie miał mu za złe, że od czasu do czasu musiał płacić jego długi. Całe szczęście nałogiem Gilesa były nie kości, a jedynie srebrne guziki i modne kamizelki.

- Rób, jak uważasz, Giles. Proszę cię tylko, żebyś zatroszczył się o to, by Felicity dobrze się bawiła. Mogę na ciebie liczyć, prawda?

- Oczywiście. Możesz być pewien, że uda mi się rozchmurzyć to zatroskane czółko, o ile takie istotnie jest. Matka powtarzała jej zawsze, że ma nie marszczyć czoła, bo od tego robią się przedwczesne zmarszczki.

Zastanawiałeś się kiedyś, jak bardzo Felicity przypomina swoją matkę?

Książę nawet nie słuchał. - Jesteś moim kuzynem, więc twoje towarzystwo nie będzie niestosowne. Felicity uwielbia miejskie życie, tak samo jak Marian... ech, do cholery. - Odwrócił wzrok i nabrał głęboko powietrza. - Jeśli Felicity ma ochotę na rauty i bale, to nie chcę, żeby była rozczarowana.

Giles kołysał w palcach aksamitną wstążkę, na której zawieszony był zegarek. - Mam wrażenie, Ian, że nieprzypadkowo wyjeżdżasz do Szkocji teraz. Dosyć drastyczna metoda, przyznaję, ale skutecznie pozwalająca uniknąć sezonu i całego tego zamieszania.

- Zamieszania? Cóż za określenie. Karnawał to straszna nuda i doskonale o tym wiesz. A zresztą, może masz inne zdanie. Dla mnie to nuda.

- Mam nadzieję, że nie powtórzysz tego narzeczonej. Nasza hrabianka zaserwowałaby ci bardziej elegancką wersję stwierdzenia „jesteś cholernym łajdakiem i słono za to zapłacisz".

Książę zignorował tę uwagę, ale zadumał się na chwilę. Ostrożnie zrolował mapę i przewiązał ją wstążką. - Giles, pewnie wiele widzisz. Na pewno zbyt wiele mówisz. Jeśli chcesz znać prawdę, to ci powiem. Wyjazd do Penderleigh to dla mnie jak wybawienie z kaźni, a nie obowiązek. Jestem ciekaw moich nowych krewnych, chcę zobaczyć tę posiadłość, natomiast myśl, że miałbym towarzyszyć kolejnej narzeczonej przez cały sezon sprawia, że mam ochotę naciągnąć kołdrę na głowę i zacząć wyć. Może gdyby to miał być mój ostatni sezon w Londynie, byłoby mi wszystko jedno. Uważałbym się wtedy za najszczęśliwszego człowieka na tej ziemi.

- Wykazałeś się wielką roztropnością, że nie powiedziałeś o tym Felicity. Jak mówiłem wcześniej, nie spodobałaby ci się jej odpowiedź. Ciężko by jej było utrzymać tę potulną fasadę, którą dla ciebie wybudowała. Bo to jest tylko fasada, maska, jeśli wolisz. Nie mogę uwierzyć, że tego nie widzisz.

- Owszem, byłaby rozczarowana, Giles. Ale zrozumiałaby prędzej czy później, bo jest dobra, wyrozumiała i pełna ciepła.

Giles spojrzał na niego z niedowierzaniem. - Mój Boże, przyznaję, że fizycznie Felicity bardzo przypomina Mariannę, ale na tym kończą się wszelkie podobieństwa. Skarżyła mi się, że nie chcesz z nią rozmawiać o pierwszej żonie. Nie ma w tym nic dziwnego, że jest trochę ciekawa.

- Felicity będzie wiedzieć tyle, ile zechcę jej powiedzieć. Mówiłem jej zresztą, Giles, że podobają mi się kobiety w jej typie.

- Bój się Boga, Ian, czy nie wystarczy, że wszystkie twoje kochanki z ostatnich pięciu lat miały

czarne włosy i zielone oczy? Jeśli Felicity kiedykolwiek się o tym dowie, odkryjesz, gdzie się kończy jej łagodna natura.

Oczy Iana pociemniały, a Giles poddał się, podnosząc ręce. - Wybacz, kuzynie. Nic już na ten temat nie powiem. Jeśli chcesz się żenić z Felicity, nieważne z jakiego powodu, to jestem ostatni, który by cię od tego odwodził.

ROZDZIAŁ 2

- Dziękuję za szczerość. Jeśli chodzi o charakter Felicity, to jestem przekonany, że będzie dokładnie taki, jak zechcę. Jeśli, oczywiście, już w tej chwili Felicity nie ma wszystkich cech idealnej żony.

Ledwie wypowiedział te pompatyczne i aroganckie słowa, już ich żałował. Powiedział to, co myśli, choć wiedział, że nie powinien. Nie chciał tak myśleć, ale nic nie mógł na to poradzić. Co teraz? Trzymać gębę na kłódkę. Jak najszybciej zmienić temat.

- Pewnie wiesz, Giles, że stary Mabley roztacza czarne wizje w związku z wyjazdem. Powiedziałem mu, że jeśli z racji swojego wieku i zdrowia nie ma ochoty mi towarzyszyć, mogę wziąć Jappera. I od tego czasu jest cicho.

Wyobraź sobie, powiedział mi, mieląc tym swoim ozorem, że gdyby nie on, to nie pamiętałbym, że mam się rano ubrać. Mam dwadzieścia osiem lat, a on wciąż uważa mnie za małego chłopca!

Braidston bezwiednie dotknął nienagannie zawiązanego krawata. Chociaż natura nie wyposażyła go jak kuzyna w atletyczną sylwetkę, potężny wzrost i szerokie bary, uważał, że prezentuje się znacznie lepiej. Miał doskonałe maniery. Był marzeniem każdej pani domu - zawsze wiedział, co powiedzieć, jak się zachować. Jego zdaniem Ian był strasznym nudziarzem, zbyt poważnym i sztywnym, co widać było również po stroju.

- Mabley to stary człowiek. Był kiedyś lokajem twojego ojca, prawda? Chyba czas się go pozbyć, wysłać na emeryturę? - ziewnął Giles.

Typowe dla Gilesa, pomyślał książę, myśleć tylko o zaszczytach i korzyściach wynikających z tytułu i majątku i nie przejmować się wcale obowiązkami.

- Nie sądzę - powiedział tylko. - Byłoby mi bez niego tak samo ciężko, jak jemu bez codziennych obowiązków. Ale nie mówmy już o moim zasłużonym lokaju. Czy Felicity ci mówiła, w jaki to dziwaczny sposób zostałem właścicielem Penderleigh?

- Wspominała coś o starej ciotce i dziwnym postanowieniu szkockiego sądu.

Ale szybko straciła wątek, ponieważ przywieziono suknię balową od madame Flauquet. Chciała zasięgnąć mojej rady.

- No tak. Ja nie mam nowych strojów, które wymagałyby twojej rady, więc nie masz wyboru i musisz mnie posłuchać.

Braidston machnął monoklem i rozsiadł się na sofie z wyrazem wystudiowanego cierpienia na twarzy. - Serce bije mi jak szalone, a dusza tylko czeka na poezję z twoich ust.

Ian nie zdążył dobrze wypowiedzieć nazwiska Robertson, kiedy otworzyły się podwójne drzwi biblioteki i pojawił się lokaj. - Wybacz, panie. Doktor Edward Mulhouse chce się z panem widzieć.

- Edward! Mój Boże, ile to już miesięcy. Poproś go, James. Pamiętasz Edwarda Mulhouse, Giles? Poznałeś go podczas ostatniej wizyty w Carmichael Hall. No, wreszcie będę miał kogoś, kto

mnie uważnie wysłucha.

Edward Mulhouse wszedł do klasycznie urządzonej, eleganckiej biblioteki księcia. Był potężnym mężczyzną, miał wielkie ręce i stopy, a na opalonej twarzy malowała się nieskrywana radość. Ubrany był schludnie, choć nie tak elegancko jak Giles, czego ten nie omieszkał nie zauważyć. Doktor Mulhouse był przyjacielem Iana z dzieciństwa.

Panowie uścisnęli sobie dłonie, a Ian poklepał przyjaciela po plecach. - Jak to się stało, że pacjenci wypuścili cię z Suffolk?

- W chwili mojego wyjazdu jedynym pacjentem był kulawy koń. Ani jednego czyraka, ani nawet skręconej kostki! Czułem się niepotrzebny i niechciany.

Wręcz odrzucony! Co więc mi pozostało, jak tylko odwiedziny u ojca i spelunki Londynu. Przy okazji pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę i wpadnę również tutaj. No i jestem.

- Świetnie. Pamiętasz, Edwardzie, mojego kuzyna Gilesa Braidstona?

- Oczywiście, że pamiętam. Miło cię znów widzieć.

Giles musiał ścierpieć fakt, że podaje dłoń mężczyźnie potężnemu jak dąb, który mógłby bez najmniejszego wysiłku złamać komuś nogę i wstawić ją z powrotem.

Westchnął. - Usiądź proszę, Edwardzie. Jest nas teraz dwóch, więc Ian zanudzi na śmierć nas obu.

- Wyobraź sobie, Edwardzie, stałem się niedawno właścicielem majątku w Szkocji i właśnie opowiadałem Gilesowi, jak do tego doszło. - Podał Edwardowi szklaneczkę sherry. - Ale najpierw mi powiedz, co słychać w Carmichael Hall? Czy Danvers to wciąż ten sam, wykrzywiony artretyzmem służbista?

Bez cienia zazdrości w głosie Edward podsumował wydarzenia w Carmichael Hall, posiadłości Iana w hrabstwie Suffolk. - A Danvers jest dokładnie taki, jak go opisałeś. Przysięgam, ten człowiek sprawia czasem wrażenie, że ten majątek należy do niego. Jego dostojeństwo jest czasem trudne do zniesienia.

- Ian trzyma go po to, by dodawał mu powagi.

- Nieprawda, Giles. To ty lubisz czuć się ważny.

- Ty również, Ian. Tylko tak przywykłeś, że nawet tego nie zauważasz.

Książę zadumał się. Rozmowa jeszcze przez chwilę toczyła się w tym kierunku, aż Edward przechylił głowę i powiedział: - Wystarczy już tego gadania. Opowiedz lepiej, jak to było z tym spadkiem.

- O, nie - jęknął Giles - a już myślałem, że odwróciłem jego uwagę.

- Bez szans, Giles. Szkoda tylko, że mam tak mało faktów, bo specjalnie dla ciebie rozwlekłbym tę historię w nieskończoność.

Giles wywrócił oczami, ale książę zignorował go i przez moment siedział zatopiony w myślach, smukłymi palcami gładząc linię szczęki.

- To doprawdy dziwne - powiedział w końcu. - Tytuł i majątek dostałem dzięki ciotce, jedynej siostrze mojej babki, która poślubiła Angusa Robertsona zaraz po tym, jak Bonnie Prince Charles doszedł do władzy. Z tego co wiem, w sądzie miała miejsce jatka, ale postanowiono, że tytuł i majątek należą się mnie. Nie ma innych krewnych płci męskiej. - Przerwał na chwilę i spojrzał figlarnie w stronę kuzyna. - Robertsonów z nizin nie należy oczywiście mylić z Robertsonami z gór.

- Skądże - przytaknął Giles z miną mędrca. - Nigdy by mi do głowy nie przyszło, by wkładać ich do jednego worka. Na pewno nie w tym stuleciu.

- Z tego, co mówi mój prawnik, jedyny męski spadkobierca zmarł w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym, zostawiając trzy córki.

Braidston ziewnął dyskretnie, przysłaniając usta bladą dłonią. - Nudna ta prehistoria, zgadzasz się ze mną, Edwardzie? - Ten uśmiechnął się, a Giles dodał: - Dzięki Bogu, Ian, że nas w końcu przywróciłeś do rzeczywistości. Chyba nie mówiłeś Felicity o tej obfitości kobiet? Aż trzy? Felicity zmarszczyłaby czółko, ściągając na siebie niezadowolenie mamusi.

- Dlaczego miałaby być niezadowolona? Wszystkie trzy to jeszcze dzieci. Tak przynajmniej wynika z listu ciotki.

Mulhouse wydawał się zdumiony. - To ona jeszcze żyje? Musi być niesamowicie stara. Pamięta pewnie biblijny potop.

- Żyje i ma się świetnie. Ma co najmniej siedemdziesiąt lat, a może osiemdziesiąt lub sto. Któż to może wiedzieć?

Braidston wstał ze współczującą miną. - Biedny Ian będzie się bawił w pielęgniarkę jakiejś starej wiedźmy i opiekunkę sfory bachorów. Cóż, muszę iść, staruszku. Zostawiam ci Edwarda, a ty dumaj dalej nad swoim losem.

- Nowy surdut wymaga oględzin, Giles?

- Istotnie. Muszę zdecydować, czy do ciemnobrązowych pasków bardziej pasują srebrne czy złote guziki. Ważny jest też ich kształt, no i rozmiar.

Takie rzeczy zajmują trochę czasu.

Giles zwrócił się do Edwarda: - Odwiedź mnie kiedyś na Brook Street. Nasz drogi Ian wybiera się do Szkocji pod koniec tygodnia. Kuzynie, wpadnę do ciebie przed wyjazdem. Mam nadzieję, że spotkasz się w Szkocji z właściwym powitaniem.

Giles opuścił pokój, a Edward powiedział: - Chociaż minęło już chyba z pięćdziesiąt lat od bitwy pod Culloden, o ile mi wiadomo, Szkoci niechętnie spoglądają na swych brytyjskich sąsiadów.

- Myślałem o tym, Edwardzie - powiedział książę cicho. - Dlatego zdecydowałem, że w podróż pojedzie ze mną jedynie Mabley. Niezależnie od tego, co Szkoci sądzą o Anglikach, nie chcę by mną pogardzali tylko dlatego, że przyjechałem z obstawą dziesięciu służących i stadem mułów niosących moje bagaże. Pal diabli Gilesa i jego bogatą wyobraźnię. Ale dosyć moich spraw. Powiedz, którą z londyńskich spelunek chciałbyś odwiedzić podczas swego pobytu?

Ku zdziwieniu przyjaciela Edward zaprezentował imponującą listę, co wynikało stąd, iż jego wizyty w stolicy były niezmiernie rzadkie. - Mój Boże, Edwardzie - powiedział książę, kiedy ten skończył: - Przez ciebie wyjadę z Londynu z głową między kolanami od nadmiaru brandy. Nie wytrzeźwieję aż do samej Szkocji.

Edward uśmiechnął się, myśląc, że tego właśnie mu trzeba. Suffolk to piękne miejsce, ale londyńska spelunka od czasu do czasu też nie była zła.

- Za to, że do Szkocji, Ian - Edward wzniósł toast, stukając kieliszkiem o kielich przyjaciela.

- A więc zabawa. Mam nadzieję, że warta późniejszego bólu głowy. Jesteś lekarzem. Powiedz, może da się coś zrobić, żeby nie cierpieć?

- Nic a nic - odparł wesoło Edward. - Zaraz, już prawie czwarta. Czy nie powinniśmy czegoś zaplanować?

Ian pomyślał o swojej kochance, ślicznej Cherry Bright - zawsze zastanawiał się, czy to prawdziwe nazwisko - i westchnął. - Łącznie z wizytą u madame Trevalier?

- O tak, jestem gotów. Nawet bardzo. Od sześciu miesięcy tkwię na zapadłej wsi, gdzie wszystkie

kobiety to albo cnotliwe szlachcianki, albo mężatki.

Dziewczęta nieustannie chichoczą i wodzą za mną oczyma, co przyprawia mnie o dreszcze. Mężatki patrzą zaś z takim zainteresowaniem, że aż się boję. Poza tym są tylko owce. I co mnie, biednemu doktorowi, pozostało?

- No dobrze - zgodził się książę. - Odwiedzimy wszystkie lokale, dopóki się nie nasycisz.

- Spójrz jeszcze raz na moją listę, Ian. Tak, przeczytaj ją do końca - mam nadzieję, że nic wartego zobaczenia nie pominąłem.

- Skąd, u diabła, ją wytrzasnąłeś?

- Dostałem od karczmarza z Gospody pod Gęgającą Gęsią, gdzie się zatrzymałem. Ma uroczą córkę, ale strzeże jej jak oka w głowie.

Książę westchnął. - Widzę cię tu z powrotem o szóstej, i to z całym bagażem. Nie zniosę myśli, że mój przyjaciel nocuje w Gospodzie pod Gęgającą Gęsią.

Zatrzymasz się u mnie i zostaniesz, jak tylko długo zechcesz. Dzisiaj zaczniemy od kolacji w klubie, a potem sprawdzimy tę twoją listę.

Przyjaciela nie można zawieść, zwłaszcza gdy się z nim polowało, łowiło ryby i wyprawiało niezliczone psoty, a wszystko to już od szóstego roku życia.

ROZDZIAŁ 3

Hrabina Penderleigh, lady Adela Wycliff Robertson, podniosła wysłużoną mahoniową laskę i pomachała jej tępym końcem w stronę wnuczki.

- Dziecko, przestań się garbić. Wyglądasz jak stara służąca. Chociaż nosisz nazwisko Robertson, w twoich żyłach płynie angielska krew, co sprawia, że jesteś damą. Damy się nie garbią, słyszysz?

- Tak, babciu - odparła Brandy prostując ramiona. W owalnej, pełnej przeciągów bawialni hrabiny zawsze miała ochotę skulić się w kłębek.

Kamienne mury pokryte były starymi arrasami z grubej wełny, całkowicie przesiąkniętymi wilgocią Morza Północnego. Brandy widziała czasem, jak ich postrzępione końce powiewają w porywistym, morskim wietrze gwiżdżącym przez nierówne mury. Przysunęła się bliżej ognia rozpalonego w czarnym od sadzy kominku.

- Babciu, czy prawdą jest to, co mówił kuzyn Bertrand? De nowy właściciel Penderleigh jest angielskim księciem? Naprawdę będzie tutaj rządził?

- Prawda, dziecko. Jak już ci mówiłam, moja jedyna siostra to jego babka. - Skrzywiła się. - Była słaba, nie miała za grosz charakteru. Mój Boże, jak niepodobne były nasze losy...

Głos Adeli ucichł i Brandy zrozumiała, że myśli babki są bardzo daleko, wiele mglistych lat wstecz. Czekała cierpliwie przez chwilę, a potem przysunęła się i potrząsnęła za rękaw z czarnej satyny.

- Babciu, sądzisz, że ten angielski książę przyjedzie do Penderleigh?

- Kto? - Lady Adela wyprostowała się i spojrzała na wnuczkę wyblakłymi niebieskimi oczyma. - Ach, książę? Przyjedzie tutaj, mówisz? - Usta, których od trzydziestu lat nie całował żaden mężczyzna, wykrzywił grymas powątpiewania. - Mało prawdopodobne. Jeśli już, to przyśle jakiegoś tępego zarządcę w szykownym stroju, który będzie nam dreptał po piętach.

Przygotuj się, Brandy, będziemy mieli nieobecnego pana, który będzie od nas tylko brał i brał, aż nie zostanie zupełnie nic. A i tak poza zardzewiałą armatą nie ma tu wiele.

Wyrazista twarz Brandy oblała się rumieńcem. - Przecież nie płacimy czynszu. Prawie nic nie mamy. Gdyby nie morskie ryby, nasi ludzie pomarliby z głodu. Babciu, musisz się mylić. Ta krew w moich żyłach, która czyni mnie damą, nie może być angielska. Skoro angielska dama nie mogłaby zniżyć się do takiej podłości, to dlaczego miałby to zrobić angielski dżentelmen?

Lady Adela rozparła się wygodnie, bębniąc wykrzywionymi przez artretyzm palcami po zaokrąglonej główce laski. Nie mogła nienawidzić Anglików, ponieważ sama była Angielką. Mimo to nie mogła zapomnieć o Culloden, krwawych angielskich odwetach, niszczeniu zamków i wiejskich chat, złamania woli niegdyś dumnych szkockich klanów. Udało jej się ocalić rodzinę. Za to Robertsonów z gór spotkał smutny los, ponieważ książę Cumberland przysiągł, że zmiażdży ich potęgę. Dotrzymał słowa - wszystkich wymordowano, mężczyzn, kobiety i dzieci. Poza bezsilną

wściekłością i pragnieniem zemsty w górach została tylko pustka.

Jeszcze dziesięć lat temu zabronione były niewinne dudy - angielscy panowie uważali, że smętne, twarde dźwięki mogą ponownie połączyć klany, przywołując ich dawną chwałę. A jednak, mimo pięćdziesięciu lat spędzonych w tym niegościnnym i odległym zamczysku na brzegu Morza Północnego, wciąż była Angielką z krwi i kości.

Westchnęła ciężko i powiedziała powoli: - Brandy, nie powinnaś mówić tak o księciu. To moja krew, a więc także i twoja. Czas pokaże, jaki to człowiek. Może nie będzie tak źle.

Niepokojące, bursztynowe oczy Brandy zwęziły się w szparki, a na twarzy pojawił się grymas sprzeciwu. Bardzo angielski grymas, pomyślała lady Adela. Nie trzeba jej było nawet tego uczyć. Dziewczyna była dumna, a tego na pewno nie odziedziczyła po słabych i niezdyscyplinowanych Robertsonach, ale po swojej angielskiej babce.

Gdyby była chłopcem, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Żaden Anglik nie rościłby sobie praw do tytułu i majątku.

Brandy zmieniła pozycję, rozplatając skrzyżowane ręce i nogi. Usiadła na kolanach, nie opuszczając niewielkiej poduszki leżącej u stóp lady Adeli. Przeciągnęła się leniwie, wyciągnęła ręce nad głowę i wygięła grzbiet jak kot.

Lady Adela zamrugała, widząc wnuczkę nowymi oczyma. Choć nie była pewna, bo wzrok nie był już taki jak kiedyś, wydawało jej się, że piersi dziewczyny z trudem mieszczą się w gorsie starej, muślinowej sukienki. Piersi tak kształtne i talia tak wąska, że trudno ich było, nawet mając słaby wzrok, nie zauważyć. Gdzieś uciekły jej te wszystkie lata. Lady Adela zmarszczyła czoło. - Ile masz lat, dziecko?

Na słowa babki Brandy odwróciła się gwałtownie, a ciężkie, jasne warkocze zamiotły wyblakły dywan. - We wrześniu będę miała dziewiętnaście, babciu. Zapomniałaś?

- Uważaj na słowa, mała impertynentko. Czyli teras masz osiemnaście. Do września daleko, dopiero co zaczęłaś osiemnasty rok życia. A co do mnie, pamiętam dzień narodzin każdego Robertsona w tej barbarzyńskiej rodzinie.

Masz mnie za zgrzybiałą staruszkę?

- Ależ skąd, babciu. Może upartą i władczą, ale nie zgrzybiałą. Trochę despotyczną, ale nie bardziej niż trzeba.

- No to uważaj - powiedziała lady Adela, a Brandy zaczęła się zastanawiać, co babka miała na myśli. Lady Adela zamknęła oczy i rozsiadła się wygodnie na miękkich poduszkach swego ulubionego krzesła. Osiemnaście, niemal dziewiętnaście we wrześniu. Wiek, w którym wychodzi się za mąż. No i jeszcze Konstancja. Boże, musi mieć już z szesnaście lat. A mała Fiona już nie jest taka mała. W myślach policzyła lata. Minęło już prawie sześć, odkąd Emily, ich matka, zmarła przy porodzie. To był ten sam rok, kiedy ci dziwni Francuzi zaczęli się nawzajem mordować. Emily umarła, zostawiając jej łagodnego, słabego syna Clive'a z trzema córkami. Strasznie rozpaczał, ale sam wkrótce zginął podczas sztormu, który zatopił jego łódź nie dalej jak sto jardów od brzegu.

Brandy owinęła się kraciastym szalem, zawiązując jak zwykle supeł na piersi. Będzie jej stałym towarzyszem aż do kwietnia, kiedy to wrzosowiska pokryją się fioletowym kwieciem. A wtedy? Co zrobi wtedy? W szalu będzie za ciepło. Trzeba będzie wymyślić coś innego.

Uśmiechnęła się na myśl o wiośnie, choć nawet wtedy zimne morskie prądy sprawiały, że wiatr tańczący na skalistych klifach był lodowaty. Może w tym roku uda jej się odnaleźć kępę białego wrzosu, który ponoć przynosi szczęście?

Rozprostowała palce ściśnięte w pantofelkach, które niedawno zrobiły się przyciasne. Zmieniła pozycję. Wiedziała, że lepiej nie przeszkadzać babce, kiedy tę ogarnia melancholia. Pomyślała o dziadku i poczuła ukłucie smutku, chociaż uczciwie musiała przyznać, że za życia zbytnio za nim nie przepadała. Był bardziej grubiański i sprośny niż reszta rodziny, delektując się chwilami, kiedy udawało mu się ją zawstydzić. Jaka szkoda, że przed śmiercią nie zgodził się ponownie rozważyć kwestii wydziedziczenia wujka Claude'a. Gdyby wujek Claude stał się właścicielem Penderleigh, żaden angielski książę nie rościłby sobie praw do tej ziemi.

Brandy spojrzała na stary zegar, ustawiony na gzymsie kominka pod takim kątem, że wyglądał jak pijany marynarz. Prawie czwarta, czas na herbatę. Była to rodzinna tradycja, którą lady Adela, nie bacząc na narzekania męża, ustanowiła niemal pięćdziesiąt lat temu. Brandy nastawiła uszu, czy w oddali nie słychać znajomego, ciężkiego kroku Crabbego.

Przez dębowe drzwi słychać było pukanie. Lady Adela ocknęła się z zamyślenia. - Ach, czas na herbatę. - Podniosła głos: - Nie guzdraj się, Crabbe, tylko wchodź.

Drzwi od bawialni się otworzyły i pojawił się wysoki, masywny Crabbe niosący srebrny serwis. Za nim do pokoju wszedł kuzyn Percival.

- Pan Percival chciałby się z panią zobaczyć - odezwał się niepotrzebnie służący.

Brandy patrzyła z ciężkim sercem, jak nieprzeniknione rysy babki zamieniają się w szeroki uśmiech. Zawsze tak było. Zadrżała i podniosła się z miejsca, ukrywając się za wysokim oparciem krzesła. Brandy darzyła kuzyna Percivala wyjątkową niechęcią. Nie tylko się bezwstydnie podlizywał babce, ale ostatnio zaczął ją, Brandy, napawać lękiem.

We wrześniu, w jej ostatnie urodziny, zaczął się na nią dziwnie gapić, a jego nieodgadnione, zielone oczy miały wyraz, którego nie rozumiała, lecz którego w głębi duszy mogła się domyślać. W ciągu zimy zorientowała się, co to wszystko znaczy. I obleciał ją strach.

- Nie stój jak strach na wróble, Crabbe - odezwała się lady Adela. - Taca idzie na stół, nic się tu przez ostatnie pięćdziesiąt lat nie zmieniło. Dobrze. Idź już sobie, tylko powiedz kucharce, żeby nie gotowała na kolację zupy z soczewicy i ryżu. Zjadłam jej w życiu tyle, że wystarczy, aby zepsuć koński żołądek. Powiedz, że ma przyrządzić coś specjalnego. Mój wnuk przyjechał w odwiedziny.

Lady Adela spojrzała na Percivala i kiwnęła laską w stronę zielonej kanapy naprzeciwko swojego krzesła.

- No cóż, mój chłopcze, najwyższy czas, żebyś się tu pojawił. Siadaj, proszę.

Brandy, moje dziecko, nalej nam herbaty. Palce mam dziś tak sztywne jak moja laska.

Skrępowana Brandy wychyliła się zza krzesła babki. Zdążyła chwycić srebrne ucho czajniczka do herbaty, kiedy Percival złapał ją za nadgarstek.

- Dzień dobry, kuzyneczko. Wyjątkowo pięknie dziś wyglądasz. - Zacisnął palce i pogładził ją delikatnie po wierzchu dłoni.

Miała ochotę zdzielić go czajniczkiem w głowę, ale bała się, że wysłużony przedmiot nie wytrzyma kolejnego wgniecenia i po prostu się rozleci. Wyrwała rękę bez słowa. Nie chciała robić scen w obecności lady Adeli. Wytarła dłoń o suknię.

Percival roześmiał się tylko. - Kochana babciu, jak ty to robisz, że z roku na rok jesteś coraz piękniejsza? - Ukłonił się nisko i złożył pocałunek na pociętej siatką niebieskich żyłek dłoni.

- Nicpoń z ciebie, Percy, prawdziwy nicpoń, ale takiego cię właśnie lubię.

Powiedz, dlaczego nie przyjechałeś, kiedy cię prosiłam? Z kondolencjami spóźniłeś się o trzy miesiące. Jeśli mam być szczera, to i teraz jestem zdziwiona, że odpuściłeś sobie hulanki Edynburga.

- Nie jestem hipokrytą, milady. Przecież dobrze wiedziałaś, że śmierć lorda Angusa prędzej czy później sprowadzi wszystkich zasmuconych krewnych na tę mokrą stertę starych kamieni. W przypadku niektórych z nas trwało to trochę dłużej.

- Twoja herbata, kuzynie Percy.

- Ach, jasne światełko wśród ponurych cieni. Dziękuję, kuzyneczko. Coraz bardziej przypominasz piękny kwiat, gotowy, aby go zerwać.

- Twoje porównania dziecku nie służą, Percy - powiedziała ostro Adela, która właśnie uświadomiła sobie, iż wprawne męskie oko wnuka wypatrzyło zmiany w wyglądzie Brandy dużo wcześniej niż ona sama.

- Babciu, mogę was przeprosić? Obiecałam Konstancji i Fionie, że pójdziemy na spacer.

- Dobrze, dziecko, ale nie wracajcie zbyt późno. Nie lubię jeść zimnej zupy.

Brandy dygnęła niezgrabnie, zebrała suknie i już jej nie było. Wydawało jej się, że z bawialni dobiega rechot kuzyna.

- To już nie dziecko, babciu - powiedział Percy tak głośno, że Brandy usłyszała jego słowa już zza drzwi.

- Nie flirtuj z tą dziewczyną, Percy. Jest jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, by rozumieć o co ci chodzi. - Sztywnymi palcami chwyciła ucho filiżanki i chlipiąc głośno przez resztki zębów, pociągnęła łyk herbaty.

Kątem oka zobaczyła, że Percy mruży zielone oczy, jakby rzucając jej wyzwanie i uśmiechnęła się w duchu. Cóż, wszyscy mężczyźni z rodu Robertsonów byli tacy sami. W większości pretensjonalni i słabi. Wszyscy uważali, że kobiety ich wprost uwielbiają. Jęczeli jak parzące się gronostaje, kiedy nie udało im się dostać tego, co pożądali - zwykle innej kobiety.

- Za twoją nieśmiertelność - powiedział Percy, wznosząc toast.

Lady Adela zaśmiała się sucho. - Owszem. Przysięgłam sobie, że wytrzymam na tym świecie dłużej niż Angus. Był wściekły, kiedy doktor oznajmił mu, że umiera. Gdyby nawet zostały jakieś pieniądze, wolałby je spalić, niż oddać mnie. Stary, pokręcony artretyzmem zrzęda.

- Ciekawe, czy teraz smaży się w piekle, wiedząc, że ja i ty jesteśmy tutaj. - Percy złagodził gorycz w swoim głosie, dodając: - Przynajmniej mogę przyjeżdżać do Penderleigh, kiedy mam ochotę.

Lady Adela spojrzała na swoje dłonie, na filiżankę stojącą na małym stoliku i uśmiechnęła się szeroko. - Chłopcze, co byś powiedział, gdybym cię uznała?

Percy poczuł, że krew gwałtownie uderza mu do głowy, ale odpowiedział ostrożnie: - Chcesz nadrobić te lata zniewag, milady? Uważaj, bo lord Angus wstanie z grobu, by cię udusić.

- Nie mogę zaprzeczyć, to całkiem przyjemna myśl - zobaczyć, jak jego stare kości podnoszą się z tej głębokiej dziury, w której go pochowałam. Ale nie możesz nie dostrzegać korzyści, które by ci to przyniosło. Co ty na to, Percy?

- Korzyści? Pewnie miałbym większą szansę na poślubienie jakiejś dziedziczki, bo tutaj wiele bym nie zyskał. Penderleigh i tytuł wciąż należałby do angielskiego księcia, zgadza się?

- Być może, chłopcze, ale miałbyś pełne prawo używać nazwiska Robertson.

Nigdy mi się nie podobało, że syn Davonana nazywany jest bękartem Robertsonów. Wywracały mi się od tego wnętrzności. Percy, nie patrz tak na mnie. Wiesz, że ja nigdy nie owijałam w bawełnę i nie bałam się prawdy. Kto wie, co będzie, jeśli cię uznam? Chcesz tego, czy nie?

Percy pomyślał o przysadzistej Joannie McDonald, córce i dziedziczce zamożnego kupca z

Edynburga. Chyba że zawodziły go wszelkie instynkty - a był pewien, że nie - wydawało mu się, że jest w nim śmiertelnie zakochana. Jej zarozumiały ojciec nie będzie mógł mu odmówić. Uśmiechnął się; jego pełne, zmysłowe usta wygięły się w chłopięcym uśmiechu, dzięki którym uwodził, a następnie prowadził do łóżka niejedną nieostrożną niewiastę. - Tak, babciu, bardzo bym chciał, żebyś mnie uznała. Podejrzewam, że zrobiłoby to wrażenie nawet na moich wierzycielach. Zastanawiam się tylko nad moim prawem do Penderleigh, oczywiście pod warunkiem, że uznasz mnie za prawowite dziecko.

- Może powinieneś pomyśleć, co się stanie, jeśli książę nie doczeka się dziedzica?

- Albo jeśli zachoruje i umrze?

Lady Adela spojrzała na wnuka złośliwie. - Mój chłopcze, książę jest młody, nie skończył jeszcze dwudziestu ośmiu wiosen. Zbyt młody, by opuszczać ten świat bez pomocy z zewnątrz. A co do spadkobierców, prawdopodobnie jest już żonaty i ma całą sforę bachorów czekających na tytuł i majątek. Jeśli nie, to pewnie jest jakiś kuzyn lub wujek. Na pewno jest ktoś, kto po nim dziedziczy.

- Nie posądzaj mnie o mordercze zamiary, milady. Pytanie zadałem z ciekawości, nic więcej. To tylko gra, w którą gramy. Gra, którą sama zaczęłaś.

Lady Adela prychnęła z obrzydzeniem. - Jest to pytanie, które powinien zadać Bertrand, syn naszego kochanego Claude'a, gdyby tylko nie był taki tchórzem podszyty. Co my tu mamy? Jednego wnuka z nieprawego łoża i jednego wydziedziczonego bratanka. Niech diabli wezmą Angusa. Zawsze był głupi, a na dodatek uparty jak osioł przywiązany do wozu z sianem. Powiem ci coś, Percy, jeśli uznam ciebie i przywrócę prawa Claude'owi i Bertrandowi, Anglik nie będzie miał tu czego szukać.

Percy zdziwił się, słysząc bezlitosny i pełen pretensji głos staruszki, ale na szczęście miał wystarczająco dużo rozumu, by wiedzieć, że powinien się już do tego przyzwyczaić. - Co za bzdury, babciu. Angus nigdy nie cofnąłby wydziedziczenia Claude'a i Bertranda. Uznasz mnie, i to ja będę miał prawo do Penderleigh po księciu.

- Co, żółć cię zalewa? Twoje prawo do Penderleigh rozpłynie się w powietrzu, jeśli przywrócę do łask syna Douglassa. - Wzruszyła drobnymi ramionami. - Czas pokaże, Percy, jak to będzie wyglądało. Czas i oczywiście ja.

Przez moment Percy przyglądał się lady Adeli w niemym zdumieniu. Starucha jest jak ogromny pająk, pomyślał, tka swoją sieć i próbuje go do niej zwabić. Chce, żeby wszyscy skoczyli sobie do gardeł? A może, poprawił się szybko, żeby to on skoczył im do gardeł? Postanowił się wycofać. Przez chwilę naprawdę wierzył, że Adela go uzna.

Wstał i ujął jej dłonie.

- Zostanę tutaj, jeśli pozwolisz, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Mam nadzieję, że wrócę do Edynburga jako prawowity Robertson.

- Wrócisz, Percy, wrócisz - powiedziała lady Adela. - Powiedz Crabbemu, by poprosił na jutro MacPhersona. Ja już powiem temu staremu łobuzowi, co ma robić.

- Dobrze, babciu. - Percy odwrócił się do wyjścia.

- Percy. Zawrócił.

- Brandy nie chce mieć z tobą nic do czynienia. To jeszcze dziecko. Nie wie, do czego służą mężczyźni.

Ujrzała w jego oczach tłumiony blask i pomyślała, że bardzo przypomina dziadka, którego serdecznie nienawidził.

Kiedy została sama, uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając resztki górnych zębów. Znała się trochę

na prawie i teraz, gdy Angus opuścił ziemski padół, miała zamiar wykorzystać tę wiedzę i doprowadzić do wrzenia prawny kocioł. Stary MacPherson zrobi jak mu rozkaże, a sądy tylko przytakną. Nazwisko Robertson wciąż jeszcze coś znaczy w tych stronach. Uzna Percy' ego, być może nawet przywróci prawa Claude'owi i Bertrandowi. Przyszło jej na myśl, że księciu mogą nie spodobać się te machinacje i wzruszyła ramionami. Była pewna, że siedzi teraz w dalekim Londynie i ani myśli zaglądać w te strony.

Spojrzała na poduszkę u swoich stóp, poduszkę, na której wcześniej siedziała Brandy. Jej własna wnuczka, z ciałem i krągłościami dorosłej kobiety. Z irytacją trzasnęła laską o ziemię. Trzy wnuczki, wszystkie bez szans na małżeństwo ani tym bardziej posag. Absurdem było sądzić, że angielski książę, formalnie opiekun dziewczynek, z własnej woli rozstanie się z gwineami, i to na korzyść nieznajomych szkockich krewniaczek. Chociaż myśl wydawała się niemądra, lady Adela nie mogła jej wybić z głowy. Czas pokaże, a i ona dorzuci swoje trzy grosze.

Przynajmniej Percy będzie miał szansę na lepsze życie. Piękny i beztroski - taki sam jak ona przed laty. Niech piekło pochłonie Davonana, który nawet nie raczył dać jego matce nazwiska Robertson. Davonan zawsze był dziwny.

Pamiętała, jak ucieszyła ją wiadomość ze spał z kobietą. Oczywiście nie trwało to długo Niecały rok później uciekł z opalonym Irlandczykiem zostawiając pod jej opieką swego małego, bezbronnego synka. Teraz już bez bólu mogła się zastanawiać, czy Davonan z własnej woli poszedł pod gilotynę za swym francuskim kochankiem, rozpustnym hrabią, który w pełni zasłużył na swój los. Cale szczęście, że tej skłonności Percy nie odziedziczył po swoim ojcu Lady Adela przechyliła głowę i spojrzała na zegar Czas zawołać starą Martę i zacząć się ubierać do kolacji. Roześmiała się głośno. Doprawdy, starą Martę. A kiedyś był z niej kawał latawicy.

Bogu dziękować, że Angus nigdy nie zrobił jej.

ROZDZIAŁ 4

Pochylony nad grubą księgą z rachunkami, Bernard Robertson gryzł z zadumą koniec obsadki. Jego jedyny służący, Fraser, właśnie go poinformował, że w Penderleigh pojawił się Percy. Przeklęty nicpoń Ciekawe, czego tym razem chce? Głupie pytanie Pieniędzy, oczywiście. Tylko, że nie ma żadnych pieniędzy, nawet przeklętego szylinga, więc niech sobie pieniędzy, nawet przeklętego szylinga, więc niech sobie pieje peany na temat pięknych brwi i ostrego dowcipu lady Adeli. Bez różnicy. Chociaż nie zdziwiłby się gdyby starucha wodziła go za nos i obiecywała nie wiadomo co. Lady Adela była zdolna do wszystkiego.

Wrócił do kolumn cyfr, wpisanych w równych rządkach. Niedobrych cyfr. Sum, które przyprawiały go o skurcze w żołądku.

W tym roku Penderleigh straciło grunt pod nogami. Po śmierci Angusa tłumnie zjawili się wierzyciele żądający zapłaty, a sprzedaż wełny przyniosła znacznie mniej, niż się spodziewano. Angielski książę na pewno nie będzie zadowolony.

Poplamionymi atramentem palcami odgarnął rudą czuprynę, która jak zwykle opadała na czoło. Może i jest tylko wydziedziczonym bratankiem, ale stary Angus znał jego wartość i w sprawach majątkowych miał do niego całkowite zaufanie. Patrząc teraz na rzędy cyfr, malutkich bezużytecznych cyferek, poczuł ukłucie strachu. Angusa już tu nie ma i zarówno on sam, jak i jego pokrzywiony artretyzmem ojciec mogą wkrótce pożegnać się z Penderleigh. Jak zdoła przekonać pełnomocnika księcia, że oszczędzał gdzie się da, a zamek jest bliski zawalenia, ponieważ wstrzymywał fundusze na konieczne naprawy. To ostatnie było zresztą dobrym żartem. Jakie fundusze? Kiedyś nie było tak ciężko.

Podniósł głowę. W drzwiach skąpanego słońcem gabinetu pojawił się Fraser, kaszląc dyskretnie. Bertrand skinął głową.

- Panie Bertrandzie, ojciec dowiedział się, że panicz Percival przyjechał do zamku. Jest w strasznym stanie, sam pan rozumie.

- Rozumiem aż za dobrze. Powiedz mu, że zaraz do niego przyjdę. I że ma się Percym nie przejmować bo to jest najmniejszy z naszych problemów. A zresztą sam mu powiem. Ty też nie bierz sobie tego do serca, Fraser.

- Łatwo powiedzieć. To nie jest dobry czas, zwłaszcza gdy w okolicy jest pan Percy. - Fraser potrząsnął rozwichrzoną czupryną i posmutniał.

- Nie przejmuj się, Fraser - powtórzył Bertrand. - Percival to nic więcej jak brzęcząca, natrętna mucha. Ten angielski książę dopiero da nam w kość.

Może nas pociągnąć na dno. Będziemy się musieli nauczyć, jak walczyć o codzienną strawę. Umiesz łowić ryby, Fraser?

- Troszkę. Uwielbiam okonie, ale nie mogę ich nigdy złapać. Ma pan rację, panie Bertrandzie,

wpadniemy po uszy, jeśli sprawdzą się pana słowa. Jak pan sądzi, nasz książę jest podobny do Cumberlanda?

Bernard zaśmiał się ponuro i podniósł się. - Bogu dzięki, nie mamy roku tysiąc siedemset czterdziestego szóstego, naszego księcia nie było wtedy na tym świecie. Chociaż z pewnością dumny z niego człowiek i, jak wszyscy Anglicy, niechętny Szkotom. Wiesz zapewne, że przyśle tu jakiegoś londyńczyka, który będzie deptał nam po piętach i oskarżał, że okradamy księcia.

Milcząc, Fraser zmrużył swe okrągłe, inteligentne oczy. W końcu odezwał się: - I tak teraz nic na to nie poradzimy. Niech pan idzie do ojca. Nie jestem pewien, ale chyba słyszę, jak stuka laską o podłogę. Zaparzę herbaty i przyniosę na górę.

Bertrand zwlekał jeszcze chwilę, po czym opuścił gabinet. Idąc po spróchniałych schodach do dusznego pokoju ojca, wciąż rozmyślał o trapiących go problemach i z każdym stopniem ogarniało go coraz większe przygnębienie.

- Nie stój tak, Bertie, wchodź do środka. Zanim Fraser zdoła cię sprowadzić, zapominam, o co chciałem cię zapytać. Wchodź, chłopcze, wchodź do środka. Co dobrego mi dziś powiesz? Mamy więcej pieniędzy niż rano?

- Jak się czujesz, ojcze? Dobrze wyglądasz. Nie, nie mamy ani grosza więcej.

Popołudnie wygląda tak samo źle jak ranek. - Bertrand podszedł do buzującego ogniem kominka, przy którym siedział opatulony w kraciasty pled ojciec. Otarł spocone czoło; w pokoju panował większy skwar niż w piekielnych czeluściach. Za dziesięć minut będzie marzył o tym, aby zanurzyć głowę w kuble zimnej wody. Za dwadzieścia rozboli go głowa i dopiero spacer po skalistych klifach pozwoli mu pozbierać myśli. Ojciec potrafił być męczący. Bertrand nie pamiętał nawet dnia, kiedy było inaczej.

- Masz przecież oczy, Bertie. Popatrz. Stopa mi spuchła i wygląda jak gnijąca kupa gnoju. A w tym przeklętym pokoju jest ciągle zimno. Porozmawiaj z Fraserem, powiedz mu, że strasznie mi to dokucza. Każ mu przynieść więcej torfu do kominka.

- Porozmawiam z Fraserem, ojcze. - Bertrand rozsiadł się w zalatującym starymi ubraniami i dymem z fajki fotelu i czekał spokojnie, aż ojciec przejdzie do rzeczy. Błagał niebiosa, by stało się to jeszcze zanim zacznie się ból głowy.

- Przekręć głowę w lewo, Bertie, zasłaniasz mi słońce. Nie żebym za nim przepadał, ale przynajmniej trochę grzeje moje stare kości.

Bertrand przesunął się wraz ze starym fotelem o zniszczonym obiciu. Wytarł ręką czoło - skwar z kominka już dawał się we znaki. Jeszcze chwila i nadejdzie ból głowy. Mężczyźnie taka dolegliwość nie przystoi, ale cóż Bertrand mógł na to poradzić? Nienawidził tego pokoju, bardziej przypominającego wnętrze pieca.

- Zapewne słyszałeś, że Percy wrócił - odezwał się Claude. - Jest jak sęp, chce się pożywić kośćmi, zanim starego Angusa zjedzą robaki.

Bertrand westchnął. - Ojcze, nie ma to żadnego znaczenia. Zostały tylko kości. Tym gorzej dla nas. Uwierz mi, przy naszych problemach Percy to drobiazg.

- Nie traktuj mnie jak otępiałego starca, młody człowieku - rozzłościł się Claude. - Czy wiesz że Adela nosi się z zamiarem uznania tego bękarta?

- To śmieszne, ojcze. Wolałbym, żebyś nie słuchał takich plotek. Któż ci naopowiadał tych bzdur? To nonsens, idiotyczny nonsens. Zapomnij o tym. - Bertrand zdał sobie sprawę, że zaciska ręce na poręczy fotela. Na Boga, musi się rozluźnić. Otworzył dłonie.

Claude pochylił się do przodu. Grymas bólu przemknął przez jego pooraną tysiącami zmarszczek twarz.

- Crabbe mi wszystko powiedział, panie Akuratny. - Bertrand pobladł i Claude poczuł satysfakcję. - Crabbe to dobry człowiek. Troszczy się o sprawy innych i bacznie nadstawia uszu. Od lat był mi winien przysługę, ale to inna historia.

Wiesz, co to znaczy, chłopcze?

Zabiję tę staruchę, pomyślał Bertrand. Po prostu zabiję. Wzruszył ramionami i przybrał obojętną minę. - To znaczy, że szacowna ciotka z wiekiem dziwaczeje.

- Ha! To podła jędza, z każdym dniem bardziej szalona. Oprócz tego wredna, małostkowa, przeklęta czarownica. Czy wszystko wymieniłem?

A więc o to chodzi, pomyślał Bertrand, milcząc dyplomatycznie. Wzruszył ramionami. - Wolno jej, jest stara jak świat. Mówiłem ci kiedyś, że Angus przed śmiercią próbował mnie przekupić, żebym ją zabił? Nie chciał umierać pierwszy. Powiedziałem mu, że nie ma pieniędzy. A on na to, że taka z niej jędza, że powinienem z radością zabić ją za darmo. Śmiałem się wtedy, ojcze.

Bałem się, że Angus zaraz wyzionie ducha, ale oczywiście tak się nie stało. Pożył dłużej, niż mógłbym przypuszczać.

- Tego mi nie mówiłeś, do diabła, chociaż teraz to już nie ma znaczenia. Inna Sprawa, że jako syn powinieneś mówić ojcu wszystko, słyszysz? Wszystko.

A więc chciał, żebyś pozbył się tej suki? Tak, wiem, Bertie, nigdy nie kłamiesz. Wielka szkoda. Co się stało, to się nie odstanie. Jeśli książę umrze bezpotomnie, twój kuzyn będzie następny w kolejce do tytułu i majątku.

Wiesz z pewnością, co to oznacza.

Claude zrealizował swój perwersyjny cel. W końcu udało mu się doprowadzić do wrzenia chłodnego, rozsądnego syna. Bertrand zacisnął zęby, a w jego głosie pojawiła się gorycz. - Co za łajdak. Zabrał już Penderleigh tyle pieniędzy, wszystko na bezmyślne rozrywki w Edynburgu. Niech diabli wezmą jego i lady Adelę. To niesprawiedliwe. Stary Angus miał rację, powinienem był udusić tę jędzę. Bez niej i jej przeklętych machinacji świat byłby znacznie lepszy.

Claude rozparł się wygodnie, a na jego twarzy pojawił się koślawy uśmiech. - Dobrze wiedzieć, Bertie, że w twoich żyłach płynie krew, nie woda. Czasem już myślałem, że twoja matka wyprowadziła mnie w pole.

Bertrand zapatrzył się na ojca, zdumiony jego sposobem myślenia, logiką i okrucieństwem, które tak swobodnie płynęło z jego ust.

- A co powiesz na to, że lady Adela planuje cofnąć nasze wydziedziczenie?

Przez krótką chwilę oczy Bertranda płonęły tak samo jak oczy jego ojca.

Penderleigh. Mój Boże, jak bardzo kochał każdą rozsypującą się, zawilgłą wieżyczkę, każdy nasiąknięty morskim powietrzem kamień. Oddałby duszę za Penderleigh. Do licha, już to zrobił. Dał z siebie absolutnie wszystko, ale to było za mało. Ale gdyby ojciec znów mógł dziedziczyć, kto wie, może i on, Bertrand Douglass Robertson zostałby kiedyś hrabią Penderleigh. Sam byłby sobie panem. Robiłby, co zechce. Nie musiałby przejmować się gierkami tej starej czarownicy. Cała przyjemność, cała odpowiedzialność należałaby do niego. Z wrażenia zaparło mu dech.

Chwilę później ojciec sprowadził go boleśnie na ziemię. - Nie, Adela jest na tyle podła, że będzie się nami bawić i trzymać w zawieszeniu. I świetnie przy tym bawić. Po raz pierwszy w życiu nie życzę jej śmierci. Cieszę się, że Angus nie zdołał cię przekonać do swego pomysłu. Jeśli umrze

zanim sąd cofnie decyzję o wydziedziczeniu, wtedy już wszystko stracone. Moim zdaniem jednak to zrobi. Skoro chce zdjąć hańbę z jednego z Robertsonów, wysoce prawdopodobne, że zrobi to samo z nami. Z pewnością jesteśmy więcej warci niż ten nicpoń Percy.

Niełatwo było w każdej sytuacji postępować rozsądnie i praktycznie, ale Bertrand zdołał odpowiedzieć równym, opanowanym głosem: - Ojcze, nie można snuć planów opierając się wyłącznie na przypuszczeniach. Nawet jeśli Adela przywróci nam prawa, i tak niewiele zyskamy. Książę ma pewnie własnych spadkobierców.

- Jeśli chodzi o pozytywne myślenie, to jesteś strasznym skąpcem, Bertie. Po pierwsze, musimy doprowadzić do cofnięcia decyzji o wydziedziczeniu. A potem zobaczymy. - Starzec wyszczerzył się w niemal bezzębnym uśmiechu.

Ciekawe, że lady Adela miała znacznie więcej zębów, chociaż była od Claude'a dwadzieścia pięć lat starsza.

- Wiesz tak dobrze jak ja, że Adela uwielbia swoje gierki i triki. Ona tylko miesza w kotle, jak czarownice z „Makbeta". Nie chcę, ojcze, byś marzył o czymś, co nie ma szans powodzenia.

- Może masz rację, może faktycznie nie warto jej ufać. Ale wiem, że czuje się winna. Kto wie, może chce przed śmiercią odkupić swoje winy? Jestem przekonany, że pomogła Angusowi w podróży na tamten świat, ponieważ dopóki ten łajdak żył, nie mogła nic zrobić ani w naszej sprawie, ani w sprawie Percy'ego.

- Czyżby ojciec oskarżał własną ciotkę o morderstwo? - Czuje się winna, ojcze? To może mi wreszcie powiesz, czemu pradziadek wydziedziczył twojego ojca. - Bertrand zdał sobie sprawę, że wstrzymuje dech. Zastanawiał się nad tym od wieków, ale ojciec zawsze kwitował pytania stwierdzeniem, że to nie jego sprawa, po czym dodawał: „Ty ciekawski łobuzie".

Claude zagapił się na buzujący w kominku ogień. - Nie, chłopcze, nie mogę ci powiedzieć. Może się dowiesz, zanim umrę.

- Zapytałem ją kiedyś, wyobraź sobie - powiedział Bernard, krzyżując ramiona.

- Czasem mnie zadziwiasz, Bertie. I co ci odpowiedziała?

- Rzuciła we mnie laską i wrzasnęła, żebym sobie poszedł. Bałem się, że trafi ją szlag, ale oczywiście nic jej się nie stało.

- Być może - Claude utkwił wzrok w synu - nie odziedziczyłeś miękkiego charakteru swojej matki. Pokazałeś, na co cię stać. A teraz przyprowadź mi tego ciągle uśmiechniętego Frasera. Chyba powinniśmy zjeść dzisiaj kolację w zamku. Będzie się można czegoś dowiedzieć. Poza tym nie zostawię tego łajdaka Percy'ego sam na sam z Adelą. Nie wiadomo, co powie i zrobi za naszymi plecami.

ROZDZIAŁ 5

- Kuzyn Percy jest taki przystojny, prawda, Brandy? Zwróciłaś uwagę na jego kamizelę, na te piękne kwiaty na żółtym tle? A te obcisłe spodnie, które eksponują jego piękne nogi? Jest tak męski, że kiedy przechodzi obok, nie mogę oderwać od niego wzroku. Wygląda po prostu pysznie.

Od kiedy Connie zwraca uwagę na nogi Percy'ego? Przygląda mu się, kiedy przechodzi obok? Uważa, że jest męski? Mój Boże, to przekracza wszelkie wyobrażenia. Cóż Connie - osóbka licząca zaledwie szesnaście wiosen - może wiedzieć o męskich nogach? Hm, Brandy znała odpowiedź. Widziała, jak siostra przed lustrem ćwiczy uśmieszki, jak marszczy czoło i formuje usta do pocałunków. Triki, którymi oczaruje mężczyznę, i to takiego babiarza jak Percy. Dobry Boże.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Nie uważam, że Percy jest przystojny. Jedzenie może wyglądać pysznie, a nie mężczyzna, i to jeszcze lekkich obyczajów.

- Tylko o kobietach mówi się, że są lekkich obyczajów, Brandy.

- Percy też zalicza się do tej grupy. Zaufaj mi. Nie wszystko złoto, co się świeci. On nie dba o nikogo z nas, troszczy się tylko o swój interes. To zły człowiek, Connie, uwierz mi proszę. - Brandy przerwała, zdając sobie sprawę, że nigdy dotąd nie używała tak dosadnych sformułowań. Jednak za wszelką cenę chciała, by siostra przejrzała na oczy. - Connie, obiecaj mi, że będziesz trzymać się od niego z daleka. Nie jest wart twojego zainteresowania. Poza tym pamiętaj, że to nasz kuzyn. Grzecznie się z nim witaj, ale nie rozmyślaj o jego nogach w obcisłych spodniach. Nie myśl, że jest męski. Patrz na niego i pamiętaj, kim jest. - Dlaczego Connie nie widziała, że Percy nie zasługuje na jej zaufanie, że jest żałosnym libertynem, który nie dba o nic prócz siebie?

Konstancja zatrzepotała firanką ciemnych rzęs, co u szesnastolatki zwiastowało kłopoty. Potrafiła nawet spoglądać spod wpółprzymkniętych powiek, osiągając jeszcze większy efekt. Kto ją tego nauczył? - Dlaczego, Brandy? Dlaczego mam się trzymać od niego z daleka? Jest uroczy, o wiele milszy niż wszyscy mężczyźni z okolic. Chcesz go dla siebie? To jest prawdziwy powód? Ach tak, już rozumiem!

Przez chwilę Brandy miała ochotę uderzyć siostrę. Nie, musi jej wytłumaczyć, przekonać, by uwierzyła w jej słowa.

- Connie - powiedziała bardzo powoli. - Nie zechciałabym Percy'ego nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na ziemi. - Na twarzy siostry widać było niedowierzanie i obojętność. - Poza tym jest za stary. Ma już pewnie trzydziestkę na karku. I dużo pije. Nabawi się gośćca, jak wujek Claude, i tak jak on będzie miał czerwony nos z popękanymi żyłkami. I pewnie straci wszystkie zęby. Nie chcę takiego męża.

- Co za bzdury. Warkocze chyba za bardzo ściskają ci głowę, Brandy. Percy jest za stary? To śmieszne. Jest doskonały i takim pozostanie.

Brandy nie mogła powstrzymać przygnębienia. Podeszła do krawędzi klifu i spojrzała na morze.

Białe grzebienie fal, poziom przypływu i ciemniejący horyzont zwiastowały gwałtowną wiosenną burzę. Próbowała sobie przypomnieć, czy dobrze przycumowała łódkę, bo wyglądało na to, że burza może wyrządzić szkody również w zatoczce.

- Czeka nas dziś nawałnica - powiedziała bardziej do siebie niż do siostry.

Kopnęła kamyk i patrzyła, jak toczy się po kamienistej ścieżce, lądując na piaszczystej plaży u podnóża klifu.

Odwróciła się od siostry i opadła na dywan z dzwonków i dzikich zawilców, kępami porastających brzegi klifu. Słodki zapach kwiatów sprawił, iż na moment zapomniała o Percym i swej zbyt dorosłej młodszej siostrze.

- Brandy, powinnyśmy już wracać. Pobrudzisz spódnicę i stara Marta naskarży babci.

Brandy westchnęła i podniosła się z kolan. Wiatr się wzmagał, sprawiając, że spódnica chłostała ją po kostkach. Otuliła się szczelniej kraciastym szalem. - Skoro Percy jest na zamku, pewnie będziemy musiały się przebrać do kolacji.

Chwilę później żałowała, że wymówiła głośno imię kuzyna, ponieważ w pięknych oczach Connie pojawił się ogień. Gdzie się tego nauczyła?

Brandy nie dawała za wygraną. - Możesz sobie uważać, że jest przystojny, ale dla niego jesteś tylko dzieckiem. Słyszałam, jak babcia mówi, że Percy gustuje w kobietach krągłych i doświadczonych w sztuce miłości. Kiedy zapytałam, co to za sztuka, rzuciła we mnie poduszką i zaczęła się krztusić. Ale nieważne. Najważniejsze, że Percy to nasz kuzyn, i jest dla ciebie za stary. Za stary również dla mnie, chociaż mam nad tobą dwa lata przewagi. Zapomnij o nim, Connie. - Przerwała i roześmiała się. - Nie zapominaj, że nie ma złamanego grosza. Co ci po mężczyźnie, który jest bez grosza?

Cóż, przynajmniej próbowała. Widać było, że w Konstancji wzbiera złość. Wydawało się, że puchnie. - Ja dzieckiem? Ty po prostu jesteś zazdrosna, ot co. To ty nosisz dziecinne sukienki i warkocze jak pensjonarka. A ten twój pozaciągany stary szal?! Wyglądasz śmiesznie! Ja natomiast nie mam zamiaru skończyć jako zasuszona stara panna, sama jedna w tym strasznym miejscu. Zostań tu sobie wśród walących się na głowę kamieni i polnych kwiatków, jeśli taką masz ochotę. Ja będę bogatą i elegancką damą. A Percy ma szansę dojść do majątku. Jest bystry. Zobaczysz, wkrótce będzie bogaty.

Konstancja potrząsnęła czarnymi lokami i ruszyła w stronę zamku. Nawet chód ma wyćwiczony, pomyślała Brandy. Gdzie się tego nauczyła? Brandy chciała powiedzieć siostrze, że też nie chce tutaj zostać na zawsze, że chce mieć kiedyś męża i rodzinę. I być elegancką damą.

Zawołała, ale Konstancja wyglądała, jakby połknęła kij, więc Brandy podarowała sobie. Skończyłoby się kolejną kłótnią. Tak ostatnio było między nimi - ciągłe kłótnie i warczenie na siebie nawzajem. Jeszcze dwa lata temu było inaczej. Jak Konstancja mogła wierzyć, że Percy dojdzie kiedyś do majątku?

Krzyknęła głośniej, przekrzykując wzmagający się wiatr: - Poczekaj na mnie na ścieżce. Muszę znaleźć Fionę.

Connie przystanęła i obróciła się w miejscu. Wyglądała na zniecierpliwioną, stukała w ziemię obcasem.

Brandy podeszła do krawędzi klifu, po czym zeszła krętą, kamienistą ścieżką, stąpając ostrożnie po zdradzieckich, przesuwających się głazach. - Fiona! - Zwinęła dłonie w trąbkę i zawołała jeszcze trzy razy: - Fiona! - Powiodła wzrokiem po pustej plaży, szukając rudej jak marchewka czupryny

siostry. Na porastającej zbocze gęstej, twardej trawie nie widać było najmniejszego ruchu, a obok szumu fal jedynym słyszalnym dźwiękiem było gęganie gęsi i nawoływanie brodźców, szykujących się na obiad. Przez chwilę zapatrzyła się na wielkiego morświna, na przemian wynurzającego się i nurkującego wśród białych grzebieni fal.

- Brandy, Brandy, tu jestem! Popatrz! Odwróciła się i zobaczyła, że siostra idzie w jej kierunku. Jej włosy, niedawno zaplecione w schludne warkocze, stanowiły teraz mokrą, splątaną masę, opadającą ciężko na drobne ramiona.

Wełniana sukienka ociekała wodą, przyklejając się do chudych nóżek.

Brandy nie miała wątpliwości, że pełno w niej było piachu.

Nie zdążyła skarcić siostry, że się tak pobrudziła, bo ta złapała ją za rękę i wykrzyknęła: - Widziałaś go, Brandy? Morświna? Strasznie długo pływał na grzbiecie. Wołałam go i przysięgam, popatrzył na mnie i śmiesznie zmarszczył nos. Och, Brandy, czy nie jest piękny?

No i co miała zrobić? - Tak, kochanie, widziałam. Ale już go nie ma, pewnie szuka rybek na obiad. Na nas też czas, skarbie. Robi się późno, musimy wracać.

- Pogładziła rozwichrzoną czuprynę i obróciła małą w miejscu.

Konstancja czekała na siostry w bukowym zagajniku. Cmoknęła z niesmakiem na widok Fiony. - Doprawdy, Fiono, wyglądasz jak dzieciak parobków. Nie patrz tak na mnie, i tak nie mam zamiaru rozplątywać ci tego gniazda na głowie.

- Pamiętam czasy, kiedy obie wyglądałyśmy jak ona - powiedziała Brandy. - Nie pamiętasz, jak wskakiwałyśmy do wody, zbierałyśmy wyrzucone przez morze drewno i budowałyśmy zamki z piasku? I śpiewałyśmy stare piosenki?

Konstancja patrzyła na nią takim wzrokiem, jakby Brandy postradała zmysły.

- Byłyśmy dziećmi - powiedziała w końcu. - Teraz jesteśmy dorosłe, przynajmniej ja. Nie chcę być już nigdy brudna.

Fiona uśmiechnęła się do Brandy ukradkiem, radosna po spotkaniu z szarym morświnem. Brandy była pewna, że Connie nawet jej nie usłyszała.

- Nie martw się. Już zadbam o to, żeby ją przywrócić do stanu przypominającego ludzi. A teraz chodźmy, robi się późno.

Skręciły w ścieżkę, która prowadziła w stronę alei, obsadzonej z obu stron rododendronami. Ich oczom ukazał się zamek, wynurzający się ze złotych promieni zachodzącego słońca niczym ogromna, szara bryła. Konstancja przystanęła, zerwała pąk fuksji i zatknęła sobie za lewym uchem. - Chętnie zaproponowałabym ci to samo, Brandy, ale przy twoich warkoczykach kwiatek się nie utrzyma.

Cóż, pewnie to prawda, pomyślała Brandy, ale zdecydowała się trzymać język za zębami. Spojrzała na wieżyczkę, której niegdyś strzegły armaty. Dziś, zardzewiałe i zapomniane, leżały w porośniętej trawą fosie. Wydawało jej się, że słyszy wysoki dźwięk dud, wzywający przeciwnika do walki. Przypomniała jej się stara ballada o hrabim Huntleyu, którą często mruczała chropawym głosem stara Marta. Zaczęła nucić, zatracając się na moment w romantycznej przeszłości. Przeszłości, która po krwawej porażce Bonnie Prince Charlesa definitywnie się skończyła. Pamiętała zasłyszane opowieści o księciu Cumberland, Angliku, który okazał się krwiożerczym potworem. Patrzyła na dumny, stary zamek i żołądek ścisnął jej się z bezsilnego gniewu. Penderleigh, jej dom, miejsce, w którym się urodziła, należał teraz do jakiegoś księcia, jakiegoś Anglika.

- Słyszysz pomruk morza, uderzającego w skały przy zamku, Connie? No tak, nie słyszysz. Coś mówiłaś?

- Mówiłam, że widzę, jak wujek Claude i Bertrand wychodzą z domku gościnnego i kierują się do zamku. Bertrand wygląda, jakby kij połknął.

Dziwne, że taki z niego skromniś. Mówi się, że wujek Claude niejedną dziewczynę w życiu zbałamucił.

Brandy nie mogła sobie wyobrazić Claude'a w tej roli. Powinna pewnie zwrócić uwagę siostrze, że nie wypada tak mówić, ale i tak nie miałoby to sensu.

- Brandy, nie musisz nic mówić. I tak wiem, co myślisz. Jesteś taka sama jak Bertrand. Bylibyście idealną parą, oboje sztywni i poważni. A którejś zimy zanudzilibyście się nawzajem na śmierć.

- Cóż, widzę, że już wszystko przewidziałaś - Brandy szła ze zwieszoną głową, trzymając brudną rączkę Fiony. Próbowała siostrę zrozumieć. Konstancja chyba chciała na gwałt wydorośleć, zapomnieć o wszystkich sprawach, które dla Brandy były wciąż ważne i drogie. Nie chciała już łowić ryb z łódki siostry, kręciła nosem na rybi zapach i rozbryzgującą się na sukni morską pianę. Ale jeśli kobiecość miała oznaczać spędzanie większości czasu przed lustrem i flirtowanie z kimś takim jak Percy, to Brandy nie miała na to ochoty. Wolałaby, gdyby Connie była tego samego zdania. A może to tylko faza, która kiedyś minie? Może ona sama też tę fazę przechodziła? W jej przypadku musiało to trwać niezmiernie krótko, bo nie mogła sobie przypomnieć.

Zgarbiła się, naciągając szal na ramiona. Przynajmniej Konstancja nie musi się martwić, że całe życie przyjdzie jej spędzić z deformacją, która przypadła w udziale starszej siostrze. Brandy nie mogła nawet odetchnąć głęboko z obawy, że guziki sukni nagle wystrzelą w powietrze. Natura wyrządziła jej paskudny kawał, obdarzając ją szczupłym ciałem, dźwigającym ogromny biust.

Pomyślała znów o Percym, zastanawiając się, dlaczego świdruje ją swoim obleśnym, znaczącym wzrokiem. Nigdy go nie zachęcała, ani swoim zachowaniem, ani wyglądem. Pewnie nudził się tutaj, i jedyna rozrywka, która mu przyszła do głowy, to dręczenie jej w typowy dla niego, obrzydliwy sposób.

Brandy podniosła głowę i zobaczyła, że Fiona siedzi okrakiem na jednym z zardzewiałych dział i wykrzykuje, ile jej tylko powietrza w płucach starczy: - Chodźcie tutaj, dziady, chodźcie, my złoimy wam tyłki! Brandy nie zauważyła nawet, kiedy siostra wyrwała jej rękę. - Fiona, spójrz tylko na swoją sukienkę. - Brandy podeszła bliżej. Na twarzy i rękach siostry widać było rdzawe placki. Podniosła ją do góry. - Mój Boże, jeśli Marta zobaczy cię w takim stanie, na pewno naskarży babci. Stój spokojnie, wiercipięto, spróbuję cię trochę odczyścić.

- Popatrz, Brandy, ktoś do nas jedzie. Wygląda jak karoca.

Konstancja zasłoniła oczy przed promieniami zachodzącego słońca, które wciąż rzucało ostre światło pośród burzowych chmur.

Brandy wyprostowała się, łapiąc Fionę za rękę. Na jej twarzy również były ślady rdzy. Patrzyła na przybliżający się tumult z umiarkowanym zainteresowaniem. Powożący jechał zbyt szybko, bo za kołami wznosiły się ogromne tumany kurzu.

- Piękne koniki! - krzyknęła Fiona, podskakując z wrażenia.

- O tak, kochanie. Konie są rzeczywiście piękne, a ten, kto nimi powozi, jest idiotą.

- To lepsze niż te głupie, stare armaty! - Z tymi słowami Fiona wyrwała się siostrze i całym wysiłkiem swoich chudych nóżek rzuciła się w stronę karocy.

ROZDZIAŁ 6

- Boże, Fiona, wracaj natychmiast! Wracaj, bo przetrzepię ci tyłek!

Brandy podwinęła spódnicę i rzuciła się za siostrą. - Fiona! - krzyknęła przerażonym głosem. Zobaczyła, że rozgrzane rumaki błyskają oczami, zatrzymują się gwałtownie i tracą grunt pod nogami. Jak przez mgłę słyszała gniewny męski głos. Z krzykiem rzuciła się do przodu, złapała Fionę za ramię i pociągnęła ją za sobą. Wylądowała na miękkiej poduszce żółtych zawilców, słysząc rżenie i parskanie koni. Złapała głęboki oddech i zwróciła przerażony wzrok na siostrę.

- Kochanie, wszystko w porządku? - Złapała małą za nogi, potem ręce, sprawdzając, czy nic nie jest złamane. Potem sprawdziła głowę, zanurzając palce w splątanej czuprynie.

- Jasne, tylko zrobiłaś mi siniaka na ramieniu. Chciałam się pobawić z konikami.

Brandy zaklęła pod nosem. Jej repertuar przekleństw nie był zbyt bogaty, ponieważ raz, kiedy powtórzyła coś, co powiedział stajenny do upartego muła, babka kazała starej Marcie wyszorować jej usta szarym mydłem. Chciała tylko potrząsnąć siostrą - za głupotę.

Konstancja stała obok, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w dżentelmena, który zgrabnie zeskakiwał z dwukółki.

- Sukienka ci się podwinęła, Brandy - powiedziała Konstancja półgębkiem, nie spuszczając wzroku z mężczyzny.

Brandy naciągnęła sukienkę, zakrywając pocerowane wełniane pończochy i wstała na nogi. Dżentelmen zdążał w ich kierunku, a na jego twarzy płonął gniew. Miał na sobie najbardziej elegancki surdut, jaki w życiu zdarzyło jej się widzieć. Jakim prawem pędził, jakby go diabeł gonił? Jakim prawem okazywał teraz gniew? To wszystko jego wina. To on za szybko jechał.

Zapomniała o jego elegancji, kiedy głos, zimny niczym sopel lodu, przeciął powietrze: - Możesz mi wyjaśnić, dlaczego pozwalasz dziecku wbiegać przed rozpędzony zaprzęg?

Fiona gapiła się na wysokiego mężczyznę oczyma okrągłymi jak spodki. - Ale koniki są takie piękne. Ja tylko chciałam je z bliska zobaczyć. Myślałam, że się zatrzymają i będę mogła je pogłaskać.

- Mogły ci pogruchotać wszystkie kości. A co do ciebie - odwrócił się do Brandy - niepotrzebnie się narażałaś. Jak do tej pory sam sobie świetnie radzę z moimi rumakami. Przez ten popis mogłaś stracić życie.

Connie, blada z przejęcia, uśmiechnęła się wdzięcznie. Wyglądała ślicznie, jej piękne czarne loki opadały kaskadami na ramiona. - Panie, musisz wybaczyć mojej siostrze, czasami działa bez zastanowienia. Choć muszę przyznać, że mnie również Fiona napędziła stracha. - Konstancja dygnęła. Dygać przed tym zarozumialcem? Co za bzdura, pomyślała Brandy. Nawet mimo całej jego elegancji. Był nieuprzejmy i to on tu zawinił.

Spojrzała mu prosto w twarz. Przystojny, zauważyła mimochodem. Ale teraz skupiła się tylko na

jego głupocie.

- To ty, panie, powoziłeś jak szaleniec. Ciekawa jestem, kto mógłby przypuszczać, że tak świetnie radzisz sobie ze swoimi rumakami, jak to się pięknie wyraziłeś. Może miałam czekać, aż stratujesz mi siostrę? Proszę jechać dalej i zabrać stąd te piękne konie. Gdybym miała broń, mogłabym nie oprzeć się pokusie. Co więcej, nie masz prawa się na nas złościć. To nasza ziemia, nie twoja. Powoziłeś nieostrożnie, a poza tym, co ty tu w ogóle robisz?

Odezwał się z wyraźnym angielskim akcentem, kipiąc zimną wściekłością: - Skoro już wiem, że nic się nie stało, nie mam ochoty na słowne potyczki z bandą wrzaskliwych, bezmyślnych dzieciaków. Idźcie lepiej, zanim przetrzepię wam tyłki. Sugerujesz, że nie potrafię zapanować nad moimi końmi? Coś takiego!

Uznał je za dzieci okolicznych wieśniaków.

Ta kropla przepełniła kielich. - Radzę ci, nadęty głupcze, natychmiast opuścić te ziemie. Powinnam się była domyślać, że Anglik taki jak ty nie będzie miał ani odrobiny dobrych manier czy kultury. Idź lepiej do diabła. Tylko nie wiem, czy cię zechce.

Książę Portmaine, zdenerwowany całym zajściem i zmęczony długą podróżą, zrobił wielki krok w stronę bachora, który ośmielił się go krytykować. Spojrzał prosto w duże bursztynowe oczy i zatrzymał się gwałtownie. Do licha, dziewczyna nawet nie mrugnęła okiem.

Miał już dość. - Drogie dzieci, przepraszam, że napędziłem wam stracha. Masz rację, to moja wina. Skąd mogłyście wiedzieć, że z łatwością zatrzymam zaprzęg?

- Spojrzał na dwie brudne twarzyczki, ignorując trzecią pannicę, która wydawała się niesłychanie uradowana faktem, iż w pobliżu znalazł się mężczyzna, na którym może ćwiczyć kobiece minki i triki. Pomyślał, że wynagrodzi dziewczętom całe to nieprzyjemne zajście i uraduje ich zapewne biednych rodziców. Z kieszeni surduta wyciągnął kilka gwinei i rzucił do Fiony. - Proszę, to powinno naprawić szkody i zagoić rany. Na przyszłość lepiej pilnujcie małej. Radzę większą troskę o jej bezpieczeństwo.

Brandy była w tak wielkim szoku, że otworzyła usta. Sekundę później odwrócił się i wsiadł do dwukółki.

Próbowała przypomnieć sobie wszystkie przekleństwa, którymi mogłaby go obrzucić, ale on tylko trzasnął batem i już go nie było.

- Wyglądasz jak ryba - powiedziała Connie. - Mówię do ciebie. Wyglądasz głupio, masz usta otwarte jak wrota.

- Mówiłaś, że wyglądam jak ryba.

- Popatrz, Brandy, to złoto. Ten pan dał nam złote monety - pochwaliła się Fiona, demonstrując skarb w brudnej rączce.

- Daj mi to. - Brandy zabrała pieniądze. - Nie wierzę, że miał czelność nam to dać. - Fiona zaczęła chlipać.

Konstancja szturchnęła starszą siostrę w ramię. - Jak mogłaś być tak nieuprzejma dla tego dżentelmena? Jeszcze nigdy nie czułam się tak zażenowana. Taki przystojny i elegancki człowiek, a ty zachowałaś się okropnie. A co do ciebie, Fiono, należy ci się porządne lanie. - Na koniec zostawiła zatrutą strzałę: - Nie sądź, że kiedy babcia się dowie, wezmę część winy na siebie. A dowie się prędzej czy później, wiesz, że ma więcej szpiegów niż cała Anglia. Gdyby tata lub dziadek Angus żyli, dostałabyś baty.

Brandy już podniosła rękę, ale szybko ją opuściła. Odwróciła się do Fiony: - Przestań chlipać,

Fiona, kapie ci z nosa. Już, wytrzyj. Ten człowiek dał nam pieniądze, bo myślał, że jesteśmy dziećmi biednych wieśniaków. I dlatego nie powinnyśmy ich zatrzymać, rozumiesz?

Fiona zaczęła szlochać jeszcze głośniej, a Brandy, już na skraju cierpliwości, złapała ją za ramię i zaciągnęła do zamku. Weszły bocznymi drzwi. Nie myślała już o Angliku, tylko o tym, jak ujść niezauważenie bystrym oczom starej Marty. Muszą się spieszyć.

- Cichutko, kochanie - powiedziała łagodnie. - Wyszoruję cię i nikt się nawet nie dowie. A jeśli babcia podniesie na ciebie laskę, zasłonię cię.

Pół godziny później Fiona, umyta i najedzona, leżała już w łóżku. Na szczęście Morąg przyniosła jej kolację na górę.

- Nie mogę zostać, malutka - powiedziała. - Kucharka nie da sobie sama rady, bo jest tyle gąb do wykarmienia. - Morąg rzuciła Brandy beznamiętne spojrzenie. - Szykuj się lepiej, dziewczyno. Pani z całą rodziną już czeka na dole.

Brandy zabrała świecę i poszła do swojego pokoiku. O tej porze roku w palenisku nie płonął już ogień. Za to u drogiego kuzyna Percy'ego na pewno było ciepło. A stara Marta, której się ciągle podlizywał, przygotowała mu pewnie gorącą wodę na kąpiel.

Zdjęła brudną sukienkę i halkę, zziębniętymi palcami rozsznurowała gorset. Szczękając zębami, umyła się w zimnej wodzie. Nie mogła się pozbyć upartych plam z rdzy, i zanim szare mydło zrobiło swoje, miała gęsią skórkę.

Wytarła się i sięgnęła po czystą bieliznę i koszulę. Pomyślała o Percym - o tym jak obrzydliwie się na nią gapił. Spojrzała na swój biust, zadając sobie pytanie, czy on właśnie przyciągnął wzrok kuzyna. Zaciągnęła mocno wiązania gorsetu i spojrzała w lustro. Efekt nie spełnił jej oczekiwań, ale nic więcej nie dało się zrobić. Założyła bladoniebieską sukienkę z muślinu o dziecinnym kroju, przepasaną w talii szarfą. Guziki na piersi nie chciały się dopiąć. W akcie rozpaczy sięgnęła do komody matki i wyciągnęła zielono-żółty szal. Szybko przeczesała gęste, sięgające po pas włosy, które falowały od wiecznych warkoczy. Włosy, pomyślała, to mój jedyny atut. Pomyślała o pożądliwych oczach Percy'ego i ponownie je zaplotła, zawijając kok z tyłu głowy. Świetnie, wyglądam jak nudna pensjonarka, której całkowicie brak gustu.

Naciągnęła szal, zdmuchnęła świecę i wymknęła się z pokoju. W długim korytarzu paliła się tylko jedna pochodnia, kopcąca gryzącym w oczy dymem. Uważnie stąpając, Brandy zeszła po dębowych schodach, gdzieniegdzie pokrytych dywanem, którego postrzępione końce mogły nieostrożnych narazić na skręcenie karku.

Crabbego nigdzie nie było widać. Brandy pomyślała, że wizyta kuzyna przysporzyła służącym mnóstwo dodatkowej pracy. Z bawialni słychać było głosy, a ona, świadoma swego spóźnienia, pobiegła przez kamienny hol. Bezszelestnie uchyliła drzwi i wślizgnęła się do środka, mając nadzieję, że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Gorący podmuch z buchającego z paleniska ognia omal nie zwalił jej z nóg. Chciała zakasłać, ale się powstrzymała. Babka dominowała nad całą rodzinną sceną, siedząc na osmalonym wysokim krześle niczym królowa w otoczeniu swego dworu. Tuziny świec oświetlały tę rodzinną sielankę.

Usłyszała głęboki, serdeczny śmiech. W ułamku sekundy jej oczy odszukały jego źródło. Zamarła, gapiąc się z otwartymi ustami na dżentelmena z dwukółki. Poczuła, że jej policzki oblewają się szkarłatem, a nogi wrastają w ziemię. Mój Boże - tylko to przechodziło jej przez głowę.

Mój Boże. Cóż najlepszego narobiła?

Znowu się śmiał z czegoś, co powiedziała babka. Chociaż znajdował się po drugiej stronie

pokoju, kiedy się śmiał, widać było mocne białe zęby. Zdała sobie sprawę, że jest wyższy, niż go zapamiętała, a śniada cera i ciemne włosy kontrastowały ze śnieżną bielą koszuli. W świetle świec oczy wydawały się tak ciemne, jak czarny satynowy surdut. Jaki on elegancki, pomyślała, o kilka klas wyżej niż którykolwiek z edynburskich przyjaciół babki. O mój Boże!

- Brandy, dziecko, jesteś wreszcie. Chodź tutaj i dygnij ładnie. Nie uwierzysz, kogo tu z samej Anglii przyniosło.

Brandy spojrzała na lady Adelę i powoli ruszyła do przodu, niczym skazaniec podążający pod gilotynę. Miała wrażenie, że te kilka kroków trwało wiecznie. Dostanie zaraz baty.

- Spóźniłaś się, panienko, ale mniejsza o to, wybaczam. Jego wysokość właśnie opowiadał mi o waszym spotkaniu, mówiąc, jak dałaś mu popalić.

Powiedziałam mu, że jesteś moją wnuczką, a moje nauki nie poszły w las.

Co się tutaj dzieje?

Oczekiwała, że babka weźmie ją w obroty swoim ostrym językiem, a ona tymczasem wydawała się wesoła i zadowolona. Coś jest nie tak. Podniosła wzrok i jej przypuszczenie się potwierdziło - w oczach lady Adeli widać było rozbawienie. Jego wysokość. Prawda uderzyła ją obuchem. To angielski książę, ich nowy pan.

- Panna Brandella - powiedział powoli niskim głosem.

Odpowiedziała bez zastanowienia: - Brandy, nazywam się Brandy.

- Dobrze, Brandy.

- Dygnij, dziecko.

Brandy niezgrabnie zgięła kolano. Nie chciała na niego patrzeć. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i wybiec z pokoju. Nie musi jeść kolacji, wystarczy zimna owsianka. Och, gdyby tak deski podłogi rozstąpiły się, a ona wpadła do piekła, gdzie pewnie przebywał dziadek Angus. Ucieszyłby się na jej widok. Zawsze lubił na nią wrzeszczeć.

- Straciłaś język w gębie, moja panno? - odezwała się lady Adela. - Cóż się stało? Zbyt przystojny, byś mogła podnieść oczy? Zapewniam cię, jest przystojny, a skoro ja mogę na niego patrzeć, ty też, ponieważ nie masz pojęcia o mężczyznach. Zachowuj się przyzwoicie i przywitaj z naszym krewnym, księciem Portmaine.

Czyli jednak jej się oberwało, ale lepsze to niż baty. - Dobry wieczór, panie, to znaczy, wasza wysokość.

- Mów do mnie Ian. - Zbliżył się i z gracją zdradzającą wieloletnią praktykę wyswobodził jej dłoń z fałdów sukni i złożył na niej lekki pocałunek. - Cieszę się niezmiernie, że znów cię widzę, kuzynko. Twoja starsza siostra zdążyła uraczyć całą rodzinę opowieścią o naszym małym nieporozumieniu dziś po południu. Widzę po twoim wyglądzie, że zbytnio nie ucierpiałaś.

Mam nadzieję, że jeszcze raz przyjmiesz moje szczere przeprosiny. - Uśmiechnął się. - Jechałem jak szaleniec, prawda?

- Nie, niekoniecznie. Wściekłeś się dopiero kiedy Fiona wybiegła prosto pod konie. Bałam się o nią. Powinnam się była domyślić, kim jesteś, kiedy otworzyłeś usta i przemówiłeś jak jakiś...

- Wystarczy powiedzieć, że jak Anglik, zgoda?

- Zgoda - odpowiedziała Brandy.

Stojący tuż obok Claude zarechotał. - Wasza wysokość jest w błędzie. To nasza Brandy jest najstarsza. Niemal dziewiętnaście wiosen.

Do rozmowy włączył się Percy: - Zdarza się, że pozory mylą. Zgadzasz się ze mną, Brandy?

Miała ochotę dać mu kopniaka, ale w obecności babci i księcia, nowego członka rodziny, musiała zachowywać się właściwie.

- Zostaw dziewczynę w spokoju, Percy - powiedziała lady Adela i uderzyła go wachlarzem po ręce. - Mówiłam, że nie rozumie twoich aluzji. Daj jej trochę czasu. Uczę ją czegoś każdego dnia.

- A ja zgadzam się z tym, co mówi Percy - wtrąciła się Konstancja. - Wszyscy dżentelmeni zwykle sądzą, że to ja jestem najstarsza. Poprawiła kilka niesfornych loków i spojrzała na księcia sugestywnym wzrokiem, który - ćwiczyła długo przed lustrem. Wyglądał na zakłopotanego. Cóż, być może musi jeszcze popracować nad tym spojrzeniem.

- Gdzie się podział ten nicpoń Crabbe? - zastanawiała się głośno lady Adela. - Gdyby to on nas karmił, pomarlibyśmy z głodu. Z roku na rok staje się coraz wolniejszy. Ciekawe, co takiego popija w kuchni?

- Dobry wieczór, Brandy - odezwał się Bertrand swoim opanowanym, przyjemnym głosem. - Świetnie dziś wyglądasz. Jak zwykle zresztą.

- Dobry wieczór, kuzynie, dobry wieczór wujku. Jak się dzisiaj wujek czuje?

- Na tyle, na ile mi pozwala ten przeklęty gościec. Od Bertiego nie mogę się spodziewać zbytniego współczucia, on tylko siedzi z nosem w tych swoich księgach i nic innego go nie obchodzi. - Spojrzał na księcia, który rozmawiał właśnie z lady Adelą i dodał kąśliwie: - Obawiam się, że książę ma dużo więcej charakteru niż mój biedny Bertrand. Wygląda na człowieka, który zawsze mówi to, co myśli. A Bertie jest zbyt nieśmiały, żeby wyrazić swe uczucia.

- Ojcze - powiedział cicho Bertrand.

- Spójrzcie na Percy'ego - ciągnął Claude, nie zwracając na syna uwagi. - To podstępna żmija, ale przynajmniej nie przeżuwa w milczeniu jak głupie cielę.

- Jeśli musimy używać tego rodzaju porównań, mnie przypomina raczej nastroszonego kogucika - odezwała się głośno Brandy. - Po co książę tu przyjechał? - już ciszej zwróciła się do kuzyna. - Babcia mówiła, że nie będzie się nami interesował, że przyśle jakiegoś wysłannika. Nie rozumiem.

Czyżby nie był tak bogaty i wpływowy, jak sądziliśmy? Co tu robi?

- Z tego, co wiem, jest bogaty i wpływowy. Ja też nie wiem, po co tu przyjechał. Może odwiedzał przyjaciół w Szkocji i postanowił wstąpić do biednych krewnych. Czas pokaże.

Brandy pomyślała o okolicznych wieśniakach i zmarszczyła czoło. Anglicy zawsze tylko brali. Pewnie przyjechał, żeby się przekonać, ile uda mu się z majątku wycisnąć. Może i jest elegancki, może i nawet przystojny, ale pewnie również chciwy.

Crabbe otworzył drzwi i zaanonsował astmatycznym głosem: - Kolacja gotowa.

Po raz pierwszy w życiu Brandy poczuła się z tego powodu zażenowana. Książę pomyśli, że są zacofanymi dzikusami. Dlaczego Crabbe nie mógł powiedzieć, że podano do stołu, tak jak każdy dobrze wyszkolony angielski służący?

- Najwyższy czas, nicponiu. - Lady Adela podniosła się powoli, podpierając laską. Percy natychmiast pośpieszył z usłużnym ramieniem.

- Brandy, ty jesteś najstarsza. Niech jego wysokość poprowadzi cię do stołu, tylko nie zanudź go opowieściami, jakiego to okonia udało ci się złowić w zeszłym tygodniu.

- Ależ, babciu - odezwała się Konstancja - może i nie jestem najstarsza, ale na taką wyglądam. Nie uważasz, że to ja powinnam poprowadzić księcia do jadalni?

- Nie, kochanie, ty weźmiesz ramię Bertranda. Silne, pomocne ramię. Bądź grzeczną dziewczynką i nie kłóć się ze mną, bo będę musiała ci powiedzieć coś do słuchu.

Naciągnąwszy szczelniej szal na zbyt ciasny gors sukienki, Brandy stała niepewnie. Nie odwracając się z miejsca, wyciągnęła ramię. Poczuła miękki dotyk satyny i rzuciła księciu szybkie spojrzenie.

ROZDZIAŁ 7

Uśmiechał się protekcjonalnie jak dobry wujek. Idąc z nim ramię w ramię przez długi hol, słyszała, jak w jej kieszeni brzęczą złote gwinee. Zabrała je, by oddać lady Adeli, lecz teraz nie wiedziała, co ma z nimi zrobić.

- Przeszłość wydaje się tutaj niepokojąco żywa - powiedział książę w zamyśleniu, spoglądając na rzędy dud zawieszonych na ścianach. Miał wrażenie, że wkroczył do innego świata, znalazł się w innych czasach. Ze stalowej rękawicy rycerskiej zbroi zwisał olbrzymi wojenny topór. Nad pustym paleniskiem przypominającym wielką jaskinię wisiały gobeliny, jak się domyślał, w kolorach Robertsonów, czerwonym, żółtym i zielonym.

- Owszem - odpowiedziała. - Szczególnie podczas sztormów. Wiatr hula w kominie, sprawiając, że arrasy drżą i nadymają się, jakby żyły własnym życiem. - Zamilkła. To dopiero ciekawy temat, porównywalny z ględzeniem o rybie, którą przez dwa dni serwowano na obiad. Jeszcze trochę, a zanudzi go na śmierć.

Ian spojrzał na dziewczynę, przez której czoło przemknął nagle grymas niezadowolenia. - Jeśli myślisz o moim wcześniejszym zachowaniu - powiedział, zmuszając się, by w jego głosie brzmiała skrucha - to jeszcze raz proszę cię o wybaczenie. Byłem zmęczony, podróż przeciągnęła się o dwa dni. Cóż, nie jest to pewnie żadne wytłumaczenie. Ale kiedy Fiona wyskoczyła przed powóz, a ty później do niej dołączyłaś, naprawdę najadłem się strachu. Przybyło mi od tego dziesięć lat. Jutro obudzę się z siwizną na głowie. Wybaczysz mi?

Poczuła się jak nieokrzesana prostaczka, głupia i zacofana. Był taki, jakim książę być powinien. Wspaniały. Dobry i szczery. Być może nawet szlachetny. Niech to licho. - Oczywiście, że ci wybaczam. Czy zdarza ci się podnosić głos?

- To znaczy?

- Byłeś wściekły, czerwony na twarzy, widać było nawet pulsujące żyłki na szyi, ale na moment nie podniosłeś głosu. Twój głos stał się nagle twardy i zimny. Taki spięty.

- Owszem, zdarza się, że podnoszę głos. Ale nie na... - urwał. Chciał powiedzieć, że nie na dzieci, ale się powstrzymał. Skończyła osiemnaście lat.

Jest dorosła. Niesamowite. Włosy miała ściągnięte tak ciasno, że zastanawiał się, czy nie boli jej głowa. Stara sukienka byłaby bardziej odpowiednia dla piętnastolatki, a okropny szal dla jakiejś staruchy. Poczuł się winny. To brak pieniędzy, pomyślał. Nie starczało ich na porządne ubrania dla dzieci. Czuł się jak gbur.

Z wymuszonym uśmiechem odwrócił się w stronę kominka, nad którym wisiał herb w kształcie tarczy. - Te trzy wilki w waszym herbie... Czy kiedy byłaś dzieckiem, nie wyobrażałaś sobie, że bronią was przed Anglikami?

- Nawet teraz tak myślę. Wyobrażam sobie, że były kiedyś dumne i pełne życia. Stały w zamku na

straży. Teraz dotknęła je zła klątwa, odebrała im życie i zamieniła w kamień. Może to i romantyczne, ale lubię tak myśleć.

W bursztynowych oczach o niezwykłym kolorze zobaczył bogatą, pełną niezwykłych wydarzeń historię Szkocji. Coś dziwnego się z nim działo, poczuł ciepło i bliskość, coś, czego nie doświadczał zbyt często. - Czy to są kolory Robertsonów? - zapytał.

- Tak. Kiedyś to był ognisty szkarłat, żółty i zielony. Stara Marta nie dba już o nie.

- Stara Marta?

- Pokojówka babci. Jest stara jak ten zamek, i pewnie tak samo silna.

Słyszałam, jak babcia kiedyś wrzeszczy, że jedynym powodem, dla którego pozwoliła jej zostać, było to, że dziadek chciał ją mieć przy sobie. Boże drogi, nie powinnam mówić takich rzeczy.

- Nie szkodzi - odpowiedział zafascynowany książę. Zdał sobie nagle sprawę, że reszta rodziny weszła już do jadalni. - Chodź, Brandy, nie powinniśmy kazać na siebie czekać. - Tak naprawdę nie dbał o to. Poczuł, że uczucie ciepła go opuszcza. Na chwilę wróciła chłodna rzeczywistość, aż znów usłyszał ten szczery, śpiewny głos. - Zastanawiałam się, dlaczego nie dostałam do kąpieli ciepłej wody. Byłam pewna, że to przez obecność Percy'ego. Niemiłosiernie wykorzystuje służących. Podniósł brew i poczuł, że ciepło powraca niczym płynny miód. Poklepała go lekko po ręce. - To nie twoja wina, wasza wysokość. Chociaż to dziwne, że Morąg nie pisnęła ani słówka, że przyjechałeś.

- Morąg to ta kobieta, która ciągle drapie się po głowie?

- Nie ciągle, tylko czasami, a to dlatego, że się nie myje.

- To wszystko tłumaczy. - Spojrzał jeszcze raz na Brandy, na dumny, prosty nos i podbródek zdradzający duży upór. Nad wiek rozwinięta, inteligentna i nie bez wdzięku. Może kiedyś, przy odpowiedniej opiece, stanie się uroczą kobietą. Do diabła, już jest kobietą, choć bardzo młodą. Zdał sobie nagle sprawę, że jest jej formalnym opiekunem.

- Chodź, wasza wysokość - zawołała lady Adela. - Usiądziesz na krześle pana domu. Długi, ciemny stół i rzeźbione krzesła wyglądały, jakby pochodziły co najmniej ze średniowiecza. Drewniana boazeria była tak samo mroczna jak meble, a światło świec i kandelabrów nie zdołało oświetlić ciemnych kątów.

Jedyne czego brakowało, by dopełnić tę ponurą scenę, pomyślał, to kamienna posadzka i dwa olbrzymie mastify obgryzające kości przy palenisku. Pomógł Brandy zająć miejsce i podszedł do krzesła pana domu. Sięgało mu niemal do ramion i wydawało się emanować władzą. Na oparciu, na wysokości łopatek, wyrzeźbiono herbowe wilki. Usiadł. Pomyślał o spokojnej elegancji Carmichael Hall i poruszył się niespokojnie.

- Crabbe, ty gagatku, podaj w końcu wino. Mam nadzieję, że nie wychłeptałeś wszystkiego polerując srebra. - Ostry głos lady Adeli dobiegł z drugiego krańca stołu. Żachnął się, zadając sobie pytanie, czy wszyscy służący w Penderleigh narażeni są na podobne obelgi. Crabbe z beznamiętną miną napełnił mu kielich.

Lady Adela stuknęła krawędzią kieliszka o drewniany stół. - Wypijmy toast za nowego pana Penderleigh. - Jej głos miał nieco kpiący ton, a Ian zauważył, że wznosi kielich najpierw w stronę Percivala, potem Claude'a i Bertranda, a dopiero na końcu do niego.

Czyli to tyle, jeśli chodzi o serdeczne powitanie. Widać było, że staruszka bawi się z nimi w kotka i myszkę. - Dziękuję wam wszystkim - odpowiedział chłodno i skosztował ciężkiego wina.

Morąg postawiła przed nim parującą miskę. Wyglądało to na zupę, jakiej jeszcze nigdy nie widział. Nie był w stanie nawet określić składników. Nie był pewien, czy chce wiedzieć.

- Claude roześmiał się. - Jesteś w Szkocji, wasza wysokość. Jemy tu inaczej niż w Anglii.

- To zupa z krabów - powiedział przyjaźnie Bertrand. - Mam nadzieję, że będzie smakowała.

- Cóż za szczęście, że my, biedni Szkoci, mamy jeszcze morze - odezwał się Percy. - Nawet Anglikom nie udało się nam tego zabrać.

- Ani Duńczykom, wikingom, Piktom czy nawet wrogim szkockim klanom - Ian podniósł łyżkę i zasalutował Percy'emu.

- Percy, nie miel niepotrzebnie ozorem - wtrąciła się lady Adela - bo Ian jeszcze ci go odgryzie. Cóż za refleks, książę, chylę czoła. Mało w naszych stronach osób o ciętym języku.

Ian nachylił się nad miską i uważniej przyjrzał się zupie. Przedstawiono mu Percy'ego jako wnuka Adeli. Czemu, u licha, to nie on odziedziczył majątek? Być może to wyjaśniało szydercze komentarze na temat Anglików i jego samego. Podniósł łyżkę do ust i odkrył, że mięso krabów smakuje wybornie, a zupa ma niezwykły aromat. Przynajmniej nie musiał się skarżyć na szkockie jedzenie.

- Drogi kuzynie - odezwała się melodyjnie Konstancja - gdzie twoja służba?

Zawsze myślałam, że angielscy dżentelmeni mają setki służących, a ty jako książę nie powinieneś ruszać się z pokoju do pokoju bez asysty.

- Niestety, podczas podróży uszkodziliśmy oś karocy. Mój lokaj, Mabley, w tej chwili pewnie negocjuje z kowalem w Galashiels. Dlatego przyjechałem sam, dwukółką.

- Zabrałeś w podróż tylko jednego służącego? Widać było, że rozczarował tę pół-dziewczynę, pół-kobietę. Uśmiechnął się szeroko. - Ja też jestem tylko jeden. - Pomyślał o dyskretnie wzdychającym Mableyu i uśmiechnął się w duchu. Co takiego stary służący powie na drapiącą się ciągle Morąg?

- Przyjechałeś z Londynu, wasza wysokość? - zapytała Brandy.

- Owszem. Długa droga, prawie sześć dni. Kiepskie tawerny i mnóstwo złodziei na drogach.

- Ale dlaczego?

Ian zatrzymał się nad ostatnią łyżką zupy i przekrzywił głowę. - Pytasz, dlaczego tu przyjechałem?

Brandy wyprostowała się, patrząc mu prosto w oczy. - Zgadza się. Nie sądziliśmy, że kiedykolwiek tu zajrzysz. Uważaliśmy, że przyślesz jakiegoś zarządcę, który wydusi z nas większe daniny. A ty jesteś tutaj. Dlaczego?

Nie zdawała sobie sprawy, że jej słowa mogą zabrzmieć nieuprzejmie. Zabrzmiały, ale jej odwaga zrobiła na nim wrażenie.

- Wtykasz nos w nie swoje sprawy, panienko - odezwała się lady Adela, ale zarówno Ian, jak i wszyscy siedzący wokół średniowiecznego stołu zauważyli, że w jej oczach płonie ciekawość.

- To naturalne, że się zastanawiacie. Sądziliście, że nie zechcę poznać szkockich krewnych?

Na twarzy Percy'ego pojawił się szyderczy grymas. - Moja kuzyneczka chciała powiedzieć, wasza wysokość, że twój brak zainteresowania wcale nam nie przeszkadzał. Baliśmy się tylko, że skupisz się głównie na ziemi i czynszach.

- Pozwól, że sama będę występowała w swoim imieniu, Percy. Nie o to mi chodziło. A jeśli nawet, to nie w taki sposób, jak to przestawiłeś.

Książę nie mógł powstrzymać śmiechu. - Po wstępnych oględzinach mam wrażenie, że ziemie i zamek mogłyby tylko skorzystać z mojego zainteresowania. A czynsze już teraz wydają się za wysokie.

- Jesteś wnukiem mojej siostry, Ian, w naszych żyłach płynie ta sama krew - odezwała się Adela.

- Twoja wizyta niezmiernie mnie cieszy. Przynajmniej na razie.

Ian ucieszyłby się z nagłego przypływu czułości ze strony ciotki, gdyby nieznaczące spojrzenie, a potem szeroki uśmiech, skierowany w stronę wnuka.

Bertranda rozpierała energia. - Od wielu lat zajmuję się finansami zamku, wasza wysokość. Martwię się. Jak znajdziesz trochę czasu, chętnie pokażę ci księgi i wszystkie innowacje, które do tej pory próbowałem zaprowadzić. Mamy tu mnóstwo surowców, ale brak nam gotówki, by zacząć wszystko od nowa.

- Zauważyłem. Jestem do twojej dyspozycji, Bertrandzie. - Książę podniósł wzrok, bo Morąg zabrała misę i na jej miejsce postawiła talerz, którego zawartości nie potrafił i nie chciał zidentyfikować.

- Haggis, pycha - powiedział Claude i oblizał się.

- Haggis? - powtórzył książę, nie spuszczając wzroku z bezkształtnej masy znajdującej się na srebrnym półmisku. Konstancja nachyliła się w jego stronę: - Płatki owsiane, wątroba, wołowy łój i tym podobne. Kucharka podaje haggis z ziemniakami i rzepą. To bardzo smaczne danie. Daj mu szansę, wasza wysokość.

Podniósł niepewnie widelec.

Percy wtrącił od niechcenia: - I te wszystkie śmieci gotowane są w baranim żołądku.

Książę przełknął pierwszy kęs, mając nadzieję, że nie zwymiotuje. Gotowane w baranim żołądku? Mój Boże, kim są ci ludzie? Podniósł do ust jeszcze jeden kęs. Czuć było pieprz. Szybko popił czerwonym winem, by przypadkiem nie kichnąć.

Przełknął jeszcze kilka kęsów. Duł powoli, połykał, starając się nie myśleć o baranim żołądku. Podniósł głowę i zobaczył utkwione w sobie oczy, niektóre z ciekawością, inne patrzące wrogo, a jeszcze inne z oczekiwaniem. - Pyszne. Należałoby pochwalić kucharkę, no i barana. - Co on bredzi, jakiego barana? Omal się nie udławił.

Uwagi Brandy nie uszło rozczarowanie na twarzy Percy'ego. Dopiero teraz zauważyła, że Percy nie jest mistrzem w skrywaniu uczuć. Wyglądał jak zbity pies. Mimo wszystko był jej kuzynem i na chwilę, bardzo krótką chwilę odezwało się w niej współczucie.

Ian powiódł wzrokiem po biesiadnikach. Lady Adela, jego ciotka, siedziała po przeciwnej stronie stołu, atakując haggis, jakby od miesiąca nic nie jadła. Musi mieć co najmniej siedemdziesiątkę na karku, a może nawet i setkę, pomyślał, przypominając sobie swą babkę, a jej siostrę. Jedyne, co pamiętał, to leciwą staruszkę, która całe dnie leżała na sofie przy nieustannej krzątaninie jego własnej matki. Brak jej było żelaznego charakteru, którego natura nie poskąpiła Adeli. Choć i ta potrafiła się odpowiednio zachować, o ile nie rozgrywała go przeciwko Percy'emu i Bertrandowi.

Spojrzał na Claude'a, który siedział na lewo od Adeli, z zadowoleniem przeżuwając jadło. Poznał też syna Claude'a, Bertranda, swojego bratanka. Dlaczego żaden z nich nie odziedziczył Penderleigh? Nie podobały mu się te tajemnice. Postanowił, że jutro je rozwikła.

Spojrzał na Konstancję, która starała się cały czas, by ją zauważano i podziwiano, następnie szybko na Brandy, i ponownie na Konstancję. Trudno było uwierzyć, że dziewczęta są siostrami. Jedna miała ciasno zaplecione warkocze, druga piękne, kruczoczarne loki, spadające kaskadą po okrągłych ramionach. Brandy ubrana była w bezkształtną, niemodną sukienkę z muślinu z narzuconym na ramiona bladożółtym szalem. Konstancja tymczasem miała na sobie suknię z liliowego jedwabiu z odważnym dekoltem, który zdradzał pierwsze krągłości. Rudowłosa Fiona także różniła się znacznie

od obu sióstr, przynajmniej karnacją. Podniósł wzrok na lady Adelę i stwierdził, że nie widział dotąd tak dziwacznej rodziny.

Adela spotkała go wzrokiem. - To ostatnie danie, wasza wysokość. Jak skończysz haggis, każę służącemu wnieść biszkopt.

Książę uśmiechnął się z ulgą. - Biszkopt, milady? Przepadam za biszkoptem.

- Takiego jeszcze nie jadłeś - zachichotał Claude, lecz w jego głosie słychać było ból. Adela mówiła, że cierpi na gościec.

- Przynajmniej nie pieczono go w baranim żołądku - powiedział. - A może i tak? - zwrócił się do Brandy.

- Barana przy tym nie było - odpowiedziała Brandy z szerokim uśmiechem złodzieja, któremu właśnie podarowano złoty półmisek. Po kilku kęsach odkrył, co miał na myśli Claude. Sherry, którym nasączano biszkopt było skwaśniałe, a samo ciasto rozmokłe. Dobre maniery kazały mu zjeść kawałek, który Morąg położyła mu na talerzu. Spojrzał na ciotkę, zastanawiając się, czy po obiedzie szkockie damy przechodzą do bawialni, zostawiając mężczyzn na kieliszek porto, tak jak to było w zwyczaju w Anglii.

- Napijemy się porto w bawialni - powiedziała, jakby czytając w jego myślach.

Zdziwił się nieco, ale powstał razem z resztą towarzystwa.

Kiedy mijał Brandy, ta odezwała się: - Jesteś bardzo uprzejmy, wasza wysokość. Cofam swoje słowa. Musisz mieć niezwykle dobre maniery, że przetrwałeś z nami obiad. Biszkopt był okropny, ale kucharka chciała zrobić na tobie wrażenie - zakryła usta, chichocząc.

Oczarowała go, nie mógł nic na to poradzić. - Warto było. Całe szczęście, że to tylko jedenaście kęsów. - Obniżył głos: - Czy Crabbe nie protestuje, że lady Adela nazywa się go gagatkiem?

- Och, zapewniam cię, drogi książę, że to jedno z przyjemniejszych sformułowań. Miałam nadzieję, że babcia w twej obecności utrzyma język na wodzy, ale się myliłam. Nie przejmuj się Percym - dodała cicho. - Zionie nienawiścią, bo to ty jesteś nowym panem.

Wszędobylskie oczy lady Adeli powstrzymały go od zadawania dalszych pytań.

- Chodźcie, dziewczęta. Musimy pokazać księciu, że Szkocja nie jest krajem barbarzyńców. Przyda mu się trochę rozrywki.

Obróciła się do Iana, który w tej chwili marzył wyłącznie o wygodnym łóżku i spokojnej, przespanej do rana nocy. - Zobaczysz, Ian, że naszym dziewczętom nie brak talentów. Konstancjo, ponieważ jesteś młodsza, a robi się późno, może zacznijmy od ciebie.

Chociaż Konstancja prezentowała przyjemny dla oka widok przy fortepianie, jej interpretacja francuskiej ballady, zaśpiewana słabym, płaskim głosem wypadła już znacznie gorzej i po chwili Ian błagał niebiosa, aby piosenka nie miała zbyt wielu zwrotek. Kiedy wstała znad pianina, dygnęła skromnie, a on zmusił się do entuzjastycznego aplauzu.

- Śpiewałaś, jakbyś w gardle miała kartofel, dziewczyno - odezwała się lady Adela. - Mimo wszystkich moich rad, wciąż robisz to fatalnie. Nawet sama ci śpiewałam tę balladę, żebyś wiedziała, jak powinna brzmieć. Dobrze, że chociaż ładnie wyglądasz, inaczej książę umarłby z nudów.

Kłamstwo przyszło mu bardzo łatwo. - Podobał mi się twój śpiew, Konstancjo. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś cię usłyszę.

Z twarzy dziewczyny znikła mina skarconego dziecka, a w jej miejsce pojawił się niemal triumfalny uśmiech. Spojrzała szybko na Percy'ego, sprawdzając, czy i on wyrazi tak entuzjastyczne

uznanie. Ku jej rozczarowaniu Percy gapił się uparcie na Brandy.

- Książę jest bardzo miły, moje dziecko. A teraz do łóżka. Powiedz dobranoc, zaraz będzie śpiewać twoja siostra.

Konstancja zorientowała się, że nic już nie wskóra. Dygnęła, wkładając w to cały swój wdzięk, pożegnała się i niechętnie opuściła pokój.

- Babciu - odezwała się Brandy - jest już późno i książę jest pewnie zmęczony po podróży. Może wolałby już dzisiaj nie słuchać...

Lady Adela prychnęła i wskazała długim, kościstym palcem na fortepian.

- Chętnie usłyszę, jak śpiewasz - powiedział Ian, marząc, by w tej chwili znaleźć się we własnym domu w Londynie, i robić tylko to, na co ma ochotę.

- Mogę ci przewracać strony, Brandy. - Percy podniósł się z miejsca i podszedł do kuzynki. Brandy postanowiła jeszcze raz rozważyć wybór piosenki. - Daruj sobie, Percy, nie trzeba będzie przewracać żadnych stron.

- W takim razie postoję przy fortepianie, a ty dla mnie zaśpiewasz. - Trzymała ręce na kolanach i nie drgnęła, dopóki nie zajął z powrotem miejsca, na odchodnym rzucając w jej stronę czuły, kpiący uśmiech.

Ian słuchał tej wymiany zdań z pewną irytacją. Usłyszał, jak lady Adela cicho mówi do Percy'ego: - Mówiłam ci, zostaw ją w spokoju. Nie rozumie twoich zamiarów.

Akurat, pomyślał książę. Nie dosłyszał odpowiedzi Percivala, ponieważ Brandy uderzyła pierwszy akord. Smutne, miękkie tony wypełniły pokój, a ona zaśpiewała głębokim, melodyjnym głosem:

Ma miłość jest jak róży krew, Krew róży w czerwca świt.

Ma miłość jest jak rzewny śpiew, Melodii cudnej rytm.

W piękności twojej strojna blask, Jak w łunę jasnych zórz, Ma miłość przetrwa świat i czas, Gdy dna już wyschną mórz.

Gdy wszystkich mórz dna wyschną w krąg, Skał w słońcu zniknie ślad, Wycieką piaski z Czasu rąk, Ma miłość przetrwa świat.

Więc czym rozłąka? - Zdrowa bądź!

Do ciebie wrócę tu, Choć mil tysiące miałbym brnąć Bez sił, bez tchu, bez snu.

Przez chwilę książę siedział jak zaklęty, oczarowany niezapomnianymi słowami i podkreślającą ich piękno melodią. Nie wszystko rozumiał, ponieważ śpiewała z silnym szkockim akcentem.

Lady Adela prychnęła, co odczytał jako wyraz uznania. - Piękna ballada, Brandy. Kto jest jej autorem? - zapytał.

- Robert Burns. Rabbie Burns, jak go nazywamy. Umarł ledwie cztery lata temu i to blisko stąd, w Dumfries.

- Mogłabyś dodać, moja droga - szyderstwo w głosie Percy'ego sprawiło, że książę miał ochotę go uderzyć - że twój kochany Rabbie był pijakiem i kobieciarzem. Napłodził w tych okolicach mnóstwo bękartów.

Oczy Adeli miały w sobie więcej ognia niż oczy wnuka. - A ja żałuję, że nasz Rabbie nie urodził się czterdzieści lat wcześniej. Ja bym go z łóżka nie wyrzuciła. I jeszcze jedno, Percy. Zachowujesz się jak pies ogrodnika, bo samemu ci nie idzie. No i proszę, od razu się zamknął.

Twarz Percy'ego nabrała gniewnego wyrazu. Czyżby starucha podważyła jego męskość? Na to wyglądało.

Ian obrócił się i zobaczył, że Brandy podnosi się z taboretu. - Babciu, ja już się położę, jeśli można. - Lady Adela najwidoczniej straciła zainteresowanie, bo tylko machnęła ręką. Brandy spuściła głowę i szybko wyszła z bawialni.

Dlaczego babcia musi mówić takie okropne rzeczy, myślała? Można było odnieść wrażenie, że w obecności księcia specjalnie robi się wulgarna.

Książę podniósł się powoli. - Obawiam się, że muszę się położyć. Pozwolicie, że was pożegnam, życząc dobrej nocy.

- Jeśli coś będzie nie tak, wasza wysokość, daj po głowie starej Morąg. To kawał lenia.

Ian skinął głową i opuścił pokój, słysząc za sobą rechot Claude'a. Crabbe czekał pod drzwiami, by odprowadzić księcia do sypialni. Ten szczerze wątpił, że mógłby się zgubić, ponieważ przydzielono mu wielką sypialnię pana domu. Znajdowała się na końcu długiego, wietrznego korytarza, doskonale oddalona od reszty rodziny.

Crabbe otworzył drzwi i zaprosił księcia do środka. Meble były tak samo ciemne i starodawne jak te w jadalni, a kąty tak samo ponure, Ian żałował, że nie ma więcej świec, które mogłyby rozjaśnić te ciemności.

Crabbe spojrzał obojętnie na wątły płomień w kominku. - Jak widać, Morąg dołożyła torfu. Pozwoliłem sobie przenieść rzeczy waszej wysokości.

Kiedy wyszedł, książę schylił się, by dołożyć do ognia. Niektóre kawałki torfu były jeszcze mokre; zapewne przyniesiono je z dworu już w czasie wieczornej burzy. Nic dziwnego, rezultatem były głównie kłęby siwego dymu.

Rozebrał się szybko i położył w zimnej pościeli. Zasnął, uśpiony bębniącym w szyby deszczem i szumem fal rozbijających się o podnóże klifu.

ROZDZIAŁ 8

Opowiedz mi coś o naszym nowym hrabim, Brandy. - Z łyżki Fiony kapała owsianka.

- Uważaj, kruszynko. Wiesz, jak stara Marta nie lubi zeskrobywać owsianki z twoich ubrań. Tak narzeka, że ja w końcu to robię, chociaż też nie lubię.

Fiona wytarła brodę ręką, a następnie, patrząc na siostrę niebieskimi oczyma, starannie wytarła dłoń w serwetkę.

- Bardzo ładnie - powiedziała Brandy, powstrzymując się od śmiechu. - A teraz opowiem ci coś o nowym hrabim. Tak naprawdę jest księciem, co w Anglii oznacza, że jest ważniejszy od hrabiego.

- Aha - Fiona kiwnęła głową. - To pewnie dlatego tak ładnie pachnie i ma czyste ubrania. Jak dziadek Angus brał mnie na ręce, zawsze miał plamy z jedzenia na surducie. I brzydko mu pachniało z ust, Brandy.

- Hm, to prawda. - odpowiedziała Brandy. - Pamiętaj, aby zwracać się do niego „wasza wysokość", a nie „panie". Do książąt tak należy się zwracać.

Nawet u nas w Szkocji.

- Może pozwoli mi się pobawić ze ślicznymi konikami. Jak sądzisz?

Brandy serdecznie w to wątpiła, ale nie pozwoliła, by uśmiech ją zdradził. - Obiecaj, że nie będziesz sprawiała kłopotów, kruszynko. Książę nie jest chyba przyzwyczajony do dzieci. Poza tym, chyba tu długo nie zabawi. Cóż tu jest interesującego?

- Dlaczego miałby wyjeżdżać, skoro dopiero przyjechał?

- Nie wiem. Kończ już owsiankę, skarbie. Późno się robi. - Wcale nie było późno, ale Brandy wolała uniknąć ewentualnego spotkania z Percym.

Podczas gdy Fiona głośno wyskrobywała resztki owsianki z dna miski, Brandy wyjrzała przez okno. Po nocnej burzy nie było nawet śladu, wiosenny dzień zapowiadał się wspaniale. W powietrzu czuć było krystaliczny chłód, a leciutki powiew wiatru poruszał kwiatami dzwonków.

- Cóż za miła niespodzianka.

Brandy drgnęła gwałtownie, spodziewając się Percy'ego. - Och, to ty, wasza wysokość. - W jej głosie słychać było taką ulgę, że książę aż uniósł brew ze zdumienia.

- To ty masz te śliczne koniki - odezwała się Fiona, ześlizgując się z krzesła.

Spojrzała na rosłego mężczyznę. - Naprawdę jesteś księciem, a nie hrabią jak dziadek Angus?

Ian spojrzał na dziewczynkę, która stała przed nim z założonymi rękami i podniesioną głową. Miała gęste włosy w kolorze aksamitnego szkarłatu i oczy niebieskie jak letnie niebo. - Owszem - odpowiedział poważnie. - A ty jesteś Fiona, moja najmłodsza kuzynka?

- Tak, ale Brandy mówi do mnie kruszynka. Mam do ciebie mówić wasza wysokość?

Łatwo było zapomnieć, jak nieprzewidywalne są czasem dzieci. Pogładził lekko rude loki małej. - Niech pomyślę. Już wiem. Co powiesz na to, żeby mówić do mnie Ian?

- Ian - powtórzyła. - Bardziej mi się podoba. Może chcesz trochę owsianki, Ian? Jest dziś mało wodnista, chociaż trochę kapała mi po brodzie. Ale nie na ubranie.

- Tak bywa - odpowiedział. - Powinna już zgęstnieć. Jak długo jest już w tej misce?

- Nie dłużej niż dziesięć minut - odparła Brandy. - Tak - dodała po chwili - ciągle jest trochę wody, ale da się zjeść.

- E tam, może być, zjem tylko trochę. Wracaj do stołu, Fiono. Przepraszam, że wam przeszkodziłem.

- Spałeś w łóżku dziadka Angusa, Ian? Dziadek umarł w tym łóżku. Przez miesiąc chodziliśmy na paluszkach. Słyszałam, jak tylko kaszle i klnie na babcię.

- Wystarczy, Fiono. Dziadek Angus klął na wszystkich. I doskonale wiesz, że nie tylko dziadek Angus, ale każdy hrabia Penderleigh umarł w tym łóżku.

Proszę, bułeczka dla ciebie. Tak, posmaruj masłem.

- Żaden duch z przeszłości mnie w nocy nie odwiedzał - powiedział książę.

Spojrzał na owsiankę i nałożył sobie solidną porcję. Przełknął pierwszy kęs.

Co za ulga, pomyślał. Owsianka była pyszna i wcale nie wodnista. Podniósł wzrok i zobaczył marsową minę Fiony.

- Kapie mi na ubranie?

- Ależ nie, Ian. Pytałam Brandy, czemu miałbyś od nas wyjeżdżać, skoro dopiero przyjechałeś, a ona mi powiedziała, że nie mamy nic, co mogłoby cię interesować. Powiedziała, że lada dzień cię nie będzie.

Brandy wbiła wzrok w bułkę. Gdyby Fiona była bliżej, najchętniej by ją udusiła.

- A czy Brandy mówiła, dlaczego przyjechałem? - zapytał, spoglądając przez moment na czysty profil Brandy. Śliczny nosek, pomyślał, piękne brwi, gęste ciemnoblond włosy i zdecydowany podbródek. Czyżby oznaczał upór?

Włosy miała zaplecione w zwykłe warkocze, a na ramionach ten sam szal co wczoraj.

- Powiedziała, że nie wie. A ty mi powiesz?

Nie mógł powiedzieć małej, że on, dorosły mężczyzna, umierał z nudów na myśl o spędzeniu kolejnego sezonu w Londynie i jakikolwiek wyjazd - do Szkocji czy równie dobrze do Turcji - był dla niego wybawieniem. Po prostu chciał uciec. Tego nie mógł powiedzieć. - Przyjechałem, bo jesteście moją rodziną i chciałem was poznać - powiedział bez wahania.

Brandy spojrzała na niego szybko. Wiedziała, że kłamie, była tego pewna jak samej siebie.

Fiona siedziała pochylona nad serwetką, którą układała w kształt lalki. Książę uniósł elegancką czarną brew i z miną niewiniątka zapytał: - Czy odpowiedziałem na twoje pytanie?

- Aha. Kiedy będę mogła zobaczyć koniki, Ian?

- Kiedy mi obiecasz, że nie będziesz pod nie wbiegać. Jestem stanowczo za młody na siwe włosy.

- Obiecuję, obiecuję.

Zgrabne kłamstewko, inaczej niż jego własne, pomyślał książę.

- Kruszynko - odezwała się Brandy matczynym tonem, przypominającym Ianowi starą ciotkę, która wychowała siedmioro dzieci - pamiętaj, że jego wysokość jest bardzo zajęty. Nie możemy mu ciągle zawracać głowy.

Mało skuteczne, pomyślał w duchu i uśmiechnął się. Wciąż stara się wyglądać na surową i nieustępliwą.

Czuł do niej dziwną sympatię. A zresztą, czemu nie? Jest jego kuzynką, jest taka młoda, jeśli nie wiekiem, to doświadczeniem.

- Wiesz - odezwała się w końcu - to nie twoja wina, że odziedziczyłeś Penderleigh. Ani to, że nie jesteś Szkotem. Niektórzy muszą się rodzić w Anglii. Nie miałeś tu nic do gadania. - Nalała mu herbaty.

- Dziękuję. - Podniósł filiżankę jak do toastu. - Masz rację. Nie miałem nic do gadania.

Odwrócił się znów do Fiony, a Brandy mogła napatrzeć się do woli. Był dużym mężczyzną, bardziej postawnym niż wszyscy, których znała. Podobało jej się to. Miał piękny strój. Wełniane bryczesy leżały jak ulał, koszula była tak biała jak śnieg, który spadł pewnej lutowej nocy i stopniał, zanim się zdążył pobrudzić. Surdut skrojony był na miarę. Wszystko było eleganckie, nawet piękne, czarne buty. Jakże inaczej wyglądała ona i cała jej rodzina! Jej własna suknia miała co najmniej pięć lat. Pewnie w jego oczach są dzikusami. Biednymi krewnymi, ot co.

Książę patrzył, jak zmienia się wyraz jej twarzy. Ku jego zdziwieniu nagle wydawała się skrępowana. Przecież nic nie zrobił. - W pierwszy dzień mojej wizyty najchętniej wybrałbym się na spacer - odezwał się. - Po burzy ani śladu, przyjemnie byłoby pospacerować klifami wzdłuż morza.

- Właśnie miałyśmy iść - zawołała Fiona, rozplątując serwetkę. - Lubisz budować zamki z piasku, Ian?

Pomyślał o beżowym stroju do konnej jazdy, swoim ostatnim czystym ubraniu. Nie był pewien, że Mabley dotrze dzisiaj z bagażami. - Wolałbym, Fiono, trzymać się dziś z daleka od mokrego piasku. Inaczej będę musiał prać ubrania. A nie byłby to chyba dobry pomysł, bo nie mam bladego pojęcia, jak się to robi.

- Ja też nie - powiedziała Fiona.

Jaki on uprzejmy, pomyślała Brandy i uśmiechnęła się olśniewająco. - Kruszynko, idź po szalik.

Fiona opuściła jadalnię, odwracając głowę przez ramię i zanosząc się od śmiechu. - Będę z powrotem, nim mysz zatańczy z kotem!

- Nie jest ci gorąco w tym szalu? - odezwał się książę.

Ku jego zdumieniu spojrzała na niego, jakby powiedział, że ma na twarzy tuzin ohydnych krost. - Nie - odparła. - Jestem strasznym zmarzluchem. Otulam się szalem aż do lata, czasem nawet i w lecie. Potem jest znowu zimno, więc towarzyszy mi praktycznie przez cały rok. - Zgarbiła się. Jeden z warkoczy ześlizgnął się po ramieniu i wylądował w misce owsianki.

- Warkocz, Brandy - zwrócił jej uwagę. Nachylił się i złapał za splot.

Zamarła na chwilę, a potem odsunęła się tak gwałtownie, że nie zdążył jej puścić. Zabolało tak, jakby wyrwał jej wszystkie włosy.

Podał jej szklankę wody. - Proszę, wypłucz włosy. Nie chciałem cię wystraszyć, ani tym bardziej sprawić bólu.

- Wiem. - Unikała jego wzroku. Starła resztki owsianki z włosów i wysuszyła je serwetką. - Słyszę, że idzie Fiona. Jesteś gotowy, Ian?

- Tak - odparł, zaciągając po szkocku. Brzmiało trochę dziwnie, ale nie mógł sobie odmówić tej przyjemności.

- Chyba nie kpisz ze mnie, wasza wysokość?

- Jego wysokość nigdy nie kpi z rodziny. Jest na to zbyt uprzejmy. Poza tym lubi tę rodzinę. Możemy już iść?

Wyruszyli z zamku, podążając żwirową alejką przecinającą trawiastą fosę, a następnie ścieżką

wysadzoną rododendronami, prowadzącą prosto do morza. Wkrótce znaleźli się na skraju klifu, a Ian spojrzał na spokojną i gładką powierzchnię wody. Płycizny przy brzegu miały kolor przeźroczystego turkusu, a dalej morze przybierało coraz ciemniejsze tony. Spojrzał na błękitne niebo, na białe obłoczki chmur. Poczuł na twarzy świeżą bryzę, wiatr, który burzył mu włosy, i zaczerpnął głęboko powietrza.

- Uważaj, kruszynko, nie ubrudź się tylko. - Głos kuzynki wyrwał go ze świata marzeń. Popatrzył, jak Fiona co sił w wątłych nóżkach zbiega kamienistą ścieżką na plażę.

- Mam nadzieję, że nie złamie sobie nogi. Ta ścieżka wygląda niebezpiecznie - powiedział do Brandy.

- Jest zwinna jak kozica. Nie martw się.

- Masz wspaniały dom, Brandy.

- Teraz to także twój dom, Ian - odparła, wytężając wzrok, by się upewnić, że Fiona bezpiecznie dotarła na plażę.

- Przeszkadza ci to? - zapytał cicho.

Milczała przez chwilę. Kiedy się w końcu odezwała, w jej głosie pobrzmiewał ton smutku. - Nie, dlaczego miałoby to akurat mnie przeszkadzać. Minęło tyle lat, i choć niektórzy Szkoci nie chcą się z tym pogodzić, zmiany muszą kiedyś nadejść. A ty jesteś dużą zmianą. Nie możesz poradzić nic na to, że jesteś Anglikiem, już ci to mówiłam. Poza tym jestem tylko kobietą, więc się nie liczę. Ileż warte jest moje zdanie? Nie mam też wpływu na to, jak cię tu będą traktować.

- Dla mnie bardzo się liczysz. Bardzo cenię twoje zdanie. I proszę cię, na przyszłość nie mów o sobie w taki sposób.

Dotknęła rękoma supła na szalu i zaśmiała się. Jaki poważny głos miała podczas tej przemowy! - Powinieneś posłuchać, jak mówi do mnie babcia. Jeśli Crabbe jest starym łajdakiem, to ja ślamazarną idiotką, niewartą beczki soli. Babcia mówi ciągle, że musi mnie w końcu wydać za mąż i wywraca swoimi oczyma. - Wzruszyła ramionami. - Nie przeszkadza mi to, że odziedziczyłeś Penderleigh. Ktoś musiał, inaczej nasz ród by wymarł.

Nigdy nie słyszał, by młoda dziewczyna mówiła tak otwarcie i z taką świadomością o otaczającej ją rzeczywistości. Nie traktował kobiet zbyt poważnie, ale zdawał sobie sprawę, że to nie do końca uczciwe. Z drugiej strony był mężczyzną i jego obowiązkiem było opiekowanie się nią, chronienie i zadbanie, by niczego jej nie zabrakło. Wściekał się, słysząc, jak mówi, że nie jest nic warta.

Wiatr się wzmagał, uwalniając z grubego warkocza ciemnoblond kosmyki i smagając nimi różowe policzki.

- Jeśli tak stawiasz sprawę, to moim obowiązkiem jest jak najszybszy ożenek i spłodzenie gromadki przyszłych dziedziców. Gdybym nie miał synów i dajmy na to, spadł z konia i złamał kark, panem Penderleigh zostałby mój kuzyn Giles, który nie jest z wami w żaden sposób spokrewniony.

- Nie, błagam, nie łam karku.

- Nie zamierzam. Ale niczego w życiu nie można być pewnym. Poza tym jestem już w wieku, w którym płodzi się dzieci.

- Nie wiedziałam, że nie masz żony. Babcia chyba też nie wie, inaczej roztrąbiłaby to po całym Penderleigh. No tak, to jest coś, co musisz rozważyć.

- Mam dwadzieścia osiem lat, podeszły wiek dla kogoś takiego jak ty.

- Skąd. Ja za parę miesięcy skończę dziewiętnaście, więc nie wydajesz mi się stary.

Słusznie. Jest niewiele młodsza od Felicity, kobiety, którą ma w sierpniu pojąc za żonę. Felicity

jest całkiem inna niż ta dziewczyna. Mariannę również.

Poczuł znajome ukłucie bólu. Uczucie to było mu bliskie, ponieważ tylko w ten sposób chronił obraz zmarłej żony przed zapomnieniem. Miałaby teraz dwadzieścia sześć lat, byłaby matką kilkorga dzieci. Ciekawe, jak by wyglądały? Córeczki byłyby delikatne jak ich mama, miałyby świetliste zielone oczy. A synowie rośli i silni, jak on sam. Uśmiechnął się do Brandy bez słowa, wsłuchując się w krzywe nawoływanie mew.

- Popatrz, Fiona znów buduje Penderleigh z piasku - odezwała się Brandy. - Biedne dziecko, wieżyczki zawsze jej się rozpadają.

Odepchnął wspomnicie Mariannę i spojrzał na dziecko bawiące się na plaży. Ogniste włosy są już pewnie pełne piachu. - Wszystkie trzy bardzo się różnicie wyglądem. Do kogo podobna jest Fiona?

- Z tego, co mówi babcia, Fiona jest jedyną z nas, która kogoś przypomina, włosy i oczy ma identyczne jak siostra mojej matki, Antonia. Konstancja ma coś z naszej mamy. Jeśli chodzi o mnie, babcia twierdzi, że jestem odmieńcem.

- Przynajmniej nie nazywa cię starą łajdaczką.

- Biedny Crabbe. Do jego imienia odnosiła się jeszcze gorzej, wykrzykując obelgi, których nie rozumiałam. Całe szczęście, że nie jest z nami spokrewniony, nie miałaby wtedy litości.

- I nazywałaby go ślamazarnym idiotą?

- Właśnie.

- Skoro mówimy o rodzinie, kim właściwie jest Percival?

- Jest bękartem.

Mówiła całkiem poważnie. Ależ nie, w oczach widać było iskierki rozbawienia. Uśmiechnął się szeroko. - Jak na bękarta, czuje się bardzo pewnie na zamku.

- Babcia go bardzo lubi, niestety. Podlizuje się jej i trzeba mu przyznać, nieźle mu to wychodzi.

Nie zauważyła badawczego spojrzenia, bo właśnie osunęła się na kolana i zaczęła zrywać żółte zawilce, które układała na rozłożonej spódnicy.

Rzucił się na kolana tuż obok, zapominając o ostatniej parze czystych spodni. Zaczął bezmyślnie zrywać kwiatki. - A kim są jego przodkowie?

Podniosła oczy i powiedziała obojętnie: - Jego ojciec, Davonan, był moim wujkiem, jednym z synów babci. W młodości uwiódł córkę bogatego kupca z Edynburga, kiedy jednak zaszła w ciążę, powiedział, że się z nią nie ożeni. Na ile zrozumiałam z gadania starej Marty i wybuchów wściekłości babci, uciekł później do Paryża. Umarł jakieś dziesięć lat temu i to przez jedną ze swoich miłostek.

- Jedną? Miał ich wiele?

- Tak, ale jest inaczej, niż myślisz. Wujek Davonan nie przepadał za kobietami. Chociaż muszę przyznać - powiedziała z nieskrywaną goryczą - że Percy stara się nadrobić wszystkie błędy ojca.

- Łącznie z narzucaniem się tobie, Brandy?

- Owszem.

Jak spokojnie podchodziła do faktu, iż jej wuj gustował w mężczyznach. Był to temat, który z pewnością nie przeszedłby przez gardło żadnej młodej Angielce, o ile w ogóle domyślałaby się, o co chodzi. U Brandy ta otwartość była niczym innym, jak tylko przejawem dziecięcej niewinności. - Myślę, że Percy powinien kierować swoją atencję na kobiety, a nie na dziewczęta. To też jest w pewien sposób nienaturalne.

ROZDZIAŁ 9

Rzuciła w niego zawilcami i zerwała się na równe nogi. - Mówiłam, wasza wysokość, mam osiemnaście lat, prawie dziewiętnaście. Nie jestem dzieckiem. Wyglądam jak dziecko? Naprawdę?

- Skąd. Przejęzyczyłem się. Chciałem powiedzieć, że powinien smalić cholewki do kobiet bardziej doświadczonych, a nie młodej i niewinnej kuzynki. Jesteś niewinna, prawda, Brandy?

- Pytasz, czy jestem dziewicą?

- No cóż, to jest dowód pewnej niewinności.

- Oczywiście, że jestem. W okolicy nie ma nikogo, kto mógłby mi tę niewinność odebrać. Oczywiście poza Percym, ale możesz być pewien, że unikam go, jak tylko mogę.

- To dobrze. Ja też go chyba zacznę unikać. Ciągle ma na twarzy szyderczy uśmieszek. Strasznie mnie to irytuje. Jak widzę coś takiego, mam ochotę dać mu po gębie. Co o tym myślisz?

- Śmiało! - Schyliła się, by pozbierać zawilce, którymi w niego wcześniej rzuciła.

- Dobra myśl. Powiedz mi, dlaczego tak mnie nie cierpi? Może nienawidzi wszystkich Anglików? O to chodzi? Bo chyba zdaje sobie sprawę, że jako bękart nie ma szans na odziedziczenie Penderleigh?

Brandy milczała przez chwilę, walcząc z sumieniem. Percy był strasznym patałachem, ale mimo to Szkotem. Sympatia do księcia przeważyła. - Nie tylko o to chodzi. Konstancja podsłuchała, jak babcia mówi Percy'emu, że chce go uznać za syna z prawego loża. Chce, żeby poślubił jakąś bogatą dziedziczkę i poprawił swój los.

- Oho.

- Cóż to ma znaczyć?

- To, że jeśli zostanie uznany, może starać się zakwestionować moje prawa do spadku. Zgadza się? - Przytaknęła. - To nicpoń. Nie ufam mu. Jeśli babcia Adela go uzna, może zrobić coś strasznego. Lepiej mu nie ufać.

- Z tym akurat się zgadzam. A jaka jest w tym wszystkim rola Claude'a i Bertranda? Widzisz, moi prawnicy nie mieli pojęcia, jak skomplikowane są tu więzy rodzinne. To, że jest tak wielu męskich krewnych zupełnie mnie zaskoczyło.

- Nie wiedziałeś, że wujek Claude i Bertrand zostali wydziedziczeni?

- Wydziedziczeni? Mój Boże, to jest bardziej zagmatwane niż melodramat na Drury Lane.

- Co to jest Drury Lane?

- Dzielnica w Londynie, w której są wszystkie teatry.

Patrzył, jak przez chwilę zbiera myśli. Kiedy wreszcie się odezwała, zaskoczyły go jej słowa. - Nie znam prawdziwego powodu, dla którego wydziedziczono ojca wujka Claude' a, Douglassa. To on, brat dziadka Angusa, był pierworodnym synem. Z tego, co mówi stara Marta, stary hrabia, ich ojciec, dosłownie wyrzucił Douglassa z Penderleigh i wszystko zapisał Angusowi. Po śmierci

Douglassa dziadek sprowadził z powrotem Claude'a z synem i pozwolił im zamieszkać w domku gościnnym obok zamku. Przez ostatnie sześć czy siedem lat Bertrand zarządza majątkiem. - Dodała z błyskiem w oku: - Bertrand to dobry człowiek, niezależnie, co powiesz o finansach Penderleigh. Na pewno nie było mu łatwo nas wszystkich wykarmić i jednocześnie spełniać wszystkie zachcianki babci. Bertie nie miał łatwej roboty.

Czyżby sądziła, że wyrzuci Bertranda z majątku? A może się w nim kocha? Co dziwne, ta myśl mu się nie spodobała. Jest za młoda... Cóż, może nie najlepszy argument, ale zbyt niewinna dla pozornie oziębłego Bertranda. Jaka jest naprawdę? Wydaje się niesłychanie skomplikowana, pomyślał. Potrzebuje mężczyzny, który zrozumie jej niewinność, niełatwy charakter, a jednocześnie nie będzie miał za złe bezpośredniości, z jaką mówi na przykład o tym, że wuj Davonan preferował mężczyzn. - Rozumiem - powiedział.

- Słyszałam również, że lady Adela nie tylko planuje uznać Percivala, ale także przywrócić wszystkie prawa Claude'owi i Bertrandowi.

- Cóż za kobieta, ta twoja babka. Chce, żeby wszyscy rzucili się sobie do gardeł? Chce, żeby u jej stóp dokonały się rodzinne mordy?

- Świetnie by się przy tym bawiła. Kocham ją, ale wiem, że potrafi być niegodziwa. Wydaje mi się, że uznanie Percy'ego i przywrócenie Claude'a do porządku dziedziczenia to dla niej kwestia zmazania starych win. Nie wiem, co się wtedy stało, ale musiało to być coś strasznego. Poza tym babcia jest dumna z tego, że uważa się ją za ekscentryczkę.

A to ciekawe, pomyślał. - A ty, Brandy, kim jesteś?

Uśmiechnęła się ujmująco i wzruszyła ramionami. - Ja, wasza wysokość? Pewnie z twojego punktu widzenia jestem prowincjonalną gęsią bez posagu, ubogą krewną.

Sposób, w jaki to powiedziała, kompletnie zbił go z pantałyku. Rozzłościło go to. Zdał sobie sprawę, że jest teraz jej opiekunem i ma władzę i możliwości, by odmienić jej los, który z jego perspektywy rzeczywiście nie rysował się zbyt ciekawie. W myślach ubrał ją w modną suknię. Niedługo skończy dziewiętnaście lat, wiek w sam raz do małżeństwa. Przyszło mu na myśl, że Felicity weźmie ją pod swe skrzydła i wprowadzi do eleganckiego towarzystwa.

- Jestem teraz twoim opiekunem - odezwał się. - I nie uważam cię za prowincjonalną gęś. W sierpniu żenię się z czarującą młodą damą, która z rozkoszą nauczy cię, jak zachowywać się w eleganckim towarzystwie. Chcesz zobaczyć Londyn?

Zobaczyć Londyn? Mieszkać u niego i jego nowej żonki, która ma na dodatek pokazać jej, jak ma się zachowywać wśród wytwornej angielskiej socjety? Poczuła, że ogarnia ją fala gniewu. Rzuciła w niego kwiatami i krzyknęła: - Nie, nie chcę, ani trochę! Jak śmiesz traktować mnie jak wiejską dziewuchę? Może jeszcze założysz mi smycz i będziesz mnie prezentować swoim szykownym przyjaciołom jak eksponat? I łajać mnie, kiedy niewystarczająco wdzięcznie dygnę. Zabierz tę swoją opiekę i włóż ją sobie do buta.

Zamarł. Nie odezwał się nawet słowem. To było coś - sprawić, by księciu zabrakło języka w gębie. - Idę poszukać Fiony. Trafisz do domu sam, wasza wysokość. - Pobiegła do ścieżki prowadzącej w dół klifu i po chwili nie było jej widać.

Przywróciło mu mowę, ale tylko po to, aby się wściekać. Do diabła. Jak mogła tak potraktować jego hojną ofertę? Jak mogła tak niewłaściwie ją odczytać? Założyć jej smycz? Do licha, przydałoby jej się porządne lanie!

Psiakrew. Podszedł do brzegu klifu. W dole zobaczył, jak Brandy podbiega do Fiony. Felicity i

Giles mieli rację. Szkoci to niemal barbarzyńcy.

Zwinął dłonie w tubę i wykrzyknął: - Brakuje ci manier, dziewczyno. Przydałyby ci się porządne baty. Powinnaś tu natychmiast wrócić i wysłuchać, co mam ci na ten temat do powiedzenia.

Ku jego zdziwieniu odwróciła się od siostry i ruszyła z powrotem. Wciąż gotowała się w nim złość. Brandy wspięła się na brzeg klifu, podeszła blisko, sięgnęła do kieszeni i rzuciła w niego jakimiś drobnymi przedmiotami.

Gapił się na monety, błyszczące w słońcu u jego stóp. Były to dwie gwinee, którymi obdarował Fionę w dniu przyjazdu do Penderleigh, kiedy niemal małej nie stratował.

- To mnie brakuje manier, wasza wysokość? Doprawdy! - Obróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem na plażę.

- Niech cię diabli, Brandy, to niesprawiedliwe. To nie była moja wina, tylko twoja. - Zamknął usta. Już jej nie było. Poza tym mówił bez sensu. Nieźle mu dołożyła. Prawie tak samo, jak kiedyś Jackson na bokserskim ringu. A niech to diabli!

Kopnął gwinee czubkiem buta, nachylił się i podniósł. Podrzucił je w górę, złapał, jeszcze raz podrzucił. Nie pamiętał, kiedy ostatnio coś tak bardzo zepsuł.

To była tylko dziewczyna, a on wyszedł na kompletnego głupca. Spojrzał w stronę plaży. Brandy i Fiona, obie na kolanach, budowały górę z piasku, która miała pewnie oznaczać zamek Penderleigh. Otrzepał spodnie. Był ciekaw, dlaczego Brandy nie chce z nim jechać do Londynu. Jeszcze raz rozważył jej słowa. Nie, wszystko wydawało się w porządku. Nie miał pojęcia, dlaczego wpadła w taką furię. Założyć jej smycz? Co za bzdury!

Ruszył w stronę zamku. Pierwszy poranek z rodziną Robertsonów nie był jak dotąd specjalnie udany.

- Wasza wysokość!

Książę zobaczył, że idzie do niego Bertrand, którego włosy w mocnym świetle poranka miały tak intensywną barwę, jak grzebień koguta.

- Dzień dobry, Bertrandzie - zawołał, zmuszając się do uśmiechu. Odpędził myśli o pewnej nieznośnej dziewczynie, niech ją licho.

- Widzę, że korzystasz z uroków wiosennego poranka - powiedział Bertrand.

Uścisnęli sobie dłonie, a hrabia spojrzał na poplamione trawą bryczesy. - Mam nadzieję, że szybko przyjedzie mój bagaż, bo w przeciwnym razie będę musiał pożyczyć od ciebie parę czystych spodni.

- A może jedną ze spódniczek ojca?

Książę próbował sobie wyobrazić, jak wyglądałby w krótkiej szkockiej spódniczce.

- Wiem, że to onieśmielająca myśl, ale masz dobre nogi. Jeśli chodzi o mnie, nie lubię, kiedy wiatr chłoszcze mnie od dołu. Tak, dobrze rozumujesz. Pod spódniczką nie ma absolutnie nic. Ponoć jest zdrowiej, kiedy wiatr we wszystkim hula. - Bertrand zaśmiał się. Jeszcze nie widział kogoś tak przerażonego, jak książę w tej chwili. - Dobrze, może jeszcze nie teraz.

- Trzymam się bryczesów, nawet brudnych od trawy. A co do moich nóg, to dziękuję za komplement.

Bertrand uśmiechnął się. - A teraz, wasza wysokość, zechciałbyś pewnie obejrzeć nasze księgi, odwiedzić kilku wieśniaków i zobaczyć, jak się tutaj żyje.

- Z wielką przyjemnością - odpowiedział książę. Bertrand przynajmniej, pomyślał, wygląda na otwartego i inteligentnego i raczej nie żywi urazy, że jakiś znienawidzony Anglik nagle się pojawił na

ich ziemi. - Brandy mówiła, że od wielu lat zarządzasz majątkiem.

- Owszem, pracuję w domku gościnnym. Jeśli zechcesz mi towarzyszyć, nie będzie nam nikt przeszkadzał. Ojciec jest na zamku u lady Adeli.

Rozmawiają pewnie o jego prawie do spadku, pomyślał książę. Cóż, nie ma szans. - Bardzo dobry pomysł, Bertrandzie. I proszę, mów do mnie po imieniu. To znaczy Ian. Jesteśmy przecież kuzynami.

Domek gościnny przy zamku Penderleigh okazał się dwupiętrowym, kamiennym domkiem, porośniętym dzikim winem. W odróżnieniu od zapuszczonych terenów zamkowych ogródek po wschodniej stronie domku był zadbany. - Wygląda na to, że całkiem dobrze się wam tu żyje.

- Fraser bardzo się o nas troszczy. Przy jego umiejętnościach czarowania pięknych warzyw z tej jałowej gleby jesteśmy niemal samowystarczalni.

Mamy szczęście, że zarośla osłaniają nas od morskich wiatrów. - Bertrand otworzył frontowe drzwi i pokazał księciu, że powinien nachylić głowę.

- Jeszcze jedno - odezwał się Bertrand cicho. - Nie wymieniaj imienia Morąg w obecności Frasera. Są małżeństwem, ale serdecznie się nie cierpią. Z tego co wiem, wytrzymali ze sobą zaledwie tydzień.

- Morąg to ta kobieta, która ciągle się drapie.

- Nie lubi się myć i to też przyczyniło się do obecnego stanu rzeczy. Zawsze zadawałem sobie pytanie, czy Fraser nie zauważył tego przed ślubem. A może wtedy się jeszcze myła. Kto wie? W każdym razie ojciec i ja staramy się unikać wspominania jej imienia w rozmowach z Fraserem.

Książę spojrzał na pękatego, łysiejącego mężczyznę, który szedł w ich kierunku z motyką w dłoni. - Panie Bertrandzie, ojciec jest na zamku. Poszedł jakąś godzinę temu. Lady Adela posłała po niego. Chciała z nim porozmawiać.

- Wiem, Fraser. To mój krewny, jego wysokość książę Portmaine, nowy hrabia Penderleigh.

- Wasza wysokość - Fraser uśmiechnął się i ukłonił.

- Fraser, bądź tak miły i zrób nam herbaty. Jego wysokość i ja będziemy w gabinecie.

- Dobrze, panie Bertrandzie. - Zasalutował księciu szpadlem, który trzymał w dłoni i skocznym krokiem wrócił, skąd przyszedł.

- To dobry człowiek - powiedział Bertrand, prowadząc księcia do małego, skąpanego w słońcu pokoiku, którego wystrój, choć stary i przyblakły, mówił o świetniejszej przeszłości. Sterty papierów i ogromne księgi leżały w równych rządkach na dębowym biurku.

Bertrand spojrzał na księgi, a potem na swoje stopy. Nerwowo poprawił kosmyk rudych włosów na lewej skroni. - Do diabła, nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie odziedziczyłeś wielkich kokosów.

- Nieważne - odparł książę spokojnie. - Zabierajmy się za to.

Bertrand zajął miejsce obok księcia i otworzył księgę na ostatniej stronie. Zaczął głośno czytać wpisy.

Po kilku minutach tej recytacji Ian mu przerwał. - Słowa rozumiem lepiej niż liczby. Powiedz mi, Bertrandzie, czy Penderleigh może się samo utrzymać?

Bertrand zamknął księgę. - Owszem, gdyby naszych wieśniaków udało się przekonać do wynalazków naszego wieku. Widzisz, mamy żyzną glebę na nizinach na południu i wschodzie, która by się świetnie nadawała na uprawę kukurydzy. Ale nasi ludzie nie mają narzędzi ani doświadczenia, aby uprawiać ziemię. Mężczyźni najczęściej zajmują się połowami ryb, a kobiety i dzieci wypasają owce.

Rozległo się pukanie i wszedł Fraser, niosąc srebrną tacę. - Herbata, panie Bertrandzie, wasza wysokość. - Ukłonił się i wyszedł, pogwizdując.

- Śmietanki, Ian?

- Tak, poproszę - powiedział książę, marszcząc w zamyśleniu czoło. - Czy ziemie utrzymają więcej owiec? - Upił duży łyk. Chińska herbata była wyborna. Chyba nie docenił Frasera.

- Tak, ale pomnożenie stada jest bardzo kosztowne. Jeszcze jedno. Mamy tu owce, które mają bardzo szorstką wełnę, dobrą jedynie do wytwarzania dywanów i podobnych rzeczy. Dlatego bardzo długo trwa, zanim koszty się zwrócą. Miękką wełnę na ubrania otrzymuje się z owiec rasy Cheviot.

- Owce trzeba strzyc. Czy nasi wieśniacy się na tym znają?

- Nie, ale zawsze można wynająć ludzi podczas strzyżenia. Tak robi większość hodowców owiec.

- Wełna jest transportowana do Glasgow? Do zakładów włókienniczych?

- Nawet nie. W ostatnich dziesięciu latach i tutaj pojawiło się wiele fabryk. - Książę milczał. Bertrand nachylił się, nerwowo przebierając palcami.

Spojrzał niepewnie na księcia. Pewnie myśli, że jest fatalnym zarządcą.

Książę odstawił filiżankę i wstał. Chodził tam i z powrotem po pokoju, a potem usiadł naprzeciwko Bertranda. - Myślę, Bertrandzie, że powinniśmy się wybrać z wizytą do producentów ze Stirlingshire. Wełna lub kukurydza. Musimy się zorientować, co jest lepsze dla przyszłości Penderleigh. Bertrand zamrugał. - Słyszałeś o Stirlingshire?

- Tak, o Clackmannanshire również. - Książę uśmiechnął się szeroko. - Nie przyjechałem tutaj jako całkowity ignorant, chociaż wiedza, jaką mam na temat szkockiego przemysłu, jest zaledwie ułamkiem twojej. Musisz mnie wiele nauczyć, Bertrandzie. Jeśli chodzi o majątek w Anglii, zawsze byłem troskliwym panem. Tutaj zamierzam postępować tak samo. Widzę, że nie wiesz, co powiedzieć. Pewnie myślałeś, że Anglik nie będzie się przejmował posiadłością w Szkocji, prawda?

- Prawda - przyznał Bertrand.

- Chodź, Bertrandzie - powiedział książę. - Jak już ci mówiłem, nie mam zamiaru być nieobecnym angielskim panem. Z moim kapitałem i twoim zarządzaniem Penderleigh wyjdzie na prostą, a owoce tej pracy zostaną w Szkocji. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, chciałbym odwiedzić wieśniaków i sporządzić listę rzeczy, które są im potrzebne. Musimy też sporządzić listę koniecznych napraw tu na zamku.

Bertrand nie mógł w to uwierzyć. Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że książę zainteresuje się Penderleigh, zainwestuje tu pieniądze i pozostawi zyski w Szkocji. Kręciło mu się w głowie. Nie przychodziło mu nic mądrego do powiedzenia. - Czuję się jak głupiec - powiedział w końcu. - Ale bądź pewien, Ian, nie zawiodę twojego zaufania. Penderleigh było kiedyś wspaniałym majątkiem, ale jego wielkość została nadszarpnięta przez czas, politykę, chciwość i głupotę właścicieli, z których ostatnim był mój wuj Angus.

- Przeszłość to przeszłość, Bertrandzie, nic nie możemy na nią poradzić. Ale przyszłość jest w naszych rękach. Brandy chwaliła cię jako zdolnego zarządcę. Nie musisz się obawiać przyszłości. Mam nadzieję, że obdarzysz mnie zaufaniem.

Bertrand ufał księciu tak, że dałby się poprowadzić z zawiązanymi oczyma przez samo piekło.

- Nie mam pretensji o twoje milczenie. Czas pokaże. Może kiedyś mi zaufasz.

Bertrand głośno przełknął ślinę. - Zawsze uważałem czas za najgorszego wroga - powiedział. - Czas i przyszłość. Jestem tutaj i zrobię, co do mnie należy. Książę pobiegł myślami do Brandy i jej

sióstr. Ich przyszłość była znacznie bardziej niepewna niż losy Bertranda. - Rozmawiałem dzisiaj z Brandy o wielu rzeczach, między innymi o jej przyszłości - powiedział. - Jest w wieku w sam raz do zamążpójścia. Konstancji brakuje tylko dwóch lat. Penderleigh leży trochę na uboczu i obawiam się, że życie towarzyskie raczej tu nie kwitnie. Jako opiekun dziewcząt zapewnię im oczywiście posag, może to odrobinę pomoże.

- Bardzo hojnie z twojej strony, Ian, przynajmniej jeśli chodzi o Brandy.

Konstancja jest jeszcze młoda, nie trzeba jej towarzystwa ani posagu. Ale zrobisz, co uważasz za słuszne.

Aha, pomyślał książę, ta pół-dziewczyna, pół-kobieta z długimi, czarnymi lokami, o prowokującym spojrzeniu spod długich rzęs zawładnęła sercem Bertranda. Interesujące. Ledwo powstrzymał się od uśmiechu. - Zgadzam się z tobą, Bertrandzie. Zostawmy Konstancję na razie w spokoju. Ale Brandy trzeba się zająć. - Mimo jej niepotrzebnego uporu, pomyślał.

- Fraser jest doskonałym kucharzem - Bertrand zerwał się z miejsca. - Jeśli zechcesz zjeść ze mną obiad, możemy kontynuować naszą rozmowę.

- Doskonały pomysł. A kolację zjecie w zamku, zgoda?

- Będę zaszczycony - odparł Bertrand.

Książę wrócił do zamku późnym popołudniem. Wizyta u wieśniaków została odłożona, bo okazało się, że książę musi się nauczyć wielu rzeczy na temat owiec i uprawy roli. Entuzjazm Bertranda był zaraźliwy i po kilku godzinach Ian odczuwał szczere zadowolenie z postępów, jakie uczynił. Brandy miała rację. Bertrand był dobrym człowiekiem, któremu przyszłość Penderleigh bardzo leżała na sercu. Co więcej, miał lotny umysł i zdyscyplinowany charakter, by dopilnować wszystkich szczegółów.

Książę wszedł do wielkiego holu. Mimo popołudniowego słońca panował w nim półmrok. Ciekawe, czy do średniowiecznych arrasów i zardzewiałych zbroi pasowałby olbrzymi kandelabr. Poszedł do swojej sypialni, nie spotykając po drodze żywego ducha. Miał ogromną ochotę na kąpiel. Zaczął już wierzyć, że w całym zamku jest tylko on sam, kiedy otworzył drzwi do sypialni i zobaczył starszą kobietę, przygotowującą strój na wieczór. Jej siwe włosy zawinięte były porządnie pod czepek, a obfita suknia z czarnej wełny okrywała raczej drobną figurę. Na dźwięk kroków odwróciła się i wyprostowała.

- Wasza wysokość? - zapytała niskim głosem i dygnęła, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Tak, to ja. A ty kim jesteś?

- Jestem Marta, pokojówka lady Adeli. Powiedziała, że pewnie nie zechcesz, by ten flejtuch Morąg grzebała w twoich ubraniach. Życzysz sobie czegoś, wasza wysokość?

- Tak, kąpieli. Czy podkuchenni mogliby przynieść mi wody?

- Oczywiście. Poproszę, żeby mały Albie się tym zajął. Jest bardzo silny, chociaż trochę powolny, jeśli wasza wysokość wie, co mam na myśli.

- Chyba wiem - odparł książę.

Marta opuściła sypialnię, a on się rozebrał, owijając w pasie ręcznikiem.

Mały Albie, jak książę miał się przekonać, był rosłym młodzieńcem o sylwetce zapaśnika. Miał niebieskie oczy o nieobecnym spojrzeniu i szeroki uśmiech, eksponujący przerwę między przednimi zębami.

- Woda, panie - powiedział, zapominając szybko o tytułach i ukłonach.

- Dziękuję, Albie.

Albie wyjął używane mydło i niezgrabnie przechylił wiadra gorącej wody do dużej, drewnianej wanny. Dno okazało się nieszczelne i na podłodze pokazały się cieniutkie strumyczki wody. Książę patrzył na nie z fascynacją, ale Albie nie przejął się takim drobiazgiem. Wyprostował się i spojrzał z uśmiechem na księcia. - Zawołasz mnie, panie, jak będziesz czegoś potrzebował?

- Z całą pewnością. - Miał ochotę roześmiać się w głos, ale nie chciał, aby chłopak pomyślał, że śmieje się z niego. Albie wyszedł, a on, zamykając drzwi sypialni uśmiechnął się do siebie.

Usiadł w drewnianej wannie z obawą, że drzazgi powbijają mu się w ciało. Sięgnął po mydło - było perfumowane. Mój Boże, będzie pachnieć jak ladacznica z Soho. Chociaż nie, mydło wydawało się drogie. Będzie pachnieć jak ladacznica z Paryża. Ciekawe, czy Marta ukradła mydło lady Adeli.

Mył się niespiesznie i wyszedł z wanny dopiero wtedy, kiedy woda ostygła. Stanął przed kominkiem, nagi i ociekający wodą.

Obrócił się na dźwięk otwierających się drzwi, w których stanęła Brandy. Oddychała ciężko, jakby gdzieś biegła.

Patrzył się na nią, zadając sobie pytanie, gdzie położył ten cholerny ręcznik.

Nie spuszczała z niego wzroku. - Wyglądasz zupełnie inaczej niż ja - powiedziała w końcu ze zdumieniem. - Jesteś piękny.

ROZDZIAŁ 10

Spojrzał jej prosto w oczy. Ani śladu dziewiczego wstydu. Ani nawet oburzenia, ucieczki w popłochu na widok nagiego mężczyzny. Zaczarowała go mocą swojego spojrzenia, nie mógł się ruszyć z miejsca.

- Wybacz mi, proszę, to najście, wasza wysokość - powiedziała po chwili spokojnym tonem. - Nie sądziłam, że już wróciłeś. Szukam Fiony, bawimy się w chowanego. Uwielbia tę zabawę, zwłaszcza gdy jest pora do spania.

- Nie ma jej tutaj. - Miał wrażenie, że znalazł się na scenie w środku sztuki nie wiedząc, jaka jest jego rola. Cóż, był idiotą, nagim idiotą.

Brandy przytaknęła grzecznie. Obdarzyła go długim, niedwuznacznym spojrzeniem, a następnie odwróciła się na pięcie i opuściła sypialnię, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nagle odzyskał władzę nad swoim ciałem. Złapał za ręcznik i owinął go wokół pasa, po chwili zdając sobie sprawę z bezużyteczności tego gestu, ponieważ Brandy nie miała zamiaru tu wracać.

Brandy pobiegła korytarzem, a po chwili przystanęła i oparła się o ścianę.

Zapomniała o Fionie. Zamknęła oczy, ale widok nagiego ciała nie chciał zniknąć. Oblizała językiem suche usta. Nigdy dotąd nie widziała nagiego mężczyzny. To, co zobaczyła, nie było zgodne z jej wyobrażeniami, chociaż nie mogła powiedzieć, że spędzała ranki i wieczory zastanawiając się, jak oni wyglądają. Może raz czy dwa przemknęło jej to przez głowę, jak chyba każdej dziewczynie. Książę wyglądał pięknie, po prostu wspaniale. Mój Boże, wbiegła do jego sypialni i bezczelnie się na niego gapiła. Cóż o niej pomyśli? De nie jest taka niewinna, skoro stała, jakby ją poraził piorun i gapiła się jak sroka w gnat.

Przycisnęła ręce do brzucha. Czuła, jak ogarnia ją fala ciepła i dziwny niepokój.

To było bardzo przyjemne uczucie. O co w tym wszystkim chodzi?

- Brandy, tu jestem! Nie znalazłaś mnie, wygrałam! Przez następny kwadrans nie muszę jeszcze iść do łóżka. - Fiona wyszła nagle z pokoiku, w którym umieszczono szwalnię. Brandy nie odpowiedziała, spojrzała tylko na siostrę niewidzącym wzrokiem. Fiona podbiegła. - Schowałam się w niebieskim pokoju, w którym Marta szyje. Brandy - podeszła bliżej - co ci jest?

Wystraszyłam cię?

Musi się pozbierać, a to nie takie łatwe. Zamrugała oczyma, starając się przepędzić obraz pięknego, nagiego ciała. - Nie, kruszynko, nie wystraszyłaś mnie. - Do licha, czyżby to był jej własny głos? Cienki i rwący się jak prześcieradło na łóżku? Głupota. - Chodź, kruszynko, czas na kąpiel. Pamiętam, że masz dodatkowe piętnaście minut.

Ian ubierał się szybko. Krawat zawiązał krzywo, zauważając, że najwidoczniej opuściła go koncentracja. Próbował zbagatelizować całą sprawę, tłumacząc sobie z poczuciem pewnej wyższości, że w Anglii byłoby nie do pomyślenia, aby młoda panienka wbiegała do sypialni

dżentelmena. No cóż, teraz jest w Szkocji. Zerwał krawat i sięgnął po następny. A Szkocja to przeciekające drewniane wanny, niezdyscyplinowani służący i dziewczyna o ogromnych bursztynowych oczach, wpatrująca się w jego nagość ze zdumieniem i podziwem. - Jesteś zupełnie inny niż ja... jesteś piękny. Co za dziwna dziewczyna.

Pomyślał o Mariannę, swojej skromnej, nieśmiałej żonie. Ciekawe, czy kiedykolwiek uważała, że jest piękny. Co za bzdura - podczas roku małżeństwa zdmuchiwała świecę, ilekroć wchodził do sypialni. Mimo że zawsze był czuły i delikatny, wiele razy słyszał, jak chlipie w jego ramię po tym, jak się z nią kochał.

Spojrzał z niesmakiem na krawat. Trudno, będzie i tak, skoro nie ma nic innego. Może w końcu Mabley przyjedzie jutro z bagażami.

Wyszedł z sypialni, trzymając w dłoni kandelabr. Migoczące światło świec rzucało cienie na mroczny korytarz. Mówisz, że jestem piękny, Brandy? - pomyślał, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

Zbliżył się do bawialni, słysząc dominujący głos lady Adeli i znajomy rechot Claude'a. Brandy pewnie już tam jest. Będzie musiał z nią porozmawiać, przynajmniej po to, by zobaczyć, czy nie czuje się upokorzona swoim zachowaniem.

Przekręcił mosiężną gałkę w kształcie głowy gryfa i wszedł do bawialni. Lady Adela siedziała jak zwykle na swym wysokim krześle, otoczona rodziną, skupiając na sobie wszystkie spojrzenia. Dumna stara wiedźma, pomyślał, ale na razie jej ekscentryczność wydawała mu się zabawna. Jeśli kiedyś przestanie go bawić, będzie musiał się z nią uporać. Spojrzał na białe jak śnieg włosy upięte w kok, na loczki zwisające jak kiełbaski z obu stron twarzy i skrzywił się. Taka fryzura była odpowiednia dla kogoś młodszego o co najmniej czterdzieści lat.

Naprzeciwko Adeli siedział Claude, wykrzywiony jak pogrzebacz i wyglądający znacznie starzej niż na swoje lata. To kwestia zdrowia, pomyślał książę, ból może zmiażdżyć człowieka. Bertrand i Konstancja siedzieli na sofie, a Percy opierał się o gzyms kominka, w wyciągniętej dłoni trzymając kieliszek sherry, Ian poszukał wzrokiem Brandy i zorientował się, że siedzi na niewielkim taborecie tuż za krzesłem lady Adeli. Miała na sobie tę samą sukienkę co wczoraj, a na ramionach ten sam szal, zawinięty na piersi w wielki supeł. Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Uśmiechnął się jak dobrotliwy wujaszek. Całkiem nieźle, tylko tak dalej Lady Adela zauważyła go w końcu. - Ian, mój chłopcze, Bertrand opowiadał nam o przyjemnościach, których dzisiaj doświadczaliście. Barany i kukurydza. Z tego, co usłyszałam, ponoć strzyżenie to ważna sprawa.

Zobaczył, że Bertrand spuszcza wzrok i zaczyna oglądać swoje wielkie dłonie. Chciał mu powiedzieć, że nie powinien przejmować się tą złośliwą staruchą. Ignorując jej słowa, zbliżył się do wysokiego krzesła i powiedział spokojnym tonem: - Dobry wieczór, milady. Mogę mieć tylko nadzieję, że twój dzień był chociaż w jednej dziesiątej tak interesujący jak mój. - Cmoknął lekko pomarszczoną dłoń.

Percy pociągnął długi łyk i odstawił kieliszek na belkę kominka. - Powiedz mi, wasza wysokość, to prawda, że chcesz z nas wszystkich zrobić farmerów i pastuchów? Najpierw wybierzemy gnój z twoich stajen, a potem będziemy bawić się w eleganckie towarzystwo.

Książę uśmiechnął się. - Bertrand i ja jeszcze nie zdecydowaliśmy, Percy. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Trochę to trwa, zanim uprawa kukurydzy zacznie przynosić zyski, chociaż muszę przyznać, że w chwili obecnej w Penderleigh jest aż nadmiar łajna.

Bertrand pozwolił sobie na uśmieszek satysfakcji, a Claude wybuchnął śmiechem, klepiąc się

dłońmi po kolanach.

- Będziesz teraz rozważniej mielił ozorem, Percy? - zaśmiała się lady Adela, stukając laską w podłogę.

- Będę mielił ozorem, jak będę uważał, milady - odparł Percy z wzrokiem utkwionym w twarzy księcia.

- No tak - powiedziała lady Adela, kierując cały swój jad w stronę wnuka. - Książę jest świetny w szermierce słownej. Zawsze podobali mi się mężczyźni, którzy wiedzą, co powiedzieć w każdej sytuacji. Nasz nowy książę to bardzo dowcipny człowiek.

To było poniżej pasa, pomyślał książę, patrząc jak Percy oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Nie mógł nic na to poradzić, nie śmiał powiedzieć złego słowa babce, chciał przecież, żeby go uznała. Przez moment księciu zrobiło się go żal.

- Dobry wieczór, wasza wysokość - odezwała się Konstancja łagodnym, melodyjnym głosem. Patrzyła na niego spod wpół przymkniętych powiek, wyciągając dłoń do pocałunku, jak przed chwilą lady Adela.

Musi gdzieś ćwiczyć, pomyślał Ian. - Dobry wieczór, kuzynko, ślicznie dzisiaj wyglądasz - Była to prawda. Suknie obu sióstr nie pochodziły najwidoczniej z tej samej garderoby. Ujął miękką dłoń i złożył na niej pocałunek.

Konstancja spojrzała, jakby chciała, by ta chwila trwała dłużej, a kiedy puścił jej dłoń, na twarzy dziewczyny wciąż błąkał się lekki uśmieszek. Po chwili obróciła się i spojrzała na Percy' ego.

Niech to licho, ta mała wzdycha do niewłaściwego mężczyzny.

Skinął głową w stronę Brandy, a potem zwrócił się do Claude'a. - Mam nadzieję, że akceptujesz pomysły moje i Bertranda?

- Aż nie chcę o tym mówić, by nie zapeszyć - sapnął Claude, demonstrując rząd spróchniałych zębów. Spojrzał na Percivala i parsknął śmiechem. - Chociaż uwaga na temat łajna każe zastanowić się nad moralnością niektórych obecnych.

- Ach, wujaszku - powiedział Percy miękko. - Sam tarzałeś się w sianie z niejedną dziewuchą. Od kiedy rozum skurczył ci się podobnie jak męskość, mówisz jak pęknięty dzwon.

Lady Adela odrzuciła głowę w tył i zaniosła się głośnym śmiechem. Konstancja zachichotała. Cóż za grubiaństwo. To dlatego Brandy mówiła tak bezpośrednio o rzeczach, o których młoda dziewczyna nie powinna mieć pojęcia. Powinien coś powiedzieć, lecz nie wiedział co.

- Jak śmiesz mówić takie rzeczy, Percy? - odezwała się Brandy trzęsącym się ze złości głosem. - Takie gadanie nadaje się może do stajni, ale nie do salonu.

Nie jesteś dżentelmenem. Trzymaj na wodzy swój ohydny język!

Ian uśmiechnął się do niej szeroko. Dobra robota.

- Ach, kuzyneczko, czyżbyś obawiała się myśli o obcowaniu z mężczyzną?

Nie martw się, ta chwila kiedyś nadejdzie. Spodoba ci się, zobaczysz.

Książę postanowił się wtrącić. - W tej chwili Brandy nie podoba się, iż zamieniłeś bawialnię w ordynarną stajnię.

Z gardła Percivala dobiegł charczący śmiech, ale lady Adela przywróciła go do porządku. - Mówiłam ci, Percy, zostaw dziewczynę w spokoju. Jest jeszcze dzieckiem i nie pozwolę ci jej zepsuć.

- Nie, pani - powiedział łagodnie Percy, ignorując księcia. - To Konstancja jest jeszcze dzieckiem. Nasza Brandy ma osiemnaście lat i jest już kobietą.

- Nieprawda, Percy - odezwała się Konstancja, ściągając na siebie wzrok kuzyna. - To ja jestem kobietą.

- Jak sobie chcesz - odparł Percy i sięgnął po szczyptę tabaki.

W drzwiach pojawił się Crabbe. - Kolacja gotowa, wasza wysokość.

Lady Adela powiedziała kwaśno: - Jestem pewna, że podsłuchiwałeś przez drzwi. Ech, i tak nie masz pojęcia, że... zresztą, nieważne. - Zignorowała ich wszystkich, poprawiając szal. Ian zauważył, że Percy prostuje się i rusza w stronę Brandy. Wyprzedził go i zaoferował dziewczynie swoje ramię.

- Zechcesz mi towarzyszyć, Brandy? Spojrzała na niego z wdzięcznością, podniosła się szybko i podała mu ramię. - Chcę z tobą porozmawiać, może trochę później - powiedział, kiedy znaleźli się holu.

Kiwnęła głową. Świadoma obecności Percy'ego za plecami, wydłużyła krok i pociągnęła księcia za sobą.

Już chciał odsunąć jej krzesło koło Konstancji, kiedy Adela powiedziała głośno: - Będziesz siedzieć tutaj, moje dziecko. - Władczym tonem wskazała krzesło, przy którym stał Percy. - Musisz lepiej poznać swego kuzyna. Poznać dzięki niemu trochę świata. Poza tym nie zje cię przecież w obecności tylu krewnych.

Co starucha knuje? Ian zmarszczył czoło. W oczach Adeli czaiła się kpina, usta przypominały cienką kreskę. Zaszokował go fakt, iż nie wahała się użyć własnej wnuczki, aby podsycić niechęć między nim a Percym. Nie tylko jest ekscentryczna, jest również wredna.

Brandy rzuciła babce zdumione spojrzenie, ale natychmiast podeszła do Percy'ego. Nie zamierzała dać się onieśmielić. Śmiał jej się otwarcie w oczy, wiedząc, że wygrał, że lady Adela podała mu ją na tacy. Brandy zajęła miejsce. - Chodź, kuzyneczko - odezwał się - lady Adela mówi, że musimy się lepiej poznać. Będę musiał się grzecznie zachowywać.

- Nie mam ochoty nawet na ciebie patrzeć, a co dopiero jeść w twoim towarzystwie. Jeśli się nie będziesz właściwie zachowywać, wbiję ci nóż w pierś.

Percivala to nie zniechęciło. Szepnął niskim, pieszczotliwym głosem, przeznaczonym tylko dla jej uszu: - Nie chcesz stać się kobietą, moja śliczna? Widzę cię z rozpuszczonymi włosami, z namiętnością płonącą w oczach.

- Przestań. Przestań, mówię! - Zabrał jej nóż, więc dźgnęła go widelcem w nogę.

Lady Adela wydała z siebie złośliwy chichot. - Wygląda na to, Percy, że nie bardzo ci idzie. Może opowiedz jej o Edynburgu albo o podróżach, a nie dziel się z nią lubieżnymi myślami.

- Tak, Percy - powiedział książę. - Jestem przekonany, że każdy z nas z ochotą posłucha o twoich podróżach. A może będziesz tak miły i opowiesz nam o zaletach owiec rasy Cheviot?

- Prosić barana, by mówił o innych baranach? Skąd, nic z tego nie wyjdzie - zaśmiał się głośno Claude.

- Ojcze, proszę, zjedzmy bez wywoływania kolejnej kłótni - wtrącił się Bertrand, życząc sobie, by ta okropna kolacja jak najszybciej się skończyła.

Książę wyglądał, jakby miał ochotę dać Percy'emu po twarzy. Ciekawe, co o nich wszystkich myśli? Pewnie żałuje, że marnuje czas z bandą prostaków.

Chciał czuć do niego niechęć, ale po kilku godzinach z nim spędzonych musiał przyznać, że książę jest zupełnie inny, niż się spodziewał. Niż wszyscy się spodziewali. Przez ułamek sekundy miał ochotę wyciągnąć strzelbę i strzelić prosto w tego gałgana Percy'ego.

- Ach, nasz Bertrand, zawsze stara się załagodzić wszystkie spory - powiedział Percy, zabierając

się za rybę.

Nastąpiła chwila ciszy, po której książę zapytał Bertranda o połowy na wybrzeżu. Brandy chętnie włączyłaby się do tej rozmowy, ale nie przychodziło jej nic do głowy poza uwagą na temat własnej łódki, zacumowanej w spokojnej przystani. Już otworzyła usta, kiedy Percy nachylił się nad nią. Odsunęła się gwałtownie, zapominając o łódkach i łowieniu ryb. Odważyła się jeszcze spojrzeć na Connie, która lustrowała ją chłodno zielonymi oczyma.

Brandy opuściła głowę i spojrzała na swój talerz, czując, jak ogarnia ją przygnębienie. Nie, Connie, miała ochotę krzyknąć głośno, Percy to nicpoń i kobieciarz, niewart twojego uczucia.

Kiedy posiłek dobiegł względnie spokojnego końca, lady Adela podniosła się z miejsca. Nie zdążyła jeszcze postawić laski na ziemi, a już Brandy opuściła swoje krzesło i stanęła obok babki.

- Dzisiaj, panowie, zostawimy was na kieliszek porto - powiedziała Adela dostojnie i opuściła jadalnię. Brandy wyszła tuż za nią. Konstancja zwlekała jak mogła, oglądając się na Percy'ego.

Zostawia nas samych w nadziei, że skoczymy sobie do gardeł, pomyślał Ian. Na to wygląda. Postanowił trzymać nerwy na wodzy.

Brandy pomogła babce zająć miejsce przy buzującym w kominku ogniu. - Cóż za tchórz z ciebie, dziecko - powiedziała łagodnie lady Adela. - Nie masz pojęcia, jak radzić sobie z dżentelmenem.

- Nie nazwałabym Percy'ego dżentelmenem - odparła cicho Brandy, świadoma obecności młodszej siostry.

- - To kwestia czasu. Stary MacPherson przygotował dziś wszystkie papiery.

Może zmienisz zdanie na temat kuzyna, kiedy przestanie być bękartem.

- Nie sądzę. Kawałek papieru nie zrobi z niego dżentelmena.

- Kto wie? - Lady Adela świdrowała wnuczkę wzrokiem. - Zwłaszcza gdy zostanie prawdziwym Robertsonem z Penderleigh. Dopilnuję, by książę wypłacał mu pewien stały dochód. Może wtedy go zechcesz? Robertsonowie nie są wymagającymi mężami, a Percy niczym się od nich nie różni. To tylko kwestia umiejętności trzymania na wodzy.

Brandy uświadomiła sobie w tej chwili, że babka nie tylko się z nią przekomarza, ale chce również zagrać na nosie księciu, pokazać mu, kto tak naprawdę rządzi Penderleigh. Nie najlepsza decyzja. Krótka znajomość z księciem dobitnie pokazała Brandy, że nie tylko jest dobrym człowiekiem i dżentelmenem, ale też jest uparty jak osioł. Nie pozwoli, by ktoś nim komenderował, bo sam jest despotą. Tym bardziej nie zrobi niczego, na co nie ma ochoty.

- To Konstancja chce wyjść za Percy'ego, a nie ja. - Nawet w takiej chwili Brandy miała świadomość, że książę nie potrzebuje jej wsparcia. Poradzi sobie sam.

- Najstarsza córka ma pierwszeństwo - powiedziała lady Adela z uporem, zadzierając do góry podbródek. - Konstancję weźmie za żonę Bertrand.

Brandy była zbyt zdumiona, by cokolwiek odpowiedzieć. Spojrzała na siostrę, która ze znudzoną miną przechadzała się od okna do okna, przeglądając się w szybach. Czyżby lady Adela nie zdawała sobie sprawy, że Bertrand był dla Konstancji jak brat i nic więcej? Postanowiła trzymać język za zębami, ponieważ jakikolwiek sprzeciw z jej strony tylko sprowokowałby babkę.

W oczach staruszki zapaliły się wesołe ogniki, ponieważ do bawialni zaczęli się schodzić panowie. - Cóż to, tak szybko? Dziwne. A porto, które stary Angus przechowywał w piwnicy miało być takie dobre. Czyżby niemiłe wam wzajemne towarzystwo?

- Percy opowiadał nam o Edynburgu - wtrącił książę. - Ma talent do ciekawych opowieści. Szkoda, że gorzej mu idzie przy Brandy.

- Świetna była ta historyjka o rzeźniku, który wysłał swej żonie bukiet. Chciał dać jej nauczkę i ukrył w kwiatach świńskie ucho.

- Nie rozumiem, co w tym śmiesznego. - Lady Adela nie potrafiła ukryć rozczarowania. Odwróciła się do Konstancji i kazała jej zasiąść przy fortepianie.

Brandy zauważyła, że Percy chce podejść w jej stronę i szepnęła babce na ucho: - Czy mogę już iść? Chciałabym zajrzeć do Fiony. Nie najlepiej się wcześniej czuła, martwię się o nią.

Lady Adela spojrzała na wnuczkę badawczo, ale powiedziała tylko: - Co za tchórz z ciebie, dziewczyno. Nawet nie umiesz kłamać. Ale ja jestem dziś w dobrym nastroju, więc idź sobie.

Brandy westchnęła z ulgą i ukłoniła się lekko. - Życzę dobrej nocy.

- Brandy, poczekaj chwilkę! - zawołał za nią Ian. - Możemy zamienić słówko?

Percy wybuchnął śmiechem. - A może, kuzyneczko, po rozmowie z księciem i dla mnie znajdziesz chwilę?

- W następnym stuleciu, Percy. - Miała ochotę dać mu kopniaka.

Wzruszył ramionami i spojrzał na Konstancję, która ciągnęła go za rękaw. - Chodź, Percy, będziesz przewracał mi strony.

- Odprowadzę cię na schody, Brandy - oznajmił Ian. - Zaraz wracam - zapewnił resztę towarzystwa.

Kiedy znaleźli się za drzwiami, Brandy przystanęła i podniosła głowę. - O co chodzi, wasza wysokość?

Ian wyprostował się, co sprawiło, że jeszcze bardziej górował nad nią wzrostem i zrobił minę dobrego wujaszka. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że przykro mi z powodu Percy'ego. Ktoś mu powinien powiedzieć coś do słuchu. Zadbam, by nie nękał cię już więcej. - Nie miał pojęcia, jak tego dokona, zważywszy na fakt, że Percy mógł liczyć na ognistą zachętę ze strony Adeli.

- Dziwne to, doprawdy zagadka - odpowiedziała, wciąż rozmyślając o niewytłumaczalnym zachowaniu babki.

- Co takiego?

Uśmiechnęła się blado. - Babcia twierdzi, że zamierza wydać Konstancję za Bertranda. Jej się to nie spodoba.

Intrygi staruchy wydają się nie mieć końca, pomyślał Ian. Ale w tym wypadku musi się z nią zgodzić. - No tak - skomentował tylko.

Przypomniał sobie cel rozmowy z Brandy. - Chciałem z tobą porozmawiać, by cię przeprosić, że wyprowadziłem cię z równowagi.

Zmarszczyła czoło i przypomniała sobie swój wybuch dzisiejszego poranka. Chciał być miły, proponując jej wyjazd do Londynu, a ona zachowała się tak nieładnie.

- Nie, wasza wysokość, to znaczy Ian. To ja powinnam cię przeprosić. To ja zachowałam się okropnie. - Wściekła się na jego propozycję, ponieważ odniosła wrażenie, że jest dla niego tylko szkocką prowincjuszką, prostaczką, której maniery pozostawiają wiele do życzenia. Ale już po ucieczce zdała sobie sprawę, że głównym powodem wybuchu była myśl, że miałaby mieszkać razem z nim i jego nową żoną. Nie rozumiała, dlaczego wprawiało ją to w taką złość. Mogła się tylko domyślać, ale w tej chwili postanowiła wyrzucić to ze swego serca. Nic z tego. Nic nie może zmienić przyszłości.

Zgodził się w duchu, że wina leży po jej stronie, ale powiedział stanowczo: - Nieprawda. Nie spodziewałem się takiej reakcji, ale wcale nie zachowałaś się okropnie. Skąd mogłaś wiedzieć? - Na

jej twarzy wciąż nie było śladu nieśmiałości czy wstydu i nie mógł się zmusić, by dodać, że nie mogła wiedzieć, że będzie stal na środku sypialni nagi i ociekający wodą.

- Powinnam zgadnąć. Powinnam się domyślić, że jesteś już zaręczony.

Zamrugał. - A co to ma do rzeczy? Felicity byłaby zażenowana i zganiłaby mnie za niedbalstwo?

- Być może. Nie sądzę, by była zadowolona.

- Zapewniam cię, moja przyszła żona nie ma w tej kwestii nic do powiedzenia.

Doprawdy, nie widzę powodu, dla którego miałbym jej o tym mówić.

Zabolało. - Obraziłam cię. Już mnie nie chcesz.

Zamrugał ponownie. Coś tu jest nie tak. Do diabla! Przez tę cholerną niewinność nie wiedziała, co mówi. - To byłoby niewłaściwe. Chciałem z tobą porozmawiać tylko dlatego, żebyś się nie czuła skrępowana czy zawstydzona w moim towarzystwie.

Podniosła z dumą czoło. - Skoro mnie nie nigdy chciałeś, to dlaczego... - urwała i odwróciła wzrok. - Nie, nie mam do ciebie pretensji. Ale nigdy nie wracajmy do tego tematu.

Poczuł się skonfundowany. - Mój Boże, chciałem ci tylko powiedzieć, że nigdy nie miałem wobec ciebie złych intencji. Możesz być pewna, że po tej historii będę starannie zamykał drzwi do sypialni.

Brandy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że mówią zupełnie innym językiem, że szkocki różni się od angielskiego w co najmniej takim stopniu jak chiński. - A co mają do tego drzwi sypialni?

- Do diabła, jeśli zamknę drzwi, dzisiejsza wpadka się nie powtórzy.

Naprawdę, Brandy, nie mam zwyczaju paradować nago przed młodymi dziewczętami.

- Nago? Mój Boże, to o to chodzi!

Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś w ciągu jednej sekundy oblał się rumieńcem od dekoltu po nasadę włosów. - Mój Boże - powiedziała cienkim głosikiem, jakby utkanym ze snu - myślałam, że przepraszasz za dzisiaj rano, że zaprosiłeś mnie do Londynu, do siebie i żony.

Rozłożyła go na łopatki, choć obyło się bez jednego uderzenia. Jak mógł być tak zarozumiały?! Odrzucił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem. - Nie, kuzynko, nie mówiłem o dzisiejszym poranku. Zadałaś poważny cios mojemu męskiemu ego. Tak się przejąłem, a ty nie zwróciłaś najmniejszej uwagi na ten incydent.

Poczuła dziwny ucisk w piersi. Zmusiła się, by spojrzeć mu prosto w oczy i powiedziała: - Mylisz się, Ian.

Zanim zdążył przetrawić te słowa, złapała w garść poły sukni i pobiegła na górę, a on gapił się za nią z otwartymi ustami.

ROZDZIAŁ 11

Zerwał się o świcie. Rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem i zobaczył, że za oknem pada szarobura mżawka. Spojrzał na zegarek. Dopiero parę minut po piątej. Zamknął oczy, wtulił się w poduszki. W myślach zaczął liczyć barany, ale nie pomagało. Sen nie chciał przyjść. Przeklął cicho i podniósł się, odrzucając pościel.

Podszedł do kominka, pamiętając o drzazgach w drewnianej podłodze. Kilka bardziej dosadnych przekleństw i udało się rozniecić porządny ogień. Ubrał się w szlafrok i postanowił bez entuzjazmu, że skróci sobie chwile do śniadania pisaniem listu do Felicity.

Wyjął papier, pióro i kałamarz i zasiadł w przepaścistym fotelu przy kominku. Gryzł przez chwilę obsadkę, układając w myśli słowa, które chce przelać na papier.

„Najdroższa Felicity" - zaczął. Zmarszczył czoło i przez chwilę patrzył się w przestrzeń. Wziął kolejną kartkę. „Droga Felicity" - zaczął od nowa. Pusta kartka wydawała się nie mieć końca. Podrapał się po brodzie i zaatakował ją piórem, zdając sobie sprawę, że bądź co bądź jest winien narzeczonej informacje o podróży.

Dojechałem bezpiecznie do Penderleigh. Niestety Mabley, który jechał powozem z bagażami utknął w pobliżu Galashiels (miasteczko leżące na południowy-zachód od Penderleigh). Błagam niebiosa, by udało mu się dojechać dzisiaj, bo jeśli nie, będę musiał pożyczyć ubranie od Bertranda Robertsona, mojego kuzyna. On i jego ojciec Claude (stary zrzęda pierwszej klasy) mieszkają w domku gościnnym obok zamku. Bertrand pełni funkcję zarządcy majątku i będzie to robić nadal. Z jakiegoś powodu, w który nie zostałem jeszcze wtajemniczony, ojciec Claude 'a, Douglass, został pozbawiony spadku wiele lat temu, przez co zmieniła się kolejność dziedziczenia. Szkoda, ponieważ Bertrand bardzo troszczy się o Penderleigh i byłby świetnym panem. Lady Adela, wdowa po zmarłym hrabim jest kobietą nieobliczalną, zdolną do wszelkich intryg. Być może będzie chciała doprowadzić, aby wydziedziczenie cofnięto. Zaczęła również walkę o uznanie wnuka z nieprawego łoża, Percivala Robertsona, zadufanego w sobie kogucika, który nienawidzi Anglików w ogóle, a mnie w szczególności. Jeśli te wszystkie relacje wydają ci się skomplikowane, pomyśl jak ja się czułem, dopóki ich nie pojąłem.

„Sfora kobiet" (słowa Gilesa) czyli moje trzy kuzynki okazały się bardzo sympatyczne, każda na swój własny sposób. Najmłodsza Fiona jest rudowłosym łobuzem, wodzącym za nos najstarszą siostrę Brandy (dziwne imię, prawdopodobnie skrót od Brandella). Średnia siostra, Konstancja, ma całe szesnaście lat. Wyobraża sobie, że jest już dorosła i flirtuje niemiłosiernie z Percym. Brandy, najstarsza, jest zupełnie inna.

Zatrzymał się i rozsiadł wygodnie w fotelu, pocierając palcami o szczękę. Na myśl o Brandy słowa same pchały się pod pióro.

Ma wielkie oczy w kolorze bursztynu, co świetnie pasuje do imienia. Jest niezwykła, lecz nie jest

jej teraz łatwo, ponieważ durzy się w niej Percy, który nie daje jej spokoju. Ona go nie chce. We wrześniu skończy dziewiętnaście lat i osiągnie wiek stosowny do zamążpójścia. No i tu leży problem.

Poza tym, pomyślał, to rodzinna ślicznotka. Uśmiechnął się do siebie. Może lepiej nie wspominać o jej przyjeździe do Londynu. Jeszcze nie teraz.

Wszyscy mówią tu miękkim, szkockim dialektem, który w przeciwieństwie do tego, jak mówią niektóre angielskie snoby, jest całkiem przyjemny dla ucha. Mam wrażenie, że jeszcze chwila i będę mówił tak samo.

Zrobił sobie kolejną przerwę, zdając sobie sprawę, że zapisał całą stronę, co było jak na niego wyczynem niezwykłym. Felicity zdziwi się tym nagłym przypływem gadulstwa. Skreślił pośpiesznie ostatnie kilka linijek:

Jeśli w końcu przestanie padać, Bertrand i ja wybieramy się do Cheviot. Chcemy kupić, albo przynajmniej obejrzeć, najświetniejsze jak twierdzi Bertrand) ze szkockich owiec. Potem odwiedzimy kilka miasteczek, gdzie spotkamy się z właścicielami fabryk włókienniczych. Przykro mi, moja miła, ale wydaje mi się, że mój pobyt się trochę przedłuży. Wiele tu roboty. Mam nadzieję, że Giles troszczy się, żebyś się nie nudziła. Całuję, Ian.

Zaadresował kopertę, wstał i przeciągnął się leniwie, rzucając podejrzliwe spojrzenie w stronę okna Nie może pozwolić, by pogoda wprawiła go w zły nastrój. Ubrał się szybko we wczorajsze bryczesy i białą koszulę, założył sztylpy, pogwizdując balladę Roberta Burnsa, którą słyszał od Brandy.

Zamek wydawał się pogrążony w głębokim śnie. Na dole spotkał jedynie Crabbego, który ukłonił się na powitanie. Otworzył drzwi do pokoju śniadaniowego i niespodziewanie dla samego siebie uśmiechnął się szeroko na widok Brandy, która siedziała zgarbiona przy stole i męczyła się z owsianką.

- Dzień dobry, Brandy - przywitał się, czując, że już jest w lepszym nastroju.

- Och, wasza wysokość, to znaczy, Ian. Tak wcześnie, a ty już na nogach?

Zbliżył się. Na jej twarzy wykwitł nagły rumieniec. Czemu, u diabła, czerwieni się na jego widok? Dopiero siódma rano. Ach, tak, widziała go nago. I chyba jej się spodobał, co sprawiało mu niesłychaną przyjemność. Chrząknął. - A co, myślałaś, że jestem śmierdzącym leniem? Tak naprawdę, obudził mnie deszcz, a potem nie mogłem zasnąć.

Spojrzała na śnieżną biel koronek przy mankietach i kołnierzu koszuli. Zauważyła, że ma na sobie wczorajsze ubranie, ale nie miało to znaczenia. Wyglądał wspaniale. Spojrzała na siebie. Okropność, uboga krewna, żałosny widok.

Czemu lustruje go od stóp do głów? Uśmiechnął się. - I co, zdałem egzamin?

- Tak. Właśnie myślałam, że świetnie sobie radzisz bez lokaja.

- Dziękuję, Brandy ale jeszcze jeden dzień bez Marleya i będę musiał pożyczyć ubrania od Bertranda. Cóż to dziś mamy? Ach, owsianka. - Do licha, wiele by dał za jeden plaster surowej polędwicy i talerz cynaderek.

- Ma dzisiaj grudy. Kucharka chyba się znów zakochała.

- Co takiego? Kucharka się zakochała?

- Owszem. Ma miękkie serce. Każdy mężczyzna żyjący w promieniu pięćdziesięciu mil od Penderleigh może zawsze być pewien, że nie odejdzie od naszych drzwi nienakarmiony. Zdarza się, że kucharka się zakocha i wtedy cierpi na tym nasze jedzenie.

Nałożyła chochlą dużą porcję i postawiła miskę na stole, Ian usiadł, dodał cukru i śmietanki i zapytał: - A co porabia twoja kruszynka Fiona dzisiejszego poranka?

- Ma katar, więc kazałam jej zostać w łóżku. Nie cierpi tego, więc muszę pilnować, by mi nie uciekła.

- Jeśli Mabley przyjedzie dziś rano, poproszę, by na nią spojrzał. Zawsze wozi ze sobą cały zapas różnych lekarstw, mikstur, maści i tym podobnych. A jeśli przyjedzie już po moim wyjeździe, śmiało korzystaj z jego usług.

- Wyjeżdżasz? - Dlaczego nikt jej nie powiedział? Przełknęła głośno ślinę. - Ale dlaczego? Dopiero przyjechałeś i za wcześnie jeszcze...

- Wyjeżdżam razem z Bertrandem, nie z powrotem do Anglii.

Zdecydowaliśmy wczoraj, kiedy już spałaś. Najpierw do Cheviot, obejrzeć owce, a potem do kilku miasteczek, w których są fabryki włókiennicze. Nie zajmie nam to dużo czasu.

- To znaczy?

- Tydzień, może dwa. Nie jestem pewien. - Ciekawe, jakie myśli chodzą po jej głowie. Przypomniał sobie dziwaczną rozmowę z wczorajszego wieczora i ostatnie, odważne słowa, które wypowiedziała, zanim uciekła. Powiedziała, że się myli. Myli się w jakiej sprawie? Chciał to wszystko wyjaśnić, ale nie mógł się zdobyć na ponowne wracanie do tego tematu. Zawstydziłby ją tylko. I to powtórnie. - Mam nadzieję, że wszystko jeszcze raz przemyślałaś i przyjedziesz do Londynu w jesieni. Do chwili, kiedy przedstawimy cię na balu debiutantek, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby się wszystkiego nauczyć.

Spojrzała mu prosto w oczy. Jak widać, jest mężczyzną, który kuje żelazo póki gorące. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, jak ją te słowa ranią? Oczywiście, że nie. Skąd mógł wiedzieć, że na samą myśl, iż miałaby mieszkać razem z nim i jego żoną, cierpła jej skóra i czuła się jak pomarszczone zimowe jabłko. Popatrzyła na niego spokojnie i wzruszyła lekko ramionami. - Szkocja to mój dom, wasza wysokość. Nie pojmuję, dlaczego chcesz, by jakaś niezdarna prowincjuszka narobiła ci wstydu przed wykwintnymi przyjaciółmi i twoją cholerną żoną. - Odchrząknęła, modląc się w duchu, że nie usłyszał ostatnich słów. - Lepiej będzie, jeśli wrócisz do Londynu sam, wasza wysokość.

- Mam wrażenie, że ilekroć się na mnie obrazisz, zaczynasz mnie tytułować. - No tak, jeszcze wyżej zadarła dumny podbródek. - Porozmawiamy o tym po moim powrocie. Zdajesz sobie sprawę, że lady Adela zachowuje się niewłaściwie, szczególnie jeśli chodzi o ciebie i Percy'ego. Uważaj na siebie podczas mojej nieobecności. Nie wygląda na to, by Percy miał ochotę wyjechać z Penderleigh.

Nie dawało mu to spokoju. Powinien coś zrobić, ale co? Na przykład złamać Percy'emu obie nogi. To by nicponia sprowadziło do parteru. Rozchmurzył się.

- Zapewniam cię, wasza wysokość, to jest Ian, że potrafię o siebie zadbać.

Percy to jazgoczący pies, lubi się chełpić i mnie zawstydzać, ale nie boję się, że chciałby mnie nagle całować.

Całowanie go nie przerażało, natomiast próba gwałtu tak. Połamie Percy'emu nogi - ale to wywoła pytania, zdumienie, wreszcie zbiorową wściekłość Robertsonów. Przyszło mu nagle na myśl, że może ją ochronić bez jej wiedzy, co więcej, bez uciekania się do przemocy, choć myśl o łamaniu Percy'emu kości wciąż wydawała się zachęcająca. Zastanawiał się jeszcze przez chwilę, a następnie pokiwał głową w milczeniu. Zatroszczy się o bezpieczeństwo Brandy, a jednocześnie uniknie jej gniewu. Naprawdę sądzi, że da radę Percy'emu, jeśli ten się na nią rzuci? To ta niewinność, niewinność połączona z przekonaniem, że sobie poradzi. Tyle że tutaj była w błędzie.

Nie dałaby rady przeciwstawić się Percy'emu.

- Jaka ona jest, ta twoja przyszła żona? - zapytała Brandy, zbijając księcia z tropu. - Pewnie to wielka dama, śliczna, zgrabna i pełna gracji? - Ciekawe, czy wie, jaką jest szczęściarą, że ma ciebie. Uwielbia cię ponad wszystko i ciągle cię dotyka i całuje, dodała jeszcze w myślach.

Nie miał ochoty rozmawiać o Felicity. Nie miał nawet ochoty wspominać jej imienia. Powiedział tylko: - Chyba wszystko się zgadza.

Cóż za dziwna uwaga. Nie chciał mówić o kobiecie, która zostanie wkrótce jego żoną? - Jak wygląda?

Do diabła, co ją to obchodzi? - Ma ciemne włosy, zielone oczy, jest bardzo drobna. Wystarczy, panno ciekawska?

Nie bardzo. - Tak - odparła. Przez chwilę mieszała łyżką w owsiance. - Co myślisz o Szkocji, Ian? I o Szkotach?

- Ludzie są wszędzie tacy sami. A co do Szkocji, myślę, że lepiej odpowiem na to pytanie po powrocie.

- Nie gardzisz nami?

- Mój Boże, Brandy, cóż to za pytanie? Dlaczego miałbym wami gardzić?

- Jesteś bardzo uprzejmy. Czasami nawet za bardzo. Masz dobry charakter.

Bertrand traktuje cię jak bóstwo. Wszyscy tutaj, łącznie ze mną, spodziewaliśmy się aroganckiego Anglika, który zabierze nam ziemię i zmiażdży pod swoim obcasem.

- A ty, Brandy, co sądzisz na mój temat? - powiedział, patrząc jej prosto w oczy.

- Poza tym, że jesteś uprzejmy i dobry, jesteś mężczyzną z krwi i kości. Być może jesteś nawet ekscytujący.

Sekundę później wstała od stołu, w dwie sekundy była przy drzwiach. - Życzę ci szczęśliwej podróży, Ian.

- Wolałbym, gdybyś dodała przymiotnik „piękny", tak jak wczoraj - zawołał za nią. - Uprzejmy i dobry mogą być. Nie protestuję też przy mężczyźnie z krwi i kości. A ekscytujący? Cóż to takiego ma znaczyć?

Oczekiwał złośliwego uśmiechu lub ucieczki w popłochu, lecz ona powiedziała tylko: - Skoro jesteś dla mnie tym wszystkim, nie powinieneś domagać się więcej.

Już jej nie było. Znikła, zamykając cicho drzwi.

Ku radości Iana Mabley pojawił się w niecałą godzinę później, zadowolony, że znów widzi swego pana, choć nie chciał dać tego po sobie poznać.

- Fatalnie wasza wysokość wygląda - powiedział kwaśno i podążył za Ianem do sypialni.

- Narzekaj, ile chcesz, ale spakuj mi neseser, bo wyjeżdżam na kilka dni. Nie, nie trzeba ich czyścić - dodał, zauważając, że stary lokaj jest bliski apopleksji na widok zabłoconych butów. Miał nadzieję, że Mabley nieprędko pozna Morąg. Nie mógł sobie wyobrazić, jak wrażliwy nos służącego zniesie taki wstrząs. Zostawił go wśród narzekań i jęków i poszedł szukać lady Adeli.

Musi z nią porozmawiać przed wyjazdem. Naładuję twoją broń, Brandy, powiedział do siebie i ruszył do zachodniego skrzydła zamku, gdzie znajdowały się pokoje Adeli. Obejdzie się bez łamania Percy'emu nóg.

Wielka szkoda.

Drzwi otwarte były na oścież, a z pokoju dobiegały dwa rozgniewane kobiece głosy. Jeden należał do lady Adeli, natomiast drugi - skojarzył po chwili - do starej służącej, Marty.

- Jesteś zimną suką bez serca.

- Może i jestem - odpowiedziała lady Adela gromko. - Ale przynajmniej nigdy nie byłam taka jak ty, sama skóra i kości. Pan niewiele miał z tobą przyjemności. Ciągle do mnie wracał, aż musiałam zacząć zamykać drzwi na klucz.

- Kłamiesz, do diabła! Pan przychodził do mojego łóżka, bo ty wrzeszczałaś na niego i przy tobie nie czuł się jak mężczyzna. Nigdy mnie nie zostawił, nigdy.

- Głupia jesteś, Marto. W Penderleigh to ja byłam jednocześnie hrabią i hrabiną. Kiedy zaczął się z tobą zadawać, dał mi tylko kolejne narzędzie do ręki.

- Kochałam go, słyszysz? - powiedziała Marta drżącym głosem.

Rozległ się zgrzytliwy śmiech lady Adeli. - Kochałaś. Głupia dziwka. A co on ci dał? Nigdy mi to nie przeszkadzało, wiesz o tym. Był zwierzęciem, chciał się wyżyć, a potem odwracał się na drugi bok i zaczynał chrapać, śniąc o tym, jakim jest świetnym kochankiem. Nie kłam, że czerpałaś z tego przyjemność. Nie potrafiłby zaspokoić nawet kozła.

- Już nie jesteś hrabią i hrabiną Penderleigh, milady. Książę nie jest słabym Robertsonem. Jest uparty i chce rządzić majątkiem po swojemu. Jest miły, bo to dżentelmen, ale ma dumę i swoje zasady jak król. Nie będzie tańczył, jak mu zagrasz.

Książę wrósł w ziemię, zapominając o wszelkich kwestiach etycznych. Był zadowolony, że porównanie z Robertsonami wypadło na jego korzyść. Nie miał zamiaru wypierać się królewskiej dumy i zasad, chociaż król Jerzy III dawno temu zwariował i mało kto nie zdawał sobie dziś z tego sprawy.

- Coś sugerujesz, stara łajdaczko? - W tonie lady Adeli pojawiła się groźba. - Jedyne, co robię, to naprawiam błędy tego starego capa. A co do twojego kochanego księcia, wyjedzie stąd szybciej, niż możesz przypuszczać.

Trzymaj lepiej język za zębami, szczerbata czarownico, bo inaczej...

- Bo co? Każesz mi szorować podłogi w kuchni?

Głos lady Adeli ucichł i książę musiał wytężyć słuch. - Wiesz, zastanawiałam się, czy małżeństwo Percy'ego z jakąś bogatą pannicą to dobry pomysł. Kiedy MacPherson wyprostuje jego papiery, będzie dobry dla naszej Brandy.

- A więc o to chodzi. Wiedźma z ciebie. Dziewczyna nie cierpi tego lubieżnego osła. Zarazi ją syfilisem, ot co. Każdy głupi widzi, że Percy nie chce zostać w Penderleigh. A co do Brandy, on jej nie kocha. Podnieca go tylko jej dziewictwo i to, że tak mu się opiera.

- Romantyczne głupoty - w głosie lady Adeli słychać było wyraźną dezaprobatę. - Percy nie ma syfilisu, sam mnie o tym zapewniał. Powiedział, że uważa na siebie. Przecież by mnie nie okłamał. Będę go nadal zachęcać, może nawet pozwolę, by wziął Brandy siłą. A gdy ona zajdzie w ciążę, dopilnuję, by się pobrali. Zatańczy, jak mu zagram, cały czas głęboko przekonany, że jest panem swego losu.

- To zły pomysł. Brandy go nienawidzi. Chcesz, żeby była tak samo nieszczęśliwa, jak ty kiedyś?

- Zamknij się, głupia. To jeszcze dziecko. Sama nie wie, czego chce. Zrobi, co jej każę. I nie gadaj głupot o miłości. Ty stara ścierko, według ciebie miłość to spocony, stękający chłop między nogami.

- Jesteś złą kobietą, na głowę bijesz Angusa.

Książę usłyszał stukot drewniaków i cofnął się w głąb korytarza. Do diabła, starucha chyba zwariowała. Nawet gdyby miał zabrać Brandy do Londynu siłą, wierzgającą i opierającą się ze

wszystkich sił, to i tak było to lepsze, niż zostawienie jej pod opieką perwersyjnej babki.

Odczekał kilka minut, a potem wrócił do pokoju Adeli. Tym razem pokaże jej, kto tu jest panem Penderleigh. Zastał ją siedzącą przy kominku, wyprostowaną jak struna. U stóp leżała poduszka, na której zwykle siadała Brandy. Rozejrzał się po pokoju, nie mogąc sobie wyobrazić bardziej nieprzyjemnego i chłodnego miejsca.

Usiadł. - Mam pewien problem, ciociu, i przyszedłem prosić cię o radę.

W wyblakłych oczach pojawił się ognik zainteresowania. - Tak, chłopcze?

- Chodzi o dziewczęta, a w szczególności o Brandy, bo jest najstarsza.

Ponieważ jestem opiekunem prawnym dziewcząt, chciałbym zapewnić im odpowiedni posag i przedstawić je podczas sezonu w Londynie.

- Nie widzę w tym sensu. Dlaczego?

- Sądziłem - powiedział chłodno - że perspektywa lepszego życia dla wnuczek powinna cię ucieszyć.

- Nie zaprzeczam, posag przyda się Penderleigh. Chodziło mi raczej o wyjazd do Londynu. Zaplanowałam dla nich coś innego, więc nie przejmuj się ich losem. Już zatroszczyłam się o przyszłość.

- Wybacz, Adelo, ale nie życzę sobie, by posag miał zasilić kufry Penderleigh.

Pieniądze wydam pod warunkiem, że zaakceptuję przyszłego narzeczonego.

- Mówiłam, chłopcze, że dziewczęta to mój problem, więc nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Uposażysz dziewczęta z moim pełnym błogosławieństwem, ale to ja wybiorę im mężów. Jesteś zbyt młody, by sam bawić się w takie rzeczy.

- Powiem to tylko raz, milady. Nie zgodzę się, byś miała taką władzę, zwłaszcza że wiem, iż lubisz jej nadużywać. Pamiętaj, że to ja jestem panem Penderleigh, a ty nie jesteś już panią. Będziesz w Penderleigh tym, co ja uznam za stosowne, niczym więcej.

Syknęła, zdając sobie sprawę, że popchnęła go za daleko. Nie jest głupia. Natychmiast się wycofała. - Co chcesz przez to powiedzieć, mój chłopcze?

- To, że Percy nie ożeni się z Brandy, bez względu na to, czy dzięki twoim machinacjom przestanie już być bękartem. Co więcej, jako pełnoprawny opiekun Brandy nie pozwolę, by jej się dłużej naprzykrzał.

- Co, boisz się, że może zabrać ci Penderleigh lub Brandy? - Skwitował to milczeniem. Był wściekły i chciał mieć trochę czasu na powrót do równowagi. Dodała przymilnym tonem: - Nie dałeś mu szansy. Percy nie jest zły, tylko zaniedbany. Potrzebuje dobrej żony, która wydobędzie z niego dobre skłonności. Pomyśl tylko, jeśli uposażysz Brandy, a ona poślubi Percivala, cała gotówka zostanie w Penderleigh. Dziewczyna nie wie jeszcze, co dla niej dobre i dlatego się z nim droczy. Dopilnuję, żeby nie stała jej się krzywda, kiedy zostanie jego żoną.

Książę wyprostował się. - Wysłuchaj mnie uważnie, milady - powiedział powoli, chłodnym, opanowanym tonem. - Percy nie tknie ani Brandy, ani Konstancji. Jeśli będziesz go dalej zachęcać albo nakażesz Brandy, by akceptowała jego zaloty, spotka cię następujący los. Usunę cię siłą z Penderleigh. Dostaniesz skromniutką wdowią pensję i nie będziesz już mącić w sprawach rodziny. Czy wyrażam się wystarczająco jasno, milady?

Wcisnęła się w oparcie krzesła. - Nie odważysz się.

- Doskonale wiesz, że tak. Nie prowokuj mnie. - Spojrzał prosto w kaprawe oczy staruchy. - Nie interesują mnie twoje niejasne intencje w stosunku do męskiej części rodziny. Zapamiętaj jedno. To

ja tutaj rządzę. Uda ci się uznać Percivala za dziecko z prawego łoża czy unieważnić wydziedziczenie Claude'a i Bertranda tylko wtedy, gdy na to wyrażę zgodę. Lady Adela nabrała głęboko tchu. Gdyby tylko mogła go uderzyć! Marzyła w duchu, by wbić mu nóż między żebra. - A więc śmiesz mi grozić, książę. Nie lubię gróźb, szczególnie w ustach Anglików.

- Nie grożę ci, pani. Uwierz mi, jeśli postąpisz wbrew moim życzeniom, zwłaszcza w kwestii Brandy, zrobię dokładnie to, co obiecałem.

Zastanawiam się, gdzie cię wyślę... może do Glasgow, na drugi koniec Szkocji. Pozwolę ci zabrać ze sobą Morąg. Przemyśl dobrze moje słowa.

Jestem znany z tego, że zawsze dotrzymuję obietnic.

Szybko spuściła wzrok na pokrzywione dłonie, ale widać było, że tym razem uwierzyła. Dobrze. Przynajmniej okazuje trochę rozsądku. - Słyszałaś być może - dodał po chwili - że Bertrand i ja wyjeżdżamy z Penderleigh. Nie będzie nas przez kilka dni. Oczekuję, że podejmiesz natychmiastowe kroki, aby Percy nie zbliżył się bardziej niż na metr do Brandy. Następnie użyjesz swoich nieograniczonych wpływów, by ją przekonać, że powinna po moim ślubie przyjechać do Londynu.

Lady Adeli nie udało się ukryć niedowierzania. - To znaczy, że słyszała o twoich planach i ci odmówiła?

- Owszem, ale oczekuję, że po moim powrocie przyjmie tę propozycję. A teraz, milady - podniósł się z krzesła - czy zgadzasz się postąpić tak, jak cię prosiłem?

Rzuciła mu nienawistne spojrzenie i machnęła żylastą ręką. - Zgadzam się, przynajmniej w tej chwili.

- To znaczy dopóki nie wymyślisz czegoś nowego? Tylko spróbuj, a już niedługo będziesz oddychała czystym powietrzem Glasgow. - Ukłonił się lekko i odwrócił na pięcie.

Pogoda poprawiła się wkrótce po obiedzie, Ian i Bertrand postanowili, że wyjadą czym prędzej, zanim się znów nie pogorszy. Nieco skonfundowany Mabley wręczył swojemu panu neseser. - Proszę uważać na siebie, wasza wysokość - powiedział.

- Będę uważał. Nie potrwa to długo, Mabley. Dam ci tylko jedną radę.

Trzymaj się z daleka od kobiety o imieniu Morąg, a wszystko będzie dobrze.

- Uśmiechnął się szeroko, poklepał lokaja po ramieniu i odjechał.

ROZDZIAŁ 12

- Nie wchodź do wody, kruszynko! - Brandy zawołała do Fiony, zdając sobie sprawę, że jej słowa wpadają do rudej głowy jednym uchem, a wypadają drugim. Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, patrząc jak mała zbiega kamienistą ścieżką w stronę plaży.

Westchnęła i odwróciła się, świadoma przyczyny nagłej fali smutku, Ian opuścił Penderleigh ledwie godzinę temu. Patrzyła za powozem jeszcze długo, aż ucichł zupełnie stukot końskich podków. Zrobiło się gorąco, zdjęła z ramion szal, podwinęła do łokci rękawy. Z braku lepszego zajęcia usiadła na trawie i z nieobecną miną zaczęła wić wianek z żółtych zawilców.

Zdała sobie sprawę z czyjejś obecności i odwróciła się. Kilka kroków za jej plecami stał Percy. Przyglądał jej się z dłońmi na biodrach, a następnie złapał jej szal, zwinął go w kłębek i odrzucił.

Zmierzyła go chłodnym wzrokiem. - Kogóż my tu mamy? Nasz hulaka wyszedł na słońce. Coś takiego. Nie wolałbyś siedzieć w ciemnościach i popijać sherry? Albo łajdaczyć się gdzieś na mieście? Albo przechwalać się w towarzystwie kompanów od kieliszka, jaki jesteś świetny? To wcale nie jest zabawne. Oddaj mój szal i zostaw mnie w spokoju.

- Obrażasz mnie, Brandy. Dziewczęta nie powinny w taki sposób strzępić języka. Kto wie, jak na coś takiego może zareagować mężczyzna. A po co ci ten szal? Przecież jest ciepło. - Zielone oczy powędrowały w stronę jej piersi i talii. - Doprawdy, nie powinnaś tak ukrywać swoich wdzięków, Brandy. Co, zdziwiona? Nie sądziłaś, że ktoś zauważy przez to przebranie? Ja znam się na kobietach. Wiem, że masz piękne piersi pod tą sukienką. Chętnie bym je obejrzał, dotykał i pieścił. Spodoba ci się, zobaczysz.

Podniosła głowę. Bała się, ale nie miała zamiaru tego okazywać. - Cóż za świnia z ciebie. Nie podobasz mi się, jesteś wstrętnym chamem. Powtarzam, zostaw mnie w spokoju. Nie życzę sobie towarzystwa świń i bękartów.

Zobaczyła niebezpieczny błysk w zielonych oczach i wycofała się instynktownie. Posunęła się za daleko.

- Uderza ci do głowy, bo nasz znakomity książę błaga cię, byś jechała z nim do Londynu? Cóż to, widzę zdumienie w twoich oczach? Lady Adela właśnie mi powiedziała, nazywając to twoim szczęśliwym losem.

Nie dodawał, że lady Adela, ta stara czarownica, dała mu wyraźne instrukcje.

- Powiedz, kuzyneczko, co takiego zrobiłaś, że książę chce ci zafundować podróż i jeszcze posag?

- Jak to, Percy? Książę jest takim samym mężczyzną jak ty. Wystarczyło, że zdjęłam ubranie i zatańczyłam przed nim nago. A wszystko to dla paru groszy i wyjazdu do Londynu. Głupiec z ciebie. Idź sobie.

Podniosła się. Powoli postawiła jedną stopę za drugą. Nawet nie drgnął. Gapił się na nią... nie,

nie na nią - gapił się na jej piersi. Wyglądał jak drapieżnik gotowy do skoku. Wiedziała, że nie wygra, jeśli ją zaatakuje. W tej chwili zdała sobie sprawę, że Ian poszedł do lady Adeli bez jej wiedzy i zgody. Niech go diabli. Zapłaci za to po powrocie.

- Percy, zastanów się dobrze - odezwała się głosem, który w jej mniemaniu przypominał głos bogobojnej zakonnicy. - Jesteś moim kuzynem. Powinieneś mnie chronić, a nie atakować. - Nie sądziła, że to podziała, ale musiała spróbować. Czyżby brak mu było honoru? Milczał.

- Słuchaj, Percy. Nie mam zamiaru wyjeżdżać do Londynu. Wiesz chyba, że babcia nic innego nie robi, jak tylko miesza i intryguje. A co do posagu, który ma nam zafundować książę, nic mi o tym nie wiadomo. - Wzruszyła ramionami i cofnęła się o kolejny krok.

- Dziwna z ciebie dziewczyna, Brandy - powiedział w końcu Percy. - Czego ty chcesz?

- Czego chcę? - powtórzyła powoli ze zmarszczonym czołem. Doskonale wiedziała, czego chce, lecz to było niemożliwe. Popatrzyła na otwarte morze.

Na maleńkiej łódce widać było rybaków, zarzucających wielokrotnie naprawiane sieci.

- Nie mam zamiaru gonić za mrzonkami. Nie chcę postąpić wbrew sobie. Chcę mieć to, co teraz mam, to znaczy rodzinę, Fionę, Penderleigh. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Masz zamiar tu zostać czy wracasz do Edynburga?

Wspomniał zimny, kpiący ton Adeli: „Trzymaj łapska z daleka od Brandy, koguciku. Może lepiej, żebyś wyjechał do Edynburga? Ponoć czeka tam na ciebie dziedziczka?".

- Wracam - powiedział. - Jutro, jak sądzę. Muszę czarować dziedziczkę. Jej ojciec się o tym na razie nie dowie. Poczekam, aż sąd udzieli mi stosownego poparcia w moich zabiegach.

- Tego właśnie chcesz, Percy? - zapytała Brandy. W jego głosie słychać było gorycz i przez chwilę zrobiło jej się go żal.

Spojrzał na nią, na miękkie loki okalające jej twarz, na krągłość piersi pod zwyczajną sukienką i bandażami, którymi się pewnie krępowała. - Nie, nie chcę, ale tylko to mogę mieć. Chcę ciebie.

Zanim zorientowała się, o co mu chodzi, złapał ją za ramiona i przyciągnął gwałtownie do siebie. Krzyknęła ze strachu i chwilę później poczuła, jak przyciska usta do jej warg i wpycha jej język. Przeszył ją dreszcz obrzydzenia, nienawidziła jego wilgotnych ust, nienawidziła tej przemocy. Zaczęła walczyć, odpychając go od siebie, wbijając mu paznokcie w twarz.

- Nie opieraj się, Brandy - szeptał jej do ust, tłamsząc krzyki. - Wiesz, jak bardzo cię pożądam. - Złapał ją za biodra, podniósł i rzucił na kępę żółtych zawilców.

Wrzasnęła, ale zakrył jej dłonią usta. Rzucił się na nią. Poczuła jego ciężar i przez chwilę zabrakło jej powietrza.

Rwał guziki jej sukni, lepkimi paluchami sięgając piersi. Mój Boże, pomyślała, jeszcze chwila i mnie zgwałci. Miotała się co sił, okładając go pięściami po twarzy, wyrywając mu włosy. Dyszał jej prosto w usta, na brzuchu czuła jego nabrzmiałą męskość. Widziała, jak kopulują zwierzęta, wiedziała, że zaraz w nią wejdzie. Była przerażona własną bezsilnością.

- Brandy! Kuzyn Percy! Bawicie się tutaj i nawet mnie nie zawołaliście. Mogę się pobawić z wami?

Percy zamarł, a jego twarz wykrzywił grymas zaskoczenia.

- Fiona! - wrzasnęła Brandy, zakrywając piersi. - Złaź ze mnie, ty żałosny draniu. Chyba nie masz zamiaru zgwałcić mnie na oczach siostry? Nawet ktoś taki jak ty chyba nie byłby w stanie.

Zrzuciła go z siebie i wstała. Percy usiadł, miotając pod nosem przekleństwa. Był czerwony na twarzy.

- Nie mogę się z wami bawić? Biłaś Percy'ego, a on udawał, że go boli, jęczał i dyszał, jakbyś robiła mu krzywdę. - Fiona zmierzyła wzrokiem najpierw siostrę, a potem Percy'ego.

Boże, pomyślała Brandy. Potrząsnęła głową. - Kruszynko, zabawa skończona. Percy przegrał. Już się nie bawimy, dobrze? - Widząc zakłopotanie na twarzy dziecka, Brandy postanowiła zmienić koszmar w coś bardziej ekscytującego: - Tak, kuzyn Percy uczył mnie zapasów. Jak widzisz, dałam mu mocno w kość.

Miała ochotę go kopnąć, ale nie mogła tego zrobić w obecności siostry. Chciała go zabić, a potem rzucić się w Fionie w ramiona i dziękować za ocalenie, ale nie mogła. Musiała to potraktować lekko. Jak zabawę, niemądrą rozrywkę.

Chciała go zabić.

- Cóż, do następnego razu, kuzynko - Percy wstał na nogi. - Tym razem Fiona nam nie przeszkodzi. Pragnęłaś mnie, Brandy, przyznaj to przed sobą. Po prostu się krygujesz, młódki zawsze się tak zachowują. Jeszcze zobaczymy.

Cofnęła się o krok. Niebezpiecznie wygrażać samemu diabłu. - Nie będzie następnego razu, Percy - powiedziała, łapiąc siostrę za rękę. - Nigdy.

Zostawiła Fionę pod opieką Marty, unikając bacznego spojrzenia staruszki i pośpieszyła do saloniku lady Adeli.

Ściskając kurczowo rozdarte poły sukienki, nabrała głęboko tchu i stanęła przed babką.

- Wyglądasz jak strach na wróble. Włosy potargane, niezapięta sukienka. - Lady Adela fuknęła z irytacją, mierząc wnuczkę wzrokiem. - Nie mogłabyś się trochę starać i brać przykład z młodszej siostry?

Brandy poczuła, że czara się przepełniła. - Wysłuchaj mnie. Wyglądałabym jak sama królowa, gdyby Percy właśnie nie próbował mnie zgwałcić.

Wąskie brwi lady Adeli ściągnęły się w wąską kreskę. - Co takiego? Percy próbował cię zgwałcić?

- Owszem. - Na samą myśl o przygniatającym ją ciele ogarniał ją gniew.

Odetchnęła ciężko. - Fiona mnie uratowała. Myślała, że to zabawa. Nie odważył się kontynuować w jej obecności. Boże, chcę go zabić.

- A więc Fiona cię uratowała. Cóż za ulga. Wąskie usta lady Adeli wykrzywiły się w uśmiechu.

Uważa, że to zabawne, pomyślała Brandy. Nie dała za wygraną: - Co teraz zrobisz, babciu?

- Powinnam była wiedzieć, że nie zostawi cię w spokoju, moje dziecko. Lepiej go nie drażnić, ma słaby charakter jak typowy Robertson. Co niby mam zrobić? Absolutnie nic, głuptasie, przecież ostatecznie nic się nie stało. Ale z ciebie cnotka, dziecko. Chyba wiesz, czego mężczyźni chcą od kobiet i nie ma w tym nic zdrożnego. Nic ci nie zrobił, więc siedź cicho. I ani mi się waż robić mu krzywdę.

Brandy spojrzała na babkę z przestrachem w oczach. - Nie miałabyś nic przeciwko, gdyby mu się udało?

- Oczywiście, że miałabym. To by wszystko zmieniło. Ale nie spadł ci włos z głowy, więc nie histeryzuj. Nudzisz mnie, mam wrażenie, że nagle zostałaś metodystką. Dopilnuję, by nasz kogucik wyjechał jutro z Penderleigh. Nie będzie cię już niepokoił.

- Zanim się na mnie rzucił, powiedział, że słyszał od ciebie o moim wyjeździe do Londynu. Czy Ian rozmawiał o tym z tobą?

Lady Adela czuła, że w Brandy wzbiera gniew. Percy odszedł w niepamięć. A więc i w żyłach

jej wnuczki płynie gorąca krew. Postanowiła uważnie dobierać słowa, chociaż szczerze wątpiła, by książę dotrzymał słowa i odważył się odesłać ją do Glasgow. W przypadku Brandy atak był najlepszą bronią, całkiem zbijał ją z tropu. - Jasne, że rozmawiał - powiedziała pełnym wyższości tonem. - Może ty masz za nic swoją przyszłość, ale on, jako twój opiekun, ma pełne prawo dbać o twoje interesy.

- Nie chcę jechać, babciu, i tak mu też powiedziałam. Jak śmie przychodzić z tym do ciebie?

Nie udało się odwrócić jej uwagi. Ciekawe. Lady Adela uśmiechnęła się, rozkładając sękate ręce w układnym geście. - Dobrze, moje dziecko. Nie mam zamiaru cię zmuszać do wyjazdu, chociaż zupełnie nie rozumiem twojego uporu. Zachowujesz się jak Angus, a to nie jest komplement.

Brandy wydała z siebie westchnienie ulgi. - Dziękuję, babciu. Nie chcę wyjeżdżać z Penderleigh bez względu na to, co mówi książę.

- Zrobisz, jak zechcesz, moje dziecko. Myślałam, że chciałaś wybrać sobie męża, a Ian zapewniał mnie, że postawi na twojej drodze wielu odpowiednich dżentelmenów. No, ale skoro nie chcesz, zadbam o to, byś została w Penderleigh...

- Dziękuję, babciu.

- Po tym, co ci zrobił Percy, nie sądziłam, że go zechcesz, ale...

Brandy cofnęła się o pół kroku. - Percy? O czym ty mówisz? Co on ma dc tego? Och, nie, wiesz, jak bardzo nim gardzę. Nie mogę za niego wyjść, nigdy.

- Chcesz mieć ciastko i zjeść ciastko, moje dziecko? Niestety, nie ma tak dobrze. Nie ścierpię w Penderleigh żadnego darmozjada. Wyjdziesz za Percy'ego albo wyjedziesz do Londynu. Wybór należy do ciebie.

To nie może być prawda. Brandy próbowała przełknąć strach i obrzydzenie, które ścisnęły jej gardło. Zrobiła parę kroków w przód, parę w tył i odwróciła się do lady Adeli. - Babciu, dlaczego chcesz mojego nieszczęścia? Dlaczego mnie nienawidzisz? Cóż takiego zrobiłam, że zasłużyłam na takie traktowanie?

- Nie nienawidzę cię, głuptasie. Do licha, moje dziecko. Chcę tylko zadbać o twój los, zanim dołączę do Angusa w piekle. Zawsze miał do ciebie słabość, stary cap. Nie mam ochoty spędzić całej wieczności na słuchaniu, że nie dopełniłam swoich obowiązków.

Wysiłkiem woli Brandy zachowała spokój. - Jeśli tak twierdzisz, babciu, nie wierzę, by dziadek chciał, abym była nieszczęśliwa. Nie znosił Percivala, o ile pamiętasz.

Lady Adela zdała sobie sprawę, że nie wygra. Co więcej, wiedziała, jak czcza jest jej groźba. Książę nigdy nie wyrazi zgody na ślub Percy' ego z Brandy. Zmieniła gwałtownie linię obrony, mieląc pod nosem rozkazy księcia. Postanowiła okazać swoją złość - uderzyła laską w stolik stojący obok krzesła. Siła uderzenia była tak wielka, że stolik z hukiem wylądował na posadzce.

Nie podziałało. Brandy pogroziła jej tylko. - Ucieknę. Słyszysz? Przysięgam, ucieknę stąd.

Lady Adela wyprostowała się i zaczerpnęła tchu. Kąciki ust podniosły się w przebiegłym uśmiechu. - Uciekaj sobie, a nie zobaczysz już Fiony. - Nie miała pojęcia, jak miałaby tego dokonać, ale wystarczyły słowa, by ostatecznie wygrała tę bitwę. W okamgnieniu było już po buncie. Brandy opuściła ramiona, pokonana.

- Już lepiej, moja droga. Fiona jest dla ciebie jak własne dziecko, prawda?

Będzie cała twoja, jak tylko spędzisz u księcia parę miesięcy i wyjdziesz za mąż. Obiecuję.

- Jesteś złą kobietą, babciu.

- Może i jestem, głuptasie, ale nie ma to znaczenia. A teraz idź sobie, bo muszę porozmawiać z

Claudem. Czeka na mnie u siebie w domu.

Brandy obróciła się na pięcie i wybiegła. Pobiegła na plażę, nie bacząc na to, że Percy mógł się kręcić gdzieś w pobliżu. Chciała znaleźć się jak najdalej od ciekawskich oczu. Podbiegła do brzegu, wdychając słone powietrze. Patrzyła niewidzącym wzrokiem w horyzont, zastanawiając się, czy ktoś po drugiej stronie może czuć się podobnie. Woda ochlapała jej sandały i Brandy wycofała się, uciekając przed falą przypływu na wystającą z morza skałę. Podwinęła poły sukni i kucnęła. Łzy napłynęły jej do oczu. Nigdy nie mogłaby oddać Fiony. Zrobiłaby wszystko, by małej nie stracić, łącznie z małżeństwem z Percivalem. A ten drugi wybór? Na myśl o Londynie, lanie i jego młodej żonie poczuła taką rozpacz, że nawet zaciśnięte pięści nie mogły powstrzymać kapiących łez. Miałaby spędzać z nim całe dnie, podczas gdy okropna, znienawidzona żona dysponowałaby jego uwagą i sercem. Przyszły jej na myśl słowa, które sama powiedziała do Percy'ego: - Nie mam zamiaru gonić za mrzonkami.

Idiotka ze mnie, pomyślała. Książę jest poza zasięgiem, to wszystko. Przełknęła gorzką pigułkę i zwróciła myśli w stronę Londynu. Nie miała pojęcia, na czym polegał londyński sezon. Z tego, co mówiła babcia, był to czas, kiedy panny i kawalerowie spotykali się po to, by zadecydować, kto kogo poślubi. Próbowała sobie wyobrazić londyńskich dżentelmenów, ale przychodziła jej na myśl tylko twarz Iana. Wstała gwałtownie i kopnęła sandałem w skałę. Może jestem idiotką, powtórzyła, ale pragnę tylko jego i nikogo innego nie chcę. Wyprostowała się i podniosła wzrok na morze.

Goni za mrzonkami, to pewne. Trudno, niech tak będzie. Marzenia to jedyna rzecz, która jej pozostała.

Opierając się ciężko na lasce, lady Adela dała się zaprowadzić Fraserowi do salonu. - Nie wstawaj, Claude - powiedziała kwaśno. - Nie ma powodu, byśmy cierpieli oboje.

Fraser pomógł jej usiąść, a następnie zaoferował świeżo upieczoną bułeczkę.

- Może jeszcze dżem truskawkowy, milady?

- Dziękuję, ale nie, Fraser. Same smakują najlepiej, z masełkiem wyciekającym po bokach. Gdyby nie wasze rozstanie, Morąg byłaby dziś gruba jak armata. Claude, ty miałeś więcej szczęścia do służących. Może jednak zamienisz Frasera na Morąg?

Claude wybuchnął śmiechem, prezentując kawałki bułki między resztkami przednich zębów. - Fraser się stąd nie ruszy. A gdybym chciał go umieścić bliżej Morąg, zwiałby do Edynburga i tyle byśmy go widzieli. Mam rację, Fraser?

Fraser uśmiechnął się i pokiwał głową w milczeniu.

Lady Adela stuknęła go końcem laski w nogę. - Nie brakuje ci dziewczyny, która grzałaby ci łóżko, Fraser? Przysięgam, Morąg drapie się coraz bardziej, a wszystko to z braku mężczyzny.

Fraser zmarszczył nos. - Pozwolisz, milady, że powiem jedno. Morąg drapie się nie z braku mężczyzny, tylko z braku mydła.

Lady Adela zakrztusiła się bułką i Fraser delikatnie poklepał ją po plecach. - Lubię mężczyzn, którzy nie boją się mówić, co myślą, Fraser. Idź już sobie, muszę pomówić z twoim nudnym panem.

Fraser ukłonił się i wyszedł z salonu. Adela zlizała okruchy z ust i zwróciła się do Claude'a.

- Nareszcie, bratanku, możemy mówić otwarcie. Słuchaj mnie dobrze, ponieważ to moje ostatnie słowo na ten temat.

Claude wyprostował się, na chwilę zapominając o artretyzmie, a w jego oczach pojawił się blask.

- Czas naprawić krzywdy. Stary MacPherson zgrzyta zębami ze złości, że wyznaczyłam mu takie

zadanie. Ale to już postanowione. Odzyskasz prawa do Penderleigh, a z tobą twój syn Bertrand. Jeden diabeł wie, jakie korzyści ci to przyniesie.

- O ile mi wiadomo, szykują się same kłopoty. Słyszałem, że masz zamiar uznać tego nicponia Percy'ego. A książę? Mogę zapytać, jakie masz co do niego plany?

Lady Adela uniosła brew. - Cóż to za pytanie? Mam go otruć jak Lukrecja Borgia? Przecież wiesz, że nie mogłam nic zrobić, dopóki Angus był jeszcze na tym świecie. Jak umarł, musiałam chwilę odczekać, bo ni stąd, ni zowąd pojawił się ten Anglik. I dobrze, bo popatrz jak pompuje do Penderleigh swoje pieniądze. Nie mam zamiaru pozbywać się kury znoszącej złote jajka. A potem zobaczymy. Ty, Bertrand, Percy - będę świadkiem pięknej bitwy, o ile w waszych żyłach płynie krew, nie woda.

- Związałaś mi ręce, milady - mruknął Claude. - Widzę, że nie raczyłaś spojrzeć poza czubek własnego nosa. Skoro to jemu przypadło Penderleigh, żaden z nas nie odniesie korzyści. Czy masz pojęcie, co czuję, widząc, jak Bertie wynosi pod niebiosa tego Anglika? Przestał już nawet uważać, że Penderleigh należy się mnie - a w następnej kolejności jemu. Tak, milady, oboje jesteśmy pod obcasem księcia, więc nie ostrz zawczasu pazurków.

Lady Adela nachyliła się do przodu i powiedziała łagodnie: - Masz rację, Claude. Ale pamiętaj, że książę nie ma jeszcze bezpośredniego potomka.

Jedynym męskim krewnym jest jakiś angielski kuzyn. Chyba nie sądzisz, że szkocki sąd uzna za prawowitego dziedzica Penderleigh Anglika, który w żaden sposób nie jest spokrewniony z Robertsonami. - Podniosła dłoń, bo Claude wyglądał, jakby chciał zaprotestować. - Wystarczy, chłopcze. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy dla ciebie i Bertranda. Zgoda, dla Percivala również. Teraz wszystko zależy od was. To moje ostatnie słowo.

- Chcę tylko tego, co mi się należy - powiedział Claude gniewnie. - Dajesz mi siodło, ale nie konia. - Oczy nabrały przebiegłego wyrazu. - A gdyby tak wszyscy poznali przyczynę wydziedziczenia mojego ojca? Gdybyś...

Lady Adela parsknęła śmiechem, odrzucając głowę w tył. - Douglass nie był tak tępy jak ty, Claude. Nazwałabym cię parszywym kłamcą i kazała przepędzić, gdzie pieprz rośnie. Twój ojciec trzymał język za zębami aż do śmierci. Popełnił błąd, że ci powiedział. Jeśli masz trochę oleju w głowie, nie wspominaj o tym Bertrandowi. Mam wrażenie, że ten chłopak w ogóle nie ma kręgosłupa. Nic nie robi, tylko tańczy wokół księcia.

- Nie pozwolę ci tak mówić o moim synu. Według mnie, milady, sama gustujesz w bufonach takich jak Percival, a nie dżentelmenach jak mój Bertie.

Lady Adela podniosła rękę w pojednawczym geście. - Spokojnie, Claude, nie denerwuj się, bo ci serce pęknie. - Głośno siorbiąc, wypiła łyk herbaty i zmieniła temat. - Nie wspominałam ci, że przeznaczyłam moją Konstancję dla twojego syna. Sądziłam, że mamy jeszcze trochę czasu, ale dziewczyna rozkwitła szybciej, niż oczekiwałam. Jeśli wzrok mnie nie myli, nie jest Bertrandowi obojętna.

Claude potrząsnął głową ze szczerym niedowierzaniem. - Mała Connie? Skąd. Bertie nigdy nie zawracał sobie głowy dziewuchami, szkoda zresztą, poza tą jedną wieśniaczką.

- Otaczają mnie sami głupcy. Otwórz oczy, mój drogi. Connie jest inna niż Brandy. Ona uważa się już za dorosłą. Jeśli Bertrand będzie zgrywał dżentelmena, dostanie kosza i będzie mógł mieć pretensje tylko do siebie.

Claude podrapał się z zadumą po brodzie. - Bertie mówił, że książę chce wypłacić dziewczętom

posag.

- Owszem. Nie martw się, nie wyślę Konstancji do Londynu. Boże, trzeba by czekać jeszcze dwa lata, a do tego czasu na pewno straciłaby wianek.

Claude przekręcił się z wysiłkiem na krześle. Niech to licho, gościec dawał mu się dziś wyjątkowo we znaki. - Dobrze, milady, porozmawiam z synem. Tylko nie oczekuj, że będzie robić do tej małej piękne oczy.

Adela próbowała sobie coś podobnego wyobrazić, ale się nie udało. - Mój drogi, ja nie jestem w stanie wyobrazić go sobie bez spodni. Jeśli coś z tego ma wyjść, to Connie będzie go musiała uwieść.

ROZDZIAŁ 13

Podczas następnych dwóch tygodni Brandy odkryła, że sielski żywot, którego postanowiła tak kurczowo się trzymać, stracił dużą część swojego uroku. Jej myśli coraz częściej uciekały w stronę księcia, zastanawiała się, co w tej chwili robi i czy kiedykolwiek zdarza się mu o niej pomyśleć. Oczyma wyobraźni widziała siebie w roli eleganckiej młodej damy, która w cudowny sposób wyzbyła się szkockiego akcentu i nazbyt okazałego biustu. Wokół stali przystojni londyńscy dżentelmeni, a zazdrosny Ian nie spuszczał jej z oka. Nie, pomyślała, Ian nie mógłby być zazdrosny. Zazdrosny o co? Jest pewny siebie, zbyt dobrze wie, kim jest i na co go stać, aby kiedykolwiek poczuć jakieś wątpliwości.

Już widziała się z wachlarzem w dłoni, kiedy usłyszała turkot nadjeżdżającego powozu. Szybko wróciła do rzeczywistości.

Ruszyła powoli do zamku, zastanawiając się, któż to przybył z wizytą. Pewnie MacPherson. Babcia wspominała, że ma dziś przyjechać. Minęła ostatnią kępę rododendronów zasłaniającą widok na zamek i stanęła jak wryta. Tuż przed głównym wejściem stał powóz księcia.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że wygląda jak strach na wróble. Słone, wilgotne loki przykleiły się do czoła, stara bura sukienka upodobniała ją do chłopki. Postanowiła, że przemknie się cicho wejściem dla służby.

- Brandy! - Jej imię rozległo się jak dzwon po całym podwórzu. Książę i Bertrand, stojący teraz obok powozu, patrzyli w jej stronę. Zagryzła usta i zmusiła się, by do nich pomachać. Ani jej się śni podchodzić bliżej. Musi się trzymać na dystans.

Usłyszała, jak Bertrand mówi do Iana: - Zawsze wygląda jak mała syrenka. Chyba raczej morświn, pomyślała. Podeszła bliżej, czując, że każdy krok jest boleśniejszy od poprzedniego.

- Zgadzam się. - Ian uśmiechnął się. Zaczerpnął głęboko tchu, rozkoszując się świeżym, morskim powietrzem. Jak dobrze być z powrotem w Penderleigh.

Ogromna bryła zamku nie wydawała się już ruiną, finansową studnią bez dna. Była dumnym symbolem pięknej przeszłości Szkocji.

- Chodź do nas, Brandy - zawołał Bertrand. - Nie ociągaj się. Mamy mnóstwo do opowiadania, a odgrzewana opowieść jest jak jedzenie bez przypraw.

Nie uda się wywinąć. - Dzień dobry, Bertrandzie, dzień dobry Ian. Mam nadzieję, że podróż się udała. - Zabrzmiało to grzecznie i oficjalnie, być może nawet elegancko. Może nie będą na nią patrzeć, tylko słuchać.

- Udała się doskonale - powiedział Bertrand. - Dziewczyno, pachniesz jak sama sól.

W jednej sekundzie Brandy znienawidziła morze. Podniosła głowę i w oczach księcia zobaczyła iskierki rozbawienia. Miała ochotę wrzasnąć, że nie chce, by zachowywał się jak dobrotliwy wujek. Bijące jak oszalałe serce omal nie wyskoczyło z piersi. Uważa ją za obdartusa, za dziecko. Niech to

diabli. - Pójdę się przebrać, jeśli pozwolicie.

- Nie bądź gąską. - Bertrand poklepał ją po ramieniu. - Nic się nie stanie, jeśli będziemy mieli syrenkę na zamku.

- No co ty, Brandy. Przywiozłem ci prezent z Edynburga i nie chcę czekać, by ci go wręczyć - odezwał się książę swym najmilszym tonem, a Brandy pomyślała z niechęcią, że jej czarne wizje się spełniły. Uważa się za jej opiekuna. Kupił jej prezent? Cóż takiego, lalkę? Skinęła głową, przeganiając z myśli obraz eleganckiej młodej damy, wachlującej się wachlarzem z pawich piór.

Przeszła obok Iana, a on poczuł przemożną ochotę, by złapać jeden z mokrych loków opadających na jej czoło i owinąć go sobie wokół palca. Nie ruszył się z miejsca. Skąd taki pomysł? Wszak nie był mężczyzną, kierowanym przez impulsy, i to w dodatku tak niezrozumiałe.

Wszyscy troje weszli do bawialni, Ian był ciekaw, jak przyjmie go lady Adela. Uśmiechnął się w duchu. Nie zostawił jej przecież w najlepszym humorze.

Lady Adela, Claude i Konstancja pili w salonie popołudniową herbatę. Jedyny ślad, pomyślał książę, po angielskim pochodzeniu starej hrabiny.

- No proszę, skończyliście już wygarniać baranie łajno? - Lady Adela odstawiła głośno filiżankę.

- Tak, milady. - Ian stęsknił się nieco za jej kwaśną miną. - Widzę, że zastaliśmy cię w dobrym zdrowiu.

- Owszem, lecz nie wasza to zasługa. Cóż, Bertie, cieszę się, że już wróciłeś.

Twój ojciec w twoją nieobecność stał się strasznym nudziarzem. Jak dobrze, że nie mam go na co dzień.

Bertrand nie słyszał, zatopiony w rozmowie z Konstancja, co nie uszło czujnemu oku lady Adeli. - Widzę, że bardziej tęskniłeś za kuzynką niż za starym ojcem. Cóż, znając twojego ojca, nie mogę cię za to winić.

- Nie masz racji, pani - powiedział spokojnie Bertrand, składając ukłon w stronę Claude'a. - Opowiadałem tylko Connie o pobycie w Edynburgu, zwiedzaniu zabytków, spotkaniu z zarządcą księcia i wizycie w banku.

- Jakich zabytków?

- Na przykład zamku. Ale też i innych miejsc.

- Nie sądziłam, że interesują cię burdele, Bertie. - Lady Adela uśmiechnęła się przebiegle, bębniąc palcami w poręcz krzesła.

Ian roześmiał się. - Żadnej rozpusty, zapewniam cię, hrabino. Edynburg to piękne miasto, może śmiało rywalizować z Londynem. I ma doskonałe sklepy.

- A Ian postanowił odwiedzić je wszystkie - dodał Bertrand, nie spuszczając wzroku z Konstancji. Wyprostował się i pokazał palcem na Crabbego, który stał w drzwiach z naręczem paczek.

- Przywiozłeś mi prezent - wrzasnęła Konstancja, zrywając się na nogi.

- Przywieźliśmy prezenty wszystkim paniom - odezwał się Ian, patrząc badawczo na lady Adelę. Był ciekaw, jak się zachowa.

Cóż, nie rozczarował się. Żachnęła się, ale mimo wszystko wyciągnęła ręce, kiedy podał jej pięknie zapakowane pudło.

- Cóż to, całun na moje stare kości? - powiedziała obojętnie.

- Nie, milady. Też o tym pomyślałem, ale Bertrand się sprzeciwił. Powiedział, że będziesz kręcić nosem. No i musieliśmy pomyśleć o czymś innym.

- Spryciarz z ciebie - mruknęła i szybko rozdarła warstwy srebrnego papieru. - Ach! - Oczom wszystkich ukazał się szal z najszlachetniejszego jedwabiu, połyskujący różnymi odcieniami nieba. - Nie wypada czegoś takiego nosić starej kobiecie. Podkreśli tylko moje zmarszczki. Będę wyglądać jak pomarszczona, zasuszona śliwka - dodała Adela, ale oczy jej się śmiały.

- Tak też pomyślałem. Kazałem sklepikarzowi wybrać coś czarnego i bez żadnych ozdób. - Ian westchnął. - Chyba mnie nie posłuchał. Trzeba go będzie wymienić.

Lady Adela spojrzała kwaśno i szponiastymi palcami przycisnęła szal do chudej piersi.

Bertrand podał prezent płonącej z niecierpliwości Connie, a książę wręczył paczkę Brandy. Ciekawe, jak zareaguje na prezent, który pasował do dorosłej kobiety, a nie dziewczyny, która kobietą była tylko wiekiem.

Drżącymi rękami podniosła coś, co wydawało się zwojem błękitnego aksamitu. Wstała i rozpostarła dłonie, a jej oczom ukazała się suknia. Nie miała paska ani szarfy, nie wiadomo gdzie miała być talia. Brandy spojrzała na księcia z powątpiewaniem.

- To styl empire, sławny dzięki Józefinie, ukochanej Napoleona. - Ian uśmiechnął się. Miał ochotę dodać, że krój podkreśla kobiece piersi i zwala mężczyzn z nóg, ale powściągnął język. Miał nadzieję, że jej biust jest wystarczająco duży, by wypełnić dekolt. Ostatnia rzecz, jaką chciał osiągnąć, to ją zawstydzić.

- Jest piękna, wręcz cudowna. Taka miękka. Nigdy wcześniej nie widziałam tak przepięknej tkaniny. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy. Nie ma talii.

Obawiam się, że będę wyglądała trochę dziwnie.

- Skądże - powiedział, nie spuszczając wzroku z jej twarzy. - Jest tak uszyta, żeby opadała w prostej linii z miejsca powyżej talii. To ostatni krzyk mody w Londynie.

Przyjrzała się bliżej gorsowi sukni, zdając sobie sprawę, iż zaledwie skrawek błękitnego materiału ma przykryć jej piersi. Ogarnęło ją przerażenie. Cóż za niesprawiedliwość! Dlaczego natura obdarzyła ją tak szczodrze? Dlaczego, zgodnie z najnowszą modą, pięć centymetrów materiału ma wystarczyć, by przykryć kobiecy biust?!

Kalejdoskop wrażeń, który przemknął przez jej twarz, nie uszedł uwagi Iana. A więc ją zawstydził. Suknia jej się nie podobała. Nie powinien był jej w ogóle kupować. Do diabła!

- Brandy, jeśli styl ci się nie podoba, każę uszyć inną. Nie ma najmniejszego problemu.

Przytuliła błękitny aksamit do piersi. - Ależ nie, to najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. Dziękuję ci, Ian, za twoją dobroć.

- Drobiazg. Po prostu chciałem sprawić ci przyjemność - powiedział szorstko.

Odwrócił się szybko, bo Konstancja wydała właśnie okrzyk zachwytu.

Uśmiechnął się w duchu - sam nalegał, by to Bertrand wybrał suknię dla Connie. Była z ciemnozielonego muślinu, z delikatną koronką która zasłaniała to, co byłoby dekoltem o głębokości niestosownej dla szesnastolatki.

Brandy zawinęła suknię w papier i schowała ją do pudła. Spojrzała na Iana. - A Fiona, wasza wysokość?

- Nigdy w życiu nie zapomniałbym o twojej kruszynce - powiedział z uśmiechem, wskazując na dużą drewnianą skrzynię stojącą tuż przy drzwiach.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym miłości. Zadrżał. Nie, to spojrzenie było przeznaczone dla Fiony, nie dla niego. Niech to wszyscy diabli! U licha, dlaczego czuł się tak dziwnie?!

- Pójdę po nią - Brandy wykonała lekki dyg i wybiegła z pokoju.

Bertrand zwrócił się do Konstancji. - Ta zieleń pasuje do twoich oczu, Connie. Chociaż żaden materiał nie odda ich blasku i ciepła.

Lady Adela rzuciła znaczące spojrzenie w stronę Claude'a. - Poeta się z ciebie zrobił, Bertie - odezwał się Claude, który teraz widział syna nowymi oczyma.

- A przywiozłeś coś staremu ojcu?

- Nie, tato, prezenty były tylko dla dam - Bertrand odwrócił wzrok od Connie, która gapiła się na starca z taką miną, jakby ten właśnie przemówił po chińsku.

W otwartych drzwiach pojawił się snop rudych włosów, a zaraz po nim głośny okrzyk radości. Fiona zaniemówiła na widok drewnianej skrzyni. Ze zdumienia aż otworzyła usta.

- No, kruszynko, pomogę ci otworzyć - odezwała się Brandy. - Zgadniesz, co to takiego? To prezent od Iana, przywiózł go z samego Edynburga.

- Pozwól, że ci pomogę. - Ian oderwał małe dłonie Fiony od drewnianej pokrywy i razem z Brandy pociągnął za listwy. Pokrywa odpadła, a Brandy usiadła z wrażenia na piętach. - Dobry Boże - powiedziała.

- Konik! - wrzasnęła Fiona i zaczęła szarpać za grzywę.

- Poczekaj, skarbie - zaśmiał się Ian. - Wyciągniemy go ze skrzyni. Puść na chwilę grzywę. - Posłuchała. - Widzisz, ma nawet siodło i uprząż. I można się na nim bujać.

- Dobry Boże - powtórzyła Brandy, klęcząca tuż obok siostry. Podniosła wzrok i powiedziała głosem, który skruszyłby najtwardsze serce: - To najwspanialszy prezent, jaki Fiona kiedykolwiek dostała. Nie powinieneś jej rozpieszczać, ale cieszę się, że to zrobiłeś. Fiona rzadko dostaje prezenty. Na takie rzeczy nigdy nie ma pieniędzy. Dziękuję.

Wyglądała jak prawdziwa piękność, melodia jej głosu płynęła na jego serce jak rozgrzany miód. Pomyślał o Felicity i poczuł ukłucie winy. - Nie ma za co - odparł głosem innego mężczyzny, mężczyzny, który mógł żywić do niej wyłącznie ojcowskie uczucia.

- Nie uważasz, Ian - odezwał się Bertrand - że powinniśmy opowiedzieć o naszych innych zakupach?

- Są duże i bardzo włochate. Są prezentem dla Penderleigh. A mówiąc serio, kupiliśmy owce od pewnego srogiego starca w hrabstwie Cheviot.

- Ten człowiek nazywa się Hesketh - ciągnął Bertrand. - Słyszałaś o nim kiedyś, milady? Jego wielki dwór wygląda niemal tak wiekowo jak Penderleigh, a on ma wielki nos i ciągle drapie się w ucho.

- Hesketh - lady Adela powtórzyła powoli i potrząsnęła głową. Spojrzała kwaśno na Fionę, która wydawała z siebie coraz głośniejsze okrzyki radości.

- Brandy, zabierz stąd to dziecko, zanim głowa mi pęknie od tego jazgotu.

- Chodź, kruszynko, będziemy udawać, że to ten sam koń, który stał u wrót Troi.

Postawiła Fionę i jej prezent przy kominku w swojej sypialni i odpakowała sukienkę. Szybko rozebrała się, nie dbając o bieliznę. Chciała jak najszybciej poczuć miękki, połyskujący materiał na swoim ciele. Włożyła sukienkę przez głowę i pozwoliła, by miękko opadła do stóp. Przez chwilę zmagała się z haftkami na plecach, ale w końcu udało jej się dopiąć. Fiszbiny, wszyte w gors sukni, podnosiły i uwydatniały biust. Przespacerowała się do wąskiego lustra w rogu i spojrzała na swoje odbicie. Odjęło jej mowę, gapiła się tylko na siebie wściekła i czerwona ze wstydu.

Nad aksamitnym gorsem sukni, jej piersi wznosiły się jak dwa białe pagórki, tworząc głęboki przedziałek, który zaczynał się niemal przy szyi. Wygląda jak dojna krowa, ohydna i zdeformowana.

- Brandy, wyglądasz inaczej. Jak królowa, prześliczna królowa. Jesteś taka biała.

Brandy próbowała zakryć dłońmi piersi, co okazało się zadaniem niewykonalnym.

- Jak ta Helena, która uwięziona była w Troi i po którą przyszli żołnierze, Ian pomyśli, że jesteś najpiękniejsza ze wszystkich na całym świecie.

- Nie sądzę - powiedziała Brandy. - Kruszynko, to tylko ja. Ian kupił tobie konika na biegunach, a mnie tę sukienkę. Jest śliczna, prawda?

Fiona zrobiła krok do przodu, popatrzyła, czy ma czyste ręce i dotknęła materiału. - Włochate jak królik. Ale ja i tak wolę mojego konika.

Brandy zadała siostrze głupie pytanie: - Jak myślisz, to odpowiedni strój na dzisiejszą kolację?

- Gdyby był tu kuzyn Percy, na pewno by mu się podobało - odparła Fiona z dziecięcą szczerością, która dla Brandy była jak cios w samo serce. Dziecko mówi tylko prawdę, ale skąd może wiedzieć? Widziała, jak Percy leży na Brandy, ale uznała to za zabawę. A może nie? Mój Boże. Nie, jest za mała, by domyślić się prawdy.

- Zawsze się na ciebie tak głupio gapił - odezwała się Fiona po chwili. - A Connie tak się przed nim mizdrzyła!

No cóż, Fiona, bystry dzieciak, trafiła w samo sedno. Brandy podeszła do okna, rozkoszując się wrażeniem, jakie aksamit pozostawiał na skórze. Wyjrzała i jej oczom ukazała się dwukółka, która zatrzymała się gwałtownie przed głównym wejściem, wzbijając tumany kurzu. Syknęła, kiedy z powozu wyszedł Percy. Szybko cofnęła się w głąb pokoju.

Podeszła ponownie do lustra i patrzyła na siebie przez chwilę. Potem zdjęła suknię i pieszczotliwym gestem, schowała ją z powrotem do pudła.

Pomyślała o Ianie, o tym, że uważa ją za niezdarne dziecko. Musi coś zrobić ze swoim wyglądem. Szybko włożyła starą muślinową sukienkę na zasznurowany do granic możliwości gorset i podjęła decyzję.

Rozplotła długie warkocze, pozwalając, by ciężkie fale spłynęły po ramionach. Na czubku głowy zaplotła koronę i spojrzała szybko w lustro. Była z siebie niemal zadowolona, przynajmniej od szyi w górę.

Zeszła na kolację trochę później niż zwykle, bo Fiona z przejęcia nie chciała położyć się spać. Kiedy udało się ją przekonać, zapragnęła, by koń na biegunach spał tuż obok. Brandy aż musiała na nią nakrzyczeć. Teraz marzyła tylko o tym, by wśliznąć się do jadalni niezauważona, ale okazało się to nierealne. Jej pierwsze spojrzenie padło na siostrę, piękną i dostojną w nowej sukni. Poczuła ukłucie zazdrości.

Lady Adela zmierzyła ją krytycznym spojrzeniem i wrzasnęła: - Głupia gęś! A już myślałam, że pożegnaliśmy się z brzydkim kacząt kiem! Przy siostrze wyglądasz jak strach na wróble. Chociaż dobrze, że się pozbyłaś tych dziecinnych warkoczyków. Jest to pewna poprawa, ale liczyłam na więcej.

Percy nie spuszczał wzroku z kuzynki. - Zgodzę się z tobą, milady, brzydkie kacząt ko poprawiło się nieco, ale to i tak za mało. Chętnie jej pokażę, jak prezentować się w bardziej odpowiednim świetle.

- Co to znaczy „bardziej odpowiednim”? - zapytała Konstancja.

- Twoja siostra jest już kobietą, ale robi wszystko, by ten fakt ukryć. Mógłbym jej pomóc, zachęcić.

- Wątpię, Percy - odezwała się Brandy.

Ma cudowne włosy, pomyślał Ian. Do diabła, sądził, że suknia będzie dobra. Brandy odczytała jego pytanie. - Sukienka jest cudowna. Naprawdę wyjątkowa. Ale trzeba ją będzie trochę przerobić, żeby lepiej pasowała.

Obróciła się szybko do siostry. - Wyglądasz ślicznie, Connie. Jak mówił Bertrand, ta zieleń podkreśla kolor twoich oczu, a suknia pasuje jak ulał.

Konstancja kiwnęła dostojnie głową. Zielone oczy nie mogły ukryć wyrazu triumfu. Babcia miała rację, Brandy wygląda jak strach na wróble. Tym razem Konstancja dostanie to, czego tak pragnie. Percy zwróci uwagę na nią, a nie na siostrę. Dziś wieczorem była niezmiernie zadowolona, że jest sobą. Uśmiechnęła się lekko do Bertranda - należy mu się coś za ten podziw, który jej okazuje. Poza tym kupił jej suknię. Widziała, że jej uśmiech zrobił na nim piorunujące wrażenie. Warto było tyle ćwiczyć. A może gdyby poświęcała mu więcej uwagi Percy poczułby się zazdrosny? Odwróciła się do Bertranda i zwilżyła usta końcem języka. - Podobam ci się w tej sukience, Bertie?

Bertrand, zafascynowany koniuszkiem różowego języka, z łatwością dał się uwieść. - Bardzo, Connie - odpowiedział głosem, który nawet jemu samemu wydał się zbyt namiętny. - Jesteś najpiękniejszą dziewczyną w całej Szkocji.

Ale Percy gapił się wciąż na Brandy, niech go diabli. No i co teraz? Bertrand mógł patrzeć na nią jak cielę na malowane wrota, ale ona o to nie dbała. Co Percy widzi w Brandy? Przecież wygląda okropnie.

Percy tymczasem szeptał Brandy na ucho: - Nie widzę, byś smuciła się na mój widok, kuzyneczko. Czyżbyś zmieniła zdanie? Mogę cię nauczyć rzeczy, które mogą ci się przydać? Co ty na to? Może wybierzemy się jutro na małą przechadzkę?

- Morze jest głębokie i szerokie, Percy. Dam ci jedną radę. Wracaj do Edynburga i tamtejsze damy traktuj jak ladacznice.

Percy wybuchnął śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

- Jedzenie gotowe, wasza wysokość! - zawołał Crabbe od drzwi.

- I co się wydzierasz, głupcze! - wrzasnęła równie głośno lady Adela prosto w nieruchomą twarz służącego. - Chodź tu Brandy, może na coś się przydasz.

Skoro nie potrafisz wyglądać jak dama, odłóż na bok swoje paniusiowate maniery i pomóż mi narzucić szal.

- A więc dostałaś nową sukienkę od naszego pana, Brandy - szepnął jej na ucho Percy. - Ciekaw jestem, dlaczego musisz ją przerobić? - Spojrzał na spłaszczone piersi. Przypomniał sobie jej opór. Nie wytrzymałaby długo, powtarzał sobie ciągle od chwili, kiedy nadejście Fiony zmusiło go do porzucenia swego zamiaru.

Brandy ułożyła starannie jedwabny szal na ramionach babki i powiedziała zimno: - Cóż to się stało, że wróciłeś do Penderleigh? Czyżby twoja niedoszła narzeczona odkryła twoją prawdziwą naturę i pogoniła cię gdzie pieprz rośnie?

- Jak na tak niewielką osóbkę, masz niezwykle ostry języczek, kuzyneczko.

Wręcz przeciwnie, błagała mnie, żebym jej nie zostawiał.

- Jaka szkoda, że jej nie posłuchałeś. Z pewnością bardziej doceniłaby twoją obecność niż my tutaj.

- Przyznam dziewczynie rację, Percy - powiedziała Adela - jeśli się nie będziesz zachowywał jak trzeba. Koniec zagrywek w stylu Robertsonów, bo pożałujesz. - Spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem, a on natychmiast zdał sobie sprawę, że wie o próbie zdobycia Brandy siłą.

Poczuł, że w piersiach ściska go strach. Bądź co bądź starucha mogła wciąż zmienić decyzję co do uznania go za prawowitego Robertsona. Niech diabli wezmą tę dziewczynę! Zresztą sama tego chciała, był o tym przekonany. Tylko wrodzona nieśmiałość i kokieteria kazały jej stawiać opór. - Będę łagodny jak baranek, milady - powiedział gładko.

- Percy uważa, że nie możemy bez niego żyć - wyrwało się Bertrandowi, który w jednej chwili pożałował pochopnych słów. Niechęć, która malowała się na jego twarzy była niemal tak ewidentna jak zdziwienie księcia.

- Co takiego? - wtrąciła się Adela - Jedynymi osobami, które nie mogą żyć bez naszego Percy'ego są poborcy zaległych długów i dziwki we wschodniej dzielnicy Edynburga.

- To się wkrótce zmieni, milady. Zobaczysz. Z chwilą, gdy stanę się prawdziwym Robertsonem, nic nie będzie takie samo. - Wydawał się niesłychanie pewny siebie. Pogwizdując cicho, skierował się w stronę przestronnej jadalni.

ROZDZIAŁ 14

Brandy szła szybko w stronę stajni. Miała dziesięć minut spóźnienia, ale obcisły strój do konnej jazdy, który kiedyś należał do jej matki, okazał się godnym przeciwnikiem. Gorset zasznurowany był tak ciasno, że ledwo mogła oddychać.

Będąc już niemal u celu, lekko zwolniła kroku. Jakie licho ją podkusiło, by zapewniać Iana z uśmiechem, że uwielbia jazdę konną? A wszystko dlatego, że chciała go mieć dla siebie przez cały poranek. Pewnie myśli, że jest doskonałą amazonką, wcieleniem gracji i wdzięku. Mój Boże, tylko patrzeć, jak wyleci z siodła. Dobrze jej tak.

Była co prawda niewielka szansa, że uda jej się wyjść z honorem z tej eskapady. Miała dosiadać starej klaczy o imieniu Marta, która spędziła w stajni więcej lat, niż Brandy umiała zliczyć. Grzbiet starej Marty posłusznie zniesie kilka godzin jazdy. Klacz zawsze była wcieleniem łagodności, a Brandy miała zamiar jej pozwolić na własne tempo i trasę.

Spojrzała na stajnie, widząc je po raz pierwszy w życiu oczyma Iana. Nie sprzątano tu od tygodni. Mały Albie unikał tego zajęcia jak ognia i dopiero gdy ktoś porządnie go zbeształ, zabierał się za robotę. Luźne, niemalowane deski trzeszczały głośno przy najmniejszym podmuchu od morza, a w dachu było wiele dziur.

- Jesteś wreszcie, Brandy. Już straciłem nadzieję. - Ian spojrzał na zarumienioną twarz dziewczyny, zastanawiając się, czy całą drogę biegła. - Ślicznie wyglądasz. Do twarzy ci w zielonym aksamicie, wyglądasz bardzo szykownie. - Każda zmiana stroju ze starych kiecek i kraciastego szala była już dużą poprawą. Włosy miała splecione jak poprzedniego wieczora, na czole jeździecki toczek.

Brandy wzięła parę płytkich oddechów, drżąc z obawy, że oddychając pełną piersią rozerwie delikatny materiał bluzki. - Dziękuję za komplement - powiedziała, zerkając na jednego z ogierów. - Ty również wyglądasz bardzo elegancko. - Była to prawda, Ian miał na sobie bryczesy i surdut piaskowego koloru, a wysokie buty sięgały niemal do kolan.

- Ja również dziękuję. Widzę, że podziwiasz Cantera. To jeden z moich ulubionych koni. Szlachetnej krwi, pochodzi ze stajni w Westerford. Jest dzisiaj twój. Byłem u twojej mizernej klaczki i mimo wielu marchewek nie udało mi się ruszyć jej z miejsca. Patrzyła na mnie, jakbym stroił sobie żarty.

Wychodzi więc na to, że jeździsz dziś na Canterze. Na pewno sobie poradzisz, jesteś przecież doświadczoną amazonką. Jest trochę dziki, ale się słucha. Jeździec o takich umiejętnościach jak twoje na pewno nie ma się czego obawiać.

Plątanina myśli przemknęła przez głowę Brandy. Canter miał wredne, rozbiegane oczy. Zabije ją, a wszystko dlatego, że jest chwalipiętą i kłamczucha. Teraz za wszystko zapłaci i będzie mogła mieć pretensje tylko do samej siebie. Canter stał spokojnie i nawet obwąchiwał dłonie księcia, lecz była

przekonana, że jak tylko poczuje jej niewprawne ręce, rzuci się dzikim galopem. Przełknęła głośno ślinę.

- Wygląda na żwawego. Jak dla mnie, nawet za bardzo. Dawno nie jeździłam na takim koniu, a szczerze powiedziawszy, pewnie nigdy. Dam Marcie jeszcze parę marchewek i może uda mi się ją wyciągnąć ze stajni.

- Ależ skąd, Canter to bardzo spokojny koń. Owszem, chętnie by trochę pogalopował, tak samo jak mój Herkules. Canter to dżentelmen, zobaczysz.

Przygotowałem dla ciebie siodło. - Zawahała się, więc dodał: - Myślałaś, że nie potrafię sam dopiąć popręgu? Tutaj się mylisz, nabrałem w Szkocji dużej wprawy. Pozwól, pomogę ci wsiąść.

Brandy przełknęła głośno ślinę i skinęła głową. Cóż, dziewczyno, wypijesz piwo, które sama nawarzyłaś. O ile wcześniej nie postradasz życia. Postawiła stopę na złożonych dłoniach Iana i szybko znalazła się w siodle. Canter spłoszył się, ledwie zdołała go utrzymać.

- Bądź grzeczny, na twoim grzbiecie siedzi zdolna, młoda dama. Pokaż się z najlepszej strony - książę poklepał konia po łbie, rzucił Brandy wodze i poszedł do Herkulesa.

Dobry Boże, zmiłuj się nade mną. - Canter, błagam, nie wrzucaj mnie do rowu - powiedziała głośno. - A jeśli upadnę na trawę, błagam, nie stratuj mnie. Jeśli pomożesz mi zachować twarz, odpłacę ci się tuzinem marchewek, przysięgam.

Chwilę później Herkules dreptał posłusznie u jej boku, a Ian zapytał: - Dokąd jedziemy, Brandy?

Doznała olśnienia i uśmiechnęła się promiennie. - Ty prowadź. Znam tu każdy kąt, więc miło będzie dla odmiany pojechać za kimś, kto jest tu nowy. Kto wie, gdzie dojedziemy? To będzie dopiero zabawa!

- Jak chcesz. Najpierw pojedziemy spokojnie, potem będzie coś wyjątkowego, obiecuję. Przy okazji wizyt we wsi odkryłem szeroką i płaską łąkę, która idealnie nadaje się do galopu. - Uśmiechnął się szeroko, każąc jej podziwiać idealnie równe, śnieżnobiałe zęby. Miał też zdecydowany podbródek, który świadczył dobitnie o uporze godnym osła.

Rzeczywistość uderzyła ją z całą mocą. Wyobraziła sobie długą łąkę i galop we własnym wykonaniu. Z wrażenia omal nie postradała wszystkich guzików na piersi.

Książę popędził konia i chwilę później Herkules przeszedł w płynny cwał. Brandy nie zdążyła nawet pomyśleć, kiedy jej rumak, jawnie ją lekceważąc, podniósł łeb i szarpnął do przodu, niemal wyrywając jej wodze. Brandy chwyciła się siodła, koncentrując wszystkie siły, by z niego nie wypaść. Zebrała w sobie odwagę i spojrzała w dół. Omal nie zemdlała. Ziemia znajdowała się przynajmniej dwa metry niżej. Dobrze, że Ian jedzie z przodu. Niech tak pozostanie, po co ma oglądać jej zmagania, by utrzymać się w siodle. Zmusiła się do uśmiechu, bo Ian właśnie się zatrzymał i czekał na nią.

- Lasy wokół Penderleigh przypominają mi okolice Carmichael Hall, mojego rodzinnego domu w hrabstwie Suffolk. Olbrzymi pałac w pięknym, starym parku. Sądzę, że by ci się tam spodobało. Park jest częścią starodrzewu, rosną tam wiązy, klony i dęby. A ile tam ptaków! Brakuje tylko morza i wrzosowisk.

Bąknęła coś zdawkowo, ponieważ cała jej uwaga skierowana była na dziwny taniec Cantera. Cóż to takiego ten starodrzew? Pewnie las, w którym rosną stare drzewa. Cóż, przed śmiercią dowie się czegoś nowego.

- Tak. - Książę rozejrzał się wokół siebie i odetchnął świeżym, porannym powietrzem. - Brakuje tylko czegoś tak cudownego jak morze. Ale jest jezioro, jak klejnot wśród klonowego lasu.

Canter położył po sobie uszy. - Z chęcią bym je zobaczyła - powiedziała, nie spuszczając wzroku z końskiego łba. Dlaczego tak kładzie uszy? Cóż go tak zdenerwowało? Przecież do niczego go nie zmusza.

- Lubisz pływać, Brandy?

Zapomniała się na chwilę i na jej twarzy pojawił się wesoły uśmiech. - Oj, tak. Śmiem twierdzić, że niełatwo byłoby ci mnie pokonać. Prądy morskie zrobiły ze mnie odpornego pływaka. Ostatnim razem, kiedy ścigałam się z Bertrandem, zostawiłam go daleko w tyle. Co więcej, był tak osłabiony, że myślałam, iż będę musiała wracać i go ratować.

Uniósł czarną brew, próbując sobie wyobrazić, jak ta drobna dziewuszka sprawnie pruje morskie fale. Pokonała Bertranda, mężczyznę?

- Śmiejesz się ze mnie? Widzę, że mi nie wierzysz. Będziesz inaczej śpiewał, kiedy znajdziemy się w wodzie. Jestem bardzo wytrzymała. Możesz już opuścić tę uniesioną kpiąco brew.

Nie posłuchał, ale wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Bertrand nazywał cię małą syrenką, ale wątpię, że była to aluzja do twoich talentów pływackich.

- Nie, to dlatego, że zawsze mam wilgotne ubrania i pachnę morskim powietrzem. Bertrand uwielbia się ze mną droczyć. Zawsze tak było. Ale wiesz co - podniosła głowę - sądzę, że nie chciałby, aby Connie była taka jak ja.

- Zauważyłaś, skąd wieje wiatr? Bertrand jest po uszy zakochany w twojej siostrze. Specjalnie go nie zachęcałem, a mimo to podczas naszej wspólnej podróży nieustannie piał peany na jej cześć. Zanudził mnie na śmierć, opowiadając w kółko o pięknych włosach, cudownych oczach i zgrabnym nosku Konstancji. Po prostu nie mógł przestać. Szkoda, że Konstancja nie podziela jego uczuć. Ale jest jeszcze młoda. Czas pokaże.

- Cóż za banał, wasza wysokość. Czas tu nie ma nic do rzeczy. Wiesz doskonale, że chodzi o tego drania Percy'ego. Niech go diabli!

Zaśmiał się głośno.

- O Boże, zapomniałam, że nie powinnam przeklinać w wytwornym towarzystwie.

- Nie czuję się w tej chwili zbyt wytwornie. Masz rację. To był banał. Biję się w pierś.

Westchnęła. - Chciałabym, by Connie przejrzała na oczy i zobaczyła, jaki jest naprawdę. De to próżny, leniwy łajdak. Dal mi tej jego dziedziczki.

- A może - powiedział książę cicho, patrząc jej prosto w oczy - jak dostanie upragnione nazwisko i tę swoją dziedziczkę, zapomni o tym, czego nie może mieć.

- Wątpię. Babcia w jednej chwili go zachęca, a w następnej każe się trzymać ode mnie z daleka. A już miałam nadzieję, że mam go z głowy. Dziwne, że przyjechał do Penderleigh tuż po twoim powrocie. Mówił, co go tu sprowadziło?

Ian potrząsnął głową. - Nie zawracałbym sobie tym głowy. Jestem tutaj, więc będzie się trzymał na dystans. Pamiętaj, Percy jest podobny do lady Adeli. Lubi sprawiać kłopoty, kpić i manipulować ludźmi. Podejrzewam, że stworzył sobie pancerz, który broni go przed obelgami. Bękartowi nie jest łatwo iść przez życie. A co do jego powrotu, może usłyszał, że Bertrand i ja jesteśmy w Edynburgu i poczuł się pewnie? Kto to może wiedzieć? Szczerze mówiąc, nawet mnie to nie obchodzi.

Ostatnie słowa sprowadziły ją na ziemię. Jak mogła zapomnieć, że jest o włos od śmierci. Zamiast drżeć o życie, ona ucina sobie pogawędki na temat pływania. I Percy'ego. Głupia gęś.

Ian zatrzymał gwałtownie konia. - Jesteśmy na miejscu, mądralo. To ta łąka. Pewnie marzysz, by dać mi w kość? No już, ścigajmy się. Nasz pierwszy wyścig odbędzie się na lądzie, ale jeśli będziesz

się jeszcze czuła na siłach, następny może być w wodzie.

- Męskie przechwałki. Zobaczysz kopyta Cantera i moje pięty. Ciekawe, co wtedy powiesz? „Lady Adelo, przyznaję, pokonała mnie kobieta". Wyśmieje cię doszczętnie i tak poniży, że ze wstydu przez tydzień nie będziesz wychodził z sypialni.

- Powiadasz? Co za pewność siebie, moja droga. A co do wyścigu, Canter jest równie szybki co Herkules, więc startujemy tak samo. Ostatni przy drzewach daje fanta.

Brandy spojrzała na drzewa majaczące w oddali i pomyślała, że umrze jako głupia gęś. I to wkrótce, chociaż w tej chwili miała wrażenie, że łąka ma co najmniej pięć mil długości. Otworzyła usta, by wyznać, że jest wstrętną kłamczucha, ale z gardła nie wydobył się dźwięk. Podniosła głowę, zobaczyła piękny uśmiech i wyzwanie w oczach. Skinęła głową. Nie miała takiego zamiaru, ruch został wykonany automatycznie, a z ust wydobyły się słowa: - Poradzę sobie, nie musisz dawać mi forów. Przygotuj się, że przegrasz. Fanta, mówisz? - Sekundę później wbiła łydki w boki Cantera i puściła wodze.

Usłyszała głośny śmiech.

Przez chwilę zapomniała o strachu. Canter płynął miękko przez łąkę. Toczek zsuwał się z głowy, musiała więc przytrzymać go dłonią, nachylając się nad końskim grzbietem, Ian był coraz bliżej. Straciła ostatnią kroplę instynktu samozachowawczego, która jej pozostała, i popędziła konia. Miał gnać tak szybko, jak wiatr.

Odległe drzewa były coraz bliżej. Za chwilę na nie wpadnie, zabijając nie tylko siebie, ale również Iana i jego konia. Musi coś zrobić, tylko co? Jak zatrzymać tonę rozpędzonego mięsa? Usłyszała śmiech; Ian ją wyprzedzał. Widziała, że zatrzymał się tuż przed linią lasu i zawrócił konia, by ją powitać.

Zapomniała o toczku i z całej siły pociągnęła za wodze. Canter nie zareagował, nawet nie zwolnił tempa. Szarpała jak szalona, lecz w pewnej chwili dała spokój. Zamknęła oczy, a koń w szalonym pędzie zbliżał się do Iana.

ROZDZIAŁ 15

Usłyszała głośny śmiech. Uwielbiała ten śmiech. Dobrze, że to ostatnia rzecz, którą usłyszy przed śmiercią.

Canter stanął dęba. Brandy puściła wodze i ze wszystkich sił złapała się siodła. Chwilę później było już po wszystkim. Koń zatrzymał się gwałtownie, ciężko dysząc. Wciąż znajdowała się w siodle, a Ian trzymał wodze, patrząc na nią z rozbawieniem.

Poczuła ogromną ulgę, że wciąż jest na końskim grzbiecie, że uszła z życiem. Jak przez mgłę dotarły do niej słowa: - Co ty wyprawiasz, Brandy? Sądziłaś, że jeśli zmieciesz mnie z powierzchni ziemi, uda ci się wygrać? Tak właśnie postąpiłaś z biednym Bertrandem? Po prostu po nim przepłynęłaś? Napędziłaś mi porządnego stracha. Sama pewnie nie wiesz, co to strach, prawda?

- To wszystko przez Cantera - wrzasnęła w odpowiedzi. - Twoje jeździeckie umiejętności nic tu nie mają do rzeczy. Żądam rewanżu, ale nie dzisiaj. Może jutro, może za rok, może w przyszłym stuleciu.

Śmiał się głośno i nie usłyszał ostatnich słów. - Nie potrafisz przegrywać, Brandy. Wiesz, że jestem lepszym jeźdźcem. Przyznaj to po prostu. Nie zrobisz tego, prawda? Jesteś uparta jak osioł. Dobrze możemy powtórzyć wyścig. Wystarczy, że powiesz kiedy.

W dniu, w którym krowy zaczną latać, pomyślała.

- W przyszłym tygodniu. Powiedzmy, w środę.

- Niech będzie w środę. Dostanę mojego fanta?

Fanta. Zupełnie wypadło jej to z głowy. Jeśli zapomni o rewanżu, da mu wszystko, czego zapragnie. Wyjęła stopy ze strzemion i ześlizgnęła się z siodła. Ziemia, nareszcie. Ziemia, która nie rusza się pod nogami, nie parska i wierzga. Spojrzała na niego. - Cokolwiek chcesz.

Zsiadł z konia i przywiązał oba rumaki do drzewa. - Cokolwiek zechcę? - Uśmiechnął się i podszedł bliżej.

Podniosła głowę i spojrzała mu w twarz. Zobaczyła piękne usta.

- Brandy - powiedział.

Rozchyliła usta i zrobiła krok do przodu. Stał sztywno z rękoma po bokach. Nie zdążył pomyśleć o swych zasadach, bo wspięła się na palce, objęła za szyję i przyciągnęła do siebie. Nie wiedziała, co robić, ale nie miało to znaczenia. Pocałowała go z całego serca. Poczuła jego siłę, jego gorące usta. Westchnęła cicho; chciała, by ten pocałunek trwał wiecznie. Nie przeszkadzało jej nawet, że stoi na palcach. Mogłaby tak stać wiecznie. Smakował cudownie, pachniał cudownie. Cudownie było czuć jego ciało.

Po raz pierwszy w swym dorosłym życiu niemal stracił kontrolę na sobą. Nie wolno, pomyślał. Jest niewinna. Nie wie, co robi. Nie rozumiał, co dzieje się z nim, dorosłym mężczyzną, twardym jak kamień. Nie otworzył ust, chociaż niczego bardziej nie pragnął jak tylko poczuć, jak smakuje. Chciał

poczuć język, gładzić plecy, chwycić za pośladki i podnieść. A potem pieścić, wsunąć palce... Nie wolno mu, nie powinien nawet tak myśleć. Zadrżał, czując pulsujące pożądanie. Dosyć, pomyślał. Może to najtrudniejsza rzecz, jaką przyjdzie mu zrobić w życiu, ale musi oderwać jej ręce od swojej szyi.

- Brandy, nie możemy, nie wolno nam.

Zrobiła parę kroków w tył, zdziwiona, że jest w stanie utrzymać się na nogach, choć marzyła tylko o tym, by osunąć się miękko na ziemię i wyciągnąć na plecach. Chciała, by ją przytulił, całował, położył się - Twój fant, Ian - powiedziała głosem, który zdradzał wszystkie targające nią uczucia.

Jaka ona jest krucha. I niewinna. Musi ją przed sobą obronić. - Nie o taki fant mi chodziło - powiedział, w tej samej chwili żałując niemądrych słów.

- Taki chciałam ci dać. Poza tym przegrałam wyścig, chociaż jestem lepszym jeźdźcem. Przekonasz się w przyszłą środę.

Ciągle nie traci animuszu, pomyślał. Gdyby tylko mógł przyciągnąć ją do siebie i całować, aż oboje porwałaby fala namiętności, której nie da się zatrzymać. Poznałby ją po kawałeczku i nauczył...

Jęknął i poprawił dłonią włosy. Musi z tym skończyć. Nie ma wyboru. - Brandy, posłuchaj mnie, do diabła. Jesteś pod moją opieką. Jestem zaręczony z inną kobietą. Jesteś dzieckiem, dziewczyną, może i prawie kobietą, ale nie zmienia to faktu, że postąpiłbym ohydnie, gdybym cię wykorzystał.

- Dzieckiem? Dziewczyną? Prawie kobietą? Jesteś głupcem, wasza wysokość.

Jestem kobietą, nie prawie kobietą, mam dziewiętnaście lat. Nazywasz mnie dzieckiem i dziewczyną tylko dlatego, by nie myśleć, że mogłabym być dla ciebie kimś więcej niż... Ach, nieważne.

Wyprostował się i spojrzał jej prosto w oczy.

Była tak wściekła, że miała w nosie to, co Ian ma do powiedzenia. Dodała szybko: - Doskonale wiedziałam, co robię, i nie pozwolę ci tego zepsuć głupim gadaniem o wykorzystywaniu. Niech diabli wezmą twoją narzeczoną. Nie pojadę do Londynu, nie będę mieszkać z nią pod jednym dachem. Nie pozwolę, by na moich oczach całowała cię i przytulała, patrząc na mnie jak na padalca. Wiesz dobrze, że to nieuniknione. To wielka dama, prawda? Elegancka i wytworna, świadoma swojej wartości. Nie ścierpi mnie, ja jej tym bardziej. Nawet jej nie znam, a już nienawidzę.

Nabrała głęboko tchu. - Nie pojadę do Londynu, nie zmusisz mnie. Nie zamieszkam z wami. Prędzej poślubię Percy'ego.

Bez zastanowienia podbiegła do Cantera, jednym szarpnięciem odwiązała wodze i wskoczyła na siodło, nie pamiętając o strachu.

- Brandy, czekaj, musimy porozmawiać. Muszę ci wytłumaczyć...

- Idź do diabła, wasza wysokość. - Spięła konia. Canter wyczuł od razu, że niezgrabny tłumok na jego grzbiecie w ogóle nad nim nie panuje. Parsknął radośnie i rzucił się w galop.

Ian patrzył za nią przez chwilę. Czuł wzbierający gniew. Dlaczego nie pozwala sobie wyjaśnić? Życie było takie proste, dopóki nie przyjechał do tej zapadłej dziury! Dopóki jej nie spotkał, nie zauważył, jakie ma piękne włosy i nie zdał sobie sprawy, jak bardzo lubi spędzać z nią czas, słuchać jej opowieści i widzieć świat jej oczyma. Niech to diabli!

Wskoczył na grzbiet Herkulesa i ruszył galopem. Zrównał się z nią dopiero przy głównej drodze. Nachylił się, by zabrać jej wodze, lecz ona szarpnęła gwałtownie, chcąc skręcić konia. Canter, rozpoznając rękę swego pana, stanął dęba, wyrywając się spod jej kontroli, a potem zatrzymał się

gwałtownie.

Wredna bestia. Nachyliła się, by zabrać Ianowi wodze, ale ten trzymał je poza zasięgiem jej dłoni. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Po złości Brandy nie było śladu, marzyła tylko, by zapaść się pod ziemię. On wyobrażał sobie, jak wygląda z rozpuszczonymi włosami, z głową na poduszce i nim samym tuż obok.

Choć ledwo przeszło mu przez gardło, powiedział dobitnie: - A teraz, jeśli pozwolisz, będziemy kontynuować naszą przejażdżkę. Nie chcę, byś gnała do stajni, jakby cię gonił sam diabeł. Ostatnia rzecz, jakiej sobie teraz życzę, to spekulacje twojej rodziny, czy coś niewłaściwego się między nami nie dzieje.

Spojrzała na niego, zdumiona jego opanowaniem i chłodem. Skinęła głową w odpowiedzi. Oddał jej wodze i ruszyli dalej wąską ścieżką, oddalając się od zamku. Klął na siebie w duchu, zachował się jak nadęty osioł. Angielski nadęty osioł - sztywny i oficjalny.

Na rozwidleniu drogi wybrał uczęszczaną ścieżkę prowadzącą obok wsi, z dala od morskiego brzegu.

Zauważył, że nadciągają burzowe chmury, ale jechał dalej, powtarzając sobie, że jeśli jego towarzyszka zmoknie, to trudno. Po jakimś czasie, kiedy ułożył całe przemówienie, zatrzymał konia. - Może zejdziesz na chwilę, Brandy? - zapytał zsiadając. Ledwie powiedział te słowa, z ciemnego nieba strzelił piorun. Chwilę później rozległ się przeraźliwy grzmot.

Brandy krzyknęła, ponieważ Canter, przerażony i oślepiony błyskiem, wyrwał jej wodze i ruszył galopem naprzód. Próbowała go zatrzymać, ale wodze znajdowały się poza zasięgiem. Krzyknęła: - Ian, pomóż mi! Nie mogę go zatrzymać! - Jej serce ścisnął strach. Zginie przez własną głupotę, w bezsensownym wypadku, który nigdy nie powinien się wydarzyć. Zahaczyła o nisko rosnącą gałąź, która zerwała jej toczek z głowy. Jeszcze chwila i sama pójdzie jego śladem, a potem zginie pod końskimi kopytami.

Rozbłysł kolejny piorun. Tym razem czuć było swąd spalonego drzewa. Canter wydłużył krok i gnał coraz szybciej przez las. Zobaczyła kątem oka, że Ian prawie ją dogania. Odwróciła się, by spojrzeć, jaki dzieli ich dystans i wtedy Canter potknął się, zaplątawszy się w wodze.

Ian był tuż obok, kiedy koń Brandy upadł, a Brandy przeleciała nad jego głową.

Zatrzymał konia i zeskoczył na ziemię. W pierwszym odruchu chciał ją wziąć w ramiona, ale się powstrzymał. Ukląkł tuż obok i położył dwa palce na jej szyi. Puls był stabilny, choć serce biło dość szybko. Delikatnie dotknął jej ramion, sprawdzając, czy się nie połamała. Potem nogi. Ech, do diabła. Może mieć wewnętrzne obrażenia, a wtedy dotykanie jej tylko zaszkodzi. Nigdy dotąd tak się nie bał. - Brandy. - Nachylił się nad głową dziewczyny. Delikatnie poklepał ją po policzkach, ale nie zareagowała. Usiadł na piętach, zastanawiając się, co dalej. Niebo, któremu najwidoczniej mało było piorunów i grzmotów, zaczęło teraz płakać rzewnymi łzami. Kilka wielkich kropli rozprysnęło się na jej twarzy. - Niech to licho - mruknął pod nosem. Musi znaleźć schronienie, i to szybko.

Zdjął surdut i okrył nim Brandy. Patrzył przez chwilę na nieruchomą twarz, a potem wstał i wszedł w las. Nie uszedł daleko, gdy w oddali zobaczył niewielką chatkę. Zabierze tam Brandy i pośle jakiegoś dzieciaka do zamku po pomoc.

Deszcz wzmagał się, przypominając teraz grubą, szarą ścianę, Ian wziął Brandy w ramiona. Podtrzymując ją jedną ręką wsiadł na konia, drugą chwycił wodze Cantera i poprowadził powoli pochód w stronę chatki.

Z bliska zauważył, że chata wygląda na opuszczoną, a strzecha na dachu zapada się, tworząc

niebezpieczne nawisy nad kamiennymi ścianami. Przy wejściu słomiany dach przytrzymywały dwie cienkie belki, co gwarantowało przynajmniej schronienie dla koni.

Zsiadł powoli, przenosząc ciężar Brandy na drugie ramię, i przywiązał konie. Czubkiem buta kopnął drzwi, które otworzyły się z trzaskiem. Dobry Boże, oby się tylko pod nim nie zawaliły.

Po chwili jego oczy przyzwyczaiły się do mroku. Była to tylko jedna izba, podłogę pokrywały gnijące deski. Krocząc ostrożnie, Ian podszedł do paleniska z kutego żelaza i rozłożył płaszcz, a na nim ostrożnie położył Brandy.

Głośny grzmot postawił go na baczność. Słychać było przeraźliwe rżenie koni, lecz cudownym trafem nie zdołały zerwać się z uwięzi, Ian zobaczył w kącie stertę torfu, dziękując niebiosom za ten pożyteczny dar. Torf miał tę zaletę, że łatwo się rozpalał i choć po chwili pomieszczenie napełniło się gryzącym dymem, w palenisku buzował ogień, Ian wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł mokre od deszczu czoło Brandy. Popatrzył na jej ostro zarysowany podbródek, prosty nos, wyraziste brwi. Poczuł się przeraźliwie bezradny.

Wspomnienie, które dawno pogrzebał, wróciło ze zdwojoną siłą. Pamiętał to uczucie, kiedy zdał sobie sprawę, że nie może nic zrobić, by pomóc Mariannę. Nawet kiedy pod osłoną nocy wdarł się do płonącego rewolucją Paryża, wiedział, że jest już za późno. Czuł to w swoim sercu. Nie pozwoli, aby z Brandy było tak samo.

ROZDZIAŁ 16

- Obudź się, do licha! - krzyknął jej do ucha.

- Nie musisz na mnie wrzeszczeć, Ian - szepnęła, z wysiłkiem podnosząc powieki. Odetchnął z ulgą tak głośno, że aż się uśmiechnęła.

Bardzo chciał usłyszeć z jej ust zapewnienie, że czuje się dobrze, ale powiedział: - Nic nie mów, jeśli to sprawia ci ból. Jak się czujesz? Nie, po prostu odpoczywaj. Powiesz mi później, chyba że wolisz teraz. Jak chcesz.

Brandy przełknęła ślinę. Ogarnęły ją mdłości, żołądek aż skręcał się z bólu. Nie może teraz zwymiotować, po prostu nie może. Podniosła rękę, próbując dotknąć głowy.

- Na Boga, Brandy, nie ruszaj się. - Położył rękę z powrotem na podłodze.

- Na pewno. Gołym okiem widzę, że pod tym przeklętym warkoczem rośnie guz wielkości kurzego jaja.

Jęknęła cicho i odwróciła głowę. Było jej tak niedobrze, że miała ochotę zapaść się pod ziemię. Lepiej żeby tego nie oglądał.

- Nie wiem, po jakie licho tak ciasno zaplatasz włosy. Nie dość, że wyglądasz jak pensjonarka, to musi to być niewygodne.

- Boli. - Czuła, że łzy same napływają do oczu. Szkoda, że się w ogóle odezwała.

- A więc bądź cicho, spróbuję coś na to poradzić. Postaram się, by już nie bolało. - Gruby warkocz wyswobodził się tymczasem ze spinek; Ian chwycił go i zaczął rozplatać. Wygładził dłonią wilgotne, sprężyste loki. Ucisk wokół głowy zelżał i Brandy wydała z siebie westchnienie ulgi.

- Lepiej? Od razu widzę, że tak. Przestań zaplatać włosy, Brandy. Nie podoba mi się, chyba że zapleciesz je w koronę. - Odwrócił się i dołożył do dymiącego paleniska. Po co to wszystko powiedział? To jej sprawa, co robi z włosami.

Słowa księcia docierały jak przez mgłę. Ledwie opanowała mdłości, angażując do tego całą swą wolę. Kolejna fala pojawiła się i odeszła, a Brandy wreszcie pomyślała trochę jaśniej. Okłamała go. Była kłamczucha, zwyczajną oszustką. Musi mu przed śmiercią o tym powiedzieć. - Okłamałam cię, Ian - powiedziała, czekając na reakcję.

- Słucham? Okłamałaś mnie? Brandy, co ty pleciesz? Widzisz mnie wyraźnie?

Powiedz, ile palców trzymam w górze?

- Nie musisz być taki miły. Wszystko przez moją dumę, ale teraz zapłacę za nią najwyższą cenę. Pewnie umrę, ale nie chcę mieć tego na sumieniu.

Zmarszczył czoło i bezwiednie zgarnął plątaninę blond loków z brudnej podłogi, układając je na płaszczu. - Nie rozumiem. Jeśli zaraz mi nie powiesz, o co ci chodzi, zacznę wrzeszczeć tak głośno, że dach runie nam na głowę. Co z tą twoją dumą? Aha, i nie pozwolę ci umrzeć, więc wybij to sobie z głowy.

- Nie wiesz? Jak to nie wiesz? - Coś jest chyba nie tak. Przecież nie jest ślepy.

Musiał zauważyć, a teraz tylko zgrywa dżentelmena i próbuje być miły dla bezradnej kobietki.

Pokiwał głową, domyślając się, o co może chodzić. Przypomniał sobie jej usta i gniewne słowa. Pewnie żałuje swego wybryku, żałuje, że go pocałowała i objęła za szyję. Powinien czuć ulgę, a tymczasem miał poczucie, że coś go omija.

Westchnęła z ulgą. Ian był świetnym słuchaczem. A ona wstrętną kłamczucha. - Nie myślisz o mnie źle? Nie sądzisz, że mam zły charakter? Strasznie cię przepraszam.

Do diabła, dlaczego wciąż do tego wraca? Nie odważył się spojrzeć jej w oczy. - Oczywiście, że nie. Nie ma za co przepraszać - uciął. Sumienie kazało mu dodać: - Brandy, tyle samo było mojej winy. Może nawet i więcej, bo to ja jestem mężczyzną. Jestem starszy i bardziej doświadczony w tych sprawach. Powinienem był lepiej nad sobą panować.

- Nie, Ian, nie ma w tym ani krzty twojej winy. Wina leży po mojej stronie, a teraz za nią płacę. Chcę, żebyś wiedział, jakim jestem tchórzem. Okłamałam cię, mogłam też zrobić ci krzywdę, a to byłoby niewybaczalne. - Gdyby chociaż podniósł głos. Nie mógł na nią nakrzyczeć raz a porządnie, jak babcia? Miałaby to z głowy.

Nagle go olśniło. Rozmowa zdumiewająco przypominała tę, którą prowadzili kilka tygodni wcześniej. Przynajmniej tym razem nie chodziło o to, że widziała go nagiego, ociekającego wodą po kąpieli. Zaśmiał się i dotknął dłonią jej policzka.

- Obawiam się, moja miła, że znów każde z nas mówi o czym innym.

Zacznijmy od początku. O co chodzi z tym tchórzostwem?

- Ach, tak - przypomniała sobie. - Mówisz o tej rozmowie, kiedy ja mówiłam o wyjeździe do Londynu, a ty, że przyłapałam cię nago. - Spojrzała na niego z takim żarem, że znów poczuł się nagi.

- Nie myśl o tym, Brandy. Przestań.

- Dobrze, ale wiele się tego wieczoru nauczyłam. Nigdy nie sądziłam, że mężczyzna może być taki piękny - westchnęła.

- Mówiliśmy o tchórzostwie.

- Dobrze. Jeśli chcesz wiedzieć, zawsze się ich bałam. Jeden z tych potworów ugryzł mnie chyba, kiedy byłam dzieckiem. Canter to piękny koń, nie przeczę. Tylko że konie napawają mnie lękiem.

- Boisz się koni? - powiedział z niedowierzaniem. - A ja myślałem, że jesteś nieustraszoną amazonką. Nie dałaś po sobie poznać, że się boisz, nawet kiedy o mały włos mnie nie stratowałaś. Pędziłaś przez tę łąkę szybciej niż wiatr.

Cała ta brawura, podjęte wyzwanie. Ta sztuczka z rozjechaniem mnie... To dlatego, że nie umiałaś go zatrzymać?

- Owszem. Nie chciałam, żebyś myślał, że jestem głupią gęsią. Jesteś doskonały, a ja...

- Ja doskonały? Co za bzdury. Mam mnóstwo wad. A co do twojego tchórzostwa, to myślę, że wykazałaś się wielką odwagą, choć bez potrzeby. - Przerwał na moment, bębniąc palcami po kolanie. - Do głowy by mi nie przyszło pomyśleć o tobie źle, dlatego że nie lubisz koni. Nie musisz nikomu udowadniać swojej wartości, zrozumiano?

- Naprawdę się nie gniewasz? Nie kłamiesz, bo wzbudzam w tobie litość?

- Co za brednie. Przykro mi tylko, że boli cię głowa. Co do innych spraw, wyrzuć je jak najszybciej z głowy. Nic się nie stanie, jeśli nigdy już nie wsiądziesz na konia. Albo, jeśli pozwolisz, nauczę cię, jak sobie z nimi radzić. Bo konie trzeba prowadzić. Można z nimi rozmawiać, karcić, chwalić.

Są łagodne z natury. Zastanów się. Mam nadzieję, że nie usłyszę teraz, że nie umiesz pływać.

- Nie, w tym akurat na pewno cię pobiję. Tak sądzę. Pokonałam Bertranda.

Fakt, dopiero co wyzdrowiał po ciężkiej chorobie, ale to było uczciwe zwycięstwo. Jesteś przyzwyczajony do tego jeziorka w Suffolk, nic nie wiesz o zdradliwych wirach i falach przypływu spychających na brzeg.

- Owszem, ale szybko się uczę.

Przeszył ją gwałtowny dreszcz. Zamknęła oczy. Nie wygląda dobrze, pomyślał. Krople deszczu padały na podłogę ledwie pół metra dalej. Cóż ma zrobić? Przecież jej tutaj nie zostawi.

- Boli cię głowa, Brandy?

- Tak.

- Nie chcę cię na razie ruszać. Leż spokojnie i na razie dosyć zwierzeń. Nie wiem, czy zniósłbym kolejne.

Uśmiechnęła się lekko, co go trochę pocieszyło. Ma dziewczyna charakter, pomyślał. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dotąd nie pociągały go kobiety z charakterem. Jego wybranki były zwykle miękkie i bezradne. Uśmiechały się łagodnie, tak samo łagodnie prosiły. To on był silny i zdecydowany, to on dawał i wspierał. Brandy tymczasem leżała na przegniłych deskach podłogi, na jej widok wzbierała w człowieku żałość, a nie słychać było płaczu czy narzekań.

- Zdejmę ci mokry żakiet. Miejmy nadzieję, że bluzka wyschnie przy ogniu.

Podniósł ją delikatnie, a ona zesztywniała w jego objęciach. Nie ruszaj się - powiedział, zastanawiając się, co jest nie tak. - Chyba się mnie nie boisz? Nie mam zamiaru nastawać na twoją skromność.

Wstrzymała dech w przekonaniu, że zaraz zemdleje. Modliła się, by tylko nie zwrócił uwagi na jej biust. Pomyślała o odpadających guzikach bluzki, czując, że do oczu napływają łzy. Niedobrze. Nigdy na nią nie spojrzy, jeśli zobaczy te jej melony.

Ściągnął żakiet i na widok postrzępionej bluzki zmarszczył czoło. Bluzka była strasznie ciasna. Brandy nosiła ją pewnie od dziesiątego roku życia.

- No już. Lepiej? Nie odsuwaj się. Przytul się, ja cię ogrzeję. Nie chcę, żebyś się przeziębiła.

- Ty też jesteś mokry - powiedziała, ale nawet nie drgnęła. Chyba nic nie zauważył, dzięki Bogu. Znów przeszył ją dreszcz, tym razem nie z zimna.

Spotkała ją za to nagroda, bo przytulił ją mocniej do siebie.

Bezwiednie musnął ustami jej włosy. Brandy podniosła rękę i pogładziła go po policzku, a on, znów bezwiednie, nachylił się i złożył lekki pocałunek na jej ustach. W jednej sekundzie zapomniała, że boli ją głowa, że bluzka się rozpina i bez wahania rozchyliła usta.

Dżentelmen zaprotestował po raz ostatni, ale po chwili zgubił się w plątaninie blond włosów, miękkich warg, które całowały jego podbródek, nos i uszy. On za to całował jej czoło, prosty nos, aż w końcu odnalazł usta. Poczuł jej palce we włosach, usłyszał, jak mówi jego imię. Sposób, w jaki to robiła, przyprawiał go o dreszcz pożądania.

Pieścił jej ramiona i szyję, aż ruszył w kierunku piersi. Przeszkodziły mu grube warstwy ubrania. Do diabła, ile tego jest, pomyślał. Zaczął rozpinać guziki bluzki.

Och nie, chce dotknąć jej piersi. Odsunęła się gwałtownie, płonąc ze wstydu. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Miała powiedzieć, żeby jej lepiej nie oglądał, bo jeśli to zrobi, poczuje obrzydzenie?

Do diabła, wystraszył ją. Zapominał ciągle, jaka jest niewinna. Opuścił rękę i zaczerpnął głęboko

tchu. Posunął się za daleko. Odsunął się, wściekły na siebie za brak samokontroli. Zachował się jak Percy, rozpustny lubieżnik.

Poczuła, że się od niej odsuwa. Nie chce jej, pragnie kobiety, której twarzy nie mogła sobie wyobrazić. Tej, która wkrótce zostanie jego żoną. Podniosła się na kolana. Głowa nadal bolała, ale słabiej. Brandy wygładziła włosy i wstała. Nie zrobił nic, by ją powstrzymać.

On również wstał i spojrzał jej prosto w twarz. Czuł się jak bezduszny formalista, ale nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć: - Wybacz mi moje niewłaściwe zachowanie. - Niewłaściwe? Coś takiego, pomyślała. - Nie planowałem tego. To chyba dlatego, że znaleźliśmy się tutaj sami, a ja się o ciebie bardzo martwię. - Nie była to prawda, wiedział o tym doskonale. Jest nie lepszy niż Percy.

- No tak - odparła. - Oczywiście. Wracajmy do Penderleigh. Deszcz już zelżał.

- Świetnie. Poprowadzę Cantera. Chciałbym, byś skupiła całą uwagę na trzymaniu się w siodle. A może lepiej sam cię zaniosę? Wolałbym uniknąć sytuacji, że spadniesz na ziemię.

Zabrzmiało to cudnie. Jeszcze przez chwilę będzie blisko. Patrzyła, jak zgina się w pół i zbiera z podłogi mokre ubrania.

Odwróciła się tyłem kiedy pomagał nałożyć jej żakiet. Nawet jeśli go to zdziwiło, była wdzięczna, że powstrzymał się od jakiegokolwiek komentarza.

Droga powrotna nie okazała się tak cudowna, jak Brandy to sobie wyobrażała. Trzymał ją blisko, tak blisko, że słyszała każde uderzenie serca, ale z każdym stąpnięciem Herkulesa głowa bolała ją coraz bardziej.

Kiedy znaleźli się w Penderleigh, książę zajął się uspokajaniem wrzawy, która powstała na wieść o jej wypadku. Brandy została nakarmiona, napojona i zapakowana do łóżka przez starą Martę. Domyślała się, że książę kazał Morąg dodać laudanum do herbaty, bo szybko zapadła w sen. Zasypiając, myślała, że to ładnie z jego strony mówić wszystkim, że wypadek wydarzył się zupełnie nie z jej winy. Ostatnią myślą było to, że w życiu nie dosiądzie już żadnego konia.

ROZDZIAŁ 17

Brandy obudziła się następnego poranka z lekkim bólem głowy, głodna jak wilk. Chciała koniecznie porozmawiać z księciem. Crabbe uniósł brew ze zdumienia, kiedy zobaczył, jak biegnie przez hol do pokoju śniadaniowego.

- Nie powinna panienka wychodzić z łóżka - zawołał za nią. - Wczoraj była panienka blada jak prześcieradło.

Przystanęła. - Dzisiaj jestem zdrowa jak ryba, Crabbe? Jest tu gdzieś książę?

- Nie, panienko. Wstał dzisiaj wcześniej. Pojechali z paniczem Bertrandem do Clackamannshire, jak sądzę. Ech, przy naszym księciu, Penderleigh znów stanie się bogate. To wszystko przez te owce z Cheviot, panienko. Piękne, wełniste owce przyniosą nam więcej grosza, niż mogliśmy przez lata marzyć.

Będziemy bogaci, co za piękna myśl.

Brandy nie pamiętała czasów, kiedy Penderleigh było zamożne. Książę nie mówił, że gdzieś wyjeżdża. Czuła się zawiedziona. Poszła za Crabbem na pokoju śniadaniowego, nałożyła sobie dużą miskę owsianki. Służący, niczym gdakająca kwoka, nie odstępował jej na krok.

- Panicz Percy też się dzisiaj pożegnał - powiedział, dolewając jej kolejną łyżkę. - Życzy sobie panienka miodu? Na pewno tak. Przywróci panience kolor na te blade policzki. A panicza Percivala już z nami nie ma, to dobrze.

- To świetnie - powiedziała. - Wystarczy tego miodu, dziękuję. Ciekawa jestem, po co w ogóle tu przyjeżdżał. Chyba tylko po to, by siać zamęt. Ale skoro go tu już nie ma, nie mam zamiaru się nad tym zastanawiać.

- Wiem, dlaczego wyjechał - powiedział Crabbe. Widać było, że świerzbi go język. Pewnie jest jedyną osobą w całym zamku, która o tym nie wie. Cały wieczór spała jak zabita po laudanum zaaplikowanym przez Morąg.

Nachyliła się do służącego. - Możesz mi powiedzieć, Crabbe? Wolno ci?

- Tak, czemu nie, panienko. Lady Adela wyrzuciła go wczoraj z zamku.

Powiedziała, że chce go widzieć dopiero, gdy sąd uzna, że nie jest już bękartem. - Crabbe uśmiechnął się półgębkiem. - Przynajmniej z nazwiska, powiedziała. - Nie spodobało mu się, ale nie miał wyjścia. Osobiście odprowadziłem go do frontowych drzwi.

- To mamy spokój na jakiś czas. Książę mówił, na jak długo wyjeżdża?

- Na krótko. Jeśli wszystko będzie przygotowane na ich przyjazd, wrócą i dzisiaj. Panicz Bertrand mówił, że nawet gdyby wyprawa miała nic nie dać, chętnie się przejedzie w taki piękny dzień.

Pewnie wróci dzisiaj, pomyślała. Miała ochotę śmiać się i śpiewać, lecz skupiła się na owsiance.

Crabbe patrzył na nią przez chwilę. Musiał stwierdzić, że mimo wczorajszego wypadku ma się dobrze, bo kiwnął głową i opuścił pokój. Nie śpiesząc się, Brandy dokończyła jedzenie, nie przestając rozmyślać o lanie.

Zakupiono już owce, które wkrótce dotrą do Penderleigh. Ian nie będzie miał powodu, by dalej przebywać w Szkocji. Po tym, co zdarzyło się wczoraj, będzie musiał zostawić za sobą komplikacje, których przyczyną była ona sama. On też w tym trochę pomógł, ale inicjatywa wyszła od niej. Nie myślała o konsekwencjach, po prostu podążyła za głosem serca. Był jedynym mężczyzną, którego w swoim życiu podziwiała. Jej jedyną miłością.

To było tak proste i oczywiste. Tak samo jak fakt, że ma już narzeczoną i jako dżentelmen nie może zerwać zaręczyn. Nie ma nadziei. To Brandy jest kłopotem, intruzem, to ona zachowała się niewłaściwie. Ta druga kobieta pewnie myśli teraz czule o swoim przyszłym mężu, ufa mu bezgranicznie. Ma prawo go kochać. A on wkrótce wróci do Londynu i się z nią ożeni.

Będzie musiała się pogodzić z faktem, że jedyny mężczyzna, którego pragnie, jest poza jej zasięgiem. No i słusznie. Kimże jest, jak nie ubogą szkocką krewną, bez grosza przy duszy, bez oszałamiającej urody. On, doskonały, jest wszystkim, czym ona nigdy nie będzie. Gapiła się w milczeniu na pustą miskę po owsiance. Potem zmusiła się do uśmiechu i poszła do pokoju dziecinnego po Fionę. Chciała uciec od zamku, od wszystkich ciekawskich oczu. Ubrała dziewczynkę i zabrała ją nad zatoczkę, gdzie przycumowana była jej łódka.

Wróciły do zamku późnym popołudniem, obydwie mokre od słonej wody i przewiane na wylot. Przed zamkiem stała obca karoca, a za nią jeszcze jedna, tyle że starsza.

- Może to ktoś z przyjaciół babci - powiedziała do Fiony, ciągnąc ją za sobą do głównego holu. Nagle stanęła jak wryta na widok najpiękniejszej damy, jaką widziała w życiu. Dama stała obok pierwszej karocy i przyglądała się Penderleigh. Była niewielkiego wzrostu, cudownie wiotka, że Brandy miała ochotę wyć z zazdrości. Ubrana była w suknię w złotym kolorze, której stanik opinał normalnych rozmiarów biust i która opadała prostą linią do stóp odzianych w lekkie pantofelki. Tak właśnie powinna wyglądać suknia, którą Ian kupił jej w Edynburgu. Piersi damy nie wypadały z dekoltu. Wyglądała elegancko, była bardzo pewna siebie - słusznie zresztą. Kruczoczarne loki okalały twarz, wyglądającą z czepeczka przetykanego złotą nitką i przyozdobionego wstążkami w ciemniejszym tonie złota. Miała kocie, zielone oczy, przesłonięte gęstą firanką czarnych rzęs.

Chwilę później Brandy zobaczyła ku swojemu zdziwieniu, że zza karocy wynurza się sylwetka Iana. Dama wyciągnęła w jego stronę obie ręce. Podszedł do niej szybkim krokiem, ujął dłonie, uniósł je i pocałował koniuszki palców. Dama mówiła coś ze śmiechem, Ian się uśmiechał. Brandy pojęła w mig, że dama to narzeczona księcia. Tak naprawdę wiedziała od pierwszej chwili. Czuła to. Oboje wyglądali, jakby byli dla siebie stworzeni - oboje eleganccy, pewni siebie, pełni wrodzonej arogancji, która wydawała się całkiem na miejscu. Nagle dama odwróciła się, jakby wyczuwając jej obecność i wybuchnęła perlistym śmiechem.

- No tak, wasza wysokość - odezwała się donośnie - Szkocja to bardzo dziwny kraj. Cóż to, widzę, że pozwalacie służącym wchodzić przez drzwi frontowe.

Bo to są drzwi frontowe, nieprawdaż? Trudno powiedzieć, wszędzie te szare, wstrętne kamienie. O, widzę, że jedna z wieżyczek jest bliska rozsypki. Mam nadzieję, że nie znajdę się w jej pobliżu.

A to wredna jędza. Od razu straciła część swojej urody i elegancji, a Brandy, która jeszcze chwilę wcześniej marzyła, aby zamienić się miejscami z tym ideałem kobiecości, teraz miała ochotę ją uderzyć. Spojrzała szybko na Iana. Nawet nie drgnął. Jego twarz pozbawiona była wyrazu.

- Uważaj, moja droga, wypływasz na głębokie wody - gładkim jak aksamit, lecz nieco kpiącym głosem odezwał się inny dżentelmen, który przywitał się z księciem uściskiem ręki. Właśnie wysiadł z powozu i gdyby sytuacja była inna, Brandy czułaby pokusę, aby roześmiać się na widok jego dziwacznego stroju - zarówno płaszcza, jak i surduta - ozdobionego całą masą złotych guzików i kieszonek. Tym razem milczała jak zaklęta, zaciskając z całej siły palce na dłoni Fiony. Miała ochotę nawymyślać eleganckiej damie, lecz wiedziała, że nie może. Dostawała właśnie szybką lekcję, że życie potrafi być czasem nieprzyjemne jak diabli.

- Brandy, boli - krzyknęła Fiona i pociągnęła Brandy za rękę. Ta puściła dłoń siostry, a Ian zrobił krok do przodu. Fiona pobiegła do niego, uśmiechnęła się bezwstydnie i wyciągnęła ręce. Ian zaśmiał się i wziął ją na ręce, podnosząc nad głowę i potrząsając, a mała piszczała z zachwytu.

- Muszę cię odstawić na ziemię, Fiona. O, Brandy, cieszę się, że jesteś.

Czujesz się lepiej, prawda?

- Tak, świetnie - powiedziała krótko, nie ruszając się z miejsca.

- Chciałbym, abyś poznała lady Felicity Trammerley. Felicity, to jest Brandy, najstarsza z moich kuzynek. A ten cudowny kłębek entuzjazmu to Fiona, nasza najmłodsza.

- To są twoje kuzynki? - zdumiała się Felicity. - Obydwie te osoby to twoje kuzynki?

- Przecież to właśnie powiedział - wtrącił się obcy dżentelmen.

- No tak. Jest mi niezmiernie miło - powiedziała lady Felicity, lekko uginając zgrabną szyję. A więc Brandy to ta „zupełnie inna", pomyślała. To były dziwne słowa księcia z listu, który do niej napisał. Wiedziała wtedy, wiedziała od razu, że jej pozycja jest zagrożona. Była w błędzie. Owszem, Brandy była zupełnie inna. Pomyśleć, że ona, hrabianka i znana piękność, wyobrażała sobie, że książę Portmaine mógłby zainteresować się rozczochraną, niechlujną dziewuchą, która ubrana była jak wieśniaczka i śmierdziała rybą. A on trzymał na rękach tę drugą, jak gdyby sprawiało mu to przyjemność. Jak mógł tak szybko zapomnieć, kim i czym jest oraz co winien jest swojej przyszłej żonie?

Brandy wyrwało się: - Fiona i ja byłyśmy na rybach.

- Właśnie - odezwała się Fiona, kiedy Ian postawił ją na nogi. - Ale nic nie złapałyśmy, bo Brandy bolała głowa. Siedziała tylko w łódce i nie chciała nic robić.

W kocich oczach Felicity widać było pogardę. Odwróciła się do księcia. - Dziwne, doprawdy dziwne. Moja matka nie pozwoliłaby mi nigdy spędzać całego dnia w łódce. Można się od tego opalić. To niezdrowe, pospolite i przede wszystkim brzydko wygląda.

Brandy zacisnęła dłonie w pięści. Była blisko, by posłać konwenanse do diabła i rzucić się na tę paniusię, która była - tak by powiedział wujek Claude, rechocząc swoim zwyczajem - jak wrzód na dupie. Jak śmie się zachowywać, jakby właśnie przyjechała do kraju barbarzyńców, którzy nie są godni czyścić jej butów?

Dżentelmen w stroju z kieszonkami wystąpił naprzód. - Brandy, prawda? - powiedział z rozbawieniem w głosie. - Nietypowe imię, moja droga, wprost czarujące. Jestem Giles Braidston, jak pewnie wiesz, angielski kuzyn Iana.

Wbrew swojej woli Brandy dygnęła. Wydawał się miły, bardziej podobny do Iana. Mimo wszystko przyjechał z Felicity, więc nie ufała mu nawet odrobinę. Obelgi można rzucać na wiele sposobów.

- Czy te guziki są z prawdziwego złota? - chciała wiedzieć Fiona, wyciągając do niego brudną rączkę. - Wyglądasz jak paw naszej babci. Był bardzo piękny, ale kiedyś babcię zdenerwował i

kazała kucharce upiec go na obiad.

- Co za nieszczęście. Mam nadzieję, że ja nie skończę w garnku. Podobają ci się te guziki? Tak, są z prawdziwego złota, a kiedy umyjesz rączki będziesz mogła ich dotykać. Zgoda?

- Już biegnę. Zobaczysz, zaraz będą czyste. - Fiona wbiegła na schody. - Zaraz wracam. Nie zapomnisz o swojej obietnicy, prawda?

Giles zaśmiał się i pomachał do Fiony. - Nigdy o niczym nie zapominam! - zawołał za nią.

- Czyżbyś stracił rozum, Giles? - odezwała się lady Felicity, unosząc czarną brew. - Wielce prawdopodobne, że ci je urwie i włoży do buzi. Albo zgubi.

Ian zmarszczył czoło. Jak Felicity może wykazywać tak elementarny brak manier? Już miał na końcu języka, by uważała na słowa, kiedy przypomniało się mu jego pierwsze wrażenie po przyjeździe do Penderleigh i do Szkocji. Felicity nie była przyzwyczajona do tego, co zobaczyła. Przyznał, że musi być to dla niej szok. Spojrzała na niego rzewnie - oczyma Mariannę - a on zmusił się do uśmiechu.

Brandy dostrzegła to spojrzenie i miała ochotę wsadzić ją do starej armaty i wystrzelić w powietrze. - Przepraszam. - Uniosła dumnie podbródek i poszła szybko w kierunku schodów, starając się ze wszystkich sił utrzymać plecy prosto jak struna.

- A więc to jest zamek Penderleigh, Ian - odezwał się Giles, rozładowując chwilowe napięcie. - Dobrze, przyjacielu, że przynajmniej nie nosisz szkockiej spódniczki. Skąd wciąż ten sam ponury styl, przy którym się tak upierasz. Okazałe to zamczysko. Ciekawe, kiedy zostało wybudowane.

Pewnie liczy ze czterysta lat. Spójrz na te wieżyczki. Felicity miała rację. Ta wygląda, jakby zaraz się miała rozsypać w proch. Szkoda, że nie stoi od strony morza - mogłaby się spokojnie przewrócić do wody, nie robiąc nikomu krzywdy.

- Nie, Giles, nie dla mnie kilt, czyli szkocka spódniczka, przynajmniej na razie. Wstydzę się, prawdę mówiąc. Ale Bertrand, inny kuzyn, twierdzi, że mam do tego nogi - Kilt, drogi panie? - Felicity odezwała się tak słodko, aż Ianowi zrobiło się niedobrze. - Obawiam się, że jeśli nie będziesz mówił po angielsku, trudno mi cię będzie zrozumieć.

Książę w tej chwili pomarzył, by Giles z Felicity zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i znaleźli się znów w Londynie. Niestety. Był ich gospodarzem. Pomyślał o lady Adeli i skrzywił się. Mój Boże, to dopiero będzie zabawa. - Wybacz, moja droga. Poprosiłem, by Crabbe, pierwszy lokaj w Penderleigh, poinformował lady Adelę o waszym przyjeździe. Chodźmy do środka, choć dzień taki piękny. Może do bawialni?

Felicity nie odezwała się nawet słowem. Szła za Ianem przez wielki hol, spoglądając z niedowierzaniem na zardzewiałe zbroje. W końcu znalazła się w bawialni. Milczała, pozwalając księciu usadzić się w wyblakłym fotelu, który, według niej, nadawał się tylko dla służby.

- A więc jesteśmy na miejscu.

- Doprawdy? - zapytała Felicity i zamilkła, ponieważ Ian nie zwracał na nią uwagi. Odezwał się do Gilesa: - A teraz mi powiedz, co tu robicie? Podróż musiała być dla Felicity bardzo męcząca. Mój Boże, przecież jedzie się tu sześć dni.

- Twoja narzeczona bardzo za tobą tęskniła, kuzynie. - Ian zobaczył, że Giles wywraca oczyma. - I to jak. Jestem pewien, że wiesz, o czym mówię. Jeśli nie, to wkrótce się dowiesz. Miałem okazję przeżyć wyjątkowy tydzień.

Wkrótce twoja kolej i to do końca twoich dni.

- Mój pobyt tutaj okazał się dłuższy, niż początkowo planowałem - powiedział książę, wykonując

gest, który zdawał się przeczyć tym słowom. Zawsze kiedy myślał o Londynie mógł polegać na swej lewej ręce. - Wiele rzeczy wymagało mojej uwagi. Bertrand i ja wybraliśmy się do hrabstwa Cheviot, gdzie kupowaliśmy owce. Oczywiście, było też kilka wizyt w fabrykach włókienniczych. - Umilkł, widząc, że Felicity patrzy na niego z przerażeniem.

- Co powiedziałeś? Jakie owce?

- Dobry Boże, Ian, co za nuda. Wyrazy współczucia. Widzisz, droga Felicity, miałem rację, zapewniając cię, że Ian nie zapomniał o swoich obowiązkach, po prostu chwilowo był zajęty czymś innym. Co sądzisz o owcach z Cheviot, moja droga?

ROZDZIAŁ 18

Lady Felicity poczerwieniała ze złości. - Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że ty, książę i członek parlamentu, bawisz się w pasterza? Twierdzisz, że kupiłeś jakieś owce? Odwiedzałeś fabryki? Spotykałeś się z kupcami?

- Owszem, i na dodatek wszystko było szalenie ciekawe - powiedział Ian chłodno. - Widzisz, chciałbym, aby Penderleigh było samowystarczalne.

Mamy tu wszystkie surowce, mamy ręce do pracy. Jedyne, czego brakowało, to był kapitał.

- No tak, surowców może jest tu pod dostatkiem - powiedziała ostro Felicity.

Była zmęczona, brudna, zdenerwowana. Korciło ją, by powiedzieć szczerze, co sądzi o idiotycznych wybrykach narzeczonego. Zobaczyła, że źrenice Iana zwężają się, oczy nabierają despotycznego, upartego wyrazu i wycofała się szybko. Boże, jak bardzo nienawidziła tego spojrzenia. Ale kiedy tylko się pobiorą, to się skończy. Nie pozwoli sobie na takie bzdury. Da mu popalić.

Weźmie go pod pantofel.

I tym razem musiała stonować swoją wypowiedź, choć przyszło jej to z ogromnym trudem. - Chciałam tylko powiedzieć, mój drogi, że stęskniłam się za tobą i żałuję długich tygodni rozłąki. Nie wolno mi tęsknić za mężczyzną, którego mam poślubić?

Jej piękna przemowa została nagrodzona uśmiechem. - Dla mnie również to był trudny czas, Felicity - powiedział Ian bez wahania. Nie był głupcem. Nie miał zamiaru kopać sobie grobu, i to tak głębokiego, by nie mógł się z niego wydostać.

Giles chrząknął, a następnie kaszlnął, zasłaniając dłonią usta. Ian odwrócił się i zobaczył jak lady Adela dostojnie wmaszerowuje do bawialni. Podniósł się szybko. - Adelo, poznaj, proszę, mojego kuzyna, Gilesa Braidston i moją narzeczoną, lady Felicity Trammerley. Przyjechali do nas z wizytą.

Lady Adela spojrzała na Gilesa i od razu zapałała do niego sympatią. No proszę, to się nazywa prawdziwy dżentelmen, pomyślała. Co do Felicity, oceniła szybko elegancki strój i wytworne maniery, dochodząc do wniosku, że Brandy tylko skorzysta, jeśli zamieszka z nią pod jednym dachem.

Skinęła głową na powitanie i pozwoliła Gilesowi pocałować się w pooraną siatką zmarszczek dłoń. - Jestem zaszczycony - powiedział swoim najbardziej czarującym tonem, co jak na niego znaczyło niemało.

Lady Adela podeszła do Felicity, a ta uśmiechnęła się sztywno. Cóż za dziwaczne stare pudło, myślała, opuszczając powieki. Suknia liczy ze trzydzieści lat, fryzura jest równie wiekowa. Okalające twarz loki o kształcie serdelków nadawały całej fryzurze wygląd peruki, na dodatek starej i nieułożonej. Felicity miała ochotę pociągnąć za loki i sprawdzić czy są prawdziwe.

- Kiedy ślub? - zapytała Adela bez ogródek.

- W sierpniu. W katedrze na Hannover Square.

- Ach, tak. Pełen szyk. Aprobuję. Dam wam trochę czasu na podróż poślubną i w październiku przysyłam Brandy do Londynu. Co ty na to, Ian? Zdążycie wrócić do tego czasu i przyjąć Brandy?

Felicity otworzyła usta ze zdumienia. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydusić z siebie słowa. Gapiła się na narzeczonego. Najchętniej zrobiłaby mu awanturę. Książę wydawał się zajęty poprawianiem krawata, ale w końcu powiedział: - Lady Adelo, Felicity dopiero przyjechała i nie było jeszcze okazji omówić tej sprawy.

- Nie rozumiem dlaczego - wtrącił się Giles. - Felicity jest tu od dobrych piętnastu minut, zdążyła nawet poznać Brandy. Po co z tym zwlekać? Daje to do myślenia.

Ian zignorował tę uwagę i podniósł się. - Lady Adelo, którą sypialnię przeznaczysz dla panny Trammerley? Jest zmęczona po podróży i chciałaby odpocząć przed kolacją.

Adela kiwnęła głową i wrzasnęła na służącego: - Crabbe, ty przeklęty łotrze, ruszaj się prędzej. Mamy gości, robota czeka!

Felicity przeszedł dreszcz. Wydęła usta, co dawniej podobało się Ianowi, ale teraz wydało się pretensjonalne. Gardziła lady Adelą, gardziła Penderleigh i nie zamierzała tego ukrywać.

- Tak, milady? - Crabbe spojrzał pytająco na swoją panią, z trudem odrywając wzrok od ślicznotki na której twarzy malowało się cierpienie godne potępionej duszy. Co do towarzyszącego jej mężczyzny, wyglądał na pozera w stylu panicza Percy'ego. Miał może odrobinę więcej klasy. Cóż, czas pokaże. Kim są ci ludzie? Pewnie przyjaciółmi księcia. Oboje wyglądali, jakby połknęli kij.

- Poproś Martę, by przygotowała dwie sypialnie. Pamiętaj, Martę, nie Morąg.

Nie chcemy, by nasi goście nałapali pcheł od tej wiecznie drapiącej się łajdaczki. Ian, ulokujemy Felicity w niebieskim pokoju tuż obok twojej sypialni. Crabbe, wybierz pokój dla miłego dżentelmena. Coś wesołego, co go podniesie na duchu.

Ian uśmiechnął się do siebie, skinął głową na służącego i zaoferował Felicity ramię. - Crabbe się tobą zajmie, Giles - powiedział przez ramię, wyprowadzając narzeczoną z bawialni.

Podczas wędrówki po korytarzach Penderleigh Felicity nie odezwała się nawet słowem. Weszli do pokoju o nieokreślonym odcieniu błękitu, tuż obok jego własnej sypialni, Ian był tu jakiś czas temu; wtedy pokój wydał mu się skromnie umeblowany, ale mimo to ładny. Farba nie odpadała ze ścian. Meble były stare i zniszczone, ale i wnęka przy oknie, i stara zbroja wydawały się mieć wiele uroku. Teraz widział, że się pomylił, bo nagle zobaczył pokój oczyma Felicity. Nie był to piękny widok. Pokoik był ponury i ubogi.

Postanowił zignorować niezadowoloną min? Felicity. - Może chciałabyś wziąć kąpiel, moja droga? - Natychmiast zdał sobie sprawę, że będzie musiał dopilnować, aby w kąpieli nie przeszkodził jej arii mały Albie, ani cieknąca wanna.

Kiwnęła głową. - Chętnie. Podróż była długa i męcząca. - Dodała nieco przyjemniejszym tonem: - Nie musisz się martwić o moje rzeczy, drogi książę. Przywiozłam ze sobą pokojówkę.

- Szkoda, że nie uprzedziłaś mnie o przyjeździe. Ilu służących przywiozłaś?

- Tylko Marię i Pelhama, lokaja Gilesa. Mam nadzieję, że znajdzie się dla nich pokój w tym okropnym zamku.

- Z całą pewnością - powiedział ostro. Spojrzał na zegarek. - Kolacja jest o szóstej. Rodzina zbiera się w bawialni chwilę wcześniej.

- To za wcześnie, drogi lanie. W domu zaczynamy dopiero o ósmej.

- Nie jesteś w domu. Jesteś w Szkocji, w Penderleigh. Lady Adela jest tu panią dłużej, niż twoja

własna matka chodzi po tym świecie. Takie jest jej życzenie i musisz to uszanować. A teraz zajmę się twoją kąpielą. - Odwrócił się na pięcie. Poczuł ulgę, że zaraz opuści ten pokój.

- Ian, co znaczyły słowa tej staruchy, że na jesieni Brandy przyjedzie do Londynu? Chyba nie oczekujesz, że pokażę to niechlujne dziecko wytwornemu angielskiemu towarzystwu?

- Brandy nie jest dzieckiem. Na jesieni skończy dziewiętnaście lat. A co do jej wyglądu, to bierze się to stąd, że najchętniej przebywa na dworze. Uwielbia łowić ryby, pluskać się w wodzie i pływać na łodzi.

- I oczekujesz, że coś takiego zamienię w prawdziwą damę?

Nie wierzył swoim uszom. Miał ochotę nią potrząsnąć. - Ona jest prawdziwą damą - powiedział lodowatym tonem. - Pamiętaj, że to hrabianka. A co do jej wyglądu, jestem pewien, że właściwa garderoba rozwiąże cały problem.

- Rozumiem, że mam się obojętnie przyglądać, jak pływa łódką po Tamizie. A może lepiej wyślijmy ją do cyrku, pojeździ sobie na cyrkowych koniach.

- Uważam tę rozmowę za zakończoną - powiedział, świadomy nieprzyjemnego tonu. - Jeśli już skończyłaś krytykować wszystkich i wszystko, pozwól, że zajmę się twoją kąpielą.

Felicity tłumiła złość do chwili, gdy znalazł się za drzwiami. Dopiero wtedy nie wytrzymała i uderzyła pięścią w materac. Podniosła się chmura kurzu. Kichnęła. Mój Boże, cóż to za okropne miejsce. Wstała i przeszła się po pokoju. Jak śmie lekceważyć jej uczucia? Jak śmie traktować ją z góry? Zerwała z głowy modny czepek i rzuciła go na fotel obity wyblakłym brokatem. Po chwili złość opadła. Nie ma powodu tak się denerwować. Co z tego, że książę ją dziś wyjątkowo irytuje? Poradzi sobie z nim. Będzie udawać, przymilać się, a on da za wygraną. O tak, bo to ona w końcu wyjdzie na swoje.

Tylko co z tą przebrzydłą dziewuchą? Wkrótce skończy dziewiętnaście lat. Dzięki Bogu, na tyle nie wygląda.

Książę poprosił Crabbego o wodę na kąpiel dla Felicity i zszedł do bawialni. Przez otwarte drzwi zobaczył, że kuzyn siedzi na kanapie obok lady Adeli. Ta wydawała się zauroczona. - Tak, mój chłopcze, król Karol już wtedy miał okropną reputację. Słyszałeś o żonie pastora? Jak to jej było na imię, już sobie przypominam. Klorynda. Tak. A więc Klorynda poszła z nim do stajni i po fakcie okazało się, że ma słomę w różnych nieprzyzwoitych miejscach. Wszyscy o tym mówili. Tak, był z niego kawał drania. Kawał prawdziwego mężczyzny - wybuchnęła głośnym śmiechem, który brzmiał tak samo jak śmiech Claude'a. A więc stąd Claude wziął ten swój irytujący rechot.

- Adelo, będę cię musiał przeprosić, ale zabiorę Gilesa na górę. Jeśli się nie zgodzisz, nie zdąży doprowadzić się do porządku przed kolacją.

- No, skoro musisz - w jej głosie słychać było rozczarowanie. - Mamy mnóstwo czasu, chłopcze. - Pomachała kościstą ręką. - Przygotuj się, mam zamiar wydusić z ciebie plotki z ostatnich pięćdziesięciu lat. Och, jak dobrze mieć tu kogoś takiego jak ty.

- Postaram się zrobić co tylko w mojej mocy, aby zaspokoić twą ciekawość, milady - powiedział Giles przymilnym głosem, w którym jak zawsze pobrzmiewała wesoła nuta, i podążył za Ianem.

- Niesamowite - odezwał się na schodach. - Wyobraź sobie, znała starego lorda Covenportha. Tego, którego zgubiło wino i kobiety. Jego wnuk Aldous podąża tą samą ścieżką. Wkrótce skończą mu się przyjemności, bo majątek tonie w długach. Jeszcze rok temu miło się z nim spędzało czas. Teraz ciągle jęczy, chociaż nieszczęścia, które na niego spadły, to wszystko jego zasługa.

Książę mruknął, zadając sobie w duchu pytanie, czemu Giles preferuje tego rodzaju towarzystwo.

Giles zatrzymał się na półpiętrze i spojrzał na drzwi do bawialni. - Mój Boże, Ian, co za dziwaczne miejsce. Ani trochę niepodobne do Carmichael Hall, prawda?

Ian pomyślał o rozległej, komfortowej posiadłości w Suffolk z czterdziestoma sypialniami i nieprzyzwoicie wielką salą balową. Potrząsnął głową. - Penderleigh jest bardziej oryginalne. Żyje historią i tradycją, Giles, i nawet ty musisz przyznać, że widok na morze zapiera dech. Nie ma tu brudu i londyńskich zbytków, nie ma bandytów, jaskiń gry i innych uciech, z których nie wynika nic dobrego.

Giles uniósł brew z niedowierzaniem, ale powiedział tylko: - Jestem pewien, że masz rację. Może i nie jestem przekonany, ale skoro tak chcesz to widzieć, niech ci będzie. To ty jesteś księciem i rzeczywistość powinna dopasowywać się do ciebie.

- Gadasz więcej bzdur, niż Morąg ma wszy. A może to nie wszy, tylko pchły?

Ech, sam już nie wiem.

- Okropność! Wszy? Pchły? Proszę cię, zrobię co zechcesz, tylko każ się trzymać tej kobiecie z daleka ode mnie.

Książę wybuchnął śmiechem i poprowadził Gilesa do sypialni po drugiej stronie korytarza. - A teraz mi powiedz, po co przywiozłeś tu Felicity? Wiesz, że chciałem, by została w Londynie. To nie jest miejsce dla niej. Nie podoba jej się tutaj i wątpię, aby to się kiedykolwiek miało zmienić. No więc dlaczego, do diabła?

- To nie moja wina. Wszystko przez ten twój cholerny list. To była jej decyzja, ja nie miałem tu nic do gadania. Kazałeś mi się nią opiekować, co więc miałem zrobić?

- Jaki list?

Giles potrząsnął głową, a na jego ustach pląsał lekki uśmieszek. - List od ciebie. Nigdy nie widziałem, żebyś tyle pięknych słów przelał na papier. Brandy była podmiotem zdecydowanie zbyt wielu zdań. No i piękną Felicity zalała żółć z zazdrości. A tak między nami - urwał, rzucając kuzynowi ostrzegawcze spojrzenie - dwa razy bym się zastanowił, zakuwając się w małżeńskie kajdany z tą jędzą. Nie jest taka, za jaką ją masz, Ian.

- Mam nadzieję, Giles, że nie dawałeś jej do zrozumienia, jakie masz na ten temat zdanie. Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, że nie mam zwyczaju wykręcać się od zobowiązań. A co do Brandy, jestem jej opiekunem i zamierzam zrobić to, co dla niej najlepsze. Kiedy przyjedzie do Londynu, Felicity zachowa się właściwie. Zrobi to, co powinna. Nie ma o czym mówić.

- Bądź spokojny, nie dawałem jej nic do zrozumienia. Inna sprawa, że większą część drogi do Szkocji spędziłem biernie słuchając jej jadowitych docinków.

- Zatrzymał się gwałtownie, kiedy Ian otworzył drzwi do sypialni.

- Mam nadzieję usłyszeć, że ma tu spać mój lokaj.

- Boże, Giles, nie miałem jeszcze czasu zadbać o remont. Pokój jest w przyzwoitym stanie, a ja nie mam ochoty drugi raz, po Felicity, słuchać tego rodzaju narzekań. Jesteście snobami. Ale skoro już tu jesteś, realizuj się artystycznie i zaproponuj jakieś rozwiązania. Nie znaczy to, że cię posłucham, ale przynajmniej będziesz miał coś do roboty poza schlebianiem pożądliwym instynktom lady Adeli.

- Nie wiedziałbym, gdzie zacząć. - Giles starł połą płaszcza zakurzone oparcie krzesła. - Zamek potrzebuje więcej niż tylko mojego wybornego gustu.

Potrzebuje całej armii cieśli, malarzy, dostawców mebli...

- Cicho już, Giles. Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Każ swojemu lokajowi doprowadzić pokój do

porządku. Jeśli chcesz wiedzieć, po początkowym szoku, nawet Mableyowi się tu podoba.

Giles westchnął i podszedł do okna. - Nic dziwnego, że wszędzie panuje taka wilgoć. Zamek praktycznie wisi na brzegu klifu. Pomyśleć, że dałem się przekonać tej jędzy, by tutaj przyjechać. Chciałem odmówić, prosiłem, by to jeszcze przemyślała. Wiesz, co mi odpowiedziała?

ROZDZIAŁ 19

- Nie wiem.

- Powtarzała, że chce koniecznie zobaczyć twoją nową posiadłość, że pewnie strasznie za nią tęsknisz i że jedynym sposobem, by skrócić twe męki jest przyjazd tutaj. - Potrząsnął głową. - Oczywiście nie uwierzyłem. Chodziło o Brandy. Mówiłem ci już. Felicity to królowa lodu.

- Doprawdy? Przed chwilą mówiłeś, że to jędza.

- Niestety, wydaje mi się, że jest jednym i drugim. Jeśli mnie przeczucia nie mylą, będzie królową lodu w nocy, w dzień natomiast ziejącą ogniem heterą.

- Strzepnął pyłek z surduta i dodał łagodniej: - Biedaku, ona w niczym nie przypomina Mariannę. - Książę gniewnie ściągnął usta i poczerwieniał, ale Giles postanowił to zignorować. - Owszem, jest do niej podobna z wyglądu.

Oczywiście, jeśli chcesz się żenić z rozsądku...

- Posuwasz się za daleko, Giles. - Książę zacisnął dłonie. - Mariannę nie żyje od sześciu lat. Nie ma tutaj nic do rzeczy. A co do Felicity i jej zachowania zarówno za dnia, jak i w nocy, wydaje mi się, że mogę być lepszym sędzią jej charakteru niż ty.

- Nie denerwuj się. Owszem, masz dużo racji, ale z drugiej strony, nigdy nie spędziłeś z nią więcej niż jedno popołudnie.

- Giles, prosisz się o lanie. Wystarczy. Felicity potrzebuje zdecydowanej ręki i jak ci powiedziałem, zastosuje się do moich życzeń.

- Mówisz o niej jak o źrebięciu, które trzeba okiełznać. - Widać było, że chce coś dodać, ale wzruszył ramionami. - Miałeś okazję poznać jej brata, lorda Sayera?

- To hazardzista, kobieciarz i świetny jeździec. Nie żywię do niego niechęci.

Dobrze się bije i w przeciwieństwie do twojego przyjaciela Aldousa nigdy nie narzeka. Czemu pytasz?

Giles zadrżał, przyglądając się wypielęgnowanym paznokciom. - To straszny gbur i awanturnik. Powiedziałbym nawet, że jest wulgarny.

- Dlaczego? Bo nie nosi złotych guzików wielkości spodków?

- Ian, obnoszenie się z własnym brakiem stylu wydaje mi się tutaj nie na miejscu - powiedział Giles ze śmiechem.

Książę poddał się, podnosząc ręce. - Do diabła, Giles, daj już spokój z kąśliwymi uwagami. Mój Boże, ty i Percy moglibyście stawać w zawody.

- Percy? Kto to taki? Jeszcze jeden szkocki krewny?

- Percy to bękart - powiedział Ian z szerokim uśmiechem na twarzy. - Giles spojrzał pytająco i Ian dodał: - Jego ojciec, już zresztą nieżyjący, był jednym z dwóch synów lady Adeli. Sam Percy jest z nieprawego loża, ale właśnie rozpoczęto postępowanie, by go uznać.

- Mój Boże - powiedział Giles, zacierając ręce. - A ja sądziłem, że zanudzę się tu na śmierć.

- O, jest i Pelham. Dopilnuję, by mały Albie przygotował ci kąpiel. - Książę roześmiał się ponownie. Co w tym śmiesznego, u licha, pomyślał Giles, patrząc na plecy wychodzącego kuzyna.

Kiedy Ian w końcu dotarł do siebie, rozejrzał się po wielkiej, ponurej komnacie. Miał poważne wątpliwości, czy pokój kiedykolwiek wyglądał przytulnie i przyjaźnie. Różnił się ogromnie od większości pokojów w Carmichael Hall, ale nawet w obecnym, zrujnowanym stanie nie wydawał się taki straszny. Złapał się na myśleniu, co Brandy powiedziałaby o jego książęcej siedzibie. Chwilę później podszedł do drewnianego krzesła i kopnął je w stronę kominka.

Mabley wbiegł do pokoju. - Musimy się pośpieszyć, panie. Wiesz, jak lady Adela nie lubi, kiedy ktoś się spóźnia. Crabbe opowiadał mi, że pewien jegomość spóźnił się kiedyś o całe dwanaście minut i lady Adela kazała wylać zawartość misy na jego głowę.

- O nie - powiedział Ian - wolałbym, by haggis wylądował na talerzach, a nie na naszych głowach. - Spojrzał na łysą czaszkę i promieniejącą zadowoleniem twarz służącego i uśmiechnął się na myśl, jak stary lokaj świetnie przystosował się do nowych warunków.

- Rób ze mną, co chcesz, Mabley. Oddaję się w twoje ręce. Błagam tylko, nie zrób ze mnie takiego pięknisia jak Giles.

- Nie ma obawy, wasza wysokość. A cóż to się stało z tym krzesłem?

Brandy przechadzała się tam i z powrotem po wytartym dywanie. Podniosła pięść w stronę sypialni Felicity. Jak śmiała nazywać ją służącą? Przeklęta angielska paniusia. Jak Ian może z nią wytrzymywać? Nie, nie będzie o tym myśleć. Nazwała ją służącą, ot co!

Zatrzymała się przed lustrem i poczuła, że gniew gdzieś się ulatnia. Wyglądała jak wieśniaczka. Włosy splątane i rozczochrane od wiatru, dłonie i twarz lepkie od soli. Wokół lekka rybia woń. Dobry Boże, to już za wiele.

Właśnie tę chwilę wybrała Konstancja, która wbiegła do pokoju siostry tanecznym krokiem. - Brandy, widziałam ją! Zwróciłaś uwagę na jej suknię i ten cudowny czepek? Jest taka drobna, czułam się przy niej jak szafa. Nie sięga Ianowi nawet do ramion. I te jej loki, bardziej czarne niż moje, a oczy, zielone jak mech w lesie Slanaker.

- Nie zauważyłam nic szczególnego - powiedziała Brandy.

Nawet gdyby powiedziała, że nowe bóstwo Konstancji przypomina stracha na wróble, nie miałoby to najmniejszego znaczenia. Konstancja nie zwracała na siostrę uwagi. - Ach, i ten dżentelmen. Giles Braidston. Taki elegancki, lepiej ubrany nawet od księcia. Babcia mówiła, że to kuzyn Iana i chociaż nazwała go plotkarzem, widać było, że zrobił na niej wrażenie. Fuj, czuć rybą. Brandy, czy chcesz obrzydzić gościom kolację? Wyglądasz i pachniesz jak żona rybaka. Wykąp się czym prędzej. Ciekawa jestem, czy moja nowa suknia spodoba się lady Felicity.

Konstancja rzuciła się do lustra i przyjrzała się z bliska czarnym lokom. Dopiero teraz zauważyła, że siostra jest wyjątkowo milcząca, że stoi nieruchomo i wpatruje się w przestrzeń. Konstancja zmarszczyła czoło. - Hm - powiedziała. - Nie jesteś zadowolona z jej przyjazdu, co, Brandy?

- A co mnie do tego? Powiem ci coś, Connie. To wredna baba. Myślisz, że będzie dla ciebie miła? Wątpię. Sądzi, że jest od nas wszystkich dużo lepsza.

Uważa nas za prostaków i barbarzyńców.

- Może to i prawda - powiedziała Connie powoli, przyglądając się siostrze. - Ale nie zmienia to faktu, iż niedługo będzie żoną księcia. Nawet gdyby była aniołem i prawiła ci wyłącznie komplementy, i tak byś jej nie polubiła.

- Bzdury, Connie. Wygadujesz bzdury i doskonale o tym wiesz. Mam nadzieję, że zachowasz to dla siebie. Nikt nie zechce tego słuchać.

Konstancja wzruszyła ramionami. - Jak sobie chcesz. Dla mnie to bez różnicy. Brandy, a może spróbujesz włożyć suknię, którą ci przywiózł Ian? - Brandy milczała. - Ja, w każdym razie, muszę już iść. Poproszę Martę, żeby ułożyła mi jakąś wyjątkową fryzurę. - Wybiegła z sypialni siostry, nucąc angielską balladę.

Po jej wyjściu Brandy przez chwilę rozmyślała o pięknej, aksamitnej sukience. Po chwili dała sobie spokój, wzdychając ciężko. Suknia wyeksponuje obfity biust i Ian pomyśli, że wygląda jak dojna krowa. W niczym nie przypomina drobnej, szczuplutkiej Felicity, niech diabli wezmą jej wypielęgnowane brwi. Spojrzała w stronę zamkniętych drzwi. Czyjej uczucia są aż tak oczywiste, że nawet Connie zauważyła? Chyba tak. Będzie musiała na przyszłość być bardziej ostrożna.

W ciągu godziny oczekiwania na wannę sama siebie przekonała, że słynna szkocka duma - słynna przynajmniej według babki - pozwoli jej przeżyć jakoś ten wieczór. Związała włosy w grecki węzeł, świadomie ignorując wiszącą na wieszaku suknię z błękitnego aksamitu. Włożyła starą z zielonego muślinu, przewiązała się w ramionach wypłowiałym szalem mamy i poszła na dół.

Felicity najpierw doprowadziła służącą do szaleństwa swoimi sprzecznymi życzeniami i żądaniami, a kiedy w końcu uznała, że efekt ją zadowala, nie śpiesząc się zeszła krętymi schodami do bawialni. Wiedziała, że spóźniła się kilka minut, lecz było jej to obojętne. Nie pozwoli Ianowi sobą rządzić. Lepiej będzie, jeśli od razu mu to uświadomi. Chętnie spełni wszystkie jego życzenia pod warunkiem, że będzie jej z nimi po drodze. Tym razem było inaczej. Najchętniej zjadłaby kolację u siebie w sypialni, ale miała poważne wątpliwości, czy w tej stercie gruzu znajdzie się coś takiego jak taca.

Ian skinął głową na powitanie, dając jej bezgłośnie do zrozumienia, co sądzi o takim zachowaniu, po czym przedstawił ją w kilku słowach Claude'owi, Bertrandowi i Konstancji. Felicity zawiesiła wzrok na tej ostatniej, ponieważ ona, w przeciwieństwie do siostry, zapowiadała się na przyszłą piękność.

Starannie ułożone czarne loki, urocza zielona sukienka. Doprawdy, śliczna dziewczyna, co dopiero w pełni się ujawni za parę lat. A ta niezguła Brandy? Felicity nie mieściło się to w głowie. Chwilę później doznała największego szoku w całym swym krótkim życiu. - Spóźniłaś się. - Lady Adela nie owijała w bawełnę. - Nie obchodzi mnie, czy jesteś gościem czy nie, nie lubię gdy haggis mi stygnie. To ma być ostatni raz, inaczej gorzko tego pożałujesz. Podaj mi ramię, chłopcze - powiedziała do Gilesa i wysunęła rękę.

Felicity miała ochotę nawrzeszczeć na tę wstrętną staruchę, ale wiedziała, że nie wyjdzie jej to na dobre. Skinęła głową w milczeniu. Książę ujął ją za ramię, a ona spojrzała na niego spod spuszczonych rzęs. Pewnie zaraz potępi Adelę i pochwali łagodność i takt Felicity. Cóż to, nie ma dla niej nawet jednego uśmiechu? Niech go diabli! Był zły, że się spóźniła. Ech, zaraz mu przejdzie. Uśmiechnie się do niego, może trochę się z nim podroczy. Wyglądał wyjątkowo poważnie, nawet ponuro. A te jego ubrania?

Spędziła tydzień z roześmianym, modnym Gilesem. Ian nie przypominał go ani trochę. Wielka szkoda. Przeszedł ją dreszcz. Spojrzała na jego wielkie ręce, owalnie zakończone paznokcie. Na myśl, że te ręce mogłyby jej dotykać, zadrżała ponownie.

Ian pomógł jej zająć miejsce przy długim stole. - Musisz pamiętać, że punktualność jest niezwykle ważna dla lady Adeli - powiedział łagodnie. - Mam nadzieję, że w przyszłości będziesz zwracała

większą uwagę na zegar. Choćby po to, by uniknąć jej ostrego języka. Lub konsekwencji, o których mgliście nadmieniła. Nie martw się, jeśli kara ma polegać na wylaniu ci gorącego oleju na głowę, postaram się ją przekonać, by wybrała coś łagodniejszego. - Powiedział to jako żart, który miał rozładować panujące między nimi napięcie, ale ona nawet na niego nie spojrzała. Będzie się boczyć cały wieczór? Wziął głęboki oddech i czekał.

Czekał jeszcze kilka chwil, stojąc obok jej krzesła, ale Felicity nie odezwała się.

Za wcześnie na uśmiechy, pomyślała i postanowiła go zignorować. Odwróciła się do lady Adeli, która właśnie mówiła do Gilesa: - Powiedz mi coś o Dudleyu, chłopcze. Wyobraź sobie, że kiedyś mi się wydawało, że jestem zakochana w jego pradziadku, rym starym łotrze. Słyszałam, że wdał się w awanturę z Foxem, a jeszcze nikt nie wyszedł zwycięsko z awantury z Foxem, i musiał się Zaszyć na dwa lata w swojej wiejskiej posiadłości w Kent.

Giles chętnie sięgnął w głąb pamięci, ale ponieważ fakt, opisany przez starszą panią, miał miejsce przed jego narodzinami, wolał skupić się na życiu wnuka Dudleya. - Straszny nudziarz, milady, mieszka gdzieś na wsi z tuzinem bachorów uczepionych poły surduta. Nie ma krzty charakteru dziadka, zdaje się, że prowadzi nieciekawy, przyziemny żywot.

Uśmiechnął się przekornie w stronę Iana. - Podobnie jak nasz Ian - dodał głośno. - Nie chce korzystać z uciech, jakie niesie ze sobą książęcy tytuł. Woli włóczyć się po tych swoich akrach. Przyznaj się, życie w mieście zupełnie ci nie pasuje, a jeśli postawisz na swoim - spojrzał wymownie na Felicity - szybko dorobisz się tuzina bachorków. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby przewidzieć - zwrócił się ponownie do lady Adeli - że urodzą się olbrzymy, krzepkie i rosłe jak dęby. No i jak mówiłem, co najmniej tuzin. Już współczuję jego żonie.

- Mówisz tak, bo wiesz, że nie złapię cię za fraki i nie wrzucę do kotła z haggisem. Ale równie dobrze mogę zakraść się do twojej sypialni i wyrzucić cię przez okno do fosy. - Ian uśmiechnął się szeroko, ale po chwili dodał poważnie, patrząc na Felicity: - Ale muszę przyznać, że preferuję wiejskie życie. Uwielbiam łowić ryby w jeziorze Carmichael, a potem jeść własnoręcznie złowioną zdobycz. Lubię ścigać się konno, lubię polować na bażanty na moich ziemiach. Są tam też rzymskie ruiny, które można zwiedzać, i opactwo, zniszczone przez Henryka VIII. Jest cicho i spokojnie, w powietrzu czuje się historię, która nie popadnie w zapomnienie jak zgiełk i zepsucie Londynu. I jeśli będę miał pewność, że urodzą mi się dzieci tak śliczne jak mała Fiona, chętnie zatroszczę się, by w Suffolk nie zabrakło moich potomków.

Felicity upuściła widelec na bezkształtną masę jedzenia na talerzu. Spojrzała na Iana i potrząsnęła głową. - Chyba żartujesz, Ian. Cudownie jest być na wsi na święta Bożego Narodzenia, kiedy pada śnieg. Jeździć saniami w poszukiwaniu najpiękniejszej choinki. Ale kogo obchodzą jakieś ruiny? Albo kupa kamieni, która ponoć była opactwem, a dziś jest tylko siedliskiem obrzydliwych pająków. No i najważniejsze. Trudno mi sobie wyobrazić coś bardziej pospolitego i ordynarnego niż rudowłose dzieci.

Rozparła się wygodnie i uśmiechnęła do wszystkich biesiadników.

ROZDZIAŁ 20

Brandy chwyciła kieliszek i powiedziała najbardziej lodowatym tonem, jaki Ian miał okazję u niej słyszeć. - Moja siostra nie jest pospolita, lady Felicity. Pospolitość to cecha, która sprawia, że niektóre osoby nie dbają o uczucia innych. To zakamuflowany pięknymi słowami brak manier i elementarnej kultury u osoby, która nie ma dosyć rozumu, aby ukryć swą podłość.

Na twarzy Felicity pojawił się wymuszony uśmiech w którym nie było ani cienia szczerości. - Ależ panno Robertson, nie chciałam nikogo urazić. Fiona to twoja towarzyszka od ryb, nieprawdaż?

Ian wtrącił się ostro: - O nie, Fiona to znacznie więcej, Felicity. Brandy traktuje ją raczej jak własne dziecko niż siostrę. Fiona to jej wee bairn, dzieciątko, jakbyśmy tu w Szkocji powiedzieli.

- Wee bairn, wasza wysokość? Cóż to za język? Czyżbym była za granicą? Zaklinam cię, mów po angielsku.

- Jesteś za granicą - powiedziała Brandy. - Tutaj mówi się po szkocku. To ty powinnaś starać się mówić naszym językiem, a nie zmuszać nas, abyśmy mówili po twojemu.

Claude, który nie wsłuchiwał się w nieprzyjemne wątki tej rozmowy postanowił się wtrącić: - Lady Felicity ma rację. Powinniśmy się bardziej starać i traktować ją w sposób, do jakiego jest przyzwyczajona. Owszem, jesteśmy w Szkocji, ale ona jest naszym gościem.

Felicity na próżno szukała w tej przemowie śladów sarkazmu. Po chwili zastanowienia stwierdziła, że być może ten Robertson, mimo podeszłego wieku i braków w uzębieniu, potrafił się na niej poznać. Skinęła wdzięcznie głową w jego stronę. Jak ta wywłoka miała czelność sugerować jej brak rozumu?

Lady Adela postanowiła podgrzać atmosferę. - A więc nie przepadasz za uciechami miejskiego życia, Ian? Mam nadzieję, że mimo to zapewnisz Brandy owocny sezon w Londynie.

Z głosu Felicity wiało chłodem. - Obawiam się, milady, że planujemy z księciem raczej dłuższą podróż poślubną. Nie macie odpowiednich krewnych na przykład w Edynburgu? Tamtejsza socjeta bardziej przypadnie dziewczynie do gustu; będzie też bardziej odpowiadała jej możliwościom.

Giles spojrzał ostro na Felicity, na ściągnięte w uporze usta i wzruszył ramionami. Spod spuszczonych rzęs przyglądał się uważnie Brandy. Felicity nie mogła nie zauważyć ogromnych bursztynowych oczu rywalki. Wyglądały na bursztynowe, przynajmniej w skąpanej w mroku jadalni. Pomyślał, że ten rodzaj światła jest szalenie romantyczny, bo cienie nabierały kształtów, a ostre linie miękkości.

Ależ skąd, Felicity nie widziała niczego poza strojem dziewczyny. Nie widziała prawdziwej Brandy - piękności, a jednocześnie wrażliwej duszy, która nie była w stanie nikogo skrzywdzić, chyba że w obronie tych, których kochała. A więc Felicity nie miała dość rozumu, aby ukryć swą podłość. Brandy miała rację, przynajmniej w dużej części. Trzeba było jednak czasem przyznać Felicity, że swym wdziękiem potrafiła nieraz zdziałać cuda. Jeśli chodzi o Iana, sztuczki z reguły jej

się udawały.

- Nie chcę wysyłać Brandy do Edynburga - powiedziała spokojnie lady Adela, świadomie ignorując zniewagę wygłoszoną przez Felicity. Skoro Ian ma jej zapewnić odpowiedni posag, a w jej żyłach płynie po części angielska krew, chcę, by męża znalazła w Londynie. Jest hrabianką, będzie miała pieniądze.

Może sięgać tak wysoko, jak tylko zechce.

- A co ze mną, babciu? - zapytała Konstancja, gotowa walczyć o swoje prawa.

Claude uśmiechnął się szeroko i wymierzył synowi kuksańca w żebra. - Wobec ciebie mamy inne plany, panienko. Nie musisz się martwić o swoją przyszłość. Nie mam racji, Bertie?

- Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce, ojcze - powiedział Bertrand, który wyglądał, jakby kij połknął. - Obawiam się, że nie trafiłeś ani z jednym, ani z drugim. Pozwól, że ja sam zajmę się swoimi sprawami.

Unikając pytającego spojrzenia Konstancji, zajął się haggisem, który nie smakował tak samo, jak jeszcze przed chwilą. Connie nie miała pojęcia, co do niej czuje. Była taka młoda. Dopiero uczyła się, jak to jest być kobietą. Uwielbiał patrzeć, jak ćwiczy te swoje sztuczki. Chyba że ćwiczyła je na Percym, tym lubieżnym nicponiu. Uwielbiał patrzeć, jak się zmienia i dorasta, jak czasem mówi coś niemądrego i poprawia się po chwili zastanowienia. W takich chwilach był z niej dumny. Potrzebowała czasu, a nie poszturchiwań ze strony jego ojca czy lady Adeli.

- Uważaj, bo zanim się zdecydujesz, możesz zupełnie osiwieć - powiedziała Adela, grożąc mu widelcem.

- A ja myślę, że Bertrand ma zdrowego rozsądku jak mało kto - powiedział książę spokojnie. Kątem oka zobaczył zbliżający się do stołu biszkopt i dodał szybko: - Kolacja była wyśmienita, nasza droga kucharka przeszła samą siebie. Dlatego wolałbym, żebyśmy deser odłożyli na później, a tymczasem odpoczęli chwilę w bawialni.

Brandy obdarzyła go figlarnym uśmiechem, aż przeszedł go dreszcz. - Ależ Ian, biszkopt to tak angielska potrawa! Jesteś pewien, że nie masz ochoty? Czyż nie mówiłeś, jak bardzo ci smakuje, kiedy kucharka ostatnio upiekła go specjalnie dla ciebie?

Uśmiechnął się, w głębi duszy przyrzekając zemstę. - Owszem, mówiłem wszystko, co sugerujesz. A teraz, zaprowadź lady Adelę do bawialni, jeśli mogę cię prosić.

- Tak jest, kapitanie - powiedziała pod nosem, ale mimo wszystko zbyt głośno.

Giles przyszedł księciu na pomoc; wstał i podał ramię lady Adeli. - Ian, może chodźmy wszyscy? Im prędzej wszyscy znajdziemy się w bawialni, tym lepiej. Nie sądzę, żeby panowie mieli sobie coś istotnego do powiedzenia.

Zaraz, zaraz, gdzie to byliśmy? Ach tak, wicehrabia Dwyer. Pamiętasz tego starego łotra, wicehrabiego Dwyer, milady?

- Dwyer, Dwyer - powtórzyła Adela powoli. - Nie przypominam sobie, mój chłopcze - przyznała w końcu, marszcząc czoło.

- Nieistotne, milady - powiedział Giles. - Nie ma co zawracać sobie nim głowy. - Tak naprawdę, o ile Gilesowi było wiadomo, ktoś taki jak wicehrabia Dwyer nigdy nie istniał. Zignorował ostrzegawcze spojrzenie Iana. Nie miał zamiaru przerywać zabawy.

- Mam pomysł - odezwała się lady Adela, siedząc już w swoim krześle w bawialni. - Opowiedz nam coś o rodzinie swojej i księcia. Z tego co wiem, to córka mojej siostry wyszła za zwyczajnego, niepozornego jegomościa. Nie rozumiem, skąd u Iana taki wzrost i postura.

- Może córka twojej siostry przyprawiła mężowi rogi, milady?

Lady Adela parsknęła śmiechem, aż Brandy z ulgą pomyślała, że na szczęście w ustach starszej pani nie ma w tej chwili jedzenia. Śmiech do złudzenia przypominał śmiech Claude'a. Adela obróciła się i dała Gilesowi lekkiego kuksańca.

Brandy nie mogła patrzeć, jak Ian pomaga Felicity zająć miejsce - zupełnie jakby była bezradnym dzieckiem, pomyślała kpiąco i przysunęła się bliżej do Gilesa i babki. - Poważnie, Giles, tak mało wiemy o waszej rodzinie, Ian nigdy o niej nie mówi.

- Co takiego? Nie mówi o swoich sławnych przodkach? Niesłychane.

Giles uśmiechnął się szeroko do księcia, ale w jego oczach Brandy widziała kpinę. - Nasza dostojna głowa rodziny nie zadała sobie trudu, by przedstawić historię dumnego rodu? Wstydź się, Ian - zawołał do kuzyna. - Żebym to ja musiał nadawać odpowiednią wagę twemu tytułowi. No, ale skoro nie mam innego wyjścia.

- Już dobrze, zaczynaj - powiedział książę. - Tylko nie zanudź dam na śmierć.

Felicity ani trochę się nie podobało, że książę stroi sobie żarty ze swej sławnej rodziny. Było to niewłaściwie, niemal świętokradcze. - Doprawdy, wasza wysokość, czy to ładnie podśmiewać się ze swoich przodków? Ich nazwiska wypełniają karty narodowej historii. Wygrywali bitwy, byli dostojnikami kościelnymi, politykami, kupowali przepiękne posiadłości oraz...

- Oj tak, okręgi wyborcze również - powiedział Ian. - Nie drgnęła im powieka, kiedy kupowali głosy dla różnej maści służalców. Wiele ich to nie kosztowało, bo wszyscy znajdowali się w parlamencie. Wystarczyło, że zanudzali całą salę swoimi przemowami.

- Ależ Ian - odezwała się Brandy najsłodszym, najbardziej fałszywym tonem, jaki kiedykolwiek słyszał - to piękna sprawa służyć w ten sposób ojczyźnie.

Jestem pewna, że żaden z twoich przodków nie zanudziłby mnie swoją mową. Jestem zatem gotowa wysłuchać całej historii i nawet odpowiednio się przejąć, jeśli tylko Giles zatroszczy się o wygody babci.

- Jeśli chcesz wiedzieć, panno Robertson - rzuciła Felicity ostro - rodzina Carmichael może wykazać się arystokratycznym i dumnym pochodzeniem.

Czysta angielska krew, bez cudzych domieszek.

- Jak szybko zapomniałaś o hrabim i hrabinie de Vaux, moja miła - powiedział Giles gładko, a jego słowa zapadły słuchaczom głęboko w pamięć.

- Giles! - zdenerwował się książę.

Brandy nie mogła oderwać od niego wzroku. Nie mogła się powstrzymać - A kto to taki, ci państwo de Vaux, Giles?

- Zamknięto mi usta. To pytanie powinnaś zadać księciu, nie mnie, Brandy.

Felicity postanowiła mieć ostatnie słowo. - Rodzina de Vaux nie ma najmniejszego znaczenia. Przecież ich krew nie zmieszała się z krwią rodu Portmaine.

- Słusznie, moja miła - zgodził się Giles i sięgnął po tabakierkę, ukrytą w kieszeni kwiecistego surduta.

- Brandy - odezwał się książę stanowczo - siadaj do pianina. Chcę usłyszeć szkocką balladę.

Spojrzała na niego szybko. Patrzył na Gilesa i nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Tak zaskoczyło ją to niespodziewane żądanie, że nie zdążyła nawet odmówić.

Zaśpiewała smutną balladę Roberta Burnsa, ale jej wysiłek został skwitowany jedynie kąśliwą uwagą panny Trammerley: - Ciężko jest docenić pieśń, której słów się nie rozumie.

Brandy nie dowiedziała się nic więcej o rodzinie Iana ani o tajemniczych de Vaux, bo Felicity ziewnęła, podniosła się z miejsca i poprosiła Iana o odprowadzenie do sypialni: - Korytarz jest ciemny, wasza wysokość. Obawiam się, że zaraz się zgubię albo potknę o jakąś nierówną deskę, z której pewnie wystają pordzewiałe gwoździe. Dywan jest tak wystrzępiony, że trzeba uważać. Zaprowadź mnie, proszę.

- Życzę jej, aby skręciła kostkę - Konstancja szepnęła złośliwie do Brandy.

- Tylko nie to, Connie - odparła Brandy również szeptem. - Pomyśl, jak długo by tu wówczas została. Pewnie musiałybyśmy jej usługiwać.

Claude podniósł się z wysiłkiem na nogi i szarmancko pocałował Felicity w dłoń.

- Nie rób z siebie głupca, Claude - rzuciła lady Adela niskim, chrapliwym tonem, który doskonale znany był wszystkim obecnym poza Gilesem oraz Felicity. Ci ostatni drgnęli i spojrzeli na nią, czego Adela nie zauważyła. - Lady Felicity na pewno nie dba o twoje artretyczne atencje.

Felicity była jednak ewidentnie odmiennego zdania, bo uśmiechnęła się wdzięcznie jak królowa, nagradzająca wiernego poddanego, na co Claude napuszył się jak paw. Pożegnała się ukłonem z towarzystwem i opuściła bawialnię, uwieszona na ramieniu Iana.

Książę był poirytowany. Nie lubił tego uczucia, więc kiedy odezwał się do Felicity nie złagodził tonu jak to miał w zwyczaju w rozmowach z nią.

- Naprawdę cieszę, że cię widzę - zaczął, prowadząc ją po schodach - ale twoje zachowanie pozostawiało dziś wiele do życzenia.

Felicity odczuwała podobną irytację, co książę. Nabrała tchu, mieląc bezgłośnie przekleństwa niegodne damy. Nie było łatwo, ale zdołała powstrzymać język. Jak widać, miał jeden z tych swoich nastrojów.

Książę mówił dalej: - Rozumiem, że ta wizyta musi być dla ciebie dziwna, ale musisz się starać być miła. Nic ci się nie stanie jeśli nie będziesz narzekać, krytykować wszystkiego i wszystkich. Będziesz tutaj tak krótko. Nie chcę od ciebie tak wiele.

To było zbyt wiele. Zapomniała o wszystkim, czego uczyła ją matka i zazgrzytała zębami: - Mam być miła?! - Odwróciła się do wielkiego, ciemnego mężczyzny, który wkrótce miał zostać jej mężem i powiedziała głosem kipiącym sarkazmem: - Och, jak łatwo być miłą w tym rumowisku pełnym moli. I jak to miło z twojej strony, gdy opowiadasz publicznie, że marzysz o tuzinie dzieciaków podobnych do tej obrzydliwie pospolitej Fiony. Rzeczywiście, to niezwykle przyjemna myśl, że jestem dla ciebie rozpłodową klaczą, którą zamkniesz w Carmichael Hall, tym wielkim mauzoleum. Jeśli kiedykolwiek sądziłeś, że po ślubie porzucę miejskie życie, przeliczyłeś się, wasza wysokość.

- Felicity, czy chcesz powiedzieć, że nie chcesz rodzić moich dzieci? - Odwróciła wzrok, a Ian wyraźnie czuł, że jest zdegustowana. Był dużym mężczyzną, ale znając go, musiała wiedzieć, że nigdy by jej nie skrzywdził.

A w szczególności w łóżku. Z Mariannę postępował zawsze tak delikatnie.

Felicity musiała to wiedzieć. A może nie? Może się tylko bała, jak to dziewica.

- Wcześniej byłaś bardziej rozmowna. - Nie był pewien, czy chce ją zrzucić ze schodów, czy zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Nie, musi uzyskać teraz odpowiedź. - Nie chcesz mieć ze mną dzieci?

Nie była głupia. Rozłożyła ręce i wzięła głęboki oddech. - Co za śmieszne pytanie. Jestem zmęczona, potwornie zmęczona. To była długa podróż. Muszę się wyspać.

- Oczywiście. - Otworzył drzwi do jej sypialni, przyzywając do siebie tę samą cierpliwość, którą

zawsze okazywał Mariannę. Był dla Felicity zbyt surowy i teraz tego żałował. Niełądnie. Wszystko, co dziś wieczór powiedziała, to wina zmęczenia. Powinien był to zrozumieć. Uśmiechnął się, trzymając ręce przy sobie.

- Do zobaczenia rano - powiedział i zostawił ją samą.

ROZDZIAŁ 21

Okna pokoju dziecinnego wychodziły prosto na podjazd do zamku. To właśnie stąd Brandy mogła zaobserwować, jak książę podsadza Felicity, odzianą w błękitny strój do konnej jazdy, na grzbiet Cantera. Nie mogła powstrzymać ukłucia zazdrości, ponieważ Felicity pięknie siedziała w siodle. Wydawała się rozluźniona, po prostu obraz idealnej amazonki. Takiej, która zawsze wie, co robi i nigdy nie spada z wierzchowca. No tak, Felicity była niezwykle elegancka i pewna siebie. Idealna partnerka dla angielskiego księcia, a nie jakaś szkocka hrabianka w łachmanach. Dosyć tego, pomyślała. To Felicity siedzi teraz na grzbiecie Cantera, konia, który omal jej, Brandy, nie zabił. Książka została już napisana i nie da się zmienić ostatniej sceny. Powinna dać sobie spokój, pomyślała z rezygnacją i wróciła do lekcji Fiony.

Tego ranka Brandy odłożyła na bok poważne tomisko traktujące o historii Szkocji i sięgnęła po mapę Anglii, na której kazała Fionie odnaleźć Suffolk. Och, uwielbia pastwić się nad sobą. To chyba było jedyne wytłumaczenie tej sytuacji.

- Suffolk - powiedziała Fiona, wymawiając tę nazwę ze szkockim akcentem. - Gdzie jest ten Suffolk, Brandy?

- Suffolk to hrabstwo w Anglii, kruszynko. Mieszka tam Ian, jeśli nie ma go akurat w Londynie. Ma tam wiejską posiadłość, która nazywa się Carmichael Hall. I jezioro, w którym czasem pływa. - Wyobraziła sobie, jak Ian wychodzi nago z wody. Woda spływa z jego ciała, a on drży z zimna, tak samo jak tego wieczora, kiedy zobaczyła go po kąpieli. Mój Boże, musi przestać.

- Hm - odezwała się Fiona. - Tam jest rezydencja księcia. - Fiona niezgrabnie powiodła palcem po wschodniej części Anglii.

- A skąd to wiesz, kruszynko?

- Babcia mówiła. - Fiona wciąż przyglądała się mapie w skupieniu. W końcu udało jej się odnaleźć Suffolk. Podniosła oczy na siostrę. - Kiedy ta okropna pani stąd pojedzie?

Brandy westchnęła. - Nie wiem, skarbie. Ta pani to przyszła żona Iana.

- Dlaczego chce się z nią ożenić? Zawsze jest taki wesoły, nawet przy Percym.

Jak się z nią ożeni, na pewno nie będzie się tyle śmiał. Może ty z nim porozmawiaj, Brandy.

- Ja, kruszynko? Nic na to nie poradzę. Przykro mi, ale tak właśnie jest.

- Po co ona tu przyjechała? Nikogo z nas nie lubi.

- Dobre pytanie. Niestety nie znam odpowiedzi.

- Mam nadzieję, że nie zabierze Iana ze sobą. Może gdybym włożyła jej ropuchę do łóżka...

Brandy przytuliła mocno małą. - Nie sądzę. Ale wiesz co? Chciałabym zobaczyć jej twarz na widok tej ropuchy. Takiej wielkiej, których pełno w bagnach Penderleigh. Nie, nie możemy, Ianowi na pewno by się to nie spodobało, bo to jego przyszła żona. Musimy być miłe, chociaż niedobrze mi się od tego robi. - Ciekawe, o czym rozmawiają, pomyślała, jeszcze raz spoglądając na Felicity.

Ian, a tuż obok niego Felicity, jechali płynnym cwałem wzdłuż klifu. Zadawał sobie pytanie, dlaczego jego wizyta w Penderleigh tak się przeciągnęła. W pierwszym odruchu przyszły mu do głowy owce i problemy finansowe szkockiej posiadłości, ale po chwili zdał sobie sprawę, że gdyby miał te dwa rozsądne powody wypowiedzieć na głos, za kłamstwo poraziłby go piorun. Tak naprawdę był tu ze względu na Brandy i nie mógł dłużej tego przed sobą ukrywać. Ale to i tak nie miało znaczenia. Przypomniał sobie jak na niego patrzyła, jakby był najważniejszą osobą na całym świecie.

Wrócił pamięcią do chwil spędzonych w leśnej chacie. Do jej pięknych, miękkich ust, westchnień rozkoszy, kiedy ją całował. - Ian, zwolnij, proszę. Nie mam ochoty na galop na tak nierównej ścieżce.

Wygląda na to, że w tym przeklętym kraju nie ma ani jednej porządnej drogi.

Ian ściągnął wodze i odwrócił się do Felicity. - Przepraszam, moja droga. Nie słuchałem cię. Co mówiłaś?

- Co się z tobą dzieje, Ian? Zachowujesz się inaczej niż zwykle. Zmieniłeś się i nie mogę powiedzieć, że to pochwalam. Wygląda na to, że sprawia ci przyjemność przebywanie z tymi ordynusami. Przykro mi, ale tak to właśnie wygląda. A przecież nie są z tobą nawet blisko spokrewnieni. Nie musisz nikomu udowadniać, że świetnie się czujesz w ich towarzystwie. Nie wolałbyś znaleźć się wśród ludzi własnego pokroju?

- Felicity. - Wstrzymał konia i zrównał się z narzeczoną. - Po co przyjechałaś do Penderleigh? Przecież napisałem, co mnie tutaj zatrzymało. A co do przyjemności przebywania tutaj, owszem, bardzo polubiłem moich krewniaków. Są szczerzy i autentyczni, nawet wuj Claude, który śmieje się przez resztki swoich zębów, czy lady Adela, która jest równie kwaśna co dżem truskawkowy w wydaniu tutejszej kucharki. Powiedz szczerze, co cię tutaj sprowadza?

Nie miała ochoty mówić, że to matka zachęcała ją, by nie spuszczała go z oka. Jej matka, która była przerażona, kiedy postanowił spakować manatki i opuścić Anglię i jej córkę, Felicity.

- To za daleko, moja kochana - mówiła wtedy pani Trammerley, klepiąc córkę po policzku. - Mężczyźni, jeśli ich się nie pilnuje, zaraz wpakują się w kłopoty. Uważam, że powinnaś tam pojechać i ściągnąć go do domu. Tacy już są, niestali w uczuciach. Lepiej, żeby cię zdradzał, kiedy masz go na oku.

Tych słów Felicity nie mogła mu powtórzyć.

Zaśmiała się wdzięcznie i odparła zalotnie: - Mówiłam ci już, stęskniłam się za tobą. To chyba wystarczy, by złożyć wizytę narzeczonemu.

Uniósł czarną brew. - Daj spokój, Felicity, z tego powodu przyjechać do Szkocji? Gdyby chodziło o Carmichael Hall, może bym uwierzył.

Felicity wygładziła zmarszczki na rękawiczkach, starając się w ten sposób uspokoić. - Wygląda na to - powiedziała w końcu chłodno - że chcesz mnie przesłuchiwać. Widzę, że się zmieniłeś, jak zresztą już wcześniej zauważyłam.

- Ja się zmieniłem? Nie, to ty mnie widziałaś jedynie wśród londyńskiego towarzystwa. Owszem, przyznaję, jestem bardziej niż zdziwiony, iż zdecydowałaś się porzucić rozrywki sezonu dla miejsca, którego jak widać nie znosisz. Strata czasu ta twoja podróż. Niepotrzebnie przyjeżdżałaś, zupełnie niepotrzebnie.

Uważa ją za głupią i ślepą? To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. - Czy to aż tak nieprawdopodobne, że chciałam cię zobaczyć? A może nie jest ci na rękę, że ośmieliłam się przeszkodzić ci w dobrej zabawie? Jesteś tak zadufany w sobie, że nie wierzyłeś, że przejrzę grę,

którą prowadzi ta mała dziwka, żeby cię ode mnie odciągnąć, żebyś zapomniał o swoich powinnościach? Nie dałam się zwieść jej starym łachom i dziecinnym warkoczykom. Widziałam, jak na ciebie patrzy, jak się wdzięczy i uśmiecha. Myślisz, że nie zauważyłam, z jaką czułością opisywałeś ją w liście? A może było ci wszystko jedno?

Gapił się na nią, nie dowierzając, że piękne usta narzeczonej mogą sączyć taki jad. Zawsze sądził, że jest słodka i łagodna. Ściągnął wodze, Herkules zarżał i cofnął się o parę kroków. Uspokoił konia, co pozwoliło jemu samemu odzyskać równowagę. Co miał jej odpowiedzieć? Zgodzić się, że Brandy to mała dziwka? Zapytała, czy jest mu wszystko jedno. Zastanowił się przez chwilę. Może miała rację.

- O co ci chodzi, Felicity? - powiedział w końcu spokojnie. Może i błędem było prowokowanie jeszcze większej furii, ale po raz pierwszy od początku znajomości nie rozumiał narzeczonej. Zdał sobie sprawę, że pewnie nigdy jej nie rozumiał. Przeklęty Giles miał rację, dlaczego nie zwracał uwagi na jego ostrzeżenia?! Postanowił jej jednak wysłuchać i dlatego powtórzył: - O co ci chodzi, Felicity?

Odwróciła twarz, przypominając sobie, że jest bądź co bądź najstarszą córką hrabiego Braecourt, a nie jakąś szkocką latawicą o niewiadomym pochodzeniu. Wzruszyła ramionami. - Pewnie nie ma w tym nic niezwykłego, że chcesz się zabawić w tym okropnym, niecywilizowanym miejscu. Zdaję sobie sprawę, że arystokraci mają kochanki i odwiedzają burdele, nawet jeśli są zaręczeni z damą. Proszę cię tylko o jedno. Nie przywoź tej dziwki do Londynu zaraz po naszym ślubie. A jeśli to zrobisz, nie afiszuj się z nią przed naszymi przyjaciółmi i przede mną.

- Ach tak, skoro jestem księciem, to na pewno muszę mieć kochanki i odwiedzać burdele? Nie wierzysz, że przysięga wierności i honor coś dla mnie znaczą?

- Nie o to chodzi, wasza wysokość. Z tego co rozumiem, kochanki i przysięgi wierności to dwie różne rzeczy. Po prostu tak już jest.

- Nie u mnie. Jeśli raz złożę przysięgę, to jej dotrzymam. Nie obchodzi mnie, jak to robią inni. Śmiem twierdzić, że to od brata, lorda Sayera, słyszałaś takie rewelacje?

- Brat mówił, że będziesz mnie traktować co najmniej tak dobrze, jak ulubioną przyjaciółkę i że prawdopodobnie zostawisz mnie w spokoju, jak tylko urodzę ci syna. Tak to zwykle jest z dżentelmenami. Ale to nie tylko słowa mojego brata. Nie jestem ślepa. Widuję małżeńskie pary. Przez jakiś czas wydają się być blisko ze sobą, ale potem on znajduje sobie przyjaciółkę, a ona kochanka.

- Przygnębiające - powiedział książę. - Ale jeszcze raz ci powtórzę: jestem inny. Znam wiele szczęśliwych i wiernych małżeństw. Ale wróćmy to tematu. Przejechałaś taki szmat drogi, bo pisałem o Brandy, a ty założyłaś, że musi być moją kochanką? Zaczynam cię pojmować.

Być może. Kierowała nią zazdrość i obawa o pozycję, która przypadnie jej w udziale dopiero wtedy, gdy zostanie księżną Portmaine.

- Mam nadzieję, Ian. A więc nie przywieziesz jej do Londynu. Nie ośmieszysz mnie przed przyjaciółmi? Poczekasz do ślubu, a i potem będziesz zachowywał odpowiednią dyskrecję?

Brandy nie przyjedzie nigdy do Londynu jako moja kochanka, przed czy po ślubie. Ona sama się na to nie zgodzi, chociaż moje zdanie jest w tej sprawie odmienne. Chciałbym, by zobaczyła londyński sezon, spędziła miło czas i poznała mężczyznę, którego będzie podziwiać i którego zechce poślubić. Ale jak powiedziałem, ona nie chce jechać. - Zanim zdążyła skomentować te słowa, powiedział gwałtownie: - Zapytałem cię wczoraj, czy chcesz mieć ze mną dzieci. Teraz musisz dać

mi odpowiedź.

ROZDZIAŁ 22

Spuściła wzrok z minką wstydliwej dziewicy, ale trudno jej było utrzymać spokojny ton głosu. - Oczywiście, spełnię swój obowiązek.

- Obowiązek - powtórzył bez zająknienia. Słodki Jezu, jak mógł być tak ślepy i nie widzieć, z kim ma do czynienia?

- Musisz mieć dziedzica. Nawet moja matka jest tego zdania. Szlachcic musi mieć syna, który odziedziczy nazwisko i tytuł. Twoim formalnym spadkobiercą jest teraz Giles, ale ponieważ jest od ciebie zaledwie dwa lata młodszy, prawdopodobnie nie przeżyje cię na tyle, by odziedziczyć twój tytuł. Nie martw się, wasza wysokość. Zrobię, co do mnie należy.

- Kochasz mnie, Felicity?

Była tak zaskoczona, że szarpnęła za wodze i koń znalazł się tuż nad stromym zboczem klifu, Ian szybko ściągnął go z powrotem. Zaśmiała się nerwowo i rozsiadła wygodnie w siodle, wachlując się odzianą w rękawiczkę dłonią. - Cóż za pytanie, drogi książę. Zaczynam się obawiać, że długi pobyt na prowincji źle wpłynął na ostrość twoich zmysłów. Mam ogromny szacunek dla ciebie i twojej rodziny, czego pewnie oczekujesz od przyszłej księżnej Portmaine. Chyba nie wierzysz w romantyczne bzdury, które mają takie wzięcie wśród plebsu i niemądrych kobiet, czytających romanse?

- A więc książę i księżna są inni niż reszta świata?

Spojrzała na niego dziwnie, a on uświadomił sobie, że widzi w jej wzroku pobłażliwość połączoną z nutką pogardy. - Książę i księżna powinni stanowić przykład dla wszystkich niżej urodzonych. W naszych kręgach nie ma miejsca na ckliwe romanse. Nie pojmuję, że mógłbyś chcieć, by twoja żona odgrywała rzewne sceny, właściwe jedynie dla teatru. Nie w taki sposób mnie wychowano. Nigdy nie zrobię czegoś tak niestosownego.

Spojrzał na nią ze smutkiem. Może kiedyś by się z nią zgodził. Jednak nie dzisiaj. Zdał sobie sprawę, że w jednym punkcie miała rację - zmienił się, sam w pełni nie rozumiał tego mężczyzny, którym się stał. A może zawsze taki był, tylko o tym nie wiedział. No cóż, westchnął. Nawet gdyby nie był księciem, jako dżentelmen nie mógł zerwać oficjalnie ogłoszonych zaręczyn, chociaż nie mógł wyobrazić sobie reszty życia spędzonej z tą kobietą. Sam sobie zawinił. Widział w niej to, co chciał zobaczyć. To była jego własna decyzja. A teraz przyjdzie mu za tę decyzję płacić, i to drogo. Felicity jest, jaka jest i tego nie zmieni. Nie było już nic do powiedzenia.

- Chyba już czas, żebyśmy wracali do Penderleigh - powiedział krótko i zawrócił konia.

Felicity uśmiechnęła się i skinęła wdzięcznie głową, po czym podążyła jego śladem.

Przyjazd Percy'ego nie poprawił Ianowi nastroju. Zdziwił go jednak fakt, iż kuzyn wydawał się pozbawiony zwykłego pancerza cynizmu. Percy nie krył radości, uśmiechał się. Wyglądał na szczęśliwego.

Cóż, trzeba się będzie do tego przyzwyczaić. Percy ogłosił, że sąd w Edynburgu, pod upartym naciskiem MacPhersona, uznał go za prawowitego syna rodu Robertsonów.

Nie uszło uwagi Iana, iż Bertrand wyraźnie pobladł na tę wiadomość. Claude parsknął gniewnie i utkwił spojrzenie kaprawych oczu w lady Adeli, która nie kryła rozbawienia. Klepnęła tylko Percy'ego po plecach i z fałszywym uśmiechem powiedziała do Claude'a: - Nie irytuj się, twoja kolej też wkrótce nadejdzie. Czy to ważne kiedy? Może jeszcze tydzień, a może miesiąc. Wszystko po kolei. Stary MacPherson nie poradzi sobie ze wszystkim naraz. Najbardziej zaskoczyło Iana zachowanie Felicity. Spodziewał się, że zareaguje pogardą, że zadrze swój patrycjuszowski nosek i nie będzie chciała mieć do czynienia z bękartem - no może byłym bękartem. Mylił się, bardzo się mylił. Percy ujął jej drobną rączkę, szepnął jakiś komplement i złożył pocałunek na nadgarstku. Zarumieniła się lekko, Ian nie wierzył własnym oczom. Zawsze był niezwykle ostrożny, by w żaden sposób nie naruszyć jej godności i jej nie wystraszyć, a tu wydawało się, że Percy może ją pocałować w usta i jeszcze dostać za to podziękowanie.

Giles powitał nowego znajomego ze zwykłą dla siebie życzliwą obojętnością. Przy okazji szepnął do Iana, iż niezależnie od skłonności ojca, były bękart wydaje się posiadać rzadką umiejętność zdobywania względów u kobiet. Za wyjątkiem jednej, pomyślał książę, patrząc na Brandy.

Podczas kolacji rozpromieniony Percy w skrócie przedstawił swą ostatnią wizytę u ojca Joanny, Conana MacDonalda. - Szkoda, że nie widzieliście twarzy tego starego dziwaka, kiedy powiedziałem, że dotrzymałem słowa i wróciłem jako prawowity Robertson. Zrobił się czerwony jak burak, wiedząc, że nie może odmówić mi prawa do widywania swej mało powabnej córeczki. Nazwisko Robertson wciąż wiele znaczy w tych stronach. - Czyżbyś, panie - Felicity użyła najbardziej czarującego tonu - adorował pannę, która ci się nie podoba?

- Śmiem przypuszczać - zauważył Giles z błyskiem w oku - że atuty panny MacDonald leżą gdzie indziej. Pewnie jest dziedziczką, prawda?

- Istotnie - zaśmiał się Percy. - To mała pulchna brzydula, przekonana, że świat kręci się wokół mnie. Jej ojciec, Conan MacDonald, jest bajecznie bogaty. Wciąż unosi się nad nim smród fabryki, ale sądzę, że z łatwością to zniosę.

- Uwielbienie Joanny również - dodał Giles.

- Przynajmniej przez jakiś czas - zgodził się Percy. Dziwne, pomyślał Ian, że Felicity nie ma najmniejszego problemu ze zrozumieniem Percy' ego mimo jego silnego szkockiego akcentu. Wciąż nie mógł się pogodzić z faktem, że jeśli chodzi o narzeczoną okazał się zupełnie ślepy. Był głupcem. Przełknął kęs haggisu. Zdążył już się przyzwyczaić do tego smaku.

- A więc stary MacDonald cię zaakceptował? - odezwała się lady Adela.

- Wątpiłaś w to, milady? Stary Angus, niech smaży się w piekle, wciąż ma spore wpływy wśród szkockiej arystokracji. Możesz być też pewna, że zrobiłem, co mogłem, by podkreślić pozycję i rangę obecnego pana Penderleigh. Staremu niemal oczy nie wyszły z wrażenia, kiedy usłyszał, że obecnym właścicielem jest angielski książę.

Adela pogroziła mu kościstym palcem. - Chyba nie powiedziałeś MacDonaldowi, że jesteś spadkobiercą księcia, ty mały łotrze?

Wystarczy, pomyślał książę, z hukiem odstawiając kieliszek. - Spadkobierca księcia jeszcze się nie narodził. Mam nadzieję, że pojawi się w przyszłym roku. Giles nachylił się do Felicity i szepnął: - Będziesz miała co robić, moja droga. Pan wydał już rozkazy, a ty będziesz klaczą rozpłodową. Na

dodatek śliczną. Przynajmniej przez jakiś czas.

Brandy usłyszała te szepty. Miała ochotę wyć. Wyć jak wilk podczas pełni, chociaż księżyc był teraz jak wąski rogalik.

- Trzymaj język za zębami, Giles - powiedział Ian chłodno, ale w jego głosie słychać było gniew.

Giles odwzajemnił się koślawym uśmiechem. Podniósł kielich. - Proponuję toast, Ian, życzę ci, aby tym razem lepiej ci się powiodło.

Brandy gwałtownie podniosła głowę, Ian pobladł. Dlaczego Giles powiedział „tym razem"?

Konstancja, która do tej chwili siedziała spokojnie, rzuciła serwetkę na stół i wybiegła z jadalni.

- A tej co się stało? - Adela rzuciła pytanie w powietrze. - Przeklęte dziewczyny. W jednej chwili płączą, w następnej się śmieją. Działa mi to na nerwy. Ja w jej wieku taka nie byłam.

- Nawet gdyby tak było, nikt by tego nie pamiętał - zaśmiał się Claude. - To było wieki temu.

- Zajmę się nią - powiedział Bertrand i wyszedł.

Do saloniku tuż przy bawialni zaprowadził go głośny szloch. Drzwi byty otwarte na oścież. Wyprostował się, widząc, że Konstancja leży na sofie, zanosząc się głośnym płaczem.

Wyglądała ślicznie z rozrzuconymi na plecach czarnymi lokami, aż miał ochotę wziąć ją w ramiona i całować dopóty, dopóki nie przestanie szlochać i odda pocałunek. Opanował się i usiadł obok. - No już dobrze, nie płacz - powiedział łagodnie. - Nie ma powodu do płaczu.

- Ach, to ty, Bertrandzie - powiedziała bez entuzjazmu i wytarła ręką oczy.

- Tak, to ja - powiedział, marząc, by wreszcie spojrzała na niego innymi oczyma.

- Babcia i wujek Claude cię tu przysłali? - zapytała, nie mogąc powstrzymać czkawki.

- Nie. Przyszedłem, bo się o ciebie martwię. - Wyjął z kieszeni chusteczkę. - Wytrzyj oczy, Connie i powiedz, co się stało.

Zrobiła, o co prosił i odwróciła oczy, miętosząc w palcach chustkę.

- Przecież wiesz, że możesz mi ufać. Zawsze byłem twoim przyjacielem. - Owszem, pomyślał, cholernym przyjacielem i niczym więcej.

Konstancja nie zobaczyła w jego oczach dezaprobaty, jedynie dobroć. - Percy ożeni się z tą okropną Joanną - wypaliła prosto z mostu. - Wiesz, że jej nie kocha, chce tylko jej pieniędzy i nawet się z tym nie kryje. To okropne. Nie mogę uwierzyć, że go podziwiałam i chciałam z nim być.

Bertrand w duchu podziękował Percy'emu. - Może i tak, Connie. Ale pamiętaj, w jakiej jest sytuacji. Uwielbia wesołe, miejskie życie, a bez pieniędzy to niemożliwe. Wybrał coś, czego pragnie kosztem małżeństwa z kobietą, której nie kocha. Powiem szczerze, trochę mu współczuję.

- Myślałam, że jest bardziej szlachetny - powiedziała. Czkawka wróciła. - A ty go bronisz, czego nigdy wcześniej nie robiłeś. Zawsze mówiłeś, że to nicpoń niewart uwagi.

Była to prawda, ale w tej chwili Bertranda było stać, by oddać Percy'emu sprawiedliwość, a nawet postąpić jeszcze hojniej. - Nie, Connie, wiedz, że nie pochwalam takiego zachowania. Próbuję po prostu zrozumieć jego motywy. Zapomnij o nim, Connie, nigdy nie był wart twoich uczuć.

Przez chwilę była cicho. Czyżby Percy miał wkrótce zniknąć z jej serca? Cóż, Bertrand miał taką nadzieję.

- To niesprawiedliwe - powiedziała.

- Życie nie zawsze jest sprawiedliwe. Sama o tym świetnie wiesz. Mieszkasz tutaj od urodzenia. Najpierw piekło stworzone przez Angusa, potem rządy Adeli, niewiele lepsze, po prostu inne.

- A dlaczego Brandy ma jechać do Londynu, podczas gdy ja nawet nie byłam w Edynburgu?

Za to nie mógł jej winić. Miała rację. - Brandy jest najstarsza, Connie. Chociaż - dodał z

przekonaniem - są tacy, którzy uważają, że jest w mniejszym stopniu kobietą niż ty.

- Bo to prawda.

- Ja sądzę, że nie pojedzie do Londynu. To nie ona tego pragnie, tylko książę.

Sądzisz, że lady Felicity zniosłaby w swoim domu którąkolwiek z was?

- Mało prawdopodobne. To straszna jędza, Bertrandzie. Biedny Ian. Dlaczego się z nią żeni? Jemu na pewno nie potrzeba pieniędzy. Więc czemu?

- Nie mam pojęcia. Może wszystkie londyńskie panny są takie, a on wybrał z nich najlepszą. Nie wyobrażam sobie, abyś ty czy Brandy spędziła miło czas w jej towarzystwie. A Edynburg to zupełnie inna sprawa. To piękne miasto, Donnie. Jestem przekonany, że złożysz tam kiedyś dłuższą wizytę, Ian mówił, że sam Londyn nie ma piękniejszej architektury i bardziej eleganckich sklepów niż nasza szkocka stolica.

Nie wydawała się przekonana, ale milczała roztropnie. Wstała i wygładziła fałdy sukni. - Dobry człowiek z ciebie, Bertie. - Podniosła głowę. - Widać, że płakałam?

Wziął chustkę z jej ręki i otarł różane policzki. - Nie, wyglądasz ślicznie, jak zwykle. Jeśli ktoś zapyta, powiemy po prostu, że boli cię głowa.

- Dziękuję, Bertie.

Wrócili do jadalni. Nikt nie skomentował nagłej ucieczki Konstancji, chociaż Ian zauważył, że Adela puszcza oko do Claude'a.

Brandy spojrzała na siostrę, świadoma przyczyny jej łez. Może teraz Konstancja przejrzy na oczy. Ciekawe, co powiedział jej Bertrand? Wyglądała ślicznie i bardzo spokojnie.

Po kolacji Brandy zdobyła się na odwagę, by zadać Gilesowi parę nurtujących ją pytań. Okazja pojawiła się sama, gdy Felicity, ubłagana przez Percy'ego, zasiadła do fortepianu i ze sporą dozą talentu zagrała sonatę Mozarta. Na pytanie Brandy Giles pokiwał głową. - Moja biedna, nic nie wiedziałaś o Mariannę?

- Nie.

- Życzyłem Ianowi powodzenia po raz drugi, bo miałem na myśli jego pierwszą żonę. Zginęła pod gilotyną. Nie mógł jej uratować, chociaż próbował.

- Mariannę była Francuzką? Z rodziny de Vaux?

- Masz świetną pamięć, moja droga. Tak, była śliczną, drobną kobietką, ubóstwianą przez rodziców i męża.

- Rozumiem.

Zdumiała go żałość, jaką zobaczył w pięknych bursztynowych oczach. Do diabła, wydaje się, że Ian zdołał obudzić w dziewczęcym sercu gorętsze uczucia. Giles wzruszył ramionami. Jest jeszcze młoda, młode serca się nie łamią, może trochę siniaczą.

Pomyślał o ostatniej kobiecie, która go tak potraktowała. Było to ponad dwa lata temu. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

ROZDZIAŁ 23

Po poranku spędzonym na zaganianiu owiec na pastwiska z Bertrandem i wieśniakami Ian miał wrażenie, że zapachem przypomina starego barana. Nie chciał w tym stanie pokazywać się rodzinie, a tym bardziej Felicity, skierował więc kroki w stronę niewielkiej, osłoniętej skałami zatoczki. Słona woda powinna sobie z tym smrodem poradzić.

Rozejrzał się, czy Fiona nie buduje gdzieś zamku z piasku, ale na plaży leżało jedynie wyrzucone przez fale drewno, wielkie czarne głazy oraz porozrzucane, drobne kamyczki. Zdjął ubranie i rzucił je na suchą, nasłonecznioną skałę.

Woda chlupała wokół stóp, wywołując lekkie ukłucia zimna. Zignorował to i zanurzył się po pas, po czym równymi, długimi uderzeniami ramion ruszył na głębszą wodę. Wmawiał sobie, że zaraz przyzwyczai się do niskiej temperatury, ale tak się nie stało. Woda pozostała lodowata. Pływał dopóty, dopóki usta mu całkiem nie zsiniały. Wielki morświn podpłynął tuż obok; był niemal na odległość ramienia. Morświn Fiony. Mimo zimna nie miał ochoty wychodzić z wody. Obrócił się na plecy i unosił się na wodzie, patrząc na bezchmurne, błękitne niebo. Cóż za cudowne miejsce, pomyślał. Nie czułby ani odrobiny żalu, gdyby już nigdy nie musiał wracać do Londynu. Do Londynu, do niekończących się towarzyskich obowiązków. Do Felicity, kobiety którą ma poślubić, a która go nie kocha. Szanuje go jedynie - jego lub majątek i tytuł - i która niechętnie urodzi mu dziecko. Do diabła. Popełnił błąd, za który teraz będzie płacił całe życie. Jak mógł być taki tępy?

Westchnął i zamknął oczy przed ostrym słońcem. Nie chciał teraz o niczym myśleć.

Brandy szła brzegiem klifu, pogrążona w czarnych myślach. Owinięta wełnianym szalem, nawet nie zauważyła, że na plecach sukni pojawiła się plama potu. Pomyślała o biednej Fionie, zamkniętej całe popołudnie z lady Adelą, która stwierdziła, że nauczy dziewczynkę manier godnych prawdziwej damy. Brandy korciło, by zwrócić jej uwagę, że zwyczaje i etykieta zmieniły się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, ale nie miała ochoty mierzyć się z ciętym językiem babki. Adela usadziła Fionę na starej brokatowej poduszce u swoich stóp, kazała haftować koślawe wzory i wysłuchiwać opowieści o podbojach sprzed pięćdziesięciu lat.

Stąpając ostrożnie, zeszła stromą ścieżką. Z początku nie zauważyła sterty męskich ubrań leżących na skale. Przesłoniła dłonią oczy i spojrzała na morze.

Wiedziała, że to Ian, zanim stanął na nogach i ruszył w stronę brzegu. Patrzyła na niego - żadna siła nie odwróciłaby teraz jej wzroku. Nie ma mężczyzny, który mógłby się z nim równać, pomyślała. Czarne włosy przyklejone do czoła nadawały jego twarzy chłopięcy wyraz. Ale to było wszystko, co wyglądało chłopięco. Wynurzył się z wody. Patrzyła na gęste, czarne włosy na piersi. Na płaski brzuch i ciemną linię włosów, która zaczynała się na podbrzuszu i schodziła w dół. Nie mogła oderwać wzroku, tak samo, jak tego wieczora, kiedy wpadła do jego sypialni. Jaki on piękny! Silne, umięśnione nogi. Nie widziała stóp, ale mogła się założyć o wełniany szal, że również są piękne.

Wyszedł z wody i stał przez chwilę na kamienistej plaży, wyciągając ręce nad głową.

Z wrażenia omal nie połknęła własnego języka. Nie mógł mieć pojęcia, jakie uczucia ten ruch wywołał w jej lędźwiach. I co z tego? I tak nie należy do niej. Jest teraz dalej niż kiedykolwiek, całkowicie poza zasięgiem. To, że jest nagi, to jedyna przyjemna rzecz, jaka przydarzyła jej się w tym okropnym dniu. Wdała się w sprzeczkę z Felicity na temat Londynu. Felicity twierdziła, że z całą pewnością Edynburg nie może się równać ze stolicą Anglii. I co z tego? Była tak przygnębiona, że nie miała ochoty wdawać się w dyskusję. Zmierzyła Felicity wzrokiem, odwróciła się na pięcie i zostawiła ją na środku bawialni.

Nie mogła oderwać od niego wzroku. Wiedziała, że nie powinna gapić się jak cielę na malowane wrota, ale nie mogła się po prostu odwrócić i odejść. Nie, trzeba brać, co dają. Chłonęła go wzrokiem, przeraźliwie świadoma rozlewającego się po brzuchu gorąca, pędzącego nieokiełznaną i intrygującą falą. Pomyślała o popołudniu w leśnej chatce. Całował ją, trzymając mocno w ramionach. Myśl, że mogłaby być z nim naga, czuć na skórze szorstkie włosy porastające jego pierś, pieszczotę rąk na swoich plecach i nawet niżej wywoływała w niej uczucia, które ciągle przyprawiały ją o zdumienie. Zapragnęła nagle wiedzieć, na czym polega fizyczna miłość między mężczyzną a kobietą. Zabiłaby Percy'ego, gdyby jeszcze raz próbował ją tknąć, ale Ianowi, pomyślała, pozwoliłaby na znacznie więcej.

Ian zapiął ostatni guzik koszuli, która niestety wciąż śmierdziała owcami, i wsunął ją do czarnych bryczesów. Zarzucił zmięty krawat na ramię i włożył buty. Jego wzrok przyciągnęła barwna plama. W ułamku sekundy rozpoznał Brandy owiniętą wyblakłym kraciastym szalem.

- Brandy! - Boże, tylko nie to. - Ty mała czarownico, chodź tu natychmiast.

Natychmiast, mówię. Masz mi powiedzieć, że stoisz tu dopiero dziesięć sekund, nie dłużej. Powiedz, że słońce cię tak oślepiło, że wcale mnie nie widziałaś.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała spokojnie z nadzieją, że jej nie zauważy. Nie chciała go zawstydzić, ale się stało. Kolejny raz.

Westchnął. - Już dobrze. Powiedz tylko, jak długo tu jesteś.

- Chcesz znać prawdę? Długo. Pamiętasz, jak pływałeś na plecach i podpłynął morświn? A potem bardzo wolno wychodziłeś z wody? Tak wolno, że mogłam się napatrzeć do woli.

Poczuł nagły przypływ pożądania. Zganił się w duchu. - Brandy, kolejny raz stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Nie wiesz, że nie wypada gapić się na gołych mężczyzn? Powinnaś była odwrócić wzrok i wrócić do zamku.

Pewnie, że miał rację, ale nie w tym tkwił problem. Oblizała górną wargę. Chciało jej się pić. Chciała go pocałować. Wydawał się rozgniewany, ale cóż mogła na to poradzić? Był tylko jeden sposób, by wyjść z tej sytuacji z twarzą. Odwróciła się na pięcie i pobiegła ścieżką do góry.

- Poczekaj, do cholery! - krzyknął i rzucił się biegiem w jej stronę. Marzył, aby jej dotknąć, wziąć ją w ramiona. Nie miał pojęcia, co zrobi, kiedy to się stanie, ale czuł, że musi się dowiedzieć.

Usłyszał głośny wystrzał, którego nie zarejestrowała świadomość. Miał wrażenie, że ktoś wbija mu nóż w plecy. Jakaś siła rzuciła go do przodu, twarzą na mokry piach. Próbował wstać, ale ból zamroził powietrze w płucach. Upadł, czując zamykającą się nad głową ciemność.

Brandy zamarła; wystrzał całkowicie ją oszołomił. Spojrzała na leżącego w bezruchu Iana, na krew sączącą się przez białą koszulę i rozlewającą coraz większą czerwoną plamą. To nie może być prawda, pomyślała. A jednak. Ktoś go postrzelił. Dobry Boże, a jeśli go zabił? Nie, pomyślała. Wykrzyknęła głośno jego imię i pobiegła, ile tylko miała sił w nogach. Upadła na kolana obok jego

ciała, patrząc w stronę, z której przyszedł strzał.

Rozległ się następny wystrzał. Kula przeleciała obok jej głowy, nie czyniąc żadnemu z nich krzywdy. Brandy rzuciła się na Iana, zasłaniając go swoim ciałem. Słodki Jezu, ktoś próbuje go zabić. To nie był wypadek. Kolejny strzał wzbił piach kilkanaście centymetrów od jej głowy.

Otworzyła usta i wrzasnęła najgłośniej jak umiała, aż głos stracił barwę i siłę. Mimo to nadal krzyczała. Nic innego nie mogła zrobić. Na pewno ktoś usłyszy. Nie mogła i nie chciała myśleć o osobie, która trzy razy strzeliła do Iana i która teraz pewnie szła w ich kierunku z wycelowaną bronią.

Jej największym wrogiem był czas, cała wieczność składająca się z chwil, podczas których Ian wykrwawiał się pod nią. Nie zdawała sobie sprawy, że płacze, dopóki nie zobaczyła rozmazanych sylwetek Bertranda i Frasera, zbiegających w dół ścieżką.

- Bertie - krzyknęła. - Jak dobrze, że jesteś. Śpieszmy się. Ktoś do niego strzelał. - Odsunęła się na bok i rozdarła koszulę, odsłaniając ranę. Zdarła z siebie szal, zwinęła w kłębek i przycisnęła do rany tak mocno, jak tylko potrafiła.

- Dobry Boże, Brandy. To ty tak wrzeszczałaś? Co się stało, u licha?

Bertrand odciągnął ją od leżącego ciała i krzyknął do Frasera: - Pośpiesz się, przyślij tu ludzi. Każ posłać po małego Roberta. Nie trać nawet chwili. Mój Boże, ktoś strzelił mu w plecy. - Ścisnął palcami brzegi rany, chcąc zatamować krwawienie. - Usłyszeliśmy twój krzyk. Kto to zrobił, Brandy? Widziałaś go?

- Nie, nic nie widziałam. Bertie, czy on z tego wyjdzie?

- Nie wiem, Brandy. Rana jest głęboka. Nie wiemy, gdzie utkwiła kula.

Musimy poczekać do wizyty małego Roberta. Chodź, musisz mi pomóc.

Percy i Giles biegli właśnie w dół. Giles nie odezwał się słowem, dopóki nie obejrzał kuzyna. - Musiałaś widzieć, kto to zrobił, Brandy - powiedział ostro, patrząc na pobladłą twarz dziewczyny.

Potrząsnęła milcząco głową.

- Nie ma to w tej chwili znaczenia. Percy, Bertie, musimy go zanieść do zamku. - Trzej mężczyźni podnieśli ostrożnie bezwładne ciało. Wędrówka w górę klifu wydawała się trwać całą wieczność.

- Do licha, jest blady jak prześcieradło - odezwał się Bertrand. - Któż mógł coś takiego zrobić?

- To musiał być wypadek - wtrącił się Percy. - Nie ma innego wytłumaczenia.

Po prostu wypadek.

- Może to i dobrze, że jest nieprzytomny - powiedział Giles, przerzucając ciężar na drugie ramię. - Do diabła, strasznie ciężki.

W końcu dotarli do zamku. Brandy deptała im po piętach, mijając zawodzącą Morąg i bladą Konstancję. Chciała być tak blisko, jak tylko mogła. Dotarli do drzwi sypialni.

Bertrand odwrócił się i powiedział łagodnie: - Zrobiłaś bardzo wiele, ale teraz musisz odejść. Musimy go rozebrać i położyć do łóżka. Kiedy pojawi się mały Robert, przyprowadź go tutaj.

Gapiła się bez słowa, blada jak śmierć. Potrząsnął ją za ramiona. - Posłuchaj mnie, wszystko będzie dobrze, obiecuję. Nic więcej nie możesz zrobić. Idź już, muszę porozmawiać z Percym i Gilesem.

Nie chciała go zostawiać, ale wiedziała, że tak trzeba. Tak, powinna zejść do bawialni i opowiedzieć, co zaszło. A potem czekać na małego Roberta. Spojrzała na Percy'ego, który pomagał położyć Iana do łóżka. Oczy miał bardziej nieprzeniknione niż zwykle, usta ściągnięte w zimną, wąską kreskę. Rzuciła przerażone spojrzenie Bertrandowi.

- Nie zostawiaj go samego, Bertrandzie, obiecaj mi. To nie był wypadek. Ktoś próbował go zabić. To były trzy strzały. Obiecaj, że go nie zostawisz.

- Obiecuję. A teraz idź.

W zakrwawionym ubraniu zeszła do bawialni.

- Wypij - rozkazała Adela, podając jej szklankę brandy.

Wypiła posłusznie i zakrztusiła się. Miała wrażenie, że alkohol pali jej płuca. Ale po chwili do żołądka dotarła fala ciepła. Uspokoiła się. Odstawiła szklankę na stolik.

- Co zrobiłaś księciu? - Felicity wbiegła do bawialni z wrzaskiem. - Mój Boże, masz na sobie krew, jego krew. Co mu zrobiłaś, ty mała brudna dziwko?

- Ktoś próbował go zabić w zatoczce. To były trzy strzały. Jeden trafił w plecy.

Felicity gapiła się na pokrwawioną suknię Brandy, mamrocząc coś pod nosem. Potem krzyknęła i osunęła się bezwładnie na dywan. Na miejscu podniosła się chmurka kurzu.

- Nic nam tu po niej - prychnęła lady Adela z niechęcią.

Brandy i Konstancja złapały Felicity za ramiona i zaciągnęły ją na sofę.

- Na twojej sukni jest krew Iana? - spytała cicho Konstancja, nie ukrywając przerażenia.

- Cicho, dziecko - wtrąciła się lady Adela. - Nie trzeba jej teraz oczywistych pytań. - Odwróciła się do Brandy. - Weź się w garść, dziewczyno. Fraser poszedł po sędziego Trevora. Powiedz mi, zanim pójdziesz się przebrać, widziałaś, kto zrobił tę straszną rzecz?

- Nie, babciu. Rozglądałam się dookoła, ale nikogo nie było. Musiał się schować za skałami.

Lady Adela odwróciła wzrok od bladej, ściągniętej twarzy wnuczki i popatrzyła na swe koślawe palce.

- To pewnie kłusownik - odezwała się Konstancja.

- Od lat nikt tu nie kłusował - odparła lady Adela. - Nie ma tu zwierzyny.

Ludzie nie są głupi. Nie, ktoś próbował zabić księcia.

Konstancja powtórzyła swą opinię później, kiedy przyszedł Trevor, miejscowy sędzia.

- W promieniu pięćdziesięciu mil nie ma żadnych kłusowników - powiedziała zimno Brandy. - Babcia ma rację, nie ma tu zwierzyny.

- A jednak - zaczął pan Trevor, ale Brandy usłyszała z holu głos małego Roberta i pobiegła go przywitać. Pozwolił jej się wygadać, widząc szok na jej twarzy. Zaprowadziła go do sypialni Iana, a on, zanim drzwi się zamknęły, poklepał ją uspokajająco po dłoni.

Czas się zatrzymał. Wróciła do bawialni, gdzie Trevor rozmawiał cicho z lady Adelą.

Podniósł głowę, kiedy Brandy weszła do pokoju. - Podejmiemy decyzję, gdy porozmawiam z Brandy. - Zmarszczył czoło. Zrobił jeszcze bardziej marsową minę, kiedy opowiedziała mu wszystkie fakty. - Wygląda na to, że ocaliłaś księciu życie, dziewczyno. - Zwrócił się do lady Adeli. - Rozumiem, milady, że status panicza Percivala już się wyjaśnił.

- Owszem - odpowiedziała staruszka powoli, patrząc jak wilk pożerający wzrokiem tłustego bażanta. Wyprostowała się i dodała swoim najbardziej władczym tonem: - Dość tych bzdur, Trevor. Proszę cię, nie mieszaj do tego mojej rodziny. Jeszcze chwila, a mnie zapytasz, czy Claude nie symuluje choroby i czy to nie on mógł pociągnąć za spust. Winowajca jest pewnie wyjętym spod prawa, wędrownym kotlarzem i twoim zadaniem jest go odnaleźć. Znam cię od urodzenia, znałam też twoją matkę, Boże świeć nad jej duszą, choć nie miała biedaczka za grosz charakteru. Jeśli nie okażesz dobrych manier, zadbam, by wiodło ci się gorzej. Złap tego łajdaka i przestań dumać o bzdurach.

Zmarszczki wokół ust Trevora pogłębiły się, ale zdołał zachować spokój, co było nie lada wyczynem w obliczu złośliwości lady Adeli.

- To poważna sprawa, milady, a ja próbuję robić, co do mnie należy. Od lat nie słyszałem o wędrownych kotlarzach w tych stronach, więc powiedz, kto mógłby życzyć księciu śmierci? Nie chcę już słyszeć o lojalnych, uczciwych Robertsonach. Nie o to tu chodzi. Chodzi o życie człowieka, twojego krewniaka.

Brandy pomyślała o Percym. Miała ochotę wykrzyknąć jego imię. Tak szybko dotarł na plażę, jakby chował się w pobliżu. Trzymała jednak język za zębami. Każdy z Robertsonów na swój sposób mógł skorzystać na śmierci Iana.

Lady Adela stuknęła laską o podłogę i skrzywiła się z niesmakiem. - Do diabła, Trevor, dlaczego taki łotrzyk miałby się całkiem odsłaniać? Powtarzam ci jeszcze raz, niuchasz przy niewłaściwej jamie. Żaden z Robertsonów nie dopuściłby się takiego tchórzostwa.

Trevor milczał. Chciał powiedzieć, że stary Angus w złości niejednemu strzeliłby w plecy, ale nie chciał ryzykować, że Adela dostanie ataku apopleksji. Wydawało mu się, że Percy jest najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, bo skoro sąd uznał jego pochodzenie, był następny w kolejności do dziedziczenia. A co z Bertrandem i Claude'em? Czy starucha nie miała cofnąć rzuconej na nich klątwy? Nie, nie miał zamiaru podarować pozostałym członkom rodziny. Cóż za niezręczna sytuacja. Dlaczego akurat to musiało spotkać angielskiego księcia? I to w tej części hrabstwa, za które on, Trevor, był odpowiedzialny. Niesprawiedliwość.

Powoli wstał i pożegnał się. - Mam nadzieję, lady Adelo, że dowiemy się więcej od samego księcia. Wrócę jutro, by z nim porozmawiać. Obym go zastał przy życiu.

Adela żachnęła się i machnęła ręką. - Co ty gadasz, głupcze. To moja krew. Nie może zginąć od kuli tchórza.

Crabbe wyprowadził Trevora, a Adela spojrzała niechętnie na Felicity, która wciąż siedziała na sofie z nieprzytomnym wyrazem twarzy. Była taka krucha i bezradna, co na Adeli robiło wrażenie. - Brandy, zawołaj pokojówkę lady Felicity. Lepiej będzie, jak zaprowadzi ją do pokoju.

Brandy posłuchała, wdzięczna za jakiekolwiek zajęcie, które choć na chwilę zajmie jej myśli.

ROZDZIAŁ 24

Z ranka zrobiło się popołudnie, a mały Robert wciąż nie zszedł do bawialni.

- Dziecko, to, że podrzesz szal na strzępy, niczego nie przyśpieszy - odezwała się lady Adela. - To musiał być dla ciebie szok, najpierw ten strzał, potem upadek Iana. Dlatego nawet cię nie zganię za to, że się na niego rzuciłaś.

Uratowałaś mu życie i tylko to się liczy. Rozluźnij się, Brandy. Już dobrze.

- Tak, babciu. - Ciągle szarpała za frędzle. Babka była dla niej niezwykle miła.

Gdyby wszystkich myśli nie pochłaniała obawa o życie Iana, to traktowanie wyprowadziłoby ją z równowagi.

W drzwiach pojawił się Crabbe, a krok za nim lekarz. - Milady, doktor El gin Robert.

- Mam oczy, Crabbe. No i jak, mały Robercie? Jak miewa się nasz książę?

Elgin Robert przez piętnaście lat zdążył przyzwyczaić się do swego przezwiska. Teraz też się nie obraził, tylko wszedł do pokoju, wyraźnie zmęczony. Był rzeczywiście miernego wzrostu, bez butów liczył ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu. Potarł czoło pulchną dłonią i zbliżył się do lady Adeli.

- Jego wysokość wyjdzie z tego, milady - powiedział wysokim, niemal dziewczęco miękkim głosem. - Kula przeszyła bark obok łopatki. Muszę dodać, że wasz krewniak zdumiał mnie swoim stoicyzmem. Nawet kiedy wyciągałem kulę, nie wydał z siebie nawet dźwięku. Jest blady i zmęczony, ale odpoczywa. Jedynym zagrożeniem jest teraz gorączka i zakażenie.

Mały Robert z wdzięcznością przyjął od Konstancji filiżankę herbaty i upił duży łyk. - Książę jest młody i silny. Wyjdzie z tego. Straszna historia. Czy Trevor domyśla się, kto go postrzelił? Brandy, może coś wiesz?

- Okropna historia, doprawdy - powiedziała lady Adela. - Co do Trevora, to ten bałwan wyszedł stąd tak samo głupi, jak tu przyszedł. Przysięgam, nadaje się tylko do łapania dzieciaków, które kradną jabłka sąsiadów. Uważa, że do księcia strzelał jeden z nas. A Brandy nic nie wie, wielka szkoda.

- Jego wysokość jest przytomny?

- Nie, Brandy. Dałem mu końską dawkę laudanum. Sen jest najlepszym lekarstwem.

Percy, Giles i Bertrand weszli razem do bawialni. Ich twarze były blade i ściągnięte.

Mały Robert zwrócił się w ich stronę. - Dziękuję za pomoc, panowie. - Obrócił się gwałtownie, zdając sobie sprawę, że to być może jeden z nich jest winny obecnego stanu księcia. Cóż za bałagan.

Bertrand pokiwał głową. - Był tu Trevor, milady?

- Tak, właśnie mówiłam Robertowi, że to osioł. Uważa, że winnym jest któryś z Robertsonów. Ja jestem przekonana, że to wędrowny kotlarz. To nie mógł być Robertson. Robertsonowie są lepszymi strzelcami. A ten oddał trzy strzały i wszystkie, prócz pierwszego, spartaczył.

Giles uniósł brew i spojrzał na Percy' ego i Bertranda.

- Gdzie jest wujek Claude? - wyrwało się Brandy.

Bertrand spojrzał na nią ostro. - Chyba nie sądzisz, że mój ojciec byłby zdolny do tak obrzydliwego czynu?

- Jeśli o to chodzi - wtrącił się Percy - czy ktokolwiek z nas wie, co robili pozostali w chwili, gdy postrzelono Iana? Na dobrą sprawę, mogła to zrobić sama Brandy.

- Możemy zacząć od ciebie - powiedział chłodno Bertrand.

- Drogi kuzynie, czyżbym słyszał podejrzliwość w twoim głosie? Jeśli chcesz wiedzieć, uciekałem od smrodu tych twoich owiec, co nie było łatwe, bo wiatr niesie go na mile.

- Awantury nie zaprowadzą nas donikąd - wtrącił się Giles. - Nie zbudują wzajemnego zaufania ani przyjaznej atmosfery. A właśnie, gdzie jest lady Felicity?

- Wpadła w histerię, a potem zemdlała - Konstancja nie kryła potępienia.

- Głupie pytanie. - Giles westchnął. - Tyle powinienem był zgadnąć. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Mały Robert, widocznie skrępowany nad filiżanką herbaty, wstał i ukłonił się lady Adeli. Nie mógł się doczekać, kiedy stąd wyjdzie. Współczuł wszystkim, którzy musieli zostać. - Widzę, że moja obecność jest już zbędna. Odwiedzę księcia jutro rano. Rozchmurz się, Brandy. Wszystko będzie dobrze. Nie martw się.

- A jeśli jego stan pogorszy się w nocy? - Brandy czuła, że ogarnia ją panika.

- Mieszkam ledwie piętnaście minut stąd.

Crabbe odprowadził małego Roberta do drzwi, a Bertrand zwrócił się do Brandy. - Ian miał dużo szczęścia, że byłaś na plaży. Ale przez to sama znalazłaś się w niebezpieczeństwie, a to mnie przeraża.

- Co tam robiłaś, Brandy? - zapytał Percy.

- Uciekałam przed smrodem, tak jak ty, Percy.

Rozejrzała się po twarzach zebranych, szukając jakiegoś znaku, który zdradziłby winowajcę. Nic nie zauważyła, a ponieważ nie miała ochoty słuchać dalszych kłótni, wymknęła się po cichu z bawialni i pobiegła do sypialni księcia. Był tam jego lokaj, Mabley, z którym koniecznie chciała porozmawiać.

Minęła pokój Felicity. Miała ochotę pogrozić jej zaciśniętą pięścią, ale oczywiście powstrzymała się, życząc sobie w duchu, żeby Felicity jak najszybciej opuściła Penderleigh. Cicho otworzyła drzwi do sypialni Iana i wślizgnęła się do środka. Mableya nie było widać. Nie powinien zostawiać księcia samego. Słychać było równy, głęboki oddech. Podeszła do łóżka. Sen wydawał się całkiem naturalny, na twarzy chorego nie widać było bólu czy zmartwienia.

- Panienka Brandy. Co panienka tu robi?

Obróciła się gwałtownie, automatycznie kładąc palec na ustach.

Mabley obniżył głos. - Nie powinna panienka tu przychodzić, doprawdy. Spojrzał na nią z bliska i zobaczył w jej oczach cierpienie. Cierpienie i strach. Do diabła, jest za stary na takie rzeczy. Ręce wciąż mu się trzęsły; bez końca ocierał pot z czoła księcia, kiedy mały Robert szukał kuli.

Uciszyła go, on jednak mówił dalej: - Jego wysokość odpoczywa. Doktor nie mówił, że wszystko będzie dobrze? Nie, nie musimy szeptać. Dostał tyle laudanum, że można by tym uśpić cały batalion wojska.

Milczała, dając znaki, by za nią poszedł. Posłuchał, choć w głębi duszy marzył wyłącznie o wielkim kuflu piwa. Tak, starym kościom przydałaby się chwila wytchnienia.

Przeszła od razu do rzeczy. - Nie możemy go zostawiać samego, nawet na chwilę, Mabley.

- Nie mam takiego zamiaru, panienko. Dopóki tu jestem, nie musisz się martwić.

- Nie rozumiesz. Wiesz, że ktoś próbował go zabić. Nie możemy ufać nikomu, rozumiesz? Jest bezbronny jak małe dziecko, nie będzie mógł się obronić.

- Nie ma to znaczenia. Jestem tutaj. Dobrze się nim zajmę.

Brandy postanowiła użyć rozkazującego tonu Adeli. - Jeśli będziesz przy nim siedział za dnia, ja będę czuwać w nocy. - No i proszę, odważyła się to powiedzieć.

- To nie wypada, panienko Brandy. Z całą pewnością panicz Percy albo Bertrand...

- Czy możesz mi zagwarantować, że żaden z nich nie postrzelił księcia? Nie, nie możesz. Nie chcę, by którykolwiek z nich zostawał z księciem sam na sam. Nie rozumiesz, Mabley? Nie wolno nam ryzykować. Stawką jest jego życie.

Mabley podrapał się po brodzie, próbując zebrać myśli. - Skoro to takie niebezpieczne, nie mogę pozwolić, by drobna kobieta...

Nadszedł czas, pomyślała Brandy, by ponownie użyć władczego tonu Adeli. - Dziadek Angus miał olbrzymią kolekcję broni. Mam ze sobą jeden z jego pistoletów. Zamknę od środka zewnętrzne drzwi, jeśli ma cię to uspokoić.

Mabley żywił przekonanie, że kobieta i broń nie idą w parze, ale widział, że dziewczyna nie ma zamiaru ustąpić. Przynajmniej mógł być pewien, że to nie ona postrzeliła księcia, czego nie mógł powiedzieć o przebywających na zamku mężczyznach. No i co teraz?

- Zmęczysz się - powiedział kwaśno. - A wtedy mnie dostanie się reprymenda od lady Adeli.

- Bzdura. A teraz obiecaj mi, że nie ruszysz się stąd do wieczora. Przyniosę ci kolację, a potem pójdziesz do siebie. - Brandy odwróciła się, zanim zdążył się odezwać. Westchnął ciężko, a na twarzy Brandy pojawił się uśmiech.

*

Zegar na gzymsie kominka słabo wybił dziesiątą. Brandy wstała od kominka, przy którym grzał się garnek rosołu, i podeszła cicho do łóżka. Położyła dłoń na czole księcia. Wciąż chłodne, dzięki Bogu. Mały Robert ostrzegał, że przez najbliższe kilka dni gorączka może pojawić się w każdej chwili.

- Nie pozwolę, by ktokolwiek cię znów skrzywdził. - Nachyliła się nad śpiącym i pocałowała go w usta. - Śpij sobie teraz i zdrowiej. Będę cię pilnować. - Wyprostowała się i wróciła do kominka. Szybko zdjęła ubranie, włożyła przez głowę bawełnianą koszulę nocną, zawiązała tasiemkę przy szyi. Fryzura zajęła jej więcej czasu. Najpierw musiała rozpleść warkocze, a potem rozczesać masę jasnych fal. W końcu narzuciła na ramiona szal i podeszła do łóżka.

Leżał w bezruchu, oddychając równo i głęboko. Usiadła w wielkim fotelu i podwinęła nogi. Rzuciła ostatnie spojrzenie na zamknięte drzwi i na niewielki pistolet leżący na nocnym stoliku. Mabley pogrążony był w głębokim śnie w sąsiednim pokoju. I tamte drzwi były zamknięte, Brandy zdołała postawić na swoim. Niepokoiły ją jedynie drzwi z korytarza do pokoju lokaja, które niestety nie miały zamka.

Jedynie lady Adela i Mabley wiedzieli, że czuwa przy łóżku księcia. Ku jej zdziwieniu babka wysłuchała ją spokojnie, przyglądając się dziwnie, ale nie zabroniła jej tego.

- Cóż mam powiedzieć, dziecko. Lepiej będzie, jeśli zachowamy to dla siebie.

Nie chcę, by Felicity urządzała z tego powodu awantury. Chcę mieć święty spokój i koniec.

Całą noc Brandy nie słyszała na zamku odgłosów żadnej awantury. Zdumiała się, kiedy

następnego poranka Mabley potrząsnął ją za ramię.

- Mabley, to już rano? Przepraszam. Miałam zamiar wstać wcześniej, ubrać się i cię zbudzić.

Mabley chrząknął pod nosem i spojrzał na śpiącego pana. - Idź do siebie, panienko, ja się nim zajmę.

Kilka godzin później do zamku przyjechał Trevor, który koniecznie chciał się zobaczyć z księciem. Mały Robert wyraził zgodę i podczas gdy obaj pili kawę w towarzystwie lady Adeli, Mabley ostrożnie zbudził Iana.

Ian niechętnie otworzył oczy, wciąż oszołomiony laudanum. Ostry ból przeszywał jego bark.

- Wasza wysokość, cieszę się, że znów otworzyłeś oczy.

Ian chciał się podnieść, jednak ból powalił go na łóżko. Przeklął i zamknął oczy, próbując zebrać siły. Zmusił się, by oddychać spokojnie i głęboko. Wdech i wydech, i jeszcze raz.

- Proszę leżeć spokojnie, wasza wysokość - powiedział łagodnie Mabley. - Przyniosę ci trochę rosołu, który panienka Brandy dla ciebie przygotowała.

- Jak długo spałem? - Ian odezwał się głosem, który nawet jemu samemu wydał się obcy.

- Od wczorajszego popołudnia, wasza wysokość. Mały Robert zaordynował ci potężną dawkę laudanum.

- Mały Robert - powtórzył książę powoli. - Dlaczego to imię wydaje mi się znajome?

- To miejscowy doktor, wasza wysokość. Szkot niedużego wzrostu, ale za to ze sprawnymi rękoma. Wyciągnął ci kulę z pleców.

Ian wzdrygnął się na myśl o bólu, który towarzyszył wczorajszej operacji. W pamięci pojawiło się jeszcze jedno wspomnienie. Zbladł.

- Mabley, czy z Brandy wszystko w porządku? Była ze mną na plaży, kiedy mnie postrzelono. Mój Boże, jest cała i zdrowa, prawda?

- Nie powinieneś się denerwować, wasza wysokość. Panienka Brandy wyszła ze strzelaniny cało. Z tego, co słyszałem, ta młoda dama uratowała panu życie. - Uznał, że nie warto wspominać, że na własne życzenie całą noc się nim zajmowała. Nie, książę wściekłby się, gdyby się dowiedział. Jego wysokość miał swoje poglądy na temat dam i tego, gdzie ich miejsce.

- Trevor, miejscowy sędzia, chce się z tobą widzieć, wasza wysokość. Czy czujesz się na siłach?

Ian skinął głową i próbował uporządkować myśli. Wypił rosół, który ugotowała dla niego Brandy, ogarnął się i powitał odzianego w czarny surdut dżentelmena o krzaczastych brwiach.

- Zajmę panu tylko kilka minut, wasza wysokość.

Ian ponownie skinął głową, próbując oderwać myśli od rwącej rany. Mabley by go przecież nie okłamał. Brandy czuje się dobrze.

- Miałeś dużo szczęścia, wasza wysokość.

- Mabley mówił, że to Brandy uratowała mi życie.

- Książę desperacko próbował sobie przypomnieć cokolwiek, co pozwoliłoby zidentyfikować sprawcę.

- A i owszem, wasza wysokość. - Uwagi Trevora nie uszło roztargnienie księcia. Widać było jak na dłoni, że cierpi. No cóż, jeśli chce, niech mówi o Brandy.

- Kiedy upadłeś, przykryła cię swoim ciałem, cudem unikając dwóch kolejnych kul. Zaczęła wrzeszczeć tak głośno, że spłoszyła mordercę.

Wrzaski i wystrzały zaalarmowały resztę rodziny.

- Możesz przysiąc, że nic jej nie jest?

- Nic a nic, najadła się tylko strachu.

- Mogła zginąć. Cóż ją skłoniło, by zachować się tak lekkomyślnie?

- Nic się nie stało. Cała rodzina martwi się o ciebie, wasza wysokość. Czy jest coś, co możesz mi powiedzieć? Nie śpiesz się. Zastanów się, co wtedy robiłeś, o czym myślałeś.

- Poszedłem popływać - odparł książę. - Te cholerne owce śmierdzą, że nie da się wytrzymać. Przed powrotem do zamku chciałem się wykąpać.

Wyszedłem z wody, rozmawiałem z Brandy, a potem ona... hm... poszła sobie. Pamiętam jak przez mgłę, że coś usłyszałem. To musiał być wystrzał.

Potem już nic nie pamiętam.

Twarz księcia wykrzywił grymas bólu. Trevor wstał. - Pójdę po małego Roberta. To jego teraz potrzebujesz, wasza wysokość, nie mnie. Wrócimy do naszej rozmowy. Może coś ci się przypomni. Cokolwiek.

Słowa Trevora ledwie do Iana docierały. Zamrugał kilka razy w nadziei, że rozmazany obraz znów nabierze ostrości. Zobaczył wyraźnie plażę i Brandy, całą w rumieńcach. Nie mogła oderwać od niego wzroku, a w jej oczach widać było podziw.

Ktoś podszedł do łóżka, Ian poczuł na ustach chłodną krawędź szklanki. Odruchowo otworzył usta, wziął kilka głębokich łyków i zapadł w głęboki, ciemny sen.

- Rana dobrze się goi, nie wdało się zakażenie. Jego wysokość jednak trawi gorączka. - Mały Robert przysiadł poły czarnego płaszcza, twarzą do zgromadzonej rodziny. Wygłaszając swoją opinie, zerkał na narzeczoną księcia, lady Felicity. Ledwo trzymała się na nogach, sprawiając wrażenie, jakby zaraz miała zemdleć. Nie wydawała się odpowiednią towarzyszką dla księcia, mężczyzny silnego, twardego, nawykłego do władzy. Wyglądała na beksę i mazgaja. Na jego słowa zbladła, ale dzięki Bogu tym razem nie zemdlała.

- Jak sądzisz, doktorze, gorączka długo się utrzyma? - zapytała Brandy cicho.

- Nie będę owijał w bawełnę, panienko. Niektórzy nigdy się nie podnoszą. Ale książę jest młody i silny. Uważam, że wyjdzie z tego.

- Ale to przecież książę! - krzyknęła Felicity. Mały Robert uśmiechnął się cierpko. - Owszem.

Nie wątpię, że tytuł pomoże mu szybciej wrócić do zdrowia.

- Jak sądzę - odezwał się gładko Giles, uśmiechając się łagodnie - Felicity miała na myśli to, że trudno uwierzyć, by ktoś o pozycji naszego księcia znajdował się w takiej sytuacji.

Mały Robert wstał. - To już robota Trevora. Ja dla księcia nie mogę już nic zrobić, lady Adelo. Poinstruowałem Mableya, jak powinien zajmować się chorym. Życzę państwu miłego dnia.

Bertrand odprowadził lekarza do powozu.

- Cóż za bałagan - powiedział Claude z irytacją. - Gościec doskwiera mi dziś bardziej, niż przez cały ubiegły rok. Cholerna strzelanina.

- Lepsze to, niż kula w plecach - odezwał się Percy z taką pogardą, że niewiele brakowało, by Claude się na niego rzucił.

- Claude, daj spokój - powiedziała lady Adela i zamilkła. Siedziała, patrząc na nich bez słowa, mierząc wzrokiem wszystkich po kolei.

Bertrand wrócił do reszty towarzystwa. - Wszyscy doskonale wiecie, że Ian nie mógł powiedzieć Trevorowi więcej, niż to, co oczywiste. Na pewno nie więcej, niż słyszała i widziała Brandy.

- Zgadzam się, milady - wtrącił się Claude. - To musiał być jeden z tych wędrownych kotlarzy. Wszyscy wiemy, jaka to hołota.

Brandy westchnęła i podniosła się. - Jeśli można, babciu, pójdę do Fiony. Lekcje czekają. A potem chciałabym zajrzeć do księcia.

- Rozchmurz się, dziecko, bo wystraszysz małą. - Adela odprawiła wnuczkę machnięciem ręki, a następnie powiodła wzrokiem po zebranych. - Nienawidzę tajemnic i tchórzy. Wystarczy, że musiałam z jednym żyć przez pięćdziesiąt lat. Wywraca mi się żołądek na samą myśl, że łotr może przebywać na ziemi Penderleigh.

- Nie sądzę, milady - odezwał się spokojnie Percy - by do grona podejrzanych Trevor zaliczał wyłącznie mężczyzn.

- Odpuść sobie, Percy. - Bertranda aż świerzbiły ręce, by uderzyć kuzyna. - Sądzisz, że Adela użyła laski jako podpórki pod broń?

- Głośno myślę, drogi kuzynie. - Jeśli Trevor ma zamiar się tu plątać, pokazywać palcem i zadawać mnóstwo głupich pytań, nie rozumiem dlaczego nasze piękne damy miałaby ta rozrywka ominąć.

Felicity podniosła się z miejsca i trzęsącym się głosem zwróciła się do Gilesa: - Czuję się okropnie. Maria musi zrobić mi okład z wody lawendowej. Dlaczego książę się uparł, by tu przyjeżdżać? I co mu to dało... Śmierć puka do drzwi, zajmuje się nim jakiś szkocki szarlatan. Żałuję, że tu przyjechałam.

- Czemu zatem nie wyjedziesz? - zapytała słodko Konstancja. - Nic innego nie robisz, tylko mdlejesz, narzekasz i nas obrażasz. Nic tu po tobie. Po prostu wyjedź.

Felicity odwróciła się. - Ty wredny szkocki bachorze. Nawet po angielsku mówić nie umiesz. A może powiesz mi, dlaczego twoja niezdarna siostrzyczka ciągle chodzi do pokoju księcia? Niech lepiej trzyma ręce z daleka. To ja jestem jego narzeczoną i gdybym się czuła na siłach, odwiedzałabym go sama. Och, jak ja nienawidzę tego okropnego zamczyska.

- Byłem u Iana - odezwał się Giles. - Ma gorączkę, tak jak mówił mały Robert.

Mabley nie odstępuje go na krok. Da nam znać, jeśli stan się pogorszy.

- Mabley mówi, że książę majaczy. Niech to diabli! - Bertrand uderzył nagle pięścią w kolano.

- Przeklinasz, bo książę jest ranny? A może dlatego, że zabójca spudłował? - Percy przybrał fałszywy ton.

- Cóż za obrzydliwa uwaga. - Konstancja podniosła się, zaciskając dłonie w pięści.

- Mabley twierdzi - wtrącił się Giles - że książę nie zostanie sam ani przez chwilę. To powinno schłodzić zapał niedoszłego mordercy. A teraz, lady Adelo, jeśli nie masz nic przeciwko temu, czas na popołudniową herbatkę.

ROZDZIAŁ 25

- Nie pozwolisz, by ktoś zrobił mu krzywdę, prawda, Brandy? - W oczach Fiony była troska i przerażenie. Nie żeby nie wiedziała, co to śmierć. Dziadek Angus umarł. Ale on był tak stary, że często dziwiła się, jakim cudem utrzymuje się jeszcze przy życiu. Brandy otuliła dziewczynkę kołderką, nachyliła się i pocałowała ją w czoło. - Oczywiście, kruszynko. Nie pozwolę go skrzywdzić. Nie martw się. Jest duży i silny, wyjdzie z tego.

Obiecuję.

Zostawiła Fionę i poszła do siebie. Nie miała ochoty na docinki i uwagi w bawialni i przy kolacji.

Kiedy zegar wybił dziesiątą, poszła do sypialni Iana blada, ze ściągniętą twarzą. Jej wzrok natychmiast powędrował w stronę łóżka. - Nic nie mówi. Czyżby gorączka już spadła?

W jej głosie było tyle nadziei, że Mabley niechętnie odebrał jej złudzenia. - Nie całkiem, panienko. Wciąż majaczy, rzuca się na łóżku. Minęło sześć lat, a on wciąż powtarza jej imię. Cóż to były za straszne czasy. Umierałem ze zmartwienia o niego. - Mabley potrząsnął smętnie głową.

Brandy podniosła wzrok. - Mówisz o Mariannę?

- Tak, panienko. Wydaje mi się, że ponownie przeżywa te straszne chwile. - Lokaj był tak wyczerpany, że usiadł w fotelu i zamknął oczy. Wciąż pamiętał twarz Iana, białą jak ściana, w dniu, w którym ten wrócił samotnie z Francji.

- Jego przyjaciele obawiali się, że postrada rozum. Pamiętam, nawet król przysłał kondolencje. Ech, smutne to były czasy, bardzo smutne.

Brandy postanowiła wziąć się w garść. Mariannę umarła wiele lat temu, a ona sama żyje. Ian potrzebuje opieki. Jeśli będzie musiała dzielić go z duchem, to trudno. O Felicity nawet nie chciała myśleć. - Połóż się, Mabley, ledwo trzymasz się na nogach.

Mabley poszedł do wyjścia. - Zawołasz mnie, panienko, jeśli książę zrobi się niespokojny i nie będziesz dawała rady?

- Oczywiście. Nie zapomnij zaryglować drzwi. Rana to wystarczająco duży kłopot. Nie chcę zawracać sobie głowy łajdakiem, który go postrzelił.

Mabley wyszedł, zamykając ze sobą drzwi. Stał przez chwilę pośrodku niewielkiego pokoiku, spojrzał na zapadnięte łóżko, które służyło mu od dobrych kilku tygodni. Poczuł swędzenie na samą myśl, że Morąg zmieniała rano pościel. Podobnie jak Felicity żałował, że tu przyjechał. Oby tylko książę jak najszybciej wrócił do zdrowia, a kiedy już będzie zdrowy, oby jak najszybciej zdecydował się opuścić ten kraj z jego dziwnym językiem, jedzeniem i słonym, morskim powietrzem.

Powoli zdjął czarny surdut i spojrzał w stronę zamkniętych drzwi. Zmarszczył czoło. Nie powinno być tak, że to panienka Brandy opiekuje się księciem. Powinien to być któryś z dżentelmenów, na przykład pan Giles. Cóż za uparciuch z tej Brandy! Wyglądało na to, że książę nie

jest jej obojętny. Sparzy się dziewczyna, pomyślał. Chociaż nie przepadał za porywczą Felicity, wiedział, jakie zwyczaje panują wśród arystokracji. Książę jest już praktycznie żonaty, w gazetach ukazało się oficjalne zawiadomienie o ślubie, rodziny dokonały wszelkich ustaleń. Gdyby lokaja pytano w takich przypadkach o zdanie, chętnie oświeciłby go co do różnic pomiędzy Felicity a jego nieszczęsną pierwszą żoną. Szkoda, pomyślał, wielka szkoda. Niestety, nic już się nie da zrobić.

*

Brandy stała cicho przy łóżku, spoglądając na rannego. Jego twarz była rozpalona od trawiącej go gorączki. Przetarła ją chłodną, wilgotną szmatką. Wycierała mu szyję, ramiona i dłonie, a on mruknął coś niezrozumiale i odwrócił leżącą na poduszce twarz. Jeszcze raz ją przetarła. Chciał odepchnąć rękę, ale nie miał tyle siły. - Cicho - szepnęła. Odsunęła ciężką, puchową pierzynę, odkrywając nagi tors.

Bandaże przecinały pierś, kontrastując z czernią owłosienia. Pogładziła lekko brzegi bandaża.

Jego oddech nieco się uspokoił. Nie miotał się już we śnie, ale gorączka nie chciała ustąpić.

Czuła ogromne zmęczenie. Żeby tylko udało mi się zbić gorączkę, pomyślała, spędzając kolejne pół godziny na okładaniu go chłodnymi kompresami. Przeciągnęła się i podeszła do paleniska, w którym żarzyły się jeszcze czerwone węgle. Dołożyła do ognia, a następnie rozebrała się, włożyła koszulę nocną i owinęła się kraciastym szalem. Usiadła w fotelu, naciągając na siebie koc z surowej wełny.

Strzępki słów i przekleństw wyrwały ją ze snu. Chwilę później była już przy łóżku. Jego twarz, jego głos wyrażały tyle cierpienia, że łzy niemal napłynęły jej do oczu. - Mariannę, Mariannę. Gdybyś mi zaufała, gdybyś mi powiedziała. Uratowałbym ich... Mariannę, dlaczego we mnie wątpiłaś? Za późno... przyjechałem za późno.

- Nie, Ian, to nie twoja wina. Nie wiń się za jej śmierć. Cicho, kochany, cicho... Ja kocham cię bardziej. Nigdy bym cię nie opuściła. Dlaczego nie chciała ci zaufać?

Zrobił się niespokojny, machał rękoma, a Brandy opanowała łzy, przysiadła na łóżku i trzymała go tak mocno, jak tylko mogła w obawie, że rana się otworzy.

- Leż spokojnie, Ian, po prostu leż.

Podniósł głos, a ona zobaczyła jego wizję - gilotynę, złowrogie ostrze, które odcięło głowę Mariannę. Zdała sobie sprawę, że Mariannę pojechała do Francji ocalić rodziców. Dlaczego mu nie powiedziała? Dlaczego nie prosiła go o pomoc? Przecież był jej mężem. Dlaczego? Nie miało to sensu.

- To nie twoja wina, Ian - powtórzyła jeszcze raz. Pragnęła, by jej wysłuchał, uwierzył. Położyła palce na jego ustach i przycisnęła policzek do jego twarzy, przytulając się mocno.

Wyszeptał jeszcze raz imię zmarłej żony, a Brandy w akcie rozpaczy zamknęła mu usta pocałunkiem. Chciała, by zapomniał, by przegnał ducha z myśli. Odpowiedział na pocałunek. Jego język badał jej usta, a ją zaskoczyło pożądanie, które ogarnęło jej ciało. Przynajmniej wydawało jej się, że to pożądanie. A może to tylko żądza, słowo, które tyle razy padało z ust mężczyzn z rodu Robertsonów. Wiedziała tylko, że chce doznawać tych uczuć, że chce go dotykać, przytulać. Ramiona oplotły ją, a duże dłonie spoczęły na jej biodrach.

Pomyślała, że powinna wstać, że on nie jest świadomy swoich czynów. Wydaje mu się, że to Mariannę, jego pierwsza żona. Próbowała się odsunąć, ale przycisnął ją mocniej. Nie mogła się ruszyć.

- Ian, nie możemy. - Nie chciała, żeby przestawał. Okłamywała siebie i jego i doskonale zdawała

sobie z tego sprawę.

Jego usta odsunęły się nagle. Patrzył na nią jasnymi oczyma, przenikając ją do głębi.

- Ukochana - szepnął. - Najmilsza. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Czuła wzbierające w nim pożądanie i podjęła wyzwanie, otwierając usta.

Sądzi, że ja to Mariannę, pomyślała ze smutkiem. Po chwili już jej to nie obchodziło. Otworzy przed nim ramiona, przyjmie to, co będzie chciał jej dać. Dzisiejszej nocy będzie należał tylko do niej.

Z nagłą siłą podniósł ją z krawędzi łóżka i położył na sobie. Przez ubranie czuła na brzuchu jego twardą męskość. Wtuliła twarz w jego szyję, podczas gdy ręce gładziły jej biodra, szarpały za materiał koszuli. Pomogła mu skwapliwie, bez fałszywej skromności czy demonstracji dziewiczego oporu. Sama myśl, że zaraz będzie przy niej nagi doprowadzała ją niemal do szaleństwa. Zerwała z siebie koszulę, chcąc się jej jak najszybciej pozbyć. Odsunęła kołdrę. Patrzyła na niego, na nabrzmiałą męskość w gąszczu czarnych włosów. Mój Boże, wiedziała, co ją czeka i nie mogła sobie wyobrazić, jak on się w niej zmieści. Poczuła strach, ale odpędziła go po chwili. Pożądał jej - albo raczej pożądał ducha - a ona dzisiejszej nocy miała zamiar spełnić jego życzenie.

- Kocham cię - powiedziała wiedząc, że jej nie słyszy. Nawet gdyby słyszał, uznałby, że to słowa Mariannę.

Dłonie delikatnie pieściły jej biodra. Rozluźniła się, czując, że brzuch i nogi dotykają jego nagiego ciała. Objął ją mocno i przewrócił na plecy. Był teraz na górze, jego dłonie dotykały jej piersi, brzucha, schodziły niżej w niespiesznej pieszczocie. Rozkosz, którą jej dawał, była zdumiewająca i cudowna. Nie chciała, by przestawał, czuła, że przyjemność narasta, że staje się coraz silniejsza. Nie miała pojęcia, co zaraz się wydarzy, ale chciała dostać wszystko. Przycisnęła biodra do jego dłoni.

Poczuła jak jego palce wślizgują się do środka, badają ją, pieszczą. Po chwili poczuła, że próbuje w nią wejść. To się nie uda, pomyślała, nie może się udać. Jest po prostu za duży. Podniecenie zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Objęła go za szyję, wyginając się jak kot. Napór przesunął ją w górę. Teraz czuła tylko przerażenie, bała się, że ją rozerwie, że w tym łóżku straci życie. Nie była przygotowana na taki ból. Wiedziała, że nie wolno jej krzyczeć, że może obudzić Mableya. Tylko tego brakowało, by stary lokaj pojawił się w drzwiach.

Ian wyszedł z niej nagle, a chwilę później z całą siłą wszedł jeszcze głębiej. Złączeni byli teraz w jedno ciało. Oddychał ciężko.

Zaczął się w niej poruszać, szepcząc coś, czego nie rozumiała. Słowa po francusku, słowa pożądania. Nie, nie wolno jej krzyczeć. Całował jej podbródek, nos, usta. Bolało tak strasznie, że zatopiła zęby w jego szyi tuż przy karku, pozwalając by Izy zmoczyły mu policzek. Czuła, że wchodzi w nią coraz mocniej, że coraz mocniej ściska ją w ramionach. Nagle jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Zastygł w bezruchu, a ona nie mogła dłużej powstrzymać krzyku, zdążyła jednak w porę wtulić się w jego szyję. Rozluźnił się, z jego gardła wydarł się cichy jęk. Poczuła w sobie jego nasienie. Opadł bezwładnie, przygniatając ją swoim ciałem. Na poduszce, gdzie opadła jego głowa, słychać było urywany, zasapany oddech.

Brandy leżała w bezruchu. Ciężki był, ale nie zważała na to. Był jej, tylko jej. Oddech się uspokoił, usta ogrzewały swym ciepłem jej policzek. Jęknął głośno i nagle ucichł. Chyba zasnął.

Jestem teraz jego częścią, pomyślała i objęła go w pasie. Leżała spokojnie, dopóki była w stanie udźwignąć jego ciężar. Potem uwolniła się delikatnie i położyła na boku. Patrzyła na twarz

oświetloną blaskiem świecy, wodząc palcem po zdecydowanej linii podbródka.

Przynajmniej dzisiaj jest mój, myślała. Nie pozwolę, by duch Mariannę czy obecność Felicity zepsuła mi tę radość. Naciągnęła kołdrę i oparła głowę na jego ramieniu, rozkoszując się chwilą. Za moment będzie musiała go opuścić.

Zbudził się gwałtownie, mając nieodparte wrażenie, że duch zbyt długo przebywał poza ciałem. Zdezorientowany, patrzył na strumień światła, wpadający przez okno do pokoju. Otrząsnął się ze snu i podniósł się ostrożnie na łokciu.

- Wasza wysokość.

- Mabley, dobry Boże, który to dzień i godzina? Mam wrażenie, że wróciłem z dalekiej podróży.

- Wasza wysokość przytomny?

- Wygląda na to, że tak. - Zgiął plecy, krzywiąc się z bólu. - Bark już się goi.

- Jest czwartek, wasza wysokość, dziesiąta rano.

- To znaczy że od wczoraj byłem nieprzytomny?

Stary lokaj rozjaśnił się w uśmiechu, a głębokie zmarszczki na jego twarzy wygładziły się. - Zgadza się. Nawet majaczyłeś w gorączce, wasza wysokość. Bardzo się o ciebie martwiliśmy.

- Majaczyłem? - Zmarszczył czoło, próbując zebrać myśli.

- Owszem, wasza wysokość. - Mabley zbliżył się do swego pana i dodał łagodnie: - Dawne wydarzenia ożyły w twej pamięci.

Nie było potrzeby, by mówić coś jeszcze.

Ku zdziwieniu Mableya książę nie podjął tematu. Powiedział tylko: - Wygląda na to, Mabley, że ktoś chyba bardzo mnie nie lubi. Niewiele pamiętam. Czy złapano winowajcę?

Mabley potrząsnął głową. - Niestety. Jakiś Trevor, szkocki sędzia, zajmuje się sprawą. Przyślę pana Gilesa. Ja sam nic nie wiem, nie przebywałem z twoją rodziną.

- Dobry pomysł, chętnie zamienię z nim parę słów. Do diabła, zjadłbym konia z kopytami. Muszę się ogolić i wziąć kąpiel. Może najpierw zacznijmy od tego, Giles może poczekać.

Przerwał na chwilę, przyglądając się staremu służącemu. - Wyglądasz jak z krzyża zdjęty. Nie mów mi, że byłeś moją jedyną niańką.

- Nie, wasza wysokość. Panienka Brandy zajmowała się tobą w nocy. Musisz wiedzieć, że uparta z niej osóbka. Odpoczywaj, za moment wracam. - Na twarzy Iana pojawił się dziwny wyraz, a Mabley dokończył: - Sznur od dzwonka się urwał, wasza wysokość. Zawołam małego Albiego.

- Wydaje mi się, że w tej okolicy aż roi się od małych osób. Wydaje mi się, że kojarzę kogoś o imieniu mały Robert.

- To szkocki lekarz. Był tu dziś rano.

Mabley wyszedł z pokoju, cicho zamykając drzwi, a książę spuścił nogi, próbując wstać. Miał już dosyć swej bezradności. Zaklął cicho, bo nogi odmówiły posłuszeństwa. Opadł z powrotem na materac. Potarł palcami szczecinę na brodzie. Do licha, nie będzie robił z siebie inwalidy, pomyślał i odrzucił kołdrę.

Na białym prześcieradle widać było dwie plamy zaschniętej krwi. Zamarł, kiedy fragmenty pamięci poskładały się w jedną całość. Spojrzał na siebie i na swoim członku zobaczył krew zmieszaną z nasieniem. Dłoń poszybowała do czoła. Przypomniał sobie. O mój Boże, nie. Nie mógł jej tego zrobić. Poczuł dyskomfort w okolicy szyi, dotknął bolące miejsce. Ślady zębów. Dotknął policzka, przypominając sobie jej łzy, kiedy wchodził w nią coraz głębiej, nie dawał jej odpocząć, tylko brał i brał, aż pożądanie znalazło upust. Nic jej nie dał prócz bólu. A ona to wytrzymała.

Mabley wrócił po chwili, zastając księcia siedzącego na łóżku, gapiącego się nieobecnym wzrokiem w przestrzeń. Stwierdził, że jego pan musi strasznie cierpieć. Dla księcia, mężczyzny silnego i dumnego, choroba była czymś, o czym trzeba było jak najszybciej zapomnieć. Ledwie dwa dni minęły od chwili, gdy go postrzelono, a on już siedział na krawędzi łóżka. - Wasza wysokość, tak nie można. Jesteś jeszcze słaby. Trzeba się było tego spodziewać. Nie chcemy, by wróciła gorączka. Pozwól, pomogę ci się znów położyć. Pan Giles chciałby się z tobą zobaczyć. Może podczas rozmowy zjesz rosół? Musisz się czymś pokrzepić.

Ian kiwnął głową w milczeniu. - Dobrze, kąpiel może poczekać. Daj zupę i przyślij tu Gilesa.

Dziesięć minut później w drzwiach pojawił się Giles. Przyjrzał się uważnie kuzynowi i powiedział: - Ech, chłopie. Widzę, że masz apetyt, a to oznacza, że wracasz już do zdrowia. - Podszedł do łóżka. - Lepiej się czujesz?

- Dużo lepiej. Siadaj, dokończę jeść. Wyobraź sobie, nazywają to rosołem z kurczaka, chociaż po kurczaku nie ma tu ani śladu. To tylko bulion bez smaku.

- Ciesz się. Wolałbyś, żeby smakował jak biszkopt kucharki? - Giles uśmiechnął się i usiadł w skórzanym fotelu przy łóżku. Z zadumaną miną zaczął bębnić palcami w poręcz.

- Pamiętasz cokolwiek? Może widziałeś jakiś cień, słyszałeś dziwne dźwięki?

- Pamiętam aż zbyt wiele. Niestety żadne z moich wspomnień nie dotyczy niedoszłego zabójcy. Mabley mówił, że węszy tu człowiek o nazwisku Trevor.

- Tak, stary głupiec, jak mówi lady Adela. Sądzę, że chce dobrze, ale niestety rzeczywistość nie przychodzi mu z pomocą. Możesz sobie wyobrazić, że Robertsonowie skaczą sobie do gardeł. Powietrze aż gęste od wzajemnych oskarżeń i podejrzeń. Muszę cię stąd zabrać, jak tylko poczujesz się na siłach.

Książę opuścił łyżkę, milcząc przez chwilę. - Nie, nie wydaje mi się - powiedział w końcu. - Nie żebym się bał, że po powrocie do Anglii zostanę uznany za tchórza. Chodzi o to, że mam tu jeszcze coś do zrobienia. Nie bój się, nie zamierzam dochodzić, kto próbował mnie zabić. To byłaby strata czasu. Wątpię, by ten bękart był wart mojej uwagi.

- Pijesz do Percy'ego?

- Może. A co lady Adela mówi na ten temat? Jestem pewien, że ma sporo do powiedzenia, jak zwykle.

- Wygłosiła przemówienie, że nie cierpi łajdaków i tchórzy. A poza tym zachowaniem dołączyła do reszty rodziny. Natomiast Felicity, jak zapewne sobie możesz wyobrazić, jest ostatnio męcząca.

Książę powiedział gwałtownie: - Czy wiesz, Giles, że Brandy zajmowała się mną w nocy? Niemądry pomysł. Muszę z nią o tym porozmawiać.

- Nie, nie wiedziałem. Felicity by się to nie spodobało. Rozległby się taki wrzask, że nie wytrzymałyby belki sufitu, a zbroje pospadałaby ze ścian.

Brandy to niezwykła dziewczyna.

- Rzeczywiście, w tej kwestii muszę się z tobą zgodzić.

- Kiedy cię postrzelono, zażądała, by Claude powiedział jej dokładnie, co wtedy robił. Zachowywała się jak pies myśliwski, węszyła na wszystkie strony. Ale wiesz co? Nie podoba mi się, że chcesz tutaj zostać, nieważne, jaki masz powód. Powiem ci jedno, nikt, łącznie ze mną, nie jest w stanie powiedzieć, kto próbował cię zabić. Nie uważasz, że dalszy pobyt to lekkomyślność? Chcesz dać zabójcy drugą szansę?

- Obiecuję, Giles, tym razem będę bardziej uważał. I jeśli otoczę się Robertsonami, łajdakowi

nie powiedzie się tak łatwo.

Giles nie wyglądał na zadowolonego z decyzji księcia, ale trzymał język za zębami. Książę miał reputację uparciucha, który nie zmieniał raz podjętej decyzji.

- Felicity się to nie spodoba. Przez ostatnie dni rozgłaszała wszem wobec, jakim obrzydliwym, godnym pogardy miejscem jest Penderleigh i jak bardzo się cieszy, że wkrótce je opuści razem z tobą. Raz mi się wydawało, że Adela rzuci w nią laską, ale przebiegła lisica zdołała się w końcu opanować.

Szczerze mówiąc, na jej miejscu nie wiedziałbym, co robić. Twoja słodka Brandy nie powiedziała ani słowa, tylko podniosła się i wyszła z pokoju.

Przez moment myślałem, że poszła po broń. To by dopiero było interesujące. - Muszę porozmawiać z Felicity. Przyślesz ją do mnie po goleniu i kąpieli? Och tak, chciał porozmawiać z Felicity. I to bardzo.

ROZDZIAŁ 26

- Odważny z ciebie człowiek, kuzynie. Masz dużo więcej odwagi niż ja. - Giles poklepał Iana po ramieniu i wyszedł z pokoju.

Książę zaczął się zastanawiać, kim jest niedoszły zabójca, ale po chwili zdał sobie sprawę, że wszystkie jego myśli i tak biegną do Brandy. - Istne szaleństwo - powiedział do siebie.

Giles znalazł Felicity siedzącą samotnie w bawialni na parterze. Stwierdził, że pewnie byli tam wcześniej inni członkowie rodziny, ale humory Felicity ich stamtąd wygnały. - No i co, Giles? - zapytała Felicity znużonym głosem. - Jak się miewa książę? Zejdzie do nas dzisiaj?

Giles spojrzał na zgrabnie wykrojone usta i kocie oczy i powiedział z nutą rozbawienia w głosie: - Jego stan znacznie się poprawił. Zostawiłem go w dobrych rękach, czeka go teraz golenie i kąpiel.

- No tak, jest strasznie ciemny - powiedziała Felicity bardziej do siebie niż do niego.

- Owszem. A co do ciebie, Ian chciałby z tobą porozmawiać tuż po kąpieli.

Zabiorę cię na górę. Nie dziw się tylko, gorączka i ból trochę go zmieniły.

- Gdybyśmy wiedzieli, który z tych barbarzyńców jest za to odpowiedzialny.

Nie pisną nawet słówka. Nawet jeśli obrzucają się wyzwiskami, chronią się nawzajem, jestem pewna. A ten ponury doktor... Boże, jaki on niski. Jak lekarz może być tak niski? Cóż, widziałeś zresztą, jak mnie obraził.

Giles przypomniał sobie, że mały Robert nie wykazał zrozumienia dla jej skołatanych nerwów. - Moja droga, martwił się po prostu o stan księcia, to wszystko. - Wyciągnął maleńką, elegancką tabakierkę, otworzył wieczko jednym palcem i nałożył sobie solidną porcję. Kichnął cicho i strzepnął pyłek tabaki z rękawa. - Biedny Mabley ledwo trzyma się na nogach. Cały dzień nie spuszczał oka z Iana. Całe szczęście, że Brandy...

- Mabley? Kolejny służący, który nie potrafi okazać szacunku lepszym od siebie. Już dopilnuję, by ten starzec o twarzy pomarszczonej jak wyschnięta rzepa jak najszybciej zniknął z mojego domu. Zaraz, zaraz, co to znaczy „cały dzień”? I o co chodzi z Brandy? Co znów wymyśliła? Mam nadzieję, że nie postanowiła nagle, że chce przyjechać do Londynu. Powiem ci jedno, Giles, po moim trupie. Jak tylko zostanę księżną Portmaine, nie pozwolę, by ta przebrzydła mała dziwka przebywała w moim domu.

- Mówiłem coś o Brandy? Nie przypominam sobie. - Odwrócił wzrok, spoglądając na zakurzone dudy, nad którymi wisiał wielki herb Robertsonów.

Felicity złapała trop. - Kto jak kto, ale ty nie musisz przede mną niczego ukrywać. Przebywała z nim w nocy, prawda, Giles?

- Prawda, ale nie rozumiem dlaczego cię to tak drażni. Nie zgłosiłaś się przecież na ochotnika, by przy nim czuwać. A ona troskliwie się nim zajęła.

- No tak. Jestem sobie w stanie wyobrazić, jak troskliwie. Ta mała dziwka!

- Nie wiem, czy pamiętasz, ale książę był poważnie ranny. Nie miał siły samodzielnie jeść, a co dopiero zabawiać się z inną kobietą. Jeszcze jedno.

Nie spodobałoby mu się, że nazywasz jego opiekunkę dziwką. Ach, która to godzina? Muszę cię ostrzec, moja droga, upiera się, by tu zostać.

Próbowałem go przekonywać, ale on nie ma najmniejszego zamiaru wyjeżdżać. Twierdzi, że ma tu coś do zrobienia i wydaje mi się, że nie zmieni zdania.

Felicity skoczyła na równe nogi. - Bzdury. Nie czuje się wystarczająco dobrze, żeby podejmować takie decyzje. Mam nadzieję, że też mu to powiedziałeś.

- Wiesz doskonale, że jest konsekwentny w swoich decyzjach. Próbowałem go zagadać, ale nie podziałało. Powinnaś wiedzieć, że twój narzeczony jest uparty jak osioł. Jak raz coś postanowi, nie ma odwrotu.

- Owszem, jest uparty. - Felicity zacisnęła zęby ze złości. - A myślisz, że jaka ja jestem? Księciu wydaje się że jestem słabą, potulną gęsią, jak jego pierwsza żona. Myli się. Powiem mu, bądź pewien, że nie życzę sobie, by mnie traktował jak dywan, w który może wytrzeć buty. Uparty? Zobaczymy.

- Mój Boże - westchnął Giles, kiedy Felicity zebrała w dłoniach fałdy sukni i wybiegła z bawialni. Nigdy nie widział, by tak szybko się poruszała.

Wdzięcznie się rusza, pomyślał.

Kilka minut później zastukała do sypialni księcia.

Mabley otworzył drzwi i zdumiał się. Brakowało jej tchu. Wyglądała, jakby miała ochotę kogoś zabić. - Lady Felicity?

- Przecież nie Adela - powiedziała ostro. - Powiedz księciu, że chcę się z nim widzieć, Mabley. Na korytarzu jest przeciąg, więc postaraj się, bym długo nie czekała.

- Książę cię oczekuje, milady. - Mabley usunął się przezornie z drogi.

- Wejdź, proszę - Ian zawołał z łóżka. Zwrócił się cicho do starego lokaja: - Zostaw nas samych. Napij się piwa i wróć za pół godziny.

Mabley wyszedł, mijając się w drodze z Felicity.

Dziewczyna rozejrzała się wokół, zerkając w stronę gigantycznego kominka i wielkiego łóżka. Sypialnia niewątpliwie należała do mężczyzny, nie było tu żadnych ozdób, lekkich mebelków czy zasłon, które mogłyby złagodzić surowy wystrój. Pokój pasował do narzeczonego, który leżał na łóżku z rozsypanymi na białej poduszce czarnymi włosami.

- Giles mówił, że czujesz się lepiej, wasza wysokość - powiedziała, nadając głosowi ugodowy ton. Matka zawsze mówiła, że nie szkodzi się czasem nagiąć, aby dostać to, czego się chce. Nie było jej jednak łatwo.

- Owszem - powiedział, zaciągając ze szkocka, czego nie znosiła. - Dziękuję, że przyszłaś - dodał ironicznie. - Powinniśmy porozmawiać.

- Giles już mi mówił, że nie zamierzasz wyjeżdżać z Penderleigh. Nie wydaje mi się, by dłuższy pobyt tutaj był korzystny dla twego zdrowia. Powiedz, że Giles się pomylił. De chcesz wyjechać stąd tak szybko jak to możliwe.

Słowa lekko przeszły mu przez gardło. - Tłumaczyłem już Gilesowi, że jest tu coś, co wymaga mojej uwagi. Dlatego nie mam zamiaru się pakować i wracać do Anglii. Jestem rozczarowany, że tego nie rozumiesz.

Powiedział to tak ostro, że niemal się cofnęła. Skąd ten gniew? Chciała tylko, by był rozsądny,

nic więcej. Ręce ją świerzbiły, by mu wymierzyć policzek, ale jako dama nie mogła posunąć się do czegoś podobnego. Odpowiedziała równie ostro. - Jesteś rozczarowany? To moje zdanie się nie liczy? Chyba nie chcesz otaczać się tymi prymitywnymi, wulgarnymi barbarzyńcami? Wiesz, jak oni na siebie wrzeszczą, jak się wzajemnie oskarżają?! Przecież doskonale wiesz, że to jeden z nich próbował cię zabić.

Patrzył na nią nowymi oczami. Dostrzegł jej małostkowość i egoizm. Nie było w niej serca, troski o innego człowieka, tylko złość i pogarda. Nie miał zamiaru się poddać ani łagodzić ostrego tonu.

Uśmiechnął się. - Dyję, jak widzisz - powiedział chłodno. - A co do twojej opinii, że Robertsonowie są prymitywni i wulgarni, radzę ci raczej przemyśleć własne zachowanie. Od chwili gdy przyjechałaś do Penderleigh, nie słyszałem z twoich ust nic miłego. Pysznisz się, że jesteś hrabianką, a tymczasem maniery masz jak zwykła wieśniaczka.

- Wieśniaczka? Jak śmiesz kwestionować moje maniery? Ach, już rozumiem.

Pewnie zachowanie tej małej dziwki, Brandy, bardziej ci odpowiada?

- Nie wydaje mi się, że Brandy ma związek z naszą rozmową - powiedział bez emocji. Głos miał wciąż zdumiewająco chłodny, niechętny. - Nazywasz Brandy dziwką? Nie mogę wyjść ze zdumienia, że mogłaś tak o niej pomyśleć. Ciekaw jestem, co ona sądzi na twój temat.

- Jej zdanie się nie liczy. Nie ma najmniejszego znaczenia, co sądzi na jakikolwiek temat. I jest małą dziwką, niczym więcej. - Z jej ust sączyła się nienawiść, której nie mogła opanować. Miała świadomość, że trzęsie się ze złości, ale nie dbała o to. - Wyobraź sobie, Giles wygadał się, że twoja cudowna Brandy, opiekowała się tobą w nocy. I co, było ci dobrze?

- Brandy jest hojna w uczuciach, czasem nawet za bardzo - powiedział z poczuciem winy tak samo wielkim, jak rwący ból w barku.

- Chcesz, żebym zachowywała się jak ta mała ladacznica? A może wolisz, bym kiwała potulnie głową jak twoja świątobliwa Mariannę i zgadzała się na wszystkie twoje zachcianki?

- Posuwasz się za daleko, pani. - Rzeczywiście, dalej niż się spodziewał.

Powinien bić brawa za taki pokaz. Jeszcze bardziej ją sprowokować.

- Doprawdy, wasza wysokość? Och, tak, przecież nigdy nie chciałeś mówić o Mariannę. Uważasz, że jestem idiotką i nie wiem, jak bardzo jestem do niej podobna? Wiem nawet, że wszystkie twoje kochanki musiały mieć czarne włosy i zielone oczy. Twoje upodobania były szeroko znane w towarzystwie.

Posłuchaj mnie zatem. Nie jestem twoją przeklętą Mariannę.

- Bardzo odkrywcze, Felicity. O co ci właściwie chodzi?

Chłód w jego głosie doprowadzał ją do szału. - Chodzi mi o to, wasza wysokość, że nie będę grała roli drugiej Mariannę. Kiedyś uważałam cię za mężczyznę, który jest świadom obowiązków wobec narzeczonej i własnego nazwiska, ale widzę, że się myliłam. Zachowujesz się jak barbarzyński Szkot, a nie angielski dżentelmen.

- Twoje zachowanie też daje dużo do myślenia. Masz rację, Felicity. Ja i ty mamy niewiele wspólnego, jeśli nie zupełnie nic. Jeśli miałbym wybierać między tobą a Szkotami, wybrałbym ich.

- Są mężczyźni, mój drogi książę, którzy, w odróżnieniu od ciebie, nie uważają mnie za odrażającą. Na przykład markiz Hardcastle, szlachetny, kulturalny dżentelmen, którego zaloty mój ojciec odrzucił ze względu na ciebie. - Popukała się w czoło. - Pomyśleć, że nie zwracałam na niego uwagi.

- Jestem pewien, że Horacy obśliniłby się z radości słysząc te słowa. Mogę się założyć, że będziesz go uważać za chodzący ideał, dopóki ci się nie sprzeciwi. Ach, jestem zmęczony tymi kłótniami. Powiedziałem ci, jakie mam plany, Felicity i nie mam zamiaru zmienić zdania. Ani trochę. Ale jeśli chcesz nadal wylewać swoją żółć, bardzo proszę. Jak to mówiła moja matka, lepiej, jak nic nie leży na wątrobie.

- Pewnie ta mała Brandy nic nie robi, tylko ci się przymila i jest na każde skinienie? Tak wolisz, wasza wysokość? Ta mała, głupia...

To było już za wiele. - Trzymaj język na wodzy, pani - powiedział ostro. - Obnażasz się. Nawet sam markiz Hardcastle nie byłby w stanie tego tolerować.

- Och, jak się myliłam co do ciebie. Pomyśleć, że zgodziłam się przyjąć twe oświadczyny ze względu na twą pozycję i tytuł.

- Felicity - powiedział zimno - zaczynasz mnie nudzić. Tak naprawdę zaczęłaś mnie nudzić dobre dziesięć minut temu, kiedy tu weszłaś. Teraz umieram z nudów. Może Giles wysłucha twojego jazgotu. Ja nie mam zamiaru. Dosyć.

Wyprostowała się, ściągając ramiona. - Obrażasz mnie, nie zniosę tego dłużej - powiedziała tonem królowej angielskiej. - Żądam, żebyś wrócił ze mną do Londynu i to niezwłocznie. Jeśli odmówisz, wasza wysokość, informuję, że zrywam zaręczyny.

Miał ochotę tańczyć. Śpiewać. Nie czuł ani trochę winy, tylko olbrzymią ulgę. - Odmawiam - powiedział miękko.

Spojrzała na niego ze zdumieniem, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę drzwi. Wychodząc, odwróciła się przez ramię i rzuciła sarkastycznie: - Życzę powodzenia, wasza wysokość, ze szkocką rodzinką. Mam nadzieję, że nie będziesz miał pretensji, jeśli prześlę do gazet ogłoszenie, że ślub został odwołany.

- Oczywiście, że nie. Powiedz rodzicom, co trzeba w moim imieniu. Jeszcze jedno, Felicity. Nie pogardzaj tytułem markiza, nawet Horacego Hardcastle, który ma rozum wielkości orzeszka, ponieważ to tylko jeden szczebel niżej od księcia.

- Idź do diabła! - wrzasnęła, trzaskając drzwiami najmocniej, jak umiała.

Giles wszedł do sypialni księcia kilka minut później, by obejrzeć krajobraz po bitwie i zdumiał się, a zatroskanie na jego twarzy zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. - Niech mnie licho. Wyglądasz jak kot, który właśnie wypił ze spodka całą śmietankę. Co się stało?

- Pogratuluj mi, Giles, jestem wolnym mężczyzną. Felicity zerwała zaręczyny.

Mam wrażenie, że szacowny Horacy, markiz Hardcastle, zostanie wkrótce jej nowym wybranki em.

Giles wstrzymał dech. - Nigdy nie sądziłem, że sprawy zajdą tak daleko. Strasznie mi przykro. Zaraz, zaraz, ty się śmiejesz.

- Mój drogi, zawsze mi powtarzałeś, że ani trochę nie przypomina Mariannę, że nie ma łatwego charakteru, że nie jest łagodna ani dobra. Teraz ci wierzę.

Powinienem był cię posłuchać dawno temu. Nie cieszysz się, że cudem uniknąłem domowego horroru? Cóż za głupiec ze mnie. Nigdy nie należy próbować odtworzyć przeszłości, to mrzonka, zwłaszcza gdy... - przerwał z ognikami w oczach.

- Tak, Ian?

- Ech, nieważne. Głośno myślałem. Mogę cię poprosić o przysługę? Zabierz Felicity do Londynu.

- Dobrze - odparł z uśmiechem Giles. To, że mógł się uśmiechać na myśl o spędzeniu następnych

sześciu dni w towarzystwie Felicity, wprawiało księcia w zdumienie.

- Twoje lekarstwo, wasza wysokość.

- Ach tak, Mabley. Widzisz, Giles, mój drogi lokaj nie odstępuje mnie na krok.

Nawet król nie ma lepszej ochrony. Nie martw się. - Wyciągnął rękę do kuzyna, który potrząsnął nią mocno. - Dziękuję ci, Giles. Trzymaj się.

Zobaczymy się w Londynie za jakiś czas.

- Doskonale. Wyjedziemy jutro rano.

- Mam nadzieję, że Felicity nie zmusi cię do wyjazdu jeszcze dzisiaj.

Giles spojrzał na kuzyna przeciągle. - Źle wyglądasz. Musisz odpocząć. Dość tych wrażeń. Dosyć zerwanych zaręczyn. Opiekuj się dobrze swoim panem, Mabley - dodał i pożegnał się.

Książę uśmiechnął się do służącego. - Wiesz, Mabley, musimy to uczcić. Przynieś wina, bardzo cię proszę. Na pewno znajdzie się coś w piwnicach. Książę miał wrażenie, że w kaprawych oczach starego lokaja zapaliły się ogniki.

ROZDZIAŁ 27

W bawialni podniósł się szum, kiedy książę pojawił się tego samego popołudnia.

- Na Boga, Ian. - Bertrand podbiegł do krewniaka, gotów wesprzeć go ramieniem. - Za wcześnie, żebyś wstawał z łóżka. Powinieneś jeszcze poleżeć. Co na to mały Robert?

- Spałem prawie cały dzień - powiedział książę z odrobinę wymuszonym uśmiechem. - Nudzi mnie ciągłe przebywanie w sypialni i to we własnym towarzystwie. - Odwrócił się od Bertranda i gestem ręki przywitał się z zebranymi. Spojrzał na Brandy, która podniosła hardo głowę. Nie mógł po prostu podejść i jej pocałować, więc tylko kiwnął głową.

- Cóż, chłopcze - powiedziała lady Adela z krzesła z wysokim oparciem przy kominku. - Bertie mówił, że rano było z tobą kiepsko. Jak to jest, że ledwie kilka godzin później wydajesz się zdrów jak ryba?

- Lady Felicity wyjechała - odezwała się Konstancja. - Każdy by się od tego poczuł lepiej.

Adela rzuciła jej ostre spojrzenie, ale po chwili zaśmiała się, stukając laską o posadzkę. Konstancja wyglądała na niezmiernie zadowoloną z siebie.

- Słyszałem - powiedział książę, szukając wzrokiem twarzy Brandy. - Muszę się z Konstancją zgodzić. Od chwili wyjazdu Felicity zrobiło się jakoś jaśniej, spokojniej. Mam rację, Brandy?

- Coś w tym jest. Ręce mnie już nie świerzbią - powiedziała Brandy, uśmiechając się do siostry. - Była dosyć uciążliwa, to fakt.

- Nie wyglądasz na zmartwionego, wasza wysokość - odezwał się Claude. - Jest tak, jak mówisz? Cieszysz się, że sobie pojechała?

- Bardziej niż sobie to możesz wyobrazić, Claude.

- Usiądź, bardzo cię proszę. - Percy zrobił dla Iana miejsce na sofie. - Wolałbym już cię nie nosić. Kawał chłopa z ciebie, Ian.

Crabbe pojawił się w drzwiach, obwieszczając, że kolacja czeka, Ian zwrócił się do Brandy i podał jej ramię - Nie odezwał się nawet słowem, po prostu czekał. Uniósł brew. Miał ochotę mrugnąć, ale wiedział, że jeśli to zrobi, może ją wystraszyć.

Skinęła pośpiesznie głową i podała mu ramię.

Pośród rozgardiaszu, który zwykle towarzyszył opuszczeniu bawialni, Ian nachylił się i szepnął do Brandy: - Wiesz, że Felicity zerwała zaręczyny?

- Wiem. Przed wyjazdem nie mogła się powstrzymać, by nam nie powiedzieć, co o nas wszystkich sądzi. Gadała przez dziesięć minut. Konstancja to rozpuszczony bachor, Fiona to pospolity rudzielec. I tak dalej, aż doszła do mnie. Omal jej oczy nie wyszły na wierzch. Udało mi się, nazwała mnie zaledwie puszczalską. I tak wymamrotała to niewyraźnie, zawsze mogłaby zaprzeczyć. Sądzę, że bała się mnie otwarcie zaatakować, bo mogłabym jej wydrapać oczy. Kusiło mnie trochę, ale w końcu sama się wycofała. Ma instynkt samozachowawczy.

- Zobaczyła w twoich oczach żądzę krwi.

- Pewnie tak. I moje pięści.

- Nigdy nie uważałem Felicity za głupią. Okazała się zupełnie inna, niż mi się wydawało. Miałem więcej szczęścia, niż na to zasłużyłem. - Podniósł oczy w dziękczynnym geście i dodał bardzo cicho: - Musimy porozmawiać, Brandy.

Spojrzała na niego szybko i zmarszczyła czoło. - Jesteś pewien, że się dobrze czujesz?

- Jestem zmęczony, ale można się było tego spodziewać. Boli mnie bark, ale da się wytrzymać. Mam tylko nadzieję, że nie zasnę nad zupą.

Jeśli książę sądził, że na twarzach Robertsonów zobaczy poczucie winy, był skazany na rozczarowanie. Mimo że każdy z nich, wyłączając Claude'a, złożył mu wcześniej wizytę i w pełni wyraził swoje oburzenie i troskę, żaden w najmniejszy sposób się nie zdradził, Ian był w błędzie, sądząc, że kolacja upłynie w spokojnej atmosferze, a milczący całun tajemnicy spowije jadalnię. Aż musiał się uśmiechnąć, bo Robertsonowie nie mieli najmniejszych oporów, by całą sprawę szeroko dyskutować.

- Powiem ci coś, mój chłopcze. - Lady Adela pałaszowała gotowanego łososia.

- Jestem przekonana, że postrzelił cię któryś z wędrownych kotlarzy.

- W takim razie, milady - książę przybrał lekki ton - jest już wiele mil od Penderleigh. Mam nadzieję, że nie spodobały mu się przy okazji nasze owce.

- Wciąż dopisuje ci humor? - odezwał się Claude, przeżuwając kęs chleba. - Gdybym to ja dostał kulkę w plecy, chybabym tak nie dowcipkował.

W głosie Percy'ego słychać było zwykłe dla niego szyderstwo: - A może wolałbyś, Claude, żeby książę nazwał cię mordercą, choć jednocześnie fatalnym strzelcem?

Claude zaczął się krztusić, a Bertrand poklepał go po plecach. - Trzymaj język na wodzy, Percy. - Bertrand był wściekły. - Jestem zmęczony twoimi uwagami, które wygłaszasz tylko po to, by urazić i rozgniewać innych. Milcz lepiej, bo inaczej wyproszę cię na dwór, gdzie ci rozkwaszę tę piękną buźkę.

- To jedna wielka bzdura, Percy - odezwała się Konstancja. -1 doskonale o tym wiesz. Biedny wujek Claude ledwie chodzi. Bądź cicho, inaczej nabiorę ochoty by pomóc Bertiemu cię obić.

- Widzisz, jakie to dobre dziecko? - powiedział Claude do syna.

- Widzę - odparł Bertrand, spoglądając szybko na zarumienioną twarz Konstancji.

- Bardzo interesujące - powiedział Percy. - Już jestem cicho. Nie chcę, by Konstancja się na mnie gniewała.

Bertrand odwrócił się do księcia. - Musisz wiedzieć, że Trevor przekopał całą okolicę. Niestety nic jeszcze nie znalazł. To zagadka, tajemnica, która żadnemu z nas się nie podoba.

- O tak. Trevor przewrócił do góry każdy kamień. Oprócz tego, pod którym ukrył się ten łajdak, naturalnie. A może morderca schował się pod skałą i w tym tkwi problem? Trevor nie posiadł umiejętności podnoszenia skał.

- Możliwe - powiedział książę. Cóż miał powiedzieć? De któryś z Robertsonów kłamie?

- Co zrobisz, wasza wysokość? - zapytał Percy poważnie. W jego głosie nie było cienia szyderstwa.

Ian zrobił krótką pauzę i powiedział: - To zależy. Jutro będę wszystko wiedział.

- Przynajmniej masz już z głowy tę wiecznie narzekającą jędzę - odezwała się lady Adela. - Bóg mi świadkiem, ciężko z nią było wytrzymać. Cały czas jęczała, aż nikt już nie zważał na jej zszargane

nerwy. Nie byłaby dobrą żoną, Ian. Dobrze, że się jej pozbyłeś. - Po chwili dodała z zadumą: - Chociaż muszę się przyznać, że będzie mi brakowało pana Gilesa Braidstona.

Elegancki młodzieniec. Wiedział, kim był lord Brainley. Wyobraźcie sobie, Adolphus zmarł ponad trzydzieści lat temu, a pamięć o jego czynach jest wciąż żywa. Ech, szkoda, że nigdy nie poznałam Adolphusa. - Zapadła cisza.

Brandy cieszyła się, że nie wie, o czym w tej chwili rozmyśla babka.

- Lord Brainley był jednym z założycieli Stowarzyszenia Ognia Piekielnego - Ian wytłumaczył Brandy.

Spojrzała na niego, przechylając głowę na bok. Nazwa nic jej nie mówiła.

- Nic już nie powiem. - Żałował, że w ogóle się odezwał. Widać było po jej minie, że nie da mu spokoju, więc wzruszył ramionami. - No dobrze, powiem tylko, że byli to zdemoralizowani młodzi ludzie ze zbyt dużą ilością pieniędzy, którzy uwielbiali krzywdzić innych.

Ian powitał koniec posiłku z pewną ulgą. Rana doskwierała mu coraz bardziej. Marzył o łóżku i nieświadomości, która przychodziła razem z dawką laudanum.

- Starasz się unikać tematu, Ian - powiedział Bertrand, podążając za paniami do bawialni, Ian kiwnął głową, a Bertrand ciągnął cicho: - Wiem, że to paskudna sprawa i że w Penderleigh nie ma nikogo, komu możesz bezgranicznie ufać. Niezależnie, jak długo zamierzasz tu pozostać, dzień czy miesiąc, warto by było rozgłosić, że nigdy nie zostajesz sam.

- Doprawdy, Bertrandzie, jestem ci wdzięczny za twą troskę, ale mam Mableya...

- Starego, zmęczonego człowieka. Żaden z nas nie chce ryzykować, ty tym bardziej nie powinieneś. Kiedy będziesz opuszczał zamek, chcę, żeby przynajmniej dwóch z nas ci towarzyszyło. To dobry pomysł, więc nie sprzeciwiaj się więcej.

- Dobrze. - Ian uśmiechnął się lekko. - Jeśli chcesz bawić się w świętego Jerzego, proszę bardzo. Nic już nie mów. Ja również mam swoje podejrzenia, niestety żadnych dowodów.

Ian odwrócił się, szukając wzrokiem Brandy, lecz jej już nie było. Czyżby stchórzyła? Wydawało się to mało prawdopodobne. Z drugiej strony nigdy nie przypuszczał, że odda swoje dziewictwo mężczyźnie majaczącemu w gorączce. No właśnie, dlaczego? Pożegnał się szybko z rodziną i w zadumie powędrował do swego pokoju.

Wstał wcześnie następnego ranka. Bark bolał jak diabli, ale Ian postanowił go zignorować. Podążał długim korytarzem w towarzystwie protestującego Mableya.

- Daj spokój, Mabley - powiedział, docierając w końcu do ogromnego holu. - Jeśli poczuję się zmęczony, wrócę na górę i się położę. Idź, napij się gorącej herbaty.

Spodziewał się zobaczyć Brandy, ale nie było po niej śladu. Zjadł śniadanie i udał się na poszukiwanie. Nie było jej w bawialni ani pokoju dziecinnym. Nie było jej również wśród rododendronów przed zamkiem.

Ruszył w stronę krawędzi klifu, zdając sobie sprawę, że Mabley i Bertrand, jego poranni opiekunowie, idą za nim w pewnej odległości. Brandy była na plaży. Stała bez ruchu, patrząc na morze. Poczuł ulgę, że Fiona bawi się w pewnej odległości, budując na czworakach zamek z piasku i kawałków drewna wyrzuconego przez morskie fale. Bertrand i Mabley zostali na górze. Nie obchodziło go, co sobie pomyślą o jego rozmowie z Brandy.

Bezszelestnie zszedł na plażę i dopiero wtedy zawołał: - Nie uciekaj! To nie byłoby fair, bo i tak zaraz bym cię dogonił. Właśnie tak, stój w miejscu i pozwól mi ze sobą porozmawiać. Nie sądzisz, że mam do tego prawo? Zrobiłaś ze mną, co chciałaś i zostawiłaś mnie bez słowa. Co, nie podoba ci

się, co mówię? Wyglądasz, jakby cię coś dręczyło. No i dobrze. Z tym sobie poradzimy. Tylko nie ruszaj się z miejsca.

Posłuchała, chociaż wcale nie miała ochoty. Nie było jej wstyd. To było coś więcej. Była przerażona, Ian najwidoczniej nie zdaje sobie sprawy, że jednym słowem może ją zniszczyć. Musi go wysłuchać, wytrzymać każde słowo, każdą wymówkę i przeprosiny. Była pewna, że będzie chciał naprawić błąd. Dopiero wtedy będzie mogła uciec, dopiero wtedy będzie mogła się schować i zapomnieć. Podszedł blisko i uśmiechnął się tajemniczo.

Mimo opalenizny wciąż był blady. Podniosła rękę do jego twarzy i dotknęła podbródka. - Nie powinieneś wstawać tak wcześnie. Co z twoim barkiem? Mam zawołać małego Roberta? Nie powinieneś tu przychodzić. - Dobry Boże, cóż robi najlepszego? Dotyka go, jakby należał do niej. Powoli cofnęła dłoń.

- Coś jeszcze? Nie? To dobrze, mały Robert będzie tu po południu. Jeśli cofniesz się chociaż o krok, uznam, że jesteś tchórzem. Nie ruszaj się z miejsca, Brandy.

- Rozkazujesz mi, a ja tego nie lubię. Nigdy nie lubiłam, spytaj babcię. Kiedy byłam młodsza, powtarzała ciągle, że jestem uparta jak osioł - Paplanie o głupstwach było doskonałym lekarstwem na cierpienie, ale i rozmowa okazała się znacznie trudniejsza, niż to sobie wyobrażała. Chrząknęła głośno, odwróciła się na pięcie i chciała się rzucić biegiem w stronę kamienistej ścieżki prowadzącej na szczyt klifu. Zdołała zrobić zaledwie trzy kroki, kiedy jej talię oplotło silne męskie ramię, które podniosło ją z ziemi jak pakunek.

Złość natychmiast zamieniła się w strach. - Puść mnie, Ian. Jeszcze rana otworzy się od wysiłku. Proszę. Obiecuję, nie będę już uciekać. Puść mnie, zrobisz sobie krzywdę. - Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, a ramię tylko wzmocniło uścisk.

- Przeżyję. Wątpliwości mam jedynie co do ciebie. Teraz mnie wysłuchasz. - Położył ją na mokrym piasku, tuż obok rozbijających się fal. - Powiedz, chcesz, żebym cię związał? Zrobię to, jeśli nie zmierzysz się z tym, co między nami zaszło. Zachowujesz się jak dziewczynka, nie jak kobieta. A wiem, że jesteś kobietą. Więc się tak zachowuj.

Stał nad nią z rękami na biodrach. - Nie zrobiłeś sobie krzywdy?

- Nie, ale jeśli zrobię, to twoja wina. - Spojrzał na nią, na jej plecy, łokcie, rumieńce na policzkach. Czyżby się wstydziła? A może była na niego zła?

Nie miał pojęcia, tylko nadzieję, że wkrótce się dowie. Ach, i te piękne blond włosy, ściągnięte w nudne warkocze jak u pensjonarki. Wróciło wspomnienie o tym, jak masa jasnych i miękkich fal pieści jego twarz. Do diabła, ledwie sobie przypomniał, poczuł jej zapach, wspomnienie uciekło, pozostawiając tęsknotę przekraczającą wszelkie zmysły. Niewiele z tej nocy pamiętał, ale miał nadzieję, że kiedyś znów sobie przypomni każdą cudowną chwilę.

Trzymał ją w ramionach, był w niej - u licha, musi z tym skończyć.

Przynajmniej teraz.

Wystawił dłoń, pomagając jej wstać na nogi. - Zacznijmy od początku. Mabley i mały Robert piali z zachwytu na twoją część. Omal nie umarłem ze strachu, kiedy się dowiedziałem, co zrobiłaś. Jestem dozgonnie wdzięczny. Uratowałaś mi życie. Powiesz mi, dlaczego to zrobiłaś? Nie żebym był na tyle głupi, by twierdzić, że dama powinna w takiej sytuacji wydać z siebie lekki okrzyk, osunąć się z przerażenia na piasek i pozwolić, by morderca mógł dokończyć dzieła. Jestem ci więcej niż wdzięczny. Ocaliłaś mi życie. Dlaczego, Brandy?

Dam sobie radę, pomyślała. Ale to pytanie? Przecież to oczywiste, nawet dla kogoś o rozumie

małego Albiego. Wzruszyła ramionami i czubkiem buta kopnęła kamyk. - Robisz ze mnie bohaterkę, którą nie jestem. Wszystko działo się tak szybko. Padłeś na twarz, byłeś nieprzytomny, krew lała się z rany na plecach. Prawdę mówiąc, wcale nie myślałam. Nie mogłam pozwolić, by ktoś cię skrzywdził. Po prostu zadziałał impuls. - Ponownie wzruszyła ramionami.

- Wiesz, ja też nie pozwoliłbym nikomu cię skrzywdzić.

- No tak, jesteś dżentelmenem.

- Cóż to ma, do diabła, znaczyć?

- De w takiej sytuacji ratowałbyś każdego Robertsona.

- A ty nie?

Uśmiechnęła się szeroko, rozkładając bezradnie ręce. - Gdyby to Percy był na twoim miejscu, mogłabym pobiec w zupełnie przeciwnym kierunku,.

- Rozumiem. Słyszałem również, a Mabley ledwie to z siebie wykrztusił, że zajmowałaś się mną przez dwie noce. Powiedział, że obawiał się, że mordercą mógł być ktoś z rodziny, a ty ponoć upierałaś się, że nie zostawisz mnie samego. Mówił nawet, że wyciągnęłaś broń z kolekcji Angusa. Czy ona w ogóle działa?

- A i owszem, własnoręcznie ją załadowałam. Marta i Mabley pewnie ci też powiedzieli, że wczoraj nie zamknęłam drzwi do sypialni i zostawiłam przed drzwiami palącą się świecę.

- Co takiego? Ach, rozumiem. Cóż, dziękuję za kolejny plan obmyślony w mojej obronie. Nie mogłaś przebywać w mojej sypialni, bo byłem już przytomny. Bałaś się, że spojrzę na ciebie i będę próbował zaciągnąć do łóżka. Ponownie.

Spojrzała mu prosto w oczy. Mokre, słone loki opadały jej na twarz. Odgarnęła je dłonią. - Prawdę mówiąc, nie było mowy o żadnym zaciąganiu.

ROZDZIAŁ 28

- Ach tak. Tak zamierzasz to rozegrać.

Przyjrzał się jej uważnie, zauważając ciemne kręgi pod oczyma. - Źle spałaś. Nie podoba mi się to. Rozumiem, ale nie aprobuję. Dziękuję, że uratowałaś mi życie, ale teraz porozmawiajmy o tym, jak znalazłaś się w moim łóżku i cię zaatakowałem.

- Mówiłam ci już. Wcale mnie do łóżka nie zaciągnąłeś. Nie było też mowy o żadnym ataku.

- Brandy, spójrz na mnie. Felicity dawno tu nie ma. Kochany Giles, zasługuje na parę dodatkowych lat życia za to, że zgodził się eskortować ją do Londynu. Chyba będę musiał mu kupić jakiś nowy, oszałamiający surdut, może w różu i fiolecie. Co ty na to?

- Cieszę się, że wyjechała. Nie była specjalnie sympatyczna. Ale może za nią tęsknisz...

Wybuchnął głębokim śmiechem. - Tęsknię za Felicity? Chyba mówisz o kimś innym, Brandy. Już jakiś czas temu zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd. Dziękuję opatrzności, że zostałem panem Penderleigh. Miałem przez to pretekst, by opuścić Londyn i przyjechać tutaj. Jestem niezmiernie wdzięczny niebiosom, że po tym, jak cię opisałem w liście, Felicity poczuła się zazdrosna i postanowiła mnie tu odwiedzić. Gdyby tego nie zrobiła, zbyt późno dowiedziałbym się, jaka jest naprawdę. Zresztą, jeśli mam być szczery, wydaje mi się, że Felicity wyjechała stąd z takim samym przekonaniem. Uważa mnie za podłą, samolubną bestię i cieszy się, że się mnie pozbyła. Nie, Brandy, ani trochę za nią nie tęsknię. Gdyby nie bolał mnie bark, rzuciłbym się przed tobą na kolana i z wdzięczności całował ziemię, po której stąpasz.

- Ach, tak.

- Ach, tak? To wszystko, co masz do powiedzenia? Bardzo cię proszę, dosyć tej gry. Cóż to za kuksaniec?! Uważaj, bo się jeszcze przewrócę i co wtedy będzie? Posłuchaj, musimy porozmawiać. Nie możesz wiecznie unikać tematu. Kochaliśmy się, Brandy. Zabrałem ci dziewictwo. Uświadomiłem to sobie następnego poranka, kiedy na pościeli i na swoim ciele zobaczyłem twoją krew i moje nasienie.

Odwróciła się i przycupnęła na kamieniu, podwijając nogi. Wygładziła spódnicę, naciągając ją na czubki znoszonych trzewików. W jego pamięci ożyło wspomnienie - niezwykle żywe - dotyku jej bioder i ud. Zadrżały mu ręce. Poczuł przypływ pożądania, tak gwałtowny, że musiał się odwrócić. Cóż mogła wiedzieć o męskiej żądzy? Jedynym jej doświadczeniem była noc spędzona w jego sypialni. Była wtedy dziewicą.

- Tak, byłaś dziewicą, a ja wziąłem cię bez twej zgody. A ty nawet nie krzyczałaś. Nie walczyłaś ze mną, co również by mnie otrzeźwiło. Dlaczego?

Milczała jak zaklęta.

- Pierwszy raz widzę, żebyś nie miała nic do powiedzenia. - Nachylił się i złapał ją za rękę. Była zimna. Poczuł, że musi ją ogrzać i po chwili rozcierał ją swoimi dużymi dłońmi.

- Brandy, przepraszam za wiele rzeczy, ale przede wszystkim za to, że cię skrzywdziłem. Gdybym był w pełni przytomny, do niczego by nie doszło.

Gorączka zmąciła mi umysł i nie byłem delikatny. Sprawiłem ci ból, czego gorzko żałuję. Pierwsze doświadczenia z mężczyzną nie powinny być dla kobiety bolesne.

Popatrzyła na morze. - Nie sprawiłeś mi bólu - powiedziała tylko. Mój Boże, wspomnienia. Te, które były bolesne, nic nie znaczyły. Trzymał ją w objęciach, pieścił, całował. Ból był niczym. Nawet nie widziała, że krwawi. Wciąż czuła się trochę obolała. Nic dziwnego, był taki duży. Ta myśl sprawiła, że zaczerwieniła się po czubek nosa.

- Nie - powtórzyła, unikając jego wzroku. - Nie sprawiłeś mi bólu. Jeśli tak, to niewiele. Nie przejmuj się.

Zmarszczył czoło i puścił jej dłoń. Spojrzała na niego. Odwiązał krawat i rozpiął kołnierzyk. - Skoro nie sprawiłem ci bólu, to skąd to się wzięło?

- Och - powiedziała, gapiąc się na ślady zębów, widoczne wyraźnie na bladej szyi. - Zapomniałam. Chciałam krzyknąć i nie mogłam i dlatego pewnie cię ugryzłam. Przepraszam, nie chciałam zrobić ci krzywdy.

Przewrócił oczami. - Zrobiłaś mi straszliwą krzywdę. Prawdopodobnie będę miał blizny na całe życie. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci wybaczyć. Szkoda, że nie mogę ci pokazać śladów twoich łez na policzku, chociaż czułem ich smak następnego ranka. A co do plam na pościeli, mogę mieć tylko nadzieję, że spostrzegawczość nie jest silną stroną Morąg, podobnie jak higiena osobista.

- To nie ma nic do rzeczy. Po co to wszystko mówisz? Na Boga, zawiąż z powrotem krawat. Nie, nie ruszaj. Ja to zrobię. Nie chcę, żebyś znów nadwerężał bark. - Delikatnie zawiązała krawat.

- Oczywiście, że ma. Zabrałem ci dziewictwo. Jesteś damą, nie kochanką, która doskonale wie, co robi. Przyszłaś do mnie, to wiem, ale nie pozwolę ci opuścić tej plaży, dopóki nie zrozumiem twoich motywów.

Spojrzała na niego i zdała sobie natychmiast sprawę, że to błąd. Wyglądał tak pięknie, a ona pragnęła go tak mocno.

- Nie ma tu nic do rozumienia - powiedziała, marząc o tym, by go dotknąć. - To, co się stało, było moim wyborem. Tak jest. Przyszłam do ciebie, bo cię pragnęłam. Chciałam się dowiedzieć jak to jest między mężczyzną a kobietą, ale tylko od ciebie. Chciałam spędzić z tobą tę jedyną noc, bo wiedziałam, że nie będę miała drugiej szansy. To była moja decyzja, ty nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Twoja decyzja? To jest manipulacja rzeczywistością. Ja nie miałem z tym nic wspólnego? Dobre sobie!

- Nawet nie wiedziałeś, kim jestem. Uwiodłam cię, Ian i nie miałeś nic do gadania. Wiem, że jesteś dżentelmenem i dlatego musisz się teraz czuć winny, zwłaszcza że byłam dziewicą. Nie powinieneś. To była moja decyzja.

Zrobiłam to, co chciałam.

- A więc mam nie czuć się winny. Może nie wiesz, ale nie mam zwyczaju chadzać do łóżka z dziewicami. - Urwał na moment, przypominając sobie jej słowa. - Pragnęłaś mnie?

- Tak - powiedziała odważnie. - Bardzo.

- No cóż, i mnie miałaś. Nie było to specjalnie przyjemne, prawda?

- Nie było tak źle. Szybko o tym zapomnisz. Chcę, żebyś o tym zapomniał.

Rozgrzeszam cię z poczucia winy, nawet jeśli chcesz je czuć.

- Ale ja nie chcę zapomnieć, maleńka - powiedział i pociągnął ją za rękę, aż się do niego nachyliła. Palcami drugiej dłoni powiódł delikatnie po jej brwiach. - Jesteś piękna, wiesz?

Spojrzała na niego, na jego usta. Przełknął ślinę. Nie mógł się powstrzymać. Nachylił się do niej i lekko pocałował. Miała słone wargi. Uśmiechnął się i je polizał. Podskoczyła. Wycofał się.

- Jestem teraz wolny od wszelkich małżeńskich zobowiązań - powiedział swobodnym, rześkim tonem. - W tej sytuacji, możesz ze mnie w końcu zrobić uczciwego mężczyznę. Wyjdziesz za mnie, Brandy? Zostaniesz moją księżną?

Wiedziała, że zapyta. Jest przecież dżentelmenem. Mimo że wzięła na siebie całą odpowiedzialność, słusznie zresztą, wciąż się poczuwał.

- Nie - powiedziała tylko.

Patrzył na nią, nie dowierzając. - Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że za ciebie nie wyjdę. - Próbowała wyrwać mu rękę, ale on nie puszczał.

- Nie spodziewałem się tego. Doprawdy, Brandy, nie wydaje mi się, że masz w tej kwestii jakiś wybór. Kochaliśmy się. Moje nasienie zostało w tobie.

- Co z tego? Powiedz mi, Ian, dlaczego mam nie mieć wyboru? Bo nie jestem już dziewicą i jestem jak uszkodzony towar? Mam to w nosie. Nie mam zamiaru wychodzić za mąż. To bez znaczenia.

- To chyba najgłupsza rzecz, jaką zdarzyło mi się słyszeć, chociaż przez ostatnie pół godziny słyszałem z twoich pięknych ust wiele bzdur. Niech to, do diabła. - Nachylił się i znów ją pocałował. Poczuł, jak otwierają się jej usta i pomyślał, że zaraz wyzionie ducha. Musi z tym skończyć. Nie chce jej znów brać, tym bardziej na plaży.

- Zrobimy to, co trzeba - powiedział, szepcząc jej do ust. - Poprosiłem cię, żebyś za mnie wyszła, a ty teraz mi powiesz, że się zgadzasz. Koniec kłótni, jasne? - Pocałował ją jeszcze raz. - Powiedz, że to jasne i że mówisz tak.

Wystarczy, że skiniesz głową. - Obsypywał ją pocałunkami, chciał ją dotykać, ale bał się, że gdy zacznie, posunie się za daleko.

Odsunęła się i uśmiechnęła. - Cudownie smakujesz. Smakujesz jak zakazany owoc, słodki i podniecający, dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałam.

- Przestań, przynajmniej na chwilę. Zapewnij mnie, że za mnie wyjdziesz, a będę cię całował aż stracisz dech. Będę cię całował, aż przyjdzie przypływ i zmyje nas oboje z plaży.

Przytuliła się. Podniosła dłoń i delikatnie dotknęła jego policzka. Poczuła się nieskończenie stara, dużo starsza od niego. Czuła, że zaraz pęknie jej serce. - Ian, posłuchaj mnie przez chwilę. Powiedz mi, gdyby między nami nic nie zaszło, nadal nie chciałbyś się wiązać z Felicity?

- Co za bzdura. Wiesz, że jestem bardziej niż wdzięczny losowi za to, że zerwała zaręczyny. Felicity nie ma tu nic do rzeczy. - Zadrżał.

Brandy spojrzała na złamany paznokieć, zmuszając się, by nie patrzeć na jego usta, oczy, piękne, męskie rysy twarzy. Powiedziała powoli: - Gdybym nie przyszła do twego łóżka, czy wówczas też prosiłbyś mnie o rękę?

Zupełnie się nie spodziewał uderzenia z tej strony. Musi to umiejętnie rozegrać, bo wyglądało na to, że ta kwestia może przeważyć szalę.

- Zawsze mi się wydawało, że potrafię właściwie ocenić sytuację, nawet charakter. Nadal tak uważam. Wiem, że nie jestem ci obojętny, to jest dosyć oczywiste od chwili, kiedy wpadłaś do mojej

sypialni. Nie mogę zaprzeczyć, że próbowałem cię ignorować, traktować jak dziecko, ale tylko dlatego, że byłem zaręczony. Musiałem wierzyć, że jesteś poza moim zasięgiem.

Pamiętasz ten wieczór w leśnej chacie? Pocałowałem cię, a ty oddałaś pocałunek. Strasznie cię pragnąłem i wiem, że czułaś to samo. Powiedziałaś, że chciałaś do mnie przyjść tej nocy, kiedy miałem gorączkę. Powiedziałaś, że chciałaś spędzić ze mną tę jedną noc. Proponuję ci każdą noc naszego wspólnego życia. To prawda, przyszłaś do mnie z własnej woli. Jest oczywiste, że nie jesteś i nigdy nie będziesz kobietą, która lekką ręką rozdaje swoje wdzięki. Czy nie wydaje ci się, że najrozsądniejszym rozwiązaniem tej sytuacji jest przyznać, że twoje serce, jak również ciało, należy do mnie?

Wiesz, że mi na tobie zależy, jak mogłoby być inaczej? Jesteś bystra, masz gorące serce i cięty język. Wiem, że do siebie pasujemy. Wybacz mi, pewnie mógłbym to zrobić lepiej, ale wydaje mi się, że ostatnia rzecz, jaką chcesz zrobić, to odrzucić moje oświadczyny.

Próbuje ją zmusić, żeby się przyznała. Pewnie była mu to winna, ale to tak strasznie bolało. Patrzyła na niego bez słowa. Dlaczego życie nie może być inne, dlaczego jego przeszłość nie mogła się potoczyć inaczej. Niestety, nic już się nie da zrobić.

- Co do moich uczuć, nigdy nie podważałam ich siły - powiedziała w końcu.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Jestem młoda i niedoświadczona, ale nie głupia. Nigdy nie zgodzę się na ślub w związku, gdzie nie ma miłości. Albo gdy miłość jest tylko po jednej stronie. Nie, nie przerywaj mi, chcę powiedzieć, co czuję. Chcąc zrobić ze mnie angielską księżną, musiałbyś wykazać się olbrzymią cierpliwością i zrozumieniem. Nie wiem, jak żyjecie. Nie chodzi mi o to, że trzymałabym widelec nie w tej ręce albo powiedziałabym coś niemiłego królowej, ale ty od dzieciństwa byłeś wychowywany na księcia, członka parlamentu, i to angielskiego parlamentu. Mnie wychowała lady Adela. To mówi samo za siebie. Nigdy nie wyjeżdżałam poza Penderleigh. Wszystko, co znam, jest tutaj. Wszyscy ludzie, których znam, są tutaj. I są Szkotami. Rozumiesz?

- Nie ma to najmniejszego znaczenia. Pokażę ci, poradzisz sobie. Wszystko pójdzie jak z płatka.

- Dobrze więc, przejdźmy do rzeczy. Zmuszasz mnie, bym nie owijała w bawełnę. Nie kochasz mnie, kochasz ją. Dlatego nie mogę cię poślubić.

Miał ochotę nią potrząsnąć. Potem ją pocałować i może jeszcze raz nakrzyczeć. - Nie kocham Felicity. Nigdy jej nie kochałem. Dlaczego mi do diabła nie wierzysz? Dosyć tych bzdur!

- Wiem, że nigdy nie kochałeś Felicity.

- To o czym mówisz? - Głos mu nagle zamarł. Patrzył na nią, nie mogąc wykrztusić nawet słowa.

Chciała się uśmiechnąć, pocieszyć, ale nie dała rady. Boże, ból był niemal nie do zniesienia. - No tak, nie możesz przyznać, że nie kochasz Mariannę. Oczywiście, że nie kochałeś Felicity; była ledwie mierną kopią twojej pierwszej żony. Ian, wiesz, że nie mogę wyrwać cię z rąk kobiety, która od sześciu lat nie żyje. Zawsze kiedy będziesz widział, jaka jestem niezdarna, będziesz myślał o niej, a mnie nienawidził. Kochaj ją, jeśli nie możesz inaczej, ale nie zmuszaj mnie, bym rywalizowała o twoje uczucia z duchem.

Zeskoczył ze skały i stanął z nią twarzą w twarz, mrużąc oczy. - Dlaczego prowadzisz tę grę? - powiedział w końcu. - Chcesz, żebym czuł się jeszcze większym łajdakiem? Nie mogę i nie chcę przyjąć do wiadomości tego, co właśnie powiedziałaś. Nie rozumiesz, Brandy, że muszę wszystko naprawić? Muszę. Nie mam innego wyjścia.

Podniosła się i dumnie wyprostowała plecy. - Powiem to jeszcze raz. Podaruj sobie tę plamę na

honorze. Nie pozwolę, byś dla mnie poświęcił swe życie. Nikt się nie dowie, że znalazłam się w twoim łóżku, bo nie mam zamiaru nikomu opowiadać.

Przeciął ręką powietrze. Czuł się tak sfrustrowany, że chciało mu się wyć. A więc wiedziała. Nabrał głęboko tchu. - Zapomnij o Mariannę. Ona nie żyje, ty tak. Ja również. Weźmiemy ślub. Będziemy żyć ze sobą i będzie nam dobrze. Podziwiam cię, a ty mnie kochasz. Pragnę cię bardziej niż jakiejkolwiek kobiety od bardzo dawna. - Ale nie możesz mi powiedzieć, że mnie kochasz? Tak jak kochałeś Mariannę?

Zesztywniał. - Brandy - powiedział w końcu napiętym, cichym głosem. - Chcę, byś za mnie wyszła i pojechała ze mną do Anglii. Musisz zdawać sobie sprawę, że wiele ryzykuję, zostając tutaj. Nie mogę nadal lekceważyć faktu, iż mężczyzna, który mnie postrzelił, jest nadal na wolności. Jedyne, co mnie tu trzyma, to ty. Wyjdź za mnie. Jedź ze mną do Anglii.

- Nie mogę - powiedziała. - Przykro mi, ale nie mogę. - Odsunęła się z wysiłkiem. - A co do mordercy, to zgadzam się, że najbezpieczniej dla ciebie byłoby wrócić do Anglii. Nie mogę znieść myśli, że znów coś ci się stanie. Wracaj do domu, Ian. Uratowałeś Penderleigh. Jesteś bardziej hojny, niż wszyscy mogliśmy się spodziewać. Dałeś Bertrandowi dumę i odpowiedzialność. Dałeś mu siłę, która otworzyła przed nami zupełnie nowe czasy. Dzięki tobie przetrwamy. Mamy owce, a nasi ludzie są szczęśliwsi niż Cyganie z rękami pełnymi złota. Jedź do domu. Patrzył na nią bez słowa. Nic nie przychodziło mu już do głowy. Skinęła szybko głową. Odwróciła się na pięcie i ruszyła po plaży w stronę Fiony, która wciąż męczyła się, by wieżyczki piaskowego zamku nie rozsypywały się w proch.

ROZDZIAŁ 29

Ian i Bertrand stali na frontowych schodach zamku, zatopieni w cichej rozmowie, podczas gdy Crabbe i Mabley nadzorowali pakowanie powozu. Dwukółka księcia stała tuż obok, a przerażony mały Albie trzymał wodze zaprzężonych do niej koni. Było bardzo wcześnie, parę minut po siódmej. Zapowiadał się piękny dzień, w powietrzu czuć było wiosnę.

Nawet jeśli wszyscy uważali, że książę opuszcza z Penderleigh z obawy o własne życie, nikt nie powiedział tego głośno. Był im za to wdzięczny. Nie miał ochoty zwierzać się ze swoich problemów, ani tym bardziej dzielić się podejrzeniami co do tożsamości.

- Chciałbym bardzo, żebyś został, ale lżej mi się robi na sercu, ze wyjeżdżasz.

Oczywiście, napiszę, żebyś wiedział, co się dzieje z naszymi owcami.

- Będę ci bardzo zobowiązany. Chciałbym wiedzieć, czy wieśniacy są zadowoleni z nowej sytuacji. Napisz tez, co słychać u rodziny. Ponieważ wygląda na to, ze będę nieobecnym właścicielem i nieobecnym krewnym, chcę wiedzieć, co się tu dzieje. - Kiedy się zegnał poprzedniego wieczora, obserwował bacznie ich twarze, także twarz lady Adeli, zastanawiając się kto mógł tyczyć mu śmierci. Brandy oczywiście przy tym nie było, niech ją diabli.

Opuściła towarzystwo wkrótce po kolacji, nie miał więc okazji porozmawiać z nią na osobności. Nie żeby miał jej cos więcej do powiedzenia. Powiedzieli sobie wszystko. Nigdy jej nie zrozumie Mariannę nie żyje, i to od dawna. Nie rozumiał dlaczego drugiej żonie miałoby przeszkadzać, że od czasu do czasu śni mu się pierwsza. De czasami przezywa powtórnie jej tragiczną śmierć w Paryżu że wspomina czule chwile. Dona powinna to zrozumieć a przynajmniej zaakceptować.

Powiedział jej, że darzy ją ogromną sympatią. Ona wyznała mu swoją miłość. Cóż, jest taka młoda.

- Będę się przypominał Trevorowi. Jestem pewien, ze jest jeszcze wiele do zrobienia.

- Życzę powodzenia w tej kwestii, Bertrandzie.

- Wybacz, wasza wysokość. Czy moglibyśmy porozmawiać, zanim wyjedziesz?

Na dźwięk jej głosu odwrócił się gwałtownie. Kiedy ją zobaczył, poczuł, że w jego ciele rozlewa się fala ciepła i radości. Jednocześnie miał ochotę ją udusić. Stała dwa kroki od niego, wyglądała na zdenerwowaną i niepewną. I słusznie, pomyślał. Czyżby zmieniła zdanie? Może przyszła błagać, by jej wybaczył i wziął za żonę? Tak, na pewno o to chodzi. Zrobił krok w jej kierunku. Chciał pociągnąć za cholerny warkocz, palcami rozpleść jej włosy i zanurzyć nos w lawendowym zapachu. Lawendowym? Skąd mu to przyszło do głowy? W pamięci ożyło wspomnienie wspólnie spędzonej nocy. Zapach, silny w pierwszej chwili, szybko się ulotnił.

- Pójdę sprawdzić, jak Crabbe i Mabley radzą sobie z pakowaniem - odezwał się Bertrand, domyślając się, że powinien jak najszybciej zniknąć.

- Nie wiedziałam, że zamierzasz wyjechać tak wcześnie. Znajdziesz dla mnie chwilę?

O co tu chodzi? Nie słychać było uległości w jej głosie, nie wyglądało na to, że zaraz będzie go błagać, by ją wziął za żonę. Skinął głową i podążył za nią do zamku, do bawialni.

Zauważyła, że chce coś powiedzieć i uprzedziła go: - Potrzebuję pieniędzy.

- Co takiego?

- Około stu funtów, jeśli nie sprawi ci kłopotu. - Zobaczyła, że ciemne oczy zmieniły się w wąskie szparki. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego rękawa, dodając szybko: - Powiedziałeś, że chcesz dać nam posag, Fionie i mnie.

Pieniędzy potrzebuję teraz. Może mógłbyś je po prostu odjąć?

- Mogę wiedzieć, na co ci sto funtów, do diabła? - Boże, zabrzmiał jak zimny drań, ale nie mógł się powstrzymać. Ponownie poczuł ulotny aromat lawendy.

Zadarła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Potrzebuję na ubrania, wasza wysokość.

Akurat, pomyślał. Dlaczego kłamie? O co tu chodzi? Już miał ją zbesztać, ale przyjrzał jej się uważnie i zobaczył w jej twarzy dziwną kombinację uczuć - strach i determinację. Choć głos miała pewny, jej oczy wyrażały błaganie. Prosiła o sto cholernych funtów. Palce o krótko obciętych paznokciach skubały nerwowo frędzle szala. Szkoda, że nie trzyma już ręki na jego rękawie. Była taka ciepła i miękka. Uwielbiał jej dotyk.

Cóż mógł zrobić? Tylko się poddać. - Dobrze. Przynieś mi papier i atrament.

- Przechylił głowę i dodał: - Nierozsądnie byłoby dawać ci stufuntowy banknot.

Napiszę ci weksel, a MacPherson zajmie się wypłatą gotówki.

Sekundę później już jej nie było. Jak gdyby sądziła, że zmieni zdanie, pomyślał. Kiedy wróciła kilka minut później, on wciąż się zastanawiał, na co Brandy może potrzebować pieniędzy. I to sto funtów.

Wziął papier i atrament z wyciągniętej dłoni i napisał instrukcje dla MacPhersona. Zastanowił się przez chwilę zanim wpisał kwotę. Nieważne, z jakiego powodu potrzebowała tych pieniędzy, chciał, aby miała ich dosyć. Wpisał sumę dwustu funtów, złożył swój podpis i podał jej papier.

Spojrzała na sumę, przełknęła głośno ślinę i omal nie wypuściła weksla z ręki.

- Zdaje mi się, że ubrania kosztują znacznie więcej niż kiedyś. Nawet w Edynburgu. Strój to ważna rzecz. Trzeba się starać, by wyglądać jak najlepiej.

- To prawda. Dziękuję, wasza wysokość. Dbaj o siebie, proszę.

- Brandy - zrobił jeszcze jeden krok w jej kierunku.

Rozłożyła ręce i cofnęła się gwałtownie.

- Niech ją diabli! - Doskonale - powiedział hardo. - Wracam do Londynu i wątpię, byś kiedykolwiek musiała się o mnie martwić. Wyraziłaś się jasno. Rozumiem, niezależnie co powiem, nie zmienisz zdania. Zegnam cię więc, Brandy. Mam nadzieję, że dostaniesz to, czego pragniesz. De pewnego dnia przyjedzie nieskalany rycerz na białym koniu, który nie będzie miał żadnej przeszłości i żadnych bolesnych wspomnień.

Ukłonił się z kpiącą miną i wyszedł z bawialni, nie oglądając się za siebie. Musi zachować swą dumę, pomyślał.

Zbliżyła się powoli do okna. Zobaczyła, że Bertrand i Ian uścisnęli sobie dłonie. Powóz był już zapakowany, pakunki piętrzyły się na skrzyni. Mabley wystawił głowę przez okno i rozmawiał z Crabbem. Ian wspiął się zwinnie na kozioł swojej dwukółki, pomachał Bertrandowi i szarpnął wodze. Cała kawalkada ruszyła i wkrótce zniknęła za gęstymi krzewami rododendronów.

Pojechał i to na dobre. A przecież mogła mu towarzyszyć. Mogła zostać jego żoną. Ach, co tam,

cena była za wysoka. Spojrzała na papier, który jej wypisał. Znacznie wyższa niż dwieście funtów.

Brandy nienawidziła łez. W niczym nie pomagały, a tylko oczy robiły się od nich zapuchnięte i czerwone. Przez całe osiemnaście lat życia płacz nigdy nie poprawił jej samopoczucia. Ale tym razem nawet nie zdawała sobie sprawy, że łzy płyną strumieniem po policzkach, dopóki w ustach nie poczuła ich słonego smaku. Wytarła dłonią twarz. Nie ma na to teraz czasu. Jest tyle do zrobienia. MacPherson mieszkał w Berwick, a dojście tam zajmie co najmniej dwie godziny.

Wyprostowała się i poszła zmienić sandały na parę wytrzymałych trzewików.

Pięć dni później książę Portmaine zatrzymał Herkulesa i Cantera przed kolumnadą zdobiącą wejście do masywnej kamienicy górującej nad wschodnią częścią York Square. Było piękne kwietniowe popołudnie, niebo bezchmurne, powietrze pachniało słodko, choć nie tak słodko jak w Szkocji. Książę nie był w dobrym nastroju. Wolałby, gdyby padało. Deszcz lub mgła, wszystko jedno. Lepsze to niż ta cholerna, piękna pogoda.

Zjadł samotnie kolację, przerzucając wielką stertę zaproszeń i korespondencji, która nagromadziła się podczas jego nieobecności.

Był sam środek sezonu i Ian odkrył, że jego obecność jest bardziej niż mile widziana na niekończącej się liście bali i innych wydarzeń towarzyskich. Już miał zamiar wrzucić wszystkie ozdobne karteluszki do ognia, kiedy przyszło mu do głowy, że najgorsze, co teraz mógł zrobić, to zakopać się w tym gigantycznym, pustym domu. Zdecydował się opuścić Szkocję, więc teraz nadszedł czas, by ponownie stać się Anglikiem. Nie miał zamiaru pogrążać się w depresji. Przeciwnie, będzie cieszył się życiem i bawił się do woli. Zdobędzie każdą kobietę, która wzbudzi jego zainteresowanie. Nasyci się kobietami.

W ciągu najbliższych kilku tygodni książę Portmaine, w żartach przez przyjaciół nazywany szkockim hrabią, był widziany na co najmniej kilkunastu różnych zabawach, tańcząc nawet z mniej urodziwymi pannami. Niektórzy sądzili, że próbuje zapomnieć o Felicity - cóż, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby zaprzeczyć. Sam książę ani razu nie wymienił imienia tej damy, dzięki czemu całe towarzystwo uznało, że jest niezwykle szlachetny, bo nie nazywa jej - słusznie zresztą - wywloką bez serca. Powszechne oburzenie było jeszcze większe, kiedy Felicity zaczęła się pokazywać z markizem Hardcastle. Im więcej uwagi mu poświęcała, tym bardziej pęczniał z dumy. W końcu widziano ich razem niemal wszędzie.

Od plotek aż huczało, tym bardziej że książę spędzał mnóstwo czasu w rozmaitych kasynach, coraz to z inną kobietą uwieszoną na ramieniu, jedną piękniejszą od drugiej.

Książę zapałał też miłością do opery. Widziano go w loży nawet kilka wieczorów z rzędu. Towarzyszyła mu często przepiękna solistka, wyposażona przez naturę zarówno w mocne płuca, jak i wyjątkowo zgrabne piersi. Widziano go, jak wychodzi z jej mieszkania, ziewając i poprawiając krawat i surdut. Nie dbał o to, czy ktoś go widzi i grał wszystkim na nosie.

Widać było, że książę Portmaine zszedł na złą drogę. Nikt nie był zdziwiony, gdy z końcem sezonu, w czerwcu, żadna z młodych dam, która ośmieliła się z nim flirtować, nie otrzymała propozycji małżeństwa. Ogłoszenie lady Felicity ukazało się w gazecie. Wyglądało na to, że ma zamiar poślubić markiza Hardcastle już jesienią, kapryśna sekutnica. Nikt nie winił księcia za jego wyskoki. Im gorzej się zachowywał, tym bardziej wszyscy mu współczuli. Był szlachetny i dobry, a towarzystwo uznało, że ma prawo zachowywać się jak prawdziwy samiec przynajmniej do jesieni.

Czytając ogłoszenie, książę potrząsał głową. Tylko lokaj mógł dostrzec na jego posępnej zwykle twarzy wyraz rozbawienia. - Ślepy głupiec - książę mówił do siebie. - Przekona się na własnej

skórze, lecz będzie już za późno.

Pewnego poranka w połowie czerwca książę opuścił sypialnię dopiero, gdy zegar wybił dwanaście uderzeń. Południe. Nie pamiętał podobnego kaca, mimo że lata spędzone w Oksfordzie nie upłynęły pod znakiem trzeźwości. Pomyślał o śpiewaczce operowej i czterech innych kurtyzanach, które ogrzewały mu łóżko i ciało. Dosyć. Trzeba z tym skończyć, pomyślał.

Pił mocną kawę zaparzoną przez współczującą kucharkę, kiedy bezszelestnie pojawił się lokaj, niosąc srebrną tacę z pocztą. - Boże, czemu wszyscy nie wyjadą z miasta i nie pojadą do Brighton. Te cholerne zaproszenia. Jestem zmęczony tą nieustającą zabawą. Jeszcze bardziej jestem zmęczony sobą.

James nie miał zamiaru komentować słów księcia, jednak zgadzał się z nimi całkowicie. Każdy służący pracujący w tym domu zgodziłby się z tymi słowami. Stał bez słowa, kiedy Ian przerzucał szybko koperty. Zdziwił się, kiedy wybrał jeden list, i to z dalekiej Szkocji. Zdumiewające, służący miał wrażenie, że przy otwieraniu księciu drżą ręce.

Ian przeczytał list i zaczął czytać od nowa. Kiedy skończył, uśmiechnął się posępnie i powiedział: - No cóż, James, wydaje się, że Percy osiągnął swój cel.

- Tak, wasza wysokość?

- Mój krewny z rodziny Robertsonów, dawny bękart. Żeni się z Joanną MacDonald. Ślub za dwa tygodnie w zamku w Penderleigh. Proszą mnie, bym zaszczycił to wydarzenie swoją obecnością. Pewnie jej ojciec chce się upewnić, że nowy właściciel Penderleigh jest faktycznie angielskim księciem, a nie jakimś oszustem, wymyślonym przez Percy' ego.

- Ach, tak - powiedział James.

Książę milczał przez kilka minut, bębniąc palcami i wpatrując się ciemnymi oczyma w rzeźbę stojącą na kredensie w rogu pokoju.

- Czyżby wasza wysokość zamierzał wrócić do Szkocji? - zapytał w końcu James, którego aż język świerzbił. Coś tam się musiało wydarzyć, coś związanego z zerwanymi zaręczynami jego wysokości. Miało to dobre i złe strony. Dobre było to, że książę nie poślubi tej harpii Felicity. Złe, że od powrotu do Londynu był strasznie nieszczęśliwy i zachowywał się w sposób zupełnie do siebie niepodobny.

James czekał.

Książę odwrócił się powoli w fotelu. James zdumiał się, widząc, że z twarzy jego pana znikł posępny wyraz, Ian uśmiechał się radośnie.

- James, że nie ma nic bardziej żałosnego niż głupi mężczyzna. Boże, jestem najgłupszym durniem, który kiedykolwiek stąpał po tej ziemi. W dodatku ślepym durniem. Mogę mieć tylko nadzieję, że nie jest za późno. Szkocja musi być piękna latem, wrzosy kwitną. Przynieś mi coś do pisania, muszę napisać do Gilesa, że odwołuję wieczorne plany. Aha, jeszcze jedno, James. Daj znać Mableyowi, że wyjeżdżamy w ciągu godziny. Chciałbym, aby powóz i moja dwukółka stały przed domem gotowe do wyjazdu. Chcę być w Penderleigh za pięć dni.

- Na jak długo wasza wysokość wyjeżdża? - zapytał James.

- Cóż, jadę na ślub - powiedział książę i zatarł z radości ręce. - Dam ci znać, nie ma obaw.

Kilka minut później książę wkładał jasny strój do konnej jazdy. Przejrzał się szybko w lustrze stojącym na gzymsie kominka i spojrzał na zegarek. Już miał opuścić sypialnię, kiedy jego oczy zatrzymały się na niewielkiej miniaturze Mariannę, stojącej na honorowym miejscu na komodzie. Popatrzył na zielone oczy, tak realnie oddane przez artystę, błyszczące czarne włosy odgarnięte z

czoła, delikatne, różowe usta. Pamiętał, jak te usta potrafiły drżeć. Wspomnienie nie poruszyło go nawet trochę.

Wziął miniaturę do ręki i zszedł na dół. - James - zawołał do lokaja - kiedy wyjadę, dopilnuj, aby ten obrazek znalazł się w galerii, tam gdzie jego miejsce. - Rzucił miniaturę w wyciągnięte dłonie Jamesa, włożył rękawiczki i ruszył pewnym krokiem. Pogwizdując, wspiął się na kozioł dwukółki.

ROZDZIAŁ 30

Brandy leżała na plecach pośród kwitnących zawilców. Ręce splotła pod głową, wpatrując się w obłoki na niebie. Chmury robiły się coraz ciemniejsze, znad morza nadciągał sztorm. Silny wiatr szarpał jej włosy, loki uciekały z warkocza i wpadały do oczu.

Usiadła. Od wielu dni, dłużej niż potrafiła zliczyć, czuła się apatyczna i nieswoja. Odgarnęła włosy dłonią. Spojrzała w stronę zamku, którego wyraźny kontur z szarego kamienia odbijał się w świetle zachodzącego słońca. Wstała i wygładziła suknię wiedząc, że musi wracać i ubrać swą twarz w uśmiech. Percy i Joanna MacDonald mieli przyjechać następnego ranka. A może jeszcze następnego? Nie mogła sobie przypomnieć. Nie obchodziło jej to.

Ku zdumieniu wszystkich domowników nawet Morąg wykąpała się z okazji zbliżającego się wesela. Jakie to dziwne, myślała Brandy, idąc wolno ścieżką wzdłuż klifu, że mimo upływu dwóch miesięcy, wciąż boli tak samo. Nie była na tyle głupia, by wierzyć, że o nim zapomni. Zastanawiała się, czy czasem o niej myśli, a jeśli tak, to jakie to są myśli. Pewnie jest nadal na nią wściekły. Tak jak ostatniego poranka. A mimo to dał jej dwieście funtów.

Usłyszała turkot zbliżającego się powozu i westchnęła. Pewnie Joanna i Percy przyjechali dzień wcześniej. Podniosła głowę i zobaczyła, że z zakrętu wyjeżdża zabłocona dwukółka, która zatrzymuje się na żwirowej alejce przed zamkiem.

- Równo w pięć dni. Doskonale. Udało nam się nawet zdążyć przed burzą. - Ian zeskoczył na ziemię i poklepał spocone końskie karki. Spojrzał w stronę zamku i po raz dwudziesty zadał sobie pytanie, jak będzie wyglądało spotkanie z Brandy. Całą drogę ćwiczył różne warianty przemowy. Wszystko zależało od tego, jak się spotkają. Najbardziej radykalny wariant przewidywał, że ona wciąż się będzie upierać, na co on przerzuci ją sobie przez ramię i zabierze ze sobą. Próbował sobie wyobrazić, jak we łzach błaga, by ją poślubił. Prawdę mówiąc, rozważał tę ewentualność tylko raz, i to w wyjątkowo optymistycznym nastroju.

Może to ciemne chmury kłębiące się nad morzem albo czyste, morskie powietrze sprawiły, że odwrócił głowę w stronę klifu. Zobaczył Brandy. Wzmagający się wiatr szarpał jej spódnicę, a ona stała tak spokojnie, że nigdy by jej nie zauważył.

Zapomniał o wszystkich wyćwiczonych frazach. Wykrzyknął głośno jej imię, rozłożył ramiona i zrobił krok naprzód.

Brandy zobaczyła tylko, że jego usta wymawiają jej imię, wiatr zagłuszył wszelkie słowa. Wrócił do domu, do niej. Złapała spódnicę i rzuciła się w jego kierunku. Padła mu prosto w ramiona i gdyby nie nachylił się, by ją złapać, przewróciłaby go na ziemię. Objęła go mocno za szyję i przytuliła twarz do policzka.

- Jesteś - szepnęła, wtulając się w szyję. - Wróciłeś.

Poczuł na twarzy dotyk jej rzęs i przyciągnął ją mocniej do siebie, jedną ręką przytrzymując jej

plecy, drugą owijając wokół bioder. Podniósł ją w górę, a jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Roześmiał się głośno. - Kochanie, zaraz mnie udusisz - powiedział, całując jej skroń.

Zaśmiała się, odsuwając się nieco. Okryła pocałunkami jego uszy, szyję, podbródek. A potem on znalazł jej ciepłe usta i zaczął ją całować. Przyjmowała go ochoczo, ofiarując mu całą siebie. Marzył, by pieścić ją całą, ale nie wypadało tuż przed zamkiem. Niechętnie postawił ją na ziemi.

Odrzuciła głowę w tył i spojrzała na niego. - Jesteś tutaj - powtórzyła. - Jak się cieszę.

Westchnął, przyciągnął ją do siebie i pocałował jeszcze raz. - Jesteś taka słodka. Uwielbiam, jak smakujesz. Śniłem o tym, by cię całować.

- Zawsze będziesz mnie tak całować?

- Aż wyciągnę kopyta - powiedział, śmiejąc jej się w usta, i pocałował ją jeszcze raz.

- Ojej, nie przyjechałeś tu tylko ze względu na wesele Percy'ego, prawda?

- Nie - wciągnął w nozdrza czysty, słony zapach jej włosów. - Jestem tu dla ciebie. Tylko dla ciebie. Zechcesz mnie teraz, prawda, Brandy? - Zawahała się tylko przez chwilę. Pocałował ją po raz kolejny i powiedział: - Jaki byłem głupi. Zbyt długo trwało, zanim się opamiętałem. Boję się tylko, że to ja będę kochać cię mocniej niż ty mnie.

- A Mariannę?

- Marianne to słodko-gorzka przeszłość. Nie pragnę ani jej, ani nikogo, kto by ją przypominał. Pragnę pewnej upartej Szkotki o blond włosach i bursztynowych oczach. Dziewczyny, mającej mnóstwo zdrowego rozsądku oraz cięty język, na który zawsze będę musiał uważać i której lojalność jest głębsza niż Morze Północne. Odpowiedz mi teraz, wyjdziesz za mnie? Zostaniesz moją księżną?

- Jesteś piękny, Ian. Jesteś dobry. Uwielbiam, kiedy mnie całujesz. Ale wiesz, że jesteś kimś, kogo lady Adela nazwałaby domowym tyranem. Przynajmniej tak wołała na dziadka Angusa, i to w lepsze dni. Twierdziła, że we wszystko się wtrącał, rozstawiał rodzinę po kątach i wsadzał nos nawet w jej sprawy.

- Jeśli kiedykolwiek upodobnię się do Angusa, możesz mnie wyrzucić z Carmichael Hall do obory, gdzie będę spał razem z kozami. Nie chcę rozstawiać cię po kątach. Chcę cię kochać, wywoływać uśmiech na twojej twarzy i dać ci więcej przyjemności, niż jesteś sobie to w stanie wyobrazić.

- Aż tyle?

- Owszem. I jeszcze więcej.

- Jesteś pewien? Wiesz, że nie mówię poprawnie po angielsku. Będziesz mnie musiał nauczyć. Będziesz potrzebował dużo cierpliwości.

- No tak, a skoro nie mogę bez ciebie żyć, poproszę matkę, by pokazała ci wszystko, co trzeba.

- Twoją matkę?

Zaśmiał się. - Żartowałem, Brandy. Nawet wrogowi nie życzyłbym mojej matki na karku. Może wrogowi tak, ale na pewno nie żonie. Może naślę ją na Percy'ego. Zdziałałaby cuda. Poradzimy sobie. Wszyscy moi ludzie cię pokochają.

- A jeśli nie, to stłuczesz wszystkich na kwaśne jabłko?

- Z ust mi to wyjęłaś.

W tej właśnie chwili Herkules postanowił szturchnąć swego pana. - Widzisz, nawet mój koń się ze mną zgadza. Musisz powiedzieć „tak" zanim mnie stratuje i kompletnie ośmieszy.

- A więc dobrze. Tak.

Nachylił się i pocałował ją delikatnie. Chciała więcej, dużo więcej, wiedział o tym. - Chodź,

Brandy. Chcę o tym powiedzieć lady Adeli, Bertrandowi, a nawet zapchlonej Morąg.

- Wykąpała się na wesele Percy'ego.

- Coś takiego! Wszystkim pewnie zaparło dech ze zdumienia. A co na to Fraser?

- Chodził po Penderleigh, potrząsając głową. A po Morąg, komu chcesz powiedzieć?

- Wyjdę na jedną z wież i wykrzyczę tę wiadomość do wszystkich owiec.

Może MacPherson mnie usłyszy i przyjdzie mi osobiście pogratulować.

- Ojej - powiedziała cicho.

Zmarszczył czoło. - Nie chcesz, bym wspinał się na wieżę? O co chodzi? Czyżbyś znów zmieniła zdanie?

- Och, nie. Jesteś teraz cały mój. Chodzi tylko o to, że wolałabym dzisiaj tego nie rozgłaszać. Poczekajmy do jutra. Proszę, Ian, to dla mnie bardzo ważne.

Położyła palec na jego ustach. - Nie pytaj, proszę. Zaufaj mi w tej kwestii.

Jutro powiesz całej rodzinie... jeśli nadal będziesz chciał.

- Do diabła, co masz na myśli, mówiąc „jeśli nadal będę chciał"? Cóż to za gra? Sądzisz, że jakimś cudem do jutra rana zmienię zdanie?

- Nie jest to żadna gra, obiecuję. Proszę, pozwól mi na to. - Prosiła go. Nie rozumiał, ale nie chciał, aby kiedykolwiek musiała go o coś błagać.

- Zgoda - powiedział i jeszcze raz ją pocałował. - Ale bądź pewna, Brandy, jeśli nie spodobają mi się twoje powody, zbiję cię na kwaśne jabłko.

Objęła go mocno i uśmiechnęła się. - Będzie dokładnie tak, jak sobie życzysz, wasza wysokość.

Jęknął. - Widzę, że przede mną ciężkie czasy. Będę się musiał porządnie namęczyć, by dostać od ciebie choć jeden uśmiech. Choć jedno dobre słowo. Zaśmiała się i szturchnęła go w ramię.

Nie pojawił się żaden stajenny, wobec czego Brandy i Ian sami zaprowadzili Herkulesa i Cantera do stajni. Brandy patrzyła, jak Ian zdejmuje uprząż i wyciera konia garściami suchej słomy. Podniósł głowę i zmarszczył czoło. - Schudłaś.

- Może trochę. Nie byłam specjalnie głodna.

- Masz cienie pod oczami. Nie podoba mi się to.

- Źle spałam. Ale to wszystko twoja wina.

- Daję ci dwa miesiące, żebyś się poprawiła, nie dłużej. Jeśli nadal będziesz tak wyglądać, zastosuję bardziej drastyczne środki.

- O jakich drastycznych środkach mówimy, wasza wysokość?

- Pożyjemy, zobaczymy, dobrze? - W powietrzu czuć było zapach koni i oleju lnianego, a on pocałował ją jeszcze raz.

Brandy pożegnała się, jak tylko Crabbe z szerokim uśmiechem na dziobatej twarzy uroczyście wprowadził księcia do bawialni. Poprosiła Morąg, by Albie przyniósł jej do pokoju wannę, i to tę niecieknącą.

Jakieś dwie godziny później, z włosami wciąż wilgotnymi po kąpieli, Brandy uśmiechnęła się nieśmiało do Iana, siedzącego po drugiej stronie wielkiego stołu. Ten jednak wydawał się pochłonięty szczebiotaniem Konstancji.

- De też przyjechałeś specjalnie na wesele Percy'ego. Nie sądziliśmy, że to zrobisz, przecież niezbyt za nim przepadasz. Poza tym nie zachowywał się ładnie wobec ciebie i być może nawet, ach, nieważne.

Żaden Robertson nie próbowałby cię zabić. Możesz być pewien.

- Trzymaj język za zębami, gaduło - powiedziała lady Adela tonem tak kwaśnym, jak zupa z soczewicy, która stygła nietknięta na talerzu Iana. - Nie ma najmniejszego dowodu, poza tym wolałabym, żebyśmy nie poruszali tego okropnego tematu. Minęły dwa miesiące, wasza wysokość. Miejmy nadzieję, że dalszy rozlew krwi nam nie grozi.

Wszyscy nagle rzucili się do jedzenia. Chropawy śmiech lady Adeli przerwał ciszę. - Rozlew krwi czeka za to biedną Joannę MacDonald. Nie wiem czy wiesz, ale Robertsonowie żenią się jedynie z dziewicami. No tak, biedna Joanna przeżyje szok podczas nocy poślubnej.

Brandy zakrztusiła się winem, a potem się zaśmiała.

Lady Adela spojrzała kwaśno na wnuczkę. - Kiedyś była z ciebie taka świętoszka, a teraz, proszę. Śmiejesz się z nocy poślubnej? Cóż ty możesz o tym wiedzieć? Ledwie przypuszczasz, co dzieje się między mężczyzną a kobietą. Nawet wtedy, kiedy Percy rzucił się na ciebie, daleko nie doszedł, prawda?

- Nie - wtrącił się Ian. - Jeśli by to zrobił, zabiłbym go. Miał dużo szczęścia.

Miejmy nadzieję, że więcej szczęścia mu nie trzeba, bo mogłoby się okazać, że nie ma go zbyt wiele. - Odwrócił się do Bertranda. - Powiedz, jak wieśniacy radzą sobie z owcami?

- Świetnie. Śmieją się od ucha do ucha, bo już teraz widzą więcej jedzenia na swoich stołach. Nawet ci, którzy uważali, że owce nadają się wyłącznie mięso, powoli się z nimi zaprzyjaźnili.

- Drą wszystko w zasięgu wzroku - powiedział Claude, machając widelcem. - Są wszędzie.

- I śmierdzą - dodała Konstancja. - Jak tylko wieje od lądu, w powietrzu czuć ich zapach, nawet w nocy.

- Tak, Bertie - powiedziała Adela przebiegle. - Musisz uważać, bo przez ten smród Konstancja cię nie zechce i nadasz się jedynie dla Morąg.

- Oj, babciu - jęknęła Konstancja ze wzrokiem wpatrzonym w Bertranda. Nie widać było, by przejął się komentarzem Adeli. Konstancja, sama ogromnie zakłopotana, myślała o tym przez chwilę.

- Zapewniam cię, droga Adelo, że najbardziej wrażliwy nos z nas wszystkich ma Fraser - odezwał się Bertrand rozbawionym tonem. - Nie wpuszcza mnie do salonu, zanim mnie nie obwącha co najmniej ze dwa razy. A co do Konstancji - dodał, uśmiechając się do dziewczyny - chyba się na nic nie uskarża.

- Jedna z owiec zdechła - poinformowała Iana Brandy. - Baliśmy się, że to może być jakaś choroba, która zagrozi reszcie stada, ale okazało się, że owca najadła się naparstnicy, od której wzdęło jej żołądek.

- Pozbyliśmy się naparstnicy z całej okolicy - powiedział Bertrand. - My, to znaczy ja i Konstancja.

- To chyba jedyny raz, kiedy widziałem was razem, Bertie - odezwał się Claude. - Tak, Ian - zwrócił się do księcia - Bertie siedzi wiecznie z nosem w księgach. Nie ma czasu dla starego ojca i reszty rodziny.

Brandy podniosła wzrok. - Widziałam przecież, jak nosisz Bertrandowi obiad, Connie.

Konstancja zaczerwieniła się i poruszyła niespokojnie, Ian uśmiechnął się do siebie. Wygląda na to, że podczas jego dwumiesięcznej nieobecności Bertrand poczynił postępy. Wyglądał na bardziej pewnego siebie, Ian spojrzał czule na Brandy, zastanawiając się, czy zdaje sobie sprawę, jak bardzo zawstydziła siostrę.

Cały wieczór lady Adela traktowała go wyjątkowo przyjaźnie, chociaż miał świadomość, pieniądze wciąż płyną do Penderleigh szerokim strumieniem. Zdawał sobie sprawę, że starsza pani

będzie trzymać humory na wodzy, dopóki on będzie dbał o to, by jej się to opłacało.

- A jak się miewa twój kuzyn, pan Braidston? - zapytała. Kwaśna mina i niechętny ton zniknęły w jednej chwili. - Chwacki z niego kawaler.

- Giles ma się świetnie, lady Adelo. Dosyć nagle zdecydowałem się na przyjazd tutaj, byłem zmuszony zostawić mu kartkę. Gdyby wiedział zawczasu, z pewnością przysłałby ci szczere pozdrowienia.

- Na mój gust to zbyt wielki plotkarz. To niezdrowo wiedzieć tyle o innych ludziach - odezwał się Claude. - Można mieć z tego powodu kłopoty.

Nie było łatwo, ale Ian powstrzymywał się, by nieustannie nie gapić się na Brandy i kierować rozmowę w jej kierunku. Boże, jak jej pragnął. Chciał podzielić się ze wszystkimi radością, że zostanie jego żoną. Dlaczego upiera się, by czekać z tym do następnego ranka? Dumał i dumał, i nic nie przyszło mu do głowy. Postanowił, że musi osobiście spalić muślinową sukienkę, którą miała na sobie, a razem z nią tartanowy szal.

Między jednym a drugim kęsem ryby przypomniał sobie nagle o dwustu funtach - na ubrania, jak powiedziała. Cóż, kiepsko kłamała. Musi dopilnować, by mu powiedziała, co tak naprawdę stało się z tymi pieniędzmi.

- Wyglądasz na wykończonego - na głos lady Adeli podniósł głowę. - Dlatego tym razem ci oszczędzę śpiewu naszych dziewcząt. Crabbe, ty stary łotrze, nalej nam po kieliszeczku porto. A potem nasz książę może iść do łóżka.

A więc był już „naszym" księciem? Czasy się zmieniły. Wkrótce lady Adela wyprowadziła Konstancję i Brandy z jadalni, zaklinając Bertranda, by nie zanudzał Iana sprawami finansowymi już pierwszego wieczora.

- Powiedziałam, że może iść się położyć, a ty nie dajesz mu spokoju tym swoim gadaniem o owcach. Przecież będzie na to mnóstwo czasu. A ty, Claude, też nie męcz go swoim narzekaniem. Przynajmniej nie teraz. Daj mu dzień lub dwa, aby ochłonął.

Claude nie narzekał, ale entuzjazm Bertranda ciężko było opanować. Dopiero po dobrych dwudziestu minutach Claude zaczął stukać laską w podłogę, domagając się dołączenia do dam.

Brandy nie było w bawialni, Ian skorzystał z wymówki, którą podsunęła mu lady Adela i poszedł krętymi schodami na górę. Potem ciemnym korytarzem do sypialni hrabiego. Zatrzymał się na moment przez drzwiami pokoju Brandy. Podniósł rękę, by zapukać. Chciał ją zobaczyć. Niech to diabli, chciał ją całować i pieścić tak, by oboje poczuli, że umrą, jeśli będą musieli przestać. Nie, nie powinien tego robić. Poszedł dalej korytarzem do siebie.

Za oknami szalała letnia burza, deszcz bębnił w szyby sypialni, Ian zaciągnął wyblakłe zasłony i zbliżył się do ognia. Dołożył kilka kawałków torfu i poruszył żarzące się węgle czubkiem buta. Tak samo jak podczas pierwszej wizyty w Penderleigh musiał się obyć bez lokaja, który miał dojechać dzień później.

Wyciągnął z torby podróżnej mały pistolet położył go na nocnym stoliku. Zdjął ubrania, włożył szlafrok i nalał sobie kieliszek bordeaux. Rozsiadł się wygodnie w przepaścistym, skórzanym fotelu i wyciągnął nogi do ognia.

Wino smakowało wybornie i szybko go rozgrzało. Chwilę później buchające płomienie straciły wyraźne kontury, a on poczuł, że zapada w sen.

Z drzemki wyrwało go ciche, lecz stanowcze pukanie. Podniósł się szybko, złapał pistolet i zawołał: - Proszę. - Nie mógł uwierzyć własnym oczom. - Brandy, co tutaj robisz?

ROZDZIAŁ 31

Weszła powoli do sypialni, zamykając za sobą drzwi. Od stóp do głowy okryła się koszulą z cienkiej białej bawełny, co sprawiało, że wyglądała jeszcze młodziej. Spojrzał na jej włosy i zaparło mu dech. Blond loki opadały gęstymi falami niemal do pasa. Była blada. Wyglądała na śmiertelnie wystraszoną. O co w tym wszystkim chodzi?

Zrobił krok do przodu. - Kochanie, wiesz, że nie powinnaś przychodzić do mnie do sypialni. Ech, zapomnij o tym, co powiedziałem. Co się stało? Stało się coś, co cię wyprowadziło z równowagi? - Wyciągnął ręce. Chciał przyciągnąć ją do siebie, ale powstrzymał się i ujął jej dłonie.

- Brandy? Powiedz, co się stało? - Dał za wygraną i położył ręce na jej ramionach. - Mój Boże, ty się trzęsiesz. A ja stoję z tym idiotycznym pistoletem. - Odłożył broń na stolik i ponownie zwrócił się do niej. - Chodź, ogrzejesz się przy ogniu. A potem porozmawiamy.

Ta dziwaczna koszula nocna. Musiała nosić ją od lat. Widać tylko było bose stopy. Nie chciała spojrzeć mu w oczy. Do licha, coś było nie tak.

- Usiądź tutaj.

Przyciągnął krzesło do ognia, naprzeciwko ustawiając swój fotel. Nie usiadła. Nabrała głęboko tchu i wypaliła: - Zastanawiałeś się, dlaczego nie chciałam od razu ogłaszać zaręczyn. Miałam ważny powód.

- Posłuchajmy, co to za ważny powód - powiedział. - Ale ostrzegam, mogę ci nie uwierzyć.

- To doskonały powód. Bądź cierpliwy i tylko nie próbuj się ze mnie śmiać.

Wysłuchaj mnie, Ian. Pierwszy raz, kiedy się kochaliśmy, wydawało ci się, że ja to Mariannę.

- Nie tylko pierwszy, jak dotąd jedyny.

- Nie żartuj i nie przerywaj. Muszę być pewna, nie rozumiesz? Muszę wiedzieć, że to mnie kochasz. I że to mnie teraz pożądasz, a nie Mariannę.

Nieźle. Zatkało go na moment i tylko się na nią gapił. W końcu bardzo powoli powiedział: - Chcesz ze mną spędzić noc? Dzielić ze mną łoże? Rozumiem, że dowiem się rano, czy pomyślnie przeszedłem test. Doprawdy, Brandy, zawsze wiedziałem, że jesteś pomysłowa, ale to przekracza wszelkie granice.

- Może ta część małżeństwa jest dla ciebie mniej ważna, Ian. Dla mnie jest bardzo ważna. Nie śmiej się ze mnie, ty okropny żartownisiu. Mówię całkowicie serio. Proszę, Ian, pozwól mi dziś tu zostać.

- Mam tylko nadzieję, że cię nie zawiodę, Brandy. A co jeśli przez sen powiem imię mojej matki? Dobrze, już przestaję. Pamiętaj tylko, że cię nie okłamałem. Mariannę to przeszłość. Nie jest już częścią mojego życia, jest tylko wspomnieniem... czasem bolesnym, czasem miłym, ale zawsze odległym i niewyraźnym. Nie ma nic wspólnego z nami. Myślę, że byłaby zadowolona widząc, że moje życie toczy się dalej i że spotkałem ciebie. Jest jeszcze coś, Brandy. Pomyśl, cóż to byłaby za

porażka, gdybyś nie chciała mnie poślubić, bo jestem kiepskim kochankiem. - Wiesz, że to nie tak.

- Dobrze już. Prawie mnie przekonałaś.

Miała ochotę go uderzyć, że tak przekręcił jej intencje, ale okazja uciekła niezauważona. Podszedł do niej i podniósł ją z krzesła, patrząc takim wzrokiem, że przeszły ją ciarki. - Ty głuptasie - szepnął i pocałował w usta. Przyciągnął ją do siebie, jedną ręką dotykając masy jasnych loków, a drugą pieszcząc plecy i biodra.

Puścił ją po chwili, uśmiechając się szeroko.

- Bardzo ładnie, Ian. Proszę o więcej.

- Czyżbyś nie pamiętała, co będzie dalej? Może to i lepiej, nie było to dla ciebie szczególnie przyjemne. Ale tym razem, przysięgam, będziesz się ze mną dobrze bawić, Brandy. - Zaczął ją całować. Uwielbiała, gdy ją całował, i chętnie otworzyła usta. Miał wrażenie, że jest w niebie. Czuł, jak przyciska się do niego swoim ciałem. Przez cienką koszulę musiała czuć jego męskość.

Przynajmniej nie będzie zdziwiona tym, jak wygląda. Nie, zawsze podziwiała jego ciało, co zresztą bardzo mu się podobało.

Jęknęła z rozkoszy i aż podskoczyła, zdumiona dźwiękiem, który wyrwał się z jej ust. - Proszę o więcej - powiedział i włożył jej do ust język. Delikatnie oderwał dłonie od jej ciała, chcąc rozwiązać tasiemkę koszuli nocnej. Ku jego zdziwieniu Brandy zesztywniała i odsunęła się nagle.

- O co chodzi, kochanie? Jak zdołasz mnie uwieść, jeśli nie ściągniesz najpierw tej koszuli?

A więc doszło do tego. Nie ma odwrotu, pomyślała, choć to takie trudne. Co będzie, jeśli na jej widok skrzywi się z niesmakiem? Nawet jeśli nie zmieni wyrazu twarzy i tak będzie wiedziała, że uważa ją za odrażającą.

- Brandy?

Wyprostowała ramiona. - Nie, muszę się z tym zmierzyć. Muszę to zrobić sama. Pozwól, Ian. - Cofnęła się o krok. Na jego twarzy pojawiło się pytanie, ale ona milczała. - Jeszcze chwilę. - Nabrała głęboko tchu. Nie ma odwrotu. Rozwiązała tasiemkę, uwalniając ręce i pozwalając, by koszula opadła do pasa. Podniosła głowę w oczekiwaniu. Patrzyła mu prosto w oczy.

Książę z wrażenia niemal się nie udławił. Zaparło mu dech. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Uważał ją za szczupłą, pozbawioną jeszcze kobiecych krągłości dziewczynę, a patrzył na najpiękniejsze piersi, jakie zdarzyło mu się w życiu oglądać. Były niesłychanie białe i krągłe, brodawki miały delikatny, różowy kolor, jakby pod pociągnięciami pędzla artysty przechodzący w kość słoniową. To musiały być najpiękniejsze piersi w całej Anglii.

- Mój Boże!

Spodziewała się, że zblednie, i tak się stało. Mój Boże, spełniły się jej wszystkie nocne koszmary. Odwróciła się, chcąc zapaść się pod ziemię.

- Brandy - powiedział, zdumiony jej reakcją.

Próbowała zakryć się rękoma, ale to było niemożliwe. Przełknęła głośno ślinę i wydusiła z siebie: - Rozumiem, Ian, naprawdę. Próbowałam ukryć przed tobą swoją brzydotę. To nie w porządku. Powinnam ci była powiedzieć zanim przyjęłam propozycję małżeństwa. To nieuczciwe wobec ciebie i jeśli teraz nie możesz na mnie patrzeć, to zwolnię cię z obietnicy. Nikt się nigdy nie dowie.

- Jaką brzydotę? - Szukał wzrokiem jakiegoś znamienia, może pieprzyka na ramieniu, który jej przeszkadzał, ale widział jedynie przecudną, kremową skórę. Miał wrażenie, że zaraz przestanie się kontrolować. Chciał tylko, by zabrała ręce.

Zabrała je w końcu. - Przepraszam. Wyglądam jak krowa, sam widzisz. Po prostu nie chciały przestać rosnąć i musiałam zacząć je bandażować, żeby nikt nie widział, jak okropnie wyglądam. - Nie mogła dłużej znieść jego wzroku. Złapała koszulę, zasłaniając piersi. Sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć płaczem.

Co powiedziała? De jej piersi są brzydkie? Potrząsnął głową ze zdumienia. Musi ostrożnie dobierać słowa.

Powiedział powoli: - Popraw mnie, jeśli nie mam racji. Uważasz, że twoje piersi są brzydkie? De jesteś zdeformowana?

Przytaknęła, a na jej twarzy pojawił się żałosny wyraz. Nie mógł się powstrzymać. Odrzucił głowę w tył i zaczął się śmiać.

- Nie sądziłam, że jesteś bez serca.

Zamarł i opanował rozbawienie. Boże, ona naprawdę tak uważa. - Słuchaj mnie, Brandy, nie śmieję się ciebie. Śmieszy mnie ta cała idiotyczna sytuacja. Powiedz mi, od kogo usłyszałaś, że wyglądasz jak krowa? De to jakaś deformacja? Czy ktoś faktycznie ci kiedyś powiedział, że twoje piersi są brzydkie?

- Tak, Morąg. Kiedy miałam czternaście lat, moje sukienki się nie dopinały.

Śmiała się ze mnie, mówiąc, że hoduję melony prosto na targ. Powiedziała, że stanę się pośmiewiskiem, jeśli ktoś się dowie, co hrabianka nosi pod ubraniem. I że wszyscy mężczyźni będą się na mnie gapić jak na dziwkę.

- Boże, dajcie mi tę kobietę, zabiję ją. Jeśli zabiję ją w tej chwili, przynajmniej pójdzie do grobu czysta.

- Miała rację. Próbowałam to ukryć pod bandażem i szalem, ale Percy wiedział. Zawsze gapił się na mnie, jakbym była odmieńcem. Nigdy tego nie rozumiałam. Skoro uważał mnie za odmieńca, to dlaczego chciał mnie mieć?

- Nie uważał cię za odmieńca, Brandy. Pamiętasz to popołudnie w leśnej chacie? Pragnąłem cię tak strasznie, a ty się ode mnie odsunęłaś?

- Myślałam, że to ty się ode mnie odsunąłeś. Ale to prawda. Nie chciałam, żebyś mnie zobaczył. Wstydziłam się. Bałam się, że będziesz się mnie brzydził.

- Wyglądam, jakbym się ciebie brzydził?

- Cóż, są teraz zakryte.

Nachylił się i wyrwał materiał z jej dłoni, pozwalając, by koszula znów opadła do pasa. - I co teraz? Wiesz co myślę? De cały czas błędnie odczytywaliśmy wzajemne motywy. A ta niebieska sukienka z aksamitu, którą przywiozłem ci z Edynburga? Miała całkiem spory dekolt, jeśli dobrze sobie przypominam.

- Jest przepiękna, czułam się w niej jak królowa. Ale nie mogę jej nosić.

Wyglądam jak dwie wielkie piersi. Przedziałek zaczyna się pod samą brodą.

Uśmiechnął się. - Brandy, czy kiedykolwiek cię okłamałem? Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, przez co mogłabyś nie ufać moim słowom?

- Nie.

- Daj mi obie ręce i puść koszulę. Tak, pozwól, by opadła na podłogę.

Przez chwilę nie mogła ruszyć się z miejsca. Patrzyła na niego bez słowa. - To bardzo trudne - powiedziała w końcu.

- Chodź, podaj mi ręce.

- Ojej - powiedziała i podała jedną dłoń, drugą ściskając kurczowo koszulę.

- Obie ręce, jeśli możesz.

Zamknęła oczy i wystawiła drugą rękę. Koszula zatrzymała się przez chwilę na biodrach, a potem z szelestem opadła na podłogę.

Przełknął głośno ślinę. Mój Boże, czy ona nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest piękna? Jak cudowna?

Ręce świerzbiły go, tak bardzo chciał jej dotykać, pieścić tę kremową skórę. Chciał ją smakować, kompletnie się w niej zatracić. Pełne piersi kontrastowały ze szczupłą talią, która przechodziła łagodnie w krągłe biodra. Brzuch miała płaski, a z kremowej skóry wyłaniał się ciemniejszy trójkąt poskręcanych loczków. Jej nogi były długie i szczupłe, mimo widocznych mięśni. Była bez wątpienia najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mu się w życiu oglądać. Co więcej, kochał ją. Oczywiście, że musiała być najpiękniejsza. A te jej piersi. Nigdy nie znudzi się mu ich widok.

- Otwórz oczy, Brandy. A teraz chodź ze mną.

Pomógł jej przeskoczyć leżącą na podłodze koszulę i zaprowadził do lustra, stojącego przy starej zbroi. Stanął tuż za nią, kładąc ręce na jej ramionach. - Jesteś przepiękną kobietą. Spójrz na siebie i powiedz, czy naprawdę możesz zaprzeczyć moim słowom.

Zacisnął palce, zmuszając ją, by otworzyła oczy. Zobaczyła tylko wielkie piersi. - Boże, to okropne - powiedziała, próbując wyrwać się z jego uścisku.

- Nie pozwolę, abyś nazywała przyszłego męża kłamcą. Do diabła, Brandy, spójrz na siebie. Jesteś śliczna. Na samą myśl, że jesteś tylko moja, kolana się pode mną uginają.

Ponownie otworzyła oczy i spojrzała na siebie w lustrze. Zobaczyła, że stoi tuż za nią, trzymając dłonie na jej nagich ramionach. Ich oczy spotkały się w lustrze, a on powoli odgarnął włosy z jej twarzy i ramion. Dotknął palcami podbródka.

- Lubisz swoją twarz? Tak? To doskonale, zejdźmy trochę niżej.

Opanowanie, pomyślał. Musi teraz nad sobą panować, chociaż to najtrudniejsze wyzwanie, z jakim przyszło mu się zmierzyć w całym dorosłym życiu. Nabrał głęboko powietrza i skierował niżej ręce, pieszcząc ją i w końcu ujmując piersi w swoje dłonie. Przełknął głośno ślinę.

Zatrzepotała rzęsami. Otworzyła usta. Nachylił się i pocałował ją delikatnie w skroń. Jest przecież mężczyzną, nie chłopcem. Da sobie radę, przecież musi. Usłyszał, jak z piersi wyrywa się mu głęboki głos: - Twoje piersi są cudowne. Pamiętaj, że Morąg to chuchro. Powiedziała tak przez zazdrość i czystą głupotę.

Objął dłońmi jej talię, pieścił jej brzuch, aż przeszedł ją dreszcz. Miał nadzieję, że to pożądanie, a nie wstyd. Och tak, okazało się że miał rację, bo jej oddech przyspieszył. Jeszcze chwila i skończy się to oczekiwanie. Uwierzy mu, zaufa i wreszcie będzie mógł całkiem się zapomnieć.

- Pamiętasz, jak mi kiedyś powiedziałaś, że to ja jestem piękny? Straszny głuptas z ciebie, Brandy.

Odwróciła się w jego ramionach i objęła go za szyję. - To prawda?

- Prawda.

Rozwiązała pas jego szlafroka. Poczuł, jak dłoń dotyka jego nagiej piersi, a potem brzucha. Samokontrola zniknęła bez śladu. - Czarownica z ciebie - powiedział i zrzucił z siebie szlafrok. Usłyszał, że gdzieś drze się materiał, ale niewiele go to obchodziło. Wziął ją w ramiona i zaniósł do łóżka. - Przysięgam, tym razem nie będzie cię bolało. Tym razem będzie ci dobrze.

Chciała powiedzieć, że jest cudowny, ale jego usta zamknęły się na brodawce jej piersi i

zabrakło jej słów. Nie mogła uwierzyć w tę rozkosz, która wypełniała całe jej ciało i rozchodziła się falami w dół brzucha. Zatopił ręce w masie jasnych loków i znalazł jej usta. Pieścił je przez chwilę, aż je otworzyła. Czuła, jak jego ręce przesuwają się po plecach, zataczają kręgi na biodrach, a w końcu znajdują się między jej nogami.

- Ojej, czy tak wypada?

- A ty? Przecież ty też prawie wszędzie mnie dotykasz. - Pragnął, by pieściła dłońmi jego męskość, ale to mogło poczekać. Mieli przed sobą całe życie, wiele podobnych nocy. - Spokojnie. Rozkoszuj się tylko tym, co się teraz stanie.

- No, nie wiem - zaczęła i jęknęła tylko, kiedy skierował usta niżej. - Nie wiem, czy tak można.

- Nie bój się, po prostu się odpręż.

Dłonie podniosły ją delikatnie, poczuła jego język, gorący i namiętny. Pieścił ją wszędzie, a kiedy z jej ust wyrwał się krzyk, samą ją to zaszokowało. - Mój Boże, nie chciałam - Czuła, jak narasta w niej fala rozkoszy, jak porywa całe ciało. Nie chciała przestać, nie mogła przestać. Jeśli to by się stało, ona, Brandy, umarłaby. Przyciskała biodra do jego ust, zatracając się w pełni, a kiedy osiągnęła pierwszy orgazm w swoim życiu, wiedziała, że nawet gdyby w tej chwili umarła, to nie byłoby to takie straszne.

Pieścił ją dłońmi i językiem, aż poczuł, że się uspokaja. Wtedy powoli, bardzo wolno w nią wszedł. Objęła go za plecy, przyciągając mocniej do siebie. Spodziewała się bólu, ale poczuła tylko, że ciało robi mu miejsce. Bólu nie było, tylko cudowne poczucie wypełnienia. Wchodził w nią głębiej i głębiej i po chwili zadawała sobie pytanie, gdzie zaczyna się jedno, a drugie się kończy. Znaleźli wspólny rytm, przyciskała go mocno do siebie. Kiedy głośno jęknął i wyprostował się gwałtownie, spojrzała na niego, wiedząc, że zawsze będzie go kochać.

Czuła, że przepełnia ją leniwe poczucie spełnienia, które kazało jej wątpić, że poza nimi, poza tym pokojem, istnieje jeszcze świat. Chciała, aby ta chwila i chwila następna trwały wiecznie. By zawsze tak leżał, z twarzą na poduszce, oddychając ciężko, z sercem walącym jak młot. Wciąż znajdował się w niej, cudowne uczucie.

- Kocham cię - powiedziała. - I tym razem cię nie ugryzłam.

Zaśmiał się i podniósł na łokciu. - I co, Brandy? Uznałaś, że wystarczająco mocno cię pożądam? A może nadal sądzisz, że kiedy kocham się z tobą, wyobrażam sobie Mariannę albo inną kobietę? Czy przyjmiesz mnie jako męża i jako kochanka?

Spojrzała na niego nieprzeniknionymi oczyma i kiwnęła głową, nie mogąc znaleźć słów, które wyraziłyby to, co czuje. - Kocham cię - powtórzyła po prostu. - Zawsze będę cię kochać.

- A ja ciebie. Możesz być pewna. Twoje cudowne piersi również. - Nachylił się i obsypał je pocałunkami. Jęknął i zaczął całować je od nowa. - Najpiękniejsze piersi jakie widziałem w życiu. Pozwól, zabiję Morąg.

- Nie - powiedziała poważnym tonem. - To ja ją zabiję. To nic dobrego.

Zaśmiał się gardłowo. - Zmarnowałem dwa miesiące, Brandy. Ale nigdy już nie pozwolę, byś zniknęła mi z oczu.

- Albo z łóżka?

- Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, co z tobą zrobię po ślubie. A może i potrafisz. Wiedz jedno, Brandy, twoja przyjemność stanie się moim życiowym celem. - Przycisnął ją do siebie, aż jęknęła. Pocałował ją w ucho. - Dziękuję, że tym razem mnie nie pogryzłaś.

- Nie ma za co, Ian. Mogę cię o coś zapytać?

Spoważniała, a on odsunął się nieco, by widzieć całą jej twarz. - Tak?

- Naprawdę chcesz mieć dzieci? Pamiętam, że kiedyś powiedziałeś, że marzysz o tuzinie małych Fion. Mówiłeś poważnie, czy to były tylko żarty?

- Mówiłem poważnie. Ale nie chcę zrobić z ciebie klaczy rozpłodowej.

Będziemy mieli tyle dzieci, ile będziesz chciała. Są sposoby, by zapobiec poczęciu i jeśli tylko zechcesz, możemy je stosować.

Westchnęła z ulgą. - Cieszę się, że chcesz mieć dzieci. Poza tym nie wiedziałam, że można zapobiegać poczęciu.

- Cóż, nie zawsze te sposoby są skuteczne, ale można spróbować.

- Może kiedyś. Kiedy bierzemy ślub?

- Jak najszybciej. Może jutro, albo pojutrze? A może za pół godziny? Co powiesz na to, weźmy ślub zaraz po tym, jak znów się na ciebie rzucę? Czyli za jakieś piętnaście minut?

- Wydaje mi się, że czekanie nie jest rozsądne.

Na jej ustach był niewyraźny uśmiech. O co tym razem chodzi? - Czekanie na co?

- Na ślub. Może dzień lub dwa, ale nie dłużej.

- Czy znowu mówimy o czym innym? Wydaje mi się, że wodzisz mnie za nos.

- Skądże. Po prostu przed ołtarzem chciałabym być szczupła.

- Szczupła? Co ty mówisz? Przecież jesteś chuda. To znaczy, w miejscach, gdzie powinnaś być szczupła. Czyżbyś miała zamiar rzucić się na haggis?

Nie, na sam widok haggisu robi mi się niedobrze.

Brandy, wystarczy. Dość tej zabawy. Powiedz, o co ci chodzi.

Doskonale, wasza wysokość - powiedziała potulnie najbardziej udawanym tonem, jaki zdarzyło mu się słyszeć. - Cieszę się, że chcesz mieć dzieci, bo w Boże Narodzenie przyjdzie na świat nasze maleństwo.

ROZDZIAŁ 32

Gapił się na nią bez słowa. Jest w ciąży? Mój Boże. Przez głowę przebiegały mu różne myśli. - Jesteś w ciąży - powiedział, jakby wypił morze koniaku. - Urodzisz dziecko.

- Zgadza się.

I nawet mi nie powiedziałaś? Nie uznałaś za stosowne, żeby do mnie napisać?

- Mówię ci teraz, Ian.

Myśli krążyły coraz szybciej. Przerażało go to. - Może mi powiesz, co zamierzałaś zrobić, gdybym nie wrócił? - Miał ochotę nią potrząsnąć. Z drugiej strony chciał krzyczeć z radości. Kochał się z nią tylko raz, zabrał jej dziewictwo, a ona zaszła w ciążę. Nie mogła mieć pojęcia, co to dla niego znaczyło. Ale gdyby mu nie powiedziała? Odsunął się od niej i położył na plecach, wpatrując się w popękany sufit. - Powiedz mi, Brandy.

- Nie wiem, co zamierzałam zrobić. Zorientowałam się dopiero kilka dni temu.

Dopiero zaczęłam się przyzwyczajać do tej myśli. Dopiero zaczęłam się bać.

Powiedziałam ci prawdę i przestań mówić do mnie tym zimnym, niemiłym tonem.

Opadły mu ręce. Jeszcze kilka dni i być może napisałaby do niego. Co by wtedy zrobił? Przyjechałby tu jak wariat, ożeniłby się z nią w okamgnieniu. A gdyby się nie opamiętał? Nie, to niemożliwe. Nieważne, że dziecko urodzi się o dwa miesiące wcześniej. Wkrótce i tak zabierze ją do Carmichael Hall.

Wziął ją w ramiona. - Czy mówiłem ci kiedykolwiek, że jesteś większym uparciuchem ode mnie? Nie, nie kręć głową. W porównaniu z tobą jestem ugodowy jak wszyscy święci. Jeśli znów coś przede mną zataisz, dam ci popalić.

- Dopiero po świętach, mam nadzieję.

- A więc żadnej weselnej pompy na Hannover Square, moja droga - powiedział zdecydowanym tonem. - Nie masz nic przeciwko?

- Skąd, nie ma to dla mnie znaczenia. Nie chcę być otoczona ludźmi, których nie znam i którzy tylko czekają, aż potknę się o welon.

- No i dobrze. Poproszę Bertranda, by pomógł mi w przygotowaniach.

Wyjdziesz za mnie w sobotę, Brandy?

Milczała przez dłuższą chwilę. Trząsł się z niecierpliwości, kiedy w końcu nachyliła się i powiedziała: - Dobrze, ale tylko dlatego, że chcę być szczupła.

Poczuł ogromną ulgę, ale myślami był już daleko. - Przynajmniej nie będę się musiał martwić o twoje zdrowie. Zajmie się tobą Edward Mulhouse, lekarz i mój serdeczny przyjaciel.

- Mężczyzna? - zapytała z przerażeniem w głosie.

- Wszyscy lekarze to mężczyźni. Nie bój się, Edward jest młody, ale trudno znaleźć lepszego specjalistę. O co chodzi? Wstydzisz się? Nie chcesz, by oglądał cię mężczyzna, a tymczasem sama

przychodzisz do mojej sypialni i uwodzisz mnie, i to dwa razy, a w dodatku bez mojej zachęty?

Dała mu kuksańca w bok. Poczuł jej cudowne piersi, zamknął oczy i głośno przełknął ślinę.

- Wcale tak nie było. - Przytuliła się mocno. Poczuła jego ręce na swoim brzuchu i powiedziała: - Nasze maleństwo tam jest.

- To niesamowite - powiedział, przesuwając niżej ręce.

- Do diabła, Ian - powiedziała w końcu. - Nie igraj z ogniem, bo znów będę cię musiała uwieść.

- O tak. To świetny pomysł.

Zanim z twarzą przy jego piersi zapadła w spokojny sen, zapytał jeszcze: - Po co ci było dwieście funtów, Brandy?

Milczała przez chwilę, a on poczuł, że jej piersi zaczynają falować. Znów jej pożądał. Nie, to nie jest dobry moment. Oboje są bardzo zmęczeni, a ona z pewnością obolała.

- Mówiłam, pieniądze były na ubrania.

- Nie kłam, Brandy. Powiedz.

- Dlaczego cię to interesuje? Nie wierzę, że dwieście funtów robi ci jakąś różnicę. - Odwróciła się i wtuliła twarz w jego ramię. - Proszę, Ian, nie zmuszaj mnie, bo nie mogę ci powiedzieć.

- Nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie chcę. Nie rób takiej wyniosłej miny. Do narodzin naszego dziecka nie możesz mi grozić, obiecałeś.

- Grozić mogę, ale nic więcej. Będę chyba musiał użyć mojej wybitnej zdolności przekonywania. Wrócimy do tego później, Brandy.

Nie odpuści tematu, wiedziała. Ale przynajmniej zyska trochę na czasie. Przysunęła się, pocałowała jego ramię i ukryła twarz w jego piersi.

Ian obudził się tuż przed świtem następnego ranka. Pomyślał, że Mabley z pewnością dostanie ataku apopleksji, jeśli przyjedzie do Penderleigh i zastanie ich razem. Nie było to proste, ale zdołał ubrać Brandy w koszulę. Nie chciał przerywać jej spokojnego snu prawie tak samo, jak chować pod ubraniem tych pięknych piersi. I całej reszty. Była taka śliczna.

Zaniósł ją do pokoju, wyglądając wcześnie wstających służących. Pocałował ją delikatnie w czoło i wrócił do łóżka na kilka godzin.

Nie wstała na śniadanie, Ian uśmiechnął się do siebie, wyobrażając sobie, jak leży w łóżku, uśmiechnięta i zadowolona, nie mogąc doczekać się kolejnego razu. My mężczyźni, pomyślał, jesteśmy bardzo nieskomplikowani.

Chwilę później, w pokoju śniadaniowym pojawił się Bertrand, Ian skrzywił się, widząc, że niesie pod pachą grubą księgę z rachunkami.

- Dzień dobry, Ian. - Bertrand przywitał się serdecznie. Wydawał się niezwykle wypoczęty. - Mam nadzieję, że dobrze spałeś. Nie, widzę, że wciąż jesteś trochę zmęczony. Szkoda, ale mam nadzieję, że zostało ci trochę energii, by spojrzeć na rachunki.

- Czuję się doskonale, Bertrandzie - powiedział książę i uśmiechnął się do zardzewiałej armaty widocznej za oknem. - Pozwolisz, że najpierw zjem śniadanie, dobrze?

- Jasne. Gdzie Crabbe? Gdzie owsianka? Będziemy musieli trochę poczekać.

Pozwól, że w tym czasie ci opowiem, co się tu działo w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Słuchaj uważnie.

- Myślałem, że omówiliśmy to ubiegłego wieczora.

- Och nie, to były tylko ogólne zarysy.

- Niech cię wszyscy diabli. A tam, gadaj, niech stracę.

Nawet jeśli Bertrand uważał, że myśli księcia wędrują daleko, przez pierwsze pół godziny nie powiedział na ten temat ani słowa. Dopiero kiedy książę zaczął patrzeć w zamyśleniu na widok za oknem, Bertrand odezwał się: - Śmiem twierdzić, że Napoleon doceni moje usługi.

Co takiego? Napoleon? Co ty u diabła wygadujesz?

- Brednie. Chciałem się tylko upewnić, że twoje myśli są o wiele mil stąd. I miałem rację.

- Nieprawda. Wcale nie wiele mil. - Książę uśmiechnął się szeroko. - Przepraszam cię bardzo, Bertrandzie. Jeśli musisz wiedzieć, mam teraz wiele na głowie.

- Boisz się, że morderca wciąż kręci się tutaj?

- Niespecjalnie. Ale teraz, kiedy mi o tym przypomniałeś, może nie powinienem o tym szybko zapominać.

- Co knujesz, Ian?

Książę obdarzył go szerokim uśmiechem. - Wkrótce się dowiesz, drogi przyjacielu. Patrzyłem na was wczoraj przy kolacji na Konstancję i ciebie, i chciałem ci powiedzieć, że poczyniłeś olbrzymie postępy.

Bertrand nie mógł oderwać wzroku od swoich dłoni. - Do diabła - powiedział w końcu. - Jest taka młoda i płochliwa, mimo tej całej brawury polegającej na ustawicznym podkreślaniu, że wygląda i sprawia wrażenie starszej od Brandy. Musisz wiedzieć, że mój ojciec i lady Adela ciągle pokazują nas palcem, a to w niczym nie pomaga. - Westchnął i dodał z miną stoika: - Mówiąc serio, nie mam zbyt wiele do zaoferowania. Mieszkanie w przyzamkowym domku gościnnym? I to razem z moim ojcem? I choć, całe szczęście, Percy nie jest już problemem, ona i tak marzy o pięknych strojach, karocy, własnych służących, nie wspominając nawet o wytwornym towarzystwie. Co mogę jej dać tu, w Penderleigh? Tylko całe stado cholernych owiec.

- Nie dramatyzuj, Bertrandzie. Powiem ci, co o tym myślę, o ile nie masz nic przeciwko temu, żebym wtrącał się w twoje sprawy.

- A dlaczego miałbym mieć? Lady Adela i mój ojciec nie mają żadnych oporów. Kiedy jedno się zamyka, drugie zaczyna gadać.

- Cóż, wydaje mi się - powiedział książę - że zbyt łagodnie trzymasz wodze.

Jestem pewien po wczorajszym wieczorze, że nie jesteś jej obojętny, wręcz przeciwnie. Konstancja potrzebuje silnej ręki, twojej ręki, która poprowadzi ją we właściwym kierunku. Z drugiej strony jest bardzo romantyczna, więc będziesz się musiał z nią delikatnie obchodzić. Zgadzasz się ze mną?

Bertrand wygładził rudą czuprynę. Milczał, ale widać było, że głęboko się nad czymś zastanawia. Nagle uderzył dłonią o kolano.

- Niech to diabli, masz całkowitą rację. Uważasz, że trzeba nią trochę pokierować i wtedy zrobi, co zechcę.

- Właśnie tak. Zakładam, że sobie poradzisz. Jeśli nie, nie jesteś moim przyjacielem.

Bertrand wstał, zapominając o rachunkach. - Tak - powiedział bardziej do siebie niż do księcia. - Tak właśnie zrobię. Nie w tej chwili, bo teraz muszę zastanowić się nad strategią. To właśnie nas zgubiło w czterdziestym piątym w walkach z Anglikami. Brak nam było strategii. A ja jestem w tym dobry. Muszę się zastanowić, jak to rozegrać.

Bertrand opuścił pokój, nie odwracając się za siebie. - Powodzenia! - krzyknął za nim książę.

Przez cały dzień Bertrand odgrywał w myślach wiele wspaniałych scen, krzywiąc się lub

uśmiechając w zależności od tego, czy scena przypadła mu do gustu. Już miał wracać do domu, by się wykąpać kiedy zobaczył, że Konstancja idzie w jego kierunku. Delikatny wiaterek burzył jej czarne loki, lecz w jego oczach wyglądała niesłychanie apetycznie. Wyprostował się, czekając aż podejdzie bliżej.

- Och, pachniesz jak owca, Bertie.

Początek nie był zbyt obiecujący, ale było mu wszystko jedno. Postanowił wykorzystać okazję. - Tak, Connie. Niestety nie można nic na to poradzić, przynajmniej za dnia.

Zielone oczy otworzyły się szeroko. Miała przepiękne, gęste rzęsy. Doskonale wiedziała, ale co z tego?

- Co znaczy „przynajmniej za dnia”?

W jej oczach widać było zainteresowanie. - To znaczy, Connie, że w nocy nie będziesz miała powodu, by czuć do mnie niechęć.

- Aha. - Nie odrywała wzroku od czubka swojego buta.

- Przejdziesz się ze mną? - zapytał, uświadamiając sobie, że stoją naprzeciwko jak dwie nieruchome rzeźby. Pan sytuacji powinien być w ruchu. Powinien być elokwentny i zdecydowany.

- Dobrze - powiedziała, a kiedy wyciągnął dłoń, bez wahania podała mu swoją.

Zapytał nagle: - Connie, kiedy są twoje siedemnaste urodziny?

- W sierpniu, Bertie.

- Powinienem był pamiętać. Przepraszam, ale mam na głowie ważniejsze sprawy. Czy to nie dziwne? Znam cię przecież od twoich narodzin.

Konstancja pomyślała o pulchnej dziewuszce z rozwianym włosem, którą kiedyś była. Zbladła. Nagle przypomniała sobie Bertranda, kiedy miał czternaście lat i zachichotała. - Byłeś taki wysoki i niezgrabny. I te twoje włosy! Wyglądałeś jak zachód słońca tuż przed burzą.

- Jak myślisz, Connie, nasze dzieci odziedziczą rudą czuprynę po mnie czy może piękne, czarne loki po tobie?

Ścisnęła jego palce. Zaśmiała się nerwowo i stuknęła czubkami butów. - Cóż za pytanie, Bertie. Obawiam się, że zbyt dużo czasu spędziłeś na słońcu i teraz mówisz od rzeczy. - Spojrzała na niego spod wpółprzymkniętych rzęs.

- Nie, to tobie pozwoliłem zbyt długo mówić od rzeczy. Zapomnij o tej dziecinadzie z Percym, czy na dobrą sprawę jakimkolwiek innym mężczyźnie. Pamiętaj tylko o mnie.

Odrzuciła w tył czarne loki. - A jeśli nie, mój panie?

Sama to powiedziała. Mój panie. Zabrzmiało to cudownie. - Cóż, moja miła, będę ci wtedy musiał przetrzepać skórę - powiedział z uśmiechem. Złapał ją za ramiona i potrząsnął lekko, aż na niego spojrzała.

- Zrobiłbyś to? - Nagle zabrakło jej tchu. - Naprawdę? - Niesamowite, pomyślał, czując przypływ pewności siebie. Czy tylko tyle było trzeba?

Gdyby był sam, kopnął by się w kostkę za to, że był tak ślepy. Dzięki Bogu, że książę dorzucił swoje pięć groszy.

- Oczywiście. Stłukłbym cię na kwaśne jabłko, gdybyś kiedykolwiek spojrzała na innego mężczyznę.

- Gdybyś mnie zbił, nie wyglądałabym ładnie.

Zdołał utrzymać groźną minę i obniżył głos do intymnego szeptu. - Nigdy nie godziłbym w twoją urodę, ale może dałbym ci klapsa w ten twój zgrabny tyłeczek. Wziąłbym cię na kolano, podciągnął

te twoje halki i... cóż, lepiej mnie nie kuś. - Patrzył, jak Konstancja oblizuje usta i dodał szybko: - Tak naprawdę, mógłbym to zrobić tylko dlatego, że tego pragnę. Byłaby to dla mnie ogromna przyjemność. Zobaczyłbym, jaka jesteś piękna, jak biała jest twoja skóra i jaka miękka.

Zarumieniła się. Otworzyła usta i patrzyła na niego tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Był geniuszem.

- Myślę, Connie, że weźmiemy ślub w sierpniu. Dzień po tym, jak skończysz siedemnaście lat. Nie mam zamiaru czekać dłużej.

Spojrzała na niego przeciągle, aż miał ochotę zerwać z niej ubrania i rzucić ją na porośniętą mchem darń. Dotknęła lekko jego policzka i skinęła głową.

Szybko przyciągnął ją do siebie i pocałował. Kiedy otworzyła usta, poczuł się panem. A to była dopiero pierwsza próba.

ROZDZIAŁ 33

Książę rozejrzał się po zatłoczonej bawialni. Gdzie, u diabła, jest Brandy? Cały dzień jej nie widział. Jaką tym razem prowadzi grę? Przyszło mu na myśl, że nie może się doczekać, co tym razem wymyśliła. Uwielbiał niespodzianki, a ona wciąż potrafiła go zaskakiwać. W bawialni nagle pojawił się promieniejący Bertrand i książę zapomniał na chwilę o zabawach ukochanej.

- Drogi przyjacielu - powiedział z uśmiechem - czy ten radosny wyraz twarzy oznacza, że zdobyłeś serce damy?

- Zgadza się. Ale proszę cię, nic nie mów. Chcę ogłosić nasze zaręczyny jak trzeba, przy kolacji.

Ian zdał sobie sprawę, że Bertrand patrzy na drzwi ponad jego ramieniem i ze zdumienia otwiera usta. - Mój Boże.

Odwrócił się i zobaczył, jak Brandy wdzięcznym krokiem wchodzi do bawialni. Jezu, pomyślał, tracąc dech i gapiąc się na nią jak głupi. Miała na sobie suknię z błękitnego aksamitu, którą jej przywiózł z Edynburga. Szła wyprostowana i dumna, stanik opinał jej przepiękne piersi, a włosy miała ułożone w wysoki kok, przepleciony wstążką w kolorze sukni. Dwa jasne loki opadały prowokująco na nagie ramiona. Był zachwycony tą metamorfozą. Ledwie mógł w nią uwierzyć. Rano dziewczyna, a teraz kobieta, i to piękniejsza niż każda inna. Miała rację, przedziałek zaczynał się przy samej szyi. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie jej oburzenie, kiedy wytknie jej to później wieczorem.

Z pewnym rozbawieniem zauważył, że wszyscy stracili na chwilę język w gębie.

Brandy znalazła jego oczy i wyprostowała się jeszcze na widok niemego zachwytu, który w nich zobaczyła.

Konstancji przywróciło mowę. - Brandy, co z sobą zrobiłaś? Jak ci się udało tak ułożyć włosy? Myślałam, że tylko umiesz pleść warkocze. No i twój dekolt. Nie wiedziałam, że masz takie... zresztą nieważne. Wyglądasz cudownie. Jesteś piękna, zupełnie inna niż wczoraj.

Lady Adela roześmiała się głośno. - Zamknijcie się wszyscy. Claude, ciebie to też dotyczy. Trzymaj jęzor za zębami i nie wybałuszaj tak oczu. Cóż, dziecko, przynajmniej już nie udajesz chuchra. Chodź tu. Pozwól, że ci się bliżej przyjrzę. Na Boga, wyglądasz dokładnie tak samo jak ja, kiedy byłam w twoim wieku.

- Na pewno nie - odezwał się książę. - Nigdy nie sięgnie takich wyżyn.

Bertrand, który długo żył w przekonaniu, że Konstancja jest znacznie bardziej dojrzała niż Brandy, przynajmniej pod względem fizycznym, zdołał wydusić z siebie: - Brandy, wyglądasz ślicznie. Sukienka, którą kupił ci Ian, pasuje idealnie, tak samo jak wszystko inne.

- To denerwujące - powiedział Claude. - Przed chwilą była dzieckiem, a teraz wygląda jak królowa. Nie wpływa to dobrze na moje zdrowie. Serce wali mi jak oszalałe, kiedy patrzę na te części, które zawsze miała zakryte.

Brandy kiwnęła głową i usiadła, nie u stóp lady Adeli, ale na krześle tuż obok. Wiedziała, że podniesie się wrzawa. Była śmiertelnie przerażona, ale kiedy weszła do bawialni i zobaczyła Iana, to wystarczyło. Była piękna. Całe jej ciało było piękne, nawet piersi. A więc serce wujka Claude'a wali jak oszalałe. Bardzo ciekawe. Uśmiechnęła się do ukochanego. Warto było, powiedziały jego oczy.

- A teraz, jeśli tylko przestaniesz obgryzać paznokcie, panienko... - powiedziała lady Adela i urwała. - Kiedy byłam w twoim wieku i wyglądałam nawet lepiej niż ty teraz, nigdy nie obgryzałam paznokci.

Tylko na Crabbem widok Brandy zdawał się nie robić wrażenia. - Obiad gotowy, wasza wysokość.

Książę wstał i podszedł do Brandy. - Czy mógłbym mieć ten zaszczyt, panno Robertson, i odprowadzić cię do stołu?

- Skoro tak grzecznie mnie prosisz, nie wypada mi powiedzieć nie.

- Cieszę się - powiedział i obniżył głos: - Mam nadzieję, że nigdy mi nie powiesz nie.

Jest cudownie przekorny, pomyślała. Och, jak bardzo go kocha.

Kiedy szli do jadalni odezwał się z zadumą: - Czyżbyś uznała, że nie miałem na ciebie wczoraj ochoty, że zdecydowałaś się tak zmienić wizerunek? Szczęściarz ze mnie, że mogę cię widzieć w tak cudownej sukni, jak też w równie cudownym naturalnym stroju.

- Dokładnie to samo myślałam o tobie. Kiedy pierwszego wieczora wpadłam do twojej sypialni i zobaczyłam cię nago, miałam wrażenie że pozujesz, puszysz się jak paw, i to specjalnie przede mną. Potem zobaczyłam cię w stroju wieczorowym. Jaki to był kontrast! Pomyśleć, że teraz mogę cię mieć i tak, i tak. Tak samo jak ty, uważam się za szczęściarę.

- Czyżbyś znów wystrychnęła mnie na dudka?

Obdarzyła go anielskim uśmiechem.

Odprowadził ją na miejsce i ruszył w stronę szczytu stołu. - Crabbe, przynieś kilka butelek szampana - zwrócił się szeptem do służącego.

Jak tylko Crabbe i Morąg opuścili jadalnię, Bertrand nie powstrzymywał się dłużej, odchrząknął i uśmiechnął się do Konstancji.

- Chciałbym powiedzieć, ojcze, lady Adelo, że pomimo waszego wiecznego wtrącania się moje sprawy i nieudanych prób swatania mnie, Konstancja zdołała mnie przekonać, że moim obowiązkiem jest sprostanie waszym życzeniom i poślubienie jej. Krótko mówiąc, zostanie moją żoną w sierpniu, jak tylko skończy siedemnaście lat. Ach, jestem posłusznym synem, godzę się na wszystko, aby tylko zadowolić rodzinę.

- Bertie - zawołała Connie. - Myślisz, że to takie zabawne?

- Niech się puszy - powiedziała Brandy. - Mężczyźni muszą się chwalić i puszyć. Robią się od tego więksi, jak pawie. Bardzo się cieszę z twojego powodu.

- Mówiłam ci kiedyś, Claude. - Lady Adela uśmiechnęła się szeroko - że to prędzej nasza mała Connie uwiedzie Bertranda, ale tak się nie stało. Dziwne.

Bertrandzie, cóż zrobiłeś z moją wnuczką?

- Chyba co dopiero z nią zrobi - odezwał się Claude i zarechotał. - Sądząc po jego wzroku, dziewczyna długo nie będzie w stanie chodzić jak trzeba.

Miejmy tylko nadzieję, że nasza mała Connie zdoła Bertiego utrzymać z dala od tej łajdaczki we wsi.

Bertrand jęknął. Niech diabli wezmą ojca i jego głupie uwagi. Spojrzał na Konstancję. Ku jego zdziwieniu dziewczyna odrzuciła w tył czarne loki i promieniała dumą, najwyraźniej zadowolona ze skandalicznego komentarza jego ojca.

- Nawet nie spojrzy na inną kobietę, wujku Claude, obiecuję - powiedziała, a Bertrand omal nie stracił języka w gębie. Mój Boże, dlaczego dopiero w sierpniu, pomyślał.

- A więc bierzecie ślub w sierpniu. - Lady Adela zmarszczyła czoło, po czym wydęła usta i powiedziała z typową dla siebie złośliwością: - Wydaje mi się, Claude, że Konstancja jest jeszcze zbyt młoda na małżeństwo. Zważywszy, że Bertrand może się zabawić we wsi, ślub może poczekać jakieś dwa, trzy lata.

- Babciu, kończę siedemnaście lat.

- Milady - powiedział łagodnie Bertrand, zastanawiając się, co tym razem starucha knuje - matka Konstancja miała ledwie szesnaście lat, kiedy wyszła za twojego syna.

- Złapałaś się we własne sidła, pani - powiedział książę.

Claude wydawał się zdezorientowany, jak gdyby dopiero wszedł do pokoju i nie rozumiał, o czym mówią pozostali. - Cóż to, milady, chcesz mieć chleb posmarowany po obu stronach?

- Tak, i w środku również - odezwała się Brandy.

- A ty lepiej trzymaj język za zębami, panienko. Przynajmniej nasza Konstancja zdobyła męża, a ty, moje dziecko, będziesz pewnie na moim garnuszku, aż zupełnie osiwieję. - Ku jej zdziwieniu Brandy uśmiechnęła się szeroko. Lady Adela zwróciła się do Bertranda: - A więc, mój chłopcze, wszystko sobie zaplanowałeś? Mogłabym wiedzieć, dlaczego nie poprosiłeś ani mnie, ani swojego ojca, zanim zacząłeś rozmawiać z moją małą Connie?

Co taka młódka może wiedzieć o mężczyznach? Tak, mój chłopcze, nie zachowałeś się właściwie.

Książę, który świetnie się bawił, powiedział: - Milady, chyba nie sądzisz, że Bertrandowi brakuje manier? Pozwól, że cię zapewnię, że zachował się właściwie. Zanim rozmawiał z Connie, prosił o moją zgodę.

- Twoją zgodę? - wrzasnęła lady Adela. - Kogo obchodzi twoja zgoda, drogi książę?

- Jak to? Przecież to ja jestem jej prawnym opiekunem, milady.

- Książę czy nie, jesteś bezczelny i wcale mi się to nie podoba. - Podniosła głowę i uśmiechnęła się przebiegle. - Skoro jesteś jej opiekunem, drogi książę, to powiedz, co zamierzasz dla niej zrobić? Chyba nie pozwolisz, by z pustymi rękami poszła do męża?

- Nie - odpowiedział książę głosem spokojnym jak morze tego wieczora. - Nie pozwolę. - Umilkł i spojrzał najpierw na Claude'a, a potem na Bertranda. - Wysłuchajcie mnie uważnie. Pamiętacie zapewne, że ktoś życzył mi śmierci.

Być może nadal życzy, bo trzeba zakładać, że coś, co miało miejsce ledwie dwa miesiące temu, jest nadal aktualne. Jednak jestem pewien, że ty, Bertrandzie, nie przyłożyłeś do tego ręki, ani ty, Claude.

Milczał przez chwilę, patrząc na pytające twarze siedzących przy stole.

- Nadal jestem zdania, że Anglik, nawet posiadający szkockich krewnych, nie powinien być panem tutejszego majątku czy nosić szkockiego tytułu. Myślę, że przez te kilka miesięcy lepiej zrozumiałem Szkocję, jej ludzi i tradycje.

Szkocka ziemia powinna mieć szkockiego pana. Dlatego, jak tylko sąd cofnie wydziedziczenie Claude'a i Bertranda, zamierzam przekazać im Penderleigh.

Zresztą, gdyby stary hrabia nie wydziedziczył Douglassa, ojca Claude'a, majątek i tytuł należałby dziś do nich. To właśnie, milady, jest częścią mojego posagu dla Konstancji. Pewnego dnia to ona zostanie hrabiną Penderleigh.

- To nad tym się zastanawiałeś podczas naszej porannej rozmowy. - Bertrand był tak zdumiony, że nie przychodziło mu nic innego do powiedzenia.

- Tak, częściowo.

- Niech mnie diabli! - Claude patrzył na księcia, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. - Niech mnie diabli. Mam wrażenie, że serce zaraz mi wyskoczy z piersi, bije mocniej, niż gdy patrzyłem na pier... to znaczy, na nasze dziewczęta. Niech mnie diabli!

- Wytłumacz się, wasza wysokość - wrzasnęła lady Adela. - Książę miał wrażenie, że zaraz rzuci w niego widelcem. Skąd u niej ta wściekłość?

Książę uniósł dłoń i uciszył gwar głosów. - Nie ma tu czego tłumaczyć, milady, poza tym, co już powiedziałem. Szkockie ziemie powinny należeć do Szkotów, tak samo jak angielskie do Anglików.

- Anglicy to drapieżne bestie, chciwe i żądne władzy - powiedziała Adela. - Anglicy nie oddają tak po prostu ziemi i tytułów.

Książę uśmiechnął się tylko. - Nie jestem Anglikiem czystej krwi, może to wyjaśnia sprawę.

- Ale to angielskie pieniądze wydźwignęły Penderleigh z kłopotów - powiedział Bertrand.

- Były potrzebne. Ale teraz nie brakuje wam surowców naturalnych i jestem przekonany, że Penderleigh, sprawnie zarządzane przez Bertranda, wypracuje ładny zysk.

- Będę hrabią Penderleigh - obwieścił nagle Claude. - Niech mnie diabli. Będę hrabią Penderleigh.

- A ty, Connie - uśmiechnął się Bertrand - pewnego dnia będziesz miała swoje piękne stroje, powozy i może nawet dom w Edynburgu.

- Będę hrabiną - powiedziała Konstancja. - Niech mnie diabli.

- Doskonale, wasza wysokość - powiedziała Brandy. Jej serce było tak pełne uczuć, że miała wrażenie, że zaraz pęknie.

- Twoja matka musiała zdradzać twojego ojca, Ian - powiedziała lady Adela. - Nie wierzę, że to po tym mięczaku odziedziczyłeś takie pomysły.

- Co takiego? Czwarty hrabia Portmaine mięczakiem? Będę musiał spytać o to matkę. Chociaż doskonale pamiętam ojca, zmarł, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Nie, milady, miał różne cechy charakteru, ale na pewno nie był mięczakiem.

- A jeśli - ciągnęła chytrze lady Adela - szkocki sąd nie zechce cofnąć wydziedziczenia?

Książę uśmiechnął się tylko. - Wierzę w twoje zdolności, milady. Oczywiście, jeśli to zadanie cię przerasta, sam mogę się nim zająć.

Czy ona nigdy się nie poddaje? Bawiła go niemal tak samo, jak wyprowadzała z równowagi. Musiało ją mocno zaboleć, że wyrwał całą władzę z jej rąk. Już myślał, że dała sobie spokój, kiedy odezwała się głosem tak kwaśnym, że mógłby wypalić całe srebro z zastawy: - Dobrze, mój drogi angielski książę, a co w takim razie zamierzasz zrobić z moją Brandy i Fioną? Zerwałeś zaręczyny z lady Felicity, przez co całkiem zrujnowałeś szanse Brandy na dobre zamążpójście. Biedna mała, nigdy stąd nie wyjedzie. Zawsze będzie troszczyć się o mnie, spełniać moje zachcianki, zawsze będzie moim ciężarem.

- No tak, to dopiero kłopot - powiedział Bertrand.

- Zamknij gębę, Bertie - odparła Adela. - No i co, drogi książę, kto jest teraz taki hojny? Co z

moimi dziewczętami? Co z Brandy, która ma już tyle lat, że jest prawie starą panną?

Brandy, która doskonale znała wszystkie sztuczki babki postanowiła się wtrącić. - Naprawdę jestem już starą panną?

- Cicho bądź, panienko. Jaką to świetlaną przyszłość zaplanowałeś dla nich?

- Myślę - odparł powoli książę, krzywiąc się na widok bezkształtnej masy na talerzu, która nagle nabrała nieapetycznego wyglądu - że jest coś, co mógłbym zrobić.

- Tak? Co takiego, do diabła? - Lady Adela wychyliła się tak daleko, że piękny szal z wełny Norwich niemal zamoczył się w sosjerce.

Książę westchnął. - Myślę - powiedział - że najlepiej będzie, jak ożenię się ze starą panną. A ponieważ jestem jej opiekunem prawnym, nie muszę się przynajmniej martwić, że mnie nie zechce. Tak, właśnie tak zrobię. Poświęcę się i wezmę starą pannę za żonę. Ciężko mi będzie, ale zrobię to, co słuszne i właściwe. Zrobię to, byś była zadowolona, lady Adelo.

- Ożenisz się z Brandy? - wrzasnęła, a szal wpadł do sosu. - Nie możesz się z nią żenić. Do diabła, to wcale nie jest śmieszne. Miałbyś żenić się z moją wnuczką?

- Ian, czy ty... - wtrącił się Bertrand.

- Brandy, to cudownie! Ja będę hrabianką, a ty księżną. Nasze salony staną się sławne, każdy będzie chciał się u nas pokazać. Wszystkie panie będą kopiować nasz styl. Wyobraź sobie tylko.

- Niech mnie diabli, i to dwukrotnie - odezwał się Claude. - Ale może jego wysokość tylko żartuje?

- Ależ skąd - powiedział książę. - A co do Fiony, damy jej jeszcze kilka lat na znalezienie męża. A oto i Crabbe z szampanem. Co za wyczucie, Crabbe.

- Nigdy dotąd nie piłam szampana - powiedziała Konstancja. - Dzisiaj będzie ten pierwszy raz.

Lady Adela posłusznie wzniosła toast za każde szczęśliwe wydarzenie, ale widać było, że nie jest zadowolona. Kiedy Claude'owi wyrwało się jeszcze jedno „niech mnie diabli, będę hrabią Penderleigh", odwróciła się do niego, odstawiając kieliszek tak gwałtownie, że delikatna nóżka poszła w drzazgi i powiedziała: - Zamknij się, ty głupcze. Jesteś taki sam jak stary Angus, który zawsze chwalił się, że jest panem zamku, kiedy w rzeczywistości prawda była zupełnie gdzie indziej. Wiesz doskonale, że to ja byłam zawsze i panią, i panem Penderleigh. Wyjazd księcia tego nie zmieni. To ja będę nadawała ton, a ty będziesz tańczył, jak ci zagram.

A więc doszło do konfrontacji, pomyślał książę, patrząc na Claude'a. To dopiero interesujące. Miał nadzieję, że Claude go nie zawiedzie. I rzeczywiście.

Stary wyprostował się, nabrał dostojnego wyglądu i powiedział chłodno: - Zawsze byłaś wiedźmą spragnioną władzy, milady. Stary Angus pozwalał na twoje sztuczki, na to, byś trzymała nas krótko i rozstawiała po kątach. Teraz jednak jesteś zaledwie wdową po zmarłym panu tej posiadłości i dlatego uważam, że najlepszym miejscem dla ciebie będzie domek gościnny.

Twarz Adeli nabrała purpurowego koloru, Ian chętnie nagrodziłby Claude'a oklaskami, gdyby nie obawa, że staruszka na miejscu wyzionie ducha. - Sama mi mówiłaś, milady - ciągnął cicho Claude - że przyszedł czas, by naprawić dawne błędy. Książę w wielu sprawach cię wyręczył. I jeśli postąpisz wbrew jego życzeniom, nie zostanie ci zupełnie nic.

Bertrand wyprostował się w krześle i utkwił wzrok w Adeli. - Powiesz nam teraz o dziadku Douglassie? Powiesz nam, dlaczego stary hrabia go nagle wydziedziczył?

ROZDZIAŁ 34

- Tak, pani - powiedział Claude. - Już czas, byś powiedziała prawdę.

Nienawidzę tajemnic, które sączyły mury tego zamku i moje serce. No już, opowiadaj. Jeśli tego nie zrobisz, zrobię to ja. Tak naprawdę, gdyby nie ty i twoja niekontrolowana...

- Zamknij się, Claude. - Lady Adela opadła na krzesło, zamykając oczy. - Zrzęda z ciebie. Radziłam Douglassowi, żeby nigdy nie mówił ci prawdy, że źle się to skończy. Widzę, że miałam rację.

- Moim zdaniem skończyło się bardzo dobrze - powiedział Bertrand. - Wszystko będzie tak, jak być powinno. Porządek dziedziczenia został przywrócony. Powiedz mi, ojcze, dlaczego nas wydziedziczono. Nie chcę, żebyś z tym zwlekał do chwili, gdy będziesz na łożu śmierci.

- Tak. - Brandy wyprostowała się i położyła łokcie na stole. - Powiedz nam, wujku Claude. A jeśli porazi cię piorun i nikt z nas nie dowie się nigdy prawdy?

Lady Adela chwyciła kurczowo stłuczony kieliszek, nie odrywając od niego wzroku. - Nie, Claude, ani mi się waż. Nie wiesz wszystkiego. Powiem wam sama. Jak wiecie, Douglass, jako najstarszy syn, miał odziedziczyć tytuł i majątek. Byłam wtedy młoda, a Douglass był prawdziwym mężczyzną, w przeciwieństwie do swego młodszego brata, słabego, pyszałkowatego Angusa. Zostaliśmy kochankami i wszystko było pięknie, aż stary hrabia nie złapał nas na strychu. Miał straszny temperament; pobił Douglassa do nieprzytomności i jeszcze tego samego dnia wydziedziczył jego i wszystkich jego potomków. Angus, ten nadęty bałwan, nigdy nie dowiedział się dlaczego. Hrabia uznał, że dostałam lekcję. Nie chciał, by Angus kiedykolwiek się dowiedział, że żona go zdradzała.

- Ojciec powiedział mi o tym na łożu śmierci - powiedział Claude. - Oboje byliście już starzy i ledwo mu uwierzyłem. Patrzyłem na ciebie i nie mogłem uwierzyć, że jakiś mężczyzna mógłby chcieć się z tobą kochać. Ale to prawda.

Książę, któremu zrobiło się żal Adeli, postanowił się wtrącić: - Może powinienem uważniej spojrzeć na przodków Brandy. Kto wie, z czyjego nasienia powstała?

Osiągnął zamierzony efekt. Adela podniosła głowę, a w jej oczach znów pojawił się ogień. - Uważaj na słowa, drogi książę. I w twojej szafie znajdą się brudy.

- Nie chcę słyszeć o żadnych brudach - powiedział Claude ostro. - Douglass ożenił się, a ja byłem synem z prawego łoża.

- Wasza wysokość - odezwała się Brandy - przejdźmy może do bawialni.

Connie zagra na pianoli, a wszyscy się uspokoją. Wrócą do równowagi.

- Niech mnie diabli - powtórzył Claude po raz dziesiąty tego wieczora.

Adela w końcu wróciła do siebie, Ian słyszał, jak zaciera kościste ręce i mówi: - Hrabina i księżna, całkiem nieźle. Właściwie zatroszczyłam się o moje dziewczęta. Z Fioną będzie podobnie.

Ian odprowadził Brandy pod drzwi jej sypialni, otworzył drzwi, popchnął ją lekko do środka i powiedział z wielkim żalem: - W sobotę. - I dodał cierpiącym tonem: - Mogę poczekać do soboty.

- A czy moje zdanie się nie liczy?

- Nie. Idź do łóżka. Sama. Cicho. Pocałuj mnie jeszcze raz.

- Gratulacje, wasza wysokość, jeśli można. - Fraser uśmiechnął się do Iana i zasalutował szpadlem jak zwykle.

- Dziękuję, Fraser. Czy Bertrand jest gdzieś w pobliżu? A może ślini się, rozmyślając o swej przyszłej żonie?

- Je lunch, wasza wysokość. Pewnie również się ślini, jak sądzę. Od czasu do czasu podnosi widelec i o nim zapomina, uśmiechając się jak wariat. A co do pana Claude'a, to chyba łatwo zgadnąć, że nie spał wiele ubiegłej nocy. Pan Bertrand mówił, że siedział całą noc przed kominkiem, mruczał pod nosem, że będzie hrabią Penderleigh, klepał się po kolanie i powtarzał coś na temat zawiłych ścieżek losu.

Ian zaśmiał się. Fraser zaprowadził go do saloniku. Bertrand siedział bez ruchu przed nietkniętym talerzem i gapił się na wypielęgnowany przez Frasera ogród. Na dźwięk kroków podniósł głowę i uśmiechnął się do księcia.

- Witaj, Ian, jak miło cię widzieć. Fraser, przynieś jego wysokości swoje cudowne bułeczki i dżem truskawkowy. Podobnie jak ja, książę musi dbać o swoje siły. Ciężkie czasy przed nami.

Książę usiadł przy okrągłym stole, naprzeciwko Bertranda. Kiedy Fraser opuścił salonik, powiedział: - Cięższe, niż ci się wydaje, Bertrandzie. Dlatego tu właśnie jestem. Jak w Szkocji załatwia się pozwolenie na ślub? Bertrand uniósł brew ze zdumienia. - Nie miałem pojęcia, że tak ci spieszno.

- Nie chcę, by Brandy miała czas, by się rozmyślić. Trzeba też znaleźć księdza.

- Bułeczki, wasza wysokość - powiedział Fraser, dotykając jego łokcia. Książę kiwnął głową i milczał, dopóki służący nie zostawił ich samych.

- Wiesz, że dziś przyjeżdżają Percy i Joanna. Może poprosisz ich księdza? - Potrząsnął głową. - Nie mogę doczekać się widoku miny Percy'ego.

- A mnie się wydaje, że będzie się starał dobrze wypaść, zwłaszcza przy narzeczonej. To dla niego ważne. Tak, będzie miły i uprzejmy.

- Tak? O co chodzi, Fraser? - Bertrand odwrócił się na krześle.

Fraser miał marsową minę. - Nie jestem pewien. Mały Albie przyniósł wiadomość dla jego wysokości.

- Podał księciu złożoną kartę papieru.

- Co, u diabła? - Ian wziął papier z ręki służącego i rozłożył na stole.

Przeczytał nabazgrane słowa, przeczytał jeszcze raz, nie wierząc własnym oczom.

...jeśli chcesz zobaczyć Brandy żywą, przyjdź sam i bez broni do opuszczonej drewnianej stodoły, leżącej na zachód od głównej drogi prowadzącej wzdłuż klifu...

- Fraser, biegnij po małego Albiego. Natychmiast.

- Dobrze, wasza wysokość.

- Dobry Boże, Ian, co się stało? Co jest w tym liście?

Ian kręcił głową, kiedy mały Albie, przebierając wielkimi stopami, pojawił się w salonie.

Książę podniósł zwinięty papier. - Skąd to masz?

Mały Albie zamarł na dźwięk ostrego głosu księcia i rzucił gorączkowe spojrzenie w stronę

Bertranda.

- Szybko, Albie. Kto ci dał ten list?

- Miał zasłoniętą twarz aż po uszy. Powiedział, że sprawa jest niezwykle pilna i że jego wysokość chce dostać list bardziej niż szatan duszę.

- Ian, na Boga.

- Wybacz, Bertrandzie. - Książę ruszył szybkim krokiem do drzwi. - Nie mów nikomu o całej sprawie. Wkrótce do ciebie wrócę, miejmy nadzieję.

Wybiegł, trzaskając drzwiami. Pobiegł do sypialni, minąwszy po drodze zdumionego Mableya, złapał inkrustowany kością słoniową pistolet i wetknął go za cholewkę wysokiego buta. Pomyślał, że musi zachować teraz spokój, choć przed oczami nieustannie widział nabazgrane słowa: „...jeśli chcesz zobaczyć Brandy żywą...” To musiał być szaleniec, szkocki szaleniec. Na pewno któryś z Robertsonów. Ale który? Nie pojmował. Dziesięć minut później założył Herkulesowi uprząż, dopiął popręg, wskoczył na siodło i spiął konia łydkami.

Herkules parsknął i stanął dęba. Uspokoił się po chwili i wylądował na czterech kopytach, wciąż poganiany przez swego pana. Rzucił się galopem na oślep, a Ian skierował go na drogę prowadzącą wzdłuż klifu.

Brandy poczuła, że coś ostrego wbija się jej w policzek i powoli otworzyła oczy. Jęknęła - pulsujący ból rozrywał jej skroń, przez chwilę nie była w stanie myśleć. Ból w końcu minął, a ona delikatnie pomacała głowę. Odkryła, że to wystające źdźbła słomy tak ją kłują. - Myślałem, że cię zabiłem.

Spojrzała skąd dobiegał ten niski, chłodny i bardzo angielski głos. Giles Braidston siedział tuż obok na snopku słomy, trzymając pistolet w dłoni.

- Giles? Co tu robisz? Co ty mówisz?

- Jesteś bystrą dziewuszką, Brandy. Zastanów się.

Patrzyła na niego, próbując się skupić i zapomnieć o bólu rozrywającym jej czaszkę. Powiedziała powoli: - Stałam nad brzegiem klifu, patrzyłam, jak Fiona bawi się na plaży i... - Potarła ręką skroń. - Potem coś usłyszałam, jakiś dźwięk, który tam nie pasował. Odwróciłam się, ale za wolno. Ktoś uderzył mnie kamieniem w głowę. Potem nic już nie pamiętam.

- Uderzyłem cię kolbą pistoletu.

Spojrzała mu prosto w oczy. - Jacy wszyscy byliśmy głupi. - Zdziwiła się na dźwięk własnego głosu, który był zadziwiająco chłodny. - Jak ślepi.

- Może. Ja wolę myśleć, że to mój plan był tak doskonały. Jak sama mówisz, nikt w Szkocji nie podejrzewałby Anglika, a tym bardziej kuzyna księcia.

- Wtedy na plaży to byłeś ty, Giles. To ty strzeliłeś Ianowi w plecy.

- Owszem, i gdybyś ty się nie wtrąciła, byłbym dzisiaj księciem Portmaine.

Strasznie mnie zirytowałaś, rzucając się na niego i przykrywając go swoim ciałem. Nie mogłem właściwie wymierzyć. Nie mogłem strzelać do ciebie, bo byłbym wtedy w kręgu podejrzanych. Żaden z cholernych Robertsonów nie zabiłby drugiego.

Rozejrzała się dookoła, pojmując natychmiast, gdzie się znajduje. - A więc, Giles, mam być twoją przynętą?

- Zgadza się. Świetny pomysł, prawda? Jestem pewien, że Ian pędzi teraz jak szalony, żeby się do ciebie dostać. Nie uda mu się. Nie może się udać. Nasz cudowny książę wkrótce pożegna się ze swoim pięknym życiem.

ROZDZIAŁ 35

Giles nagle wstał, przytknął ucho do wrót i powiedział: - Ach, jest i nasz bohater. Przybył ratować damę swego serca.

Brandy obróciła się, próbując usiąść. Dzikim wzrokiem spojrzała na wrota i krzyknęła: - Ian, nie wchodź! Giles cię zabije! Zawracaj! - Patrzyła z niemym smutkiem, kiedy książę jednym kopnięciem wyważył wrota i wturlał się do środka, uskakując natychmiast do ciemnego kąta. Podniósł się z klęczek i zamrugał gwałtownie, by przyzwyczaić oczy do panujących ciemności. Giles zawołał: - Nie, drogi książę, wiem, że masz broń. Tylko spróbuj jej użyć, to zabiję Brandy. Widzisz, przystawiłem pistolet do jej skroni. Rzuć broń w moim kierunku.

Ian poczuł ciężar porażki. Mrok starej stodoły dosłownie go oślepił. Patrzył na kuzyna. Giles, pomyślał, cały czas to był Giles. Jego własny kuzyn. Nie żaden Robertson, ale inny Anglik, kuzyn i oficjalny spadkobierca. - Zrobiłem to, o co prosisz. A teraz zabierz pistolet od jej głowy.

Giles opuścił rękę.

- Brandy, czy wszystko w porządku? - zawołał Ian. Siedziała skrępowana przy stercie gnijącego siana. Giles stał tuż obok, trzymając pistolet w wyciągniętej dłoni.

- Tak. Nie powinieneś był tu przychodzić.

- Nie bądź niemądra, Brandy. Sprytnie z twojej strony, Giles. Sądziłem, że znajdę tu Percy'ego. Myślałem, że chce mnie zabić, abym nie mógł oddać majątku w ręce Claude'a i Bertranda.

- No widzisz. - Giles ukłonił się lekko. - Muszę przyznać, że nawet mi się udało. Ale z drugiej strony, gdybyś umarł za pierwszym razem, zaoszczędziłbyś mi dużo trudu.

- Dlaczego, Giles?

- Nie cierpię tej twojej szczerości, ale jeśli chcesz wiedzieć, to przyznaję, jestem chciwy. Nigdy mi nie pasowało, że jestem zaledwie panem Gilesem Braidston. Nienawidziłem cię od chwili, gdy opuściłem matczyne łono. Już wtedy musiałem zdawać sobie sprawę, że ty wygrałeś, a ja byłem przegranym. Ty zostaniesz księciem Portmaine, a ja nikim.

Ian instynktownie grał na czas. - Między nami są ledwie dwa lata różnicy. Całe życie wiedziałeś, że prędzej czy później czeka mnie ten tytuł. Nienawidziłeś mnie? Z pewnością nie dałem ci powodu. Nigdy nie patrzyłem na ciebie z góry. Dostajesz całkiem przyzwoitą pensję. Możesz mieć prawie wszystko, czego zapragniesz. Prowadzisz życie dżentelmena z wyższej sfery.

- Marność, Ian, to wszystko marność. Nie pamiętam dnia, kiedy nie tonąłbym po uszy w długach. To, że jestem twoim oficjalnym spadkobiercą ratowało mnie jedynie przed bardziej natrętnymi wierzycielami. Nie, Ian, to ja powinienem być księciem Portmaine, nie ty. Słyszałem, że oddałeś Penderleigh. Oczywiście, będę musiał cofnąć twoją decyzję. Nawet jeśli Adela ośmieli się przywrócić prawo do dziedziczenia temu staremu głupcowi, twój majątek będzie w moich rękach i jej manipulacje na nic się nie zdadzą. Prawdziwy książę nie oddaje czegoś, co mu się słusznie należy.

Jesteś głupcem, Ian.

Ian wiedział, że musi zachować spokój i nie okazywać niedowierzania czy złości. - Nie nastawałeś na moje życie, kiedy żeniłem się z Mariannę, Giles. Przecież gdyby nie zginęła, w ciągu roku pewnie urodziłby się dziedzic.

- Mój drogi kuzynie - powiedział Giles łagodnie - pamiętasz, ile czasu spędzałem z twoją młodą żoną? Jak wiesz, byliśmy w tym samym wieku.

Bała się ciebie, więc nie musiałem zadać sobie wiele trudu, żeby obdarzyła mnie zaufaniem. Zawsze zastanawiałeś się, co sprawiło, że nagle nabrała odwagi i wyruszyła sama do Francji, prawda? Przeklinałeś sam siebie, że nie zdobyłeś jej zaufania i nie uratowałeś jej przed gilotyną. Pewnego popołudnia, kiedy byłeś w klubie, złożyłem jej wizytę. Ku swojemu zaskoczeniu dowiedziałem się, że sir William Dacre właśnie jej powiedział, że jest w ciąży. Musiałem działać szybko. Kilka godzin później podrzuciłem jej spreparowany list, napisany w wielkim pośpiechu przez jej szacownych rodziców, hrabiego i hrabinę de Vaux, w którym błagali ją, by przyjechała do Francji i wstawiła się za nimi przed trybunałem Robespierre'a. Byłem wielce elokwentny i w końcu zdołałem ją przekonać, że jeśli dowiesz się, że nosi w brzuchu twojego potomka, nigdy nie zgodzisz się na jej wyjazd. Poprosiła mnie o pomoc. Pojechałem z nią, a ona w Paryżu wyznała mi ze łzami w oczach, że zostawiła ci list. Myślałem, że jest już po mnie, ale powiedziała mi, że nie wymieniła mojego imienia z obawy, że to mnie będziesz winił.

Zrobiłem więc to, do czego byłem zmuszony. Wysłałem list do komisji obywatelskiej, informując, gdzie zatrzymała się Mariannę i godzinę później byłem już na statku pocztowym do Londynu. Dopiero później się dowiedziałem, że jej rodzice zostali ścięci tydzień wcześniej. Ironia losu, prawda? No a potem i ona poszła na szafot.

Książę nie mógł w to uwierzyć, przynajmniej nie od razu.

To Giles wysłał Mariannę na śmierć. Można powiedzieć, że własnoręcznie spuścił ostrze na jej szyję. Był mordercą, Ian chciał się na niego rzucić, udusić go gołymi rękoma. Nie zdołał powstrzymać furii, chociaż chłodna, racjonalna część jego mózgu mówiła mu, że powinien się opanować. - Ty podły bydlaku!

Mariannę była czysta jak łza. Nigdy w życiu nie wyrządziła nikomu najmniejszej krzywdy. A ty ją zabiłeś. I za to zginiesz.

- Chciałbyś. Nie ruszaj się, bo zabiję Brandy, przysięgam. Zastanów się. Wiesz doskonale, że nie miałem innego wyboru. Gdyby urodziła syna, moje nadzieje na zostanie księciem Portmaine ległyby w gruzach. Nie opędziłbym się od wierzycieli, przyjaciele odwróciliby się ode mnie. Mówiąc krótko, niczym nie mógłbym nikomu zaimponować.

Brandy widziała, że Ian jest wściekły, że drżą mu ręce. Chciała zyskać na czasie i odciągnąć od niego uwagę. - A co z Felicity? - zwróciła się do Gilesa. - Miała zostać jego żoną, a nie chciałeś jej zabić. To Ian był twoim celem.

Giles spojrzał na nią, ale tylko przez chwilę. - Mówiłem ci już, Brandy, wyjazd Iana do Szkocji był okazją, której nie mogłem przegapić. Wiadomo było, że podejrzenia skupią się na Robertsonach. Muszę też przyznać, że Felicity okazała się zupełnie inną kobietą niż Mariannę. To chciwa, wyrachowana jędza. Miałeś dużo szczęścia, że zdołałeś się od niej uwolnić. Muszę przyznać, że musiałem się nad nią sporo napracować, bo była bardzo zdeterminowana, żeby zostać księżną Portmaine.

- Te wszystkie przytyki do niej i do mnie - powiedział powoli książę. - Sądziłem, że w ten

sposób chcesz mnie ostrzec, chronić. A tu chodziło o coś innego. Straszyłeś ją. Kierując rozmowę na dzieci, chciałeś jej mnie obrzydzić i skłonić do zerwania zaręczyn.

- Doskonale, książę. Już niemal pożegnałem się z nadzieją, że się jej pozbędę, kiedy twój upór i despotyzm, jej nienawiść do Robertsonów, Brandy i Szkocja sprawiły, że czara się przepełniła. W drodze do Londynu świetnie się bawiłem. Twoje pieniądze otwierały nam wszystkie wrota, a ja nie musiałem się martwić tą suką.

- Podsycałeś jej zazdrość o Brandy, prawda, Giles? To ty ją skłoniłeś do przyjazdu tutaj, przez ciebie zaczęła wątpić w mój honor?

- Oczywiście. Nawet spotkałem się z jej matką, kolejną suką, by udzielić jej paru rad. Liścik, który mi zostawiłeś wyjeżdżając z Londynu, to był dla mnie szok. Pisałeś, że chcesz się ożenić z Brandy. Nie domyśliłem się, a powinienem był. Ciekaw jestem, jakie to było uczucie, przebywać pod jednym dachem i z narzeczoną i z kochanką?

- Ian, nie rób tego. - Wyciągnęła rękę, a Ian zamarł. Giles zrobił szybki krok w tył i znalazł się ledwie kilka metr przed nią. Ogarnął ją chorobliwy spokój.

Zdawała sobie sprawę, że gdy tylko skończy swoje przechwałki, zabije ich oboje. Głos niemal do niej nie docierał, gorączkowo rozglądała się za czymś, co mogłoby posłużyć za broń. Już chciała się na niego rzucić, kiedy zauważyła, że ze sterty gnijącego siana wystaje drewniane stylisko wideł. Cal po calu przesuwała się w tę stronę, aż dotknęła go czubkiem buta.

- Zapewne zdajesz sobie sprawę, Ian - powiedział Giles - że nie mogę się zgodzić, aby Brandy została twoją żoną. Szkoda, że musiało do tego dojść, ale nie mogę postąpić inaczej. To obrzydliwe, przyznaję, bo tak naprawdę wcale nie chcę jej zabijać. Niestety, kiedy wysłałem ci liścik, jej los był już przypieczętowany.

Ian widział, że Brandy cofa się powoli za plecami Gilesa. Gdyby tylko zdołał odwrócić jego uwagę, chociaż na chwilę.

- Wystarczy tych wyjaśnień. Czeka mnie długa droga. Będę już dawno w Londynie, kiedy wiadomość o twej tragicznej śmierci z rąk szkockiego Robertsona dojdzie do moich uszu. Ależ narobię hałasu. Będę wrzeszczał na całą Izbę Lordów, że mój szacowny kuzyn został zamordowany przez dzikusa. Kto wie, co potem? Być może po Penderleigh zostanie kamień na kamieniu, a Robertsonowie zostaną wywiezieni do Anglii?

Ian widział kątem oka, jak Brandy stara się wyciągnąć widły. Jeśli Giles zobaczy, będzie po niej. - Teraz ci wierzę, Giles - powiedział szybko. - Nienawidzisz mnie. Byłem ślepy. Śmiałeś się ze mnie, kiedy kazałem mojemu sekretarzowi regulować twoje rachunki? A może przez to nienawidziłeś mnie jeszcze bardziej?

- Oczywiście, że tak. A jak ty byś się czuł?

- Stworzyłeś ten plan, kiedy po raz pierwszy usłyszałeś o moim szkockim spadku?

- Nie od razu. Wystarczy, Ian. Nie jestem całkowicie pozbawiony uczuć.

Zakładam, że ty chcesz umrzeć pierwszy. Bardzo mi przykro, kuzynie, ale muszę się z tobą pożegnać.

- Nie! - wrzasnęła Brandy, podnosząc w górę widły. Zamachnęła się szeroko i z całej siły uderzyła Gilesa w plecy. Odwrócił się szybko i kolbą pistoletu zdzielił ją w policzek. Upadła na ziemię, Ian rzucił się z wściekłością na kuzyna, złapał go za ramię i przez chwilę zmagali się, ciężko dysząc. Giles robił wszystko, by obrócić pistolet w stronę piersi księcia, lecz osłabł pod żelaznym uściskiem i za wszelką cenę próbował się uwolnić. Cofnął się o kilka kroków, pociągając za sobą

Iana. Ten, nie widząc, nadepnął na leżące na ziemi widły, które odbiły do góry i odtrąciły jego rękę. Giles wykorzystał sytuację, uderzył przeciwnika pięścią w brzuch i odskoczył, mierząc prosto w głowę.

- Wystarczy, panie Braidston!

Giles usłyszał komendę jak przez mgłę. Zdążył poprawić palec na cynglu, kiedy w jego uszach rozległ się potworny huk.

Ian patrzył w zdumieniu, jak twarz Gilesa wykrzywia grymas zaskoczenia, a on sam pada na ziemię jak kłoda.

- Wszystko w porządku, wasza wysokość?

Ian spojrzał na obcego mężczyznę ze zdziwieniem, przez moment nie znajdując słów. - Uratowałeś nam życie, dobry człowieku. Kim jesteś, u diabła?

- Nazywam się Scroggins, wasza wysokość. - Mężczyzna odłożył dymiący jeszcze pistolet i pomógł księciu wstać. - Panienka wynajęła mnie dwa miesiące temu, żebym pana ochraniał. Wasza wysokość dostarczył mi sporo pracy, najpierw nocne wędrówki po Londynie, potem nagły wyjazd do Szkocji. Zawsze chciałem tu przyjechać. I co my tu mamy? To tu było centrum wydarzeń, a nie w domu.

- Po to te dwieście funtów.

Brandy podniosła się na łokciu. Uderzenie sprawiło, że wciąż widziała niewyraźnie, ale uśmiechnęła się. - Ian, ze mną wszystko w porządku, naprawdę. Dziękuję panu, panie Scroggins. Zrobił pan wszystko, co trzeba i nawet więcej. Uratował nam pan życie.

Ian ukląkł i ujął jej podbródek. Delikatnie pomacał linię szczęki i uśmiechnął się. - Nie jest złamana, dzięki Bogu. Ale na ślubie wciąż będą sińce. - Obrócił się i spojrzał na ciało Gilesa. - Nie żyje?

- Owszem, wasza wysokość. Nie mogłem ryzykować, że tylko go zranię, bo wtedy mógłby pana postrzelić. A to pan jest moim klientem.

- Wielkie dzięki, Scroggins.

Scroggins zachichotał. - Przyznam się szczerze, już zacząłem się zastanawiać, czy panience coś się nie pokręciło. Ale praca, to praca, nawet jeśli trzeba włóczyć się po całej Anglii. Spojrzał na leżące ciało i zmarszczył czoło. - Podstępny jegomość. Omal nie dałem się zwieść. Przyznaję to otwarcie, chociaż jestem najlepszy. Wiedziałem, że coś się święci, kiedy pognał pan na grzbiecie tej czarnej bestii, ciskając wzrokiem pioruny.

Ian spojrzał po raz ostatni na Gilesa. Brandy wzięła go za ramię. - Chodźmy stąd.

- Ja się nim zajmę, wasza wysokość. Proszę się lepiej zająć panienką.

- Sprawę prowadził tutejszy sędzia. Nazywa się Trevor. Zaraz ci przyślę kogoś z zamku do pomocy. - Ian ujął Brandy za łokieć i podpierając ją, wyprowadził ze stodoły. Świeciło mocne, popołudniowe słońce, a na niebie nie widać było nawet jednej chmurki, Ian nabrał głęboko tchu. Nigdy życie nie wydawało mu się tak cenne, a jednocześnie tak kruche.

- Tyle ci zawdzięczam, Brandy. Również to, że żyję. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek wydatek dwustu funtów zwrócił się z taką nawiązką.

- Nie wiedziałam, kto to jest. O wszystko zatroszczył się MacPherson, informując mnie z dumą, że udało mu się zwerbować byłego biegacza. - Umilkła na moment, patrząc na jego profil. - Wybacz, że nie mówiłam ci prawdy, ale gdybym to zrobiła, zirytowałbyś się tylko, twierdząc, że nic ci nie grozi. Jesteś dumny, Ian, i dlatego wolałam to zachować dla siebie. Od razu wysłałbyś go do domu,

nie mam racji?

Wielce prawdopodobne, pomyślał ponuro. To z powodu tej dumy omal nie zginął. Chłód przeszedł go na samą myśl. - Możliwe - powiedział. Tylko tyle był w stanie przyznać. - Jak się czujesz? - Pocałował ją w usta i mocno przytulił.

- Jakby mnie ktoś zbyt często bił po głowie. Nawet małżeństwo nie może być gorsze niż to, przez co przeszliśmy.

- Mam taką nadzieję. Ale teraz, kiedy cię widzę w świetle dziennym, jestem pewny, że sińce nie znikną do soboty. Wszyscy uznają mnie za brutala, który nie jest ciebie godny.

- Ian, tak mi przykro z powodu Mariannę. Przez moment nie mógł wydusić z siebie słowa.

Mimo że Giles zapłacił za to swoim życiem, Ian i tak uważał, że to mało. Tyle nieszczęść, a wszystko przez chciwość jednego człowieka. - Dziękuję, Brandy - powiedział. Podniósł ją i posadził w siodle. - Jedziemy do domu.

ROZDZIAŁ 30

Danvers, od dobrych trzydziestu pięciu wiosen pierwszy lokaj w Carmichael Hall, wyglądał przez okno saloniku na pałacowy trawnik, po którym chodziły dwa skrzeczące pawie. Był to samiec i samica - katastrofa, jak Danvers mówił od początku. Samiec po prostu nie chciał zostawić samicy w spokoju. W tej chwili rozłożył ogon, popisując się feerią barw. Potem zaczął gonić samicę, która schowała się za jednym z wiązów na obrzeżu starodrzewu.

Danvers słyszał, jak jego wysokość woła na samca Percy. Jego wysokość powiedział melancholijnie, że nie ma pojęcia, jak nazwać samicę, ale wystarczy, że miał jeden dobry pomysł. Jej wysokość dała mu wtedy kuksańca. Mimo to Danvers chętnie zobaczyłby pawia Percy'ego, przeklętego fanfarona, w garnku kucharki.

- Ani chwili spokoju - powiedział do pani Osmington, niezwykle energicznej gospodyni księcia. - Nie byłbym zdziwiony, gdyby doktor Mulhouse dał im te pawie w prezencie ślubnym dlatego, że jej wysokość powiedziała, że Anglii brakuje szkockich kolorów. Moim zdaniem, te napuszone krzykacze tylko wystraszą nam sarny.

- Cóż, musi pan wiedzieć, panie Danvers - powiedziała pani Osmington, dotykając bezwiednie pęku kluczy u pasa - słyszałam, jak jej wysokość śmieje się wesoło, mówiąc, że chodziło jej raczej o wrzosy, a nie pawie.

Danvers jęknął i odwrócił się od okna. Z kieszeni ciemnego surduta wyciągnął duży, okrągły zegarek. - Doktor Mulhouse jest już od godziny u jej wysokości. Mam nadzieję, że z dzieckiem wszystko w porządku.

Pani Osmington kiwnęła głową w ptasim geście. - Przynajmniej jej wysokość, bardzo rozsądnie moim zdaniem, zdaje sobie sprawę ze swojego stanu i nie szaleje konno po całym hrabstwie jak lady Dorrington, która nabawiła się komplikacji tylko dlatego. - Zatrzymała się z rozdrażnieniem. - Ma pan świętą rację, panie Danvers. To trwa bardzo długo, już prawie pora obiadu. Muszę powiedzieć kucharce, że pewnie będziemy mieć dodatkową osobę przy stole.

Dokładnie w tej chwili doktor Edward Mulhouse gorączkowo szukał w swojej głowie czegoś, co pozwoli się żonie księcia odprężyć. Była sztywna jak deska, zamknęła oczy i zacisnęła dłonie w pięści. Jasne było, że jest skrępowana, zawstydzona i że gdyby Ian nie uparł się przy tym badaniu, nigdy nie pozwoliłaby Edwardowi zbliżyć się nawet na odległość dwóch pokojów.

Powiedział najłagodniej, jak umiał: - Już dobrze, Brandy. Odebrałem w swoim życiu ponad dwieście porodów. Proszę cię, nie wstydź się. Odpręż się.

Nic się nie zmieniło. Edward spojrzał na księcia. Zaczynał się czuć nie na miejscu, tak samo jak ona, skrępowana.

Książę uśmiechnął się przekornie i powiedział tonem prawdziwego despoty: - Brandy, jeśli się nie rozluźnisz, wleję ci do gardła brandy, aż zaczniesz chichotać i zachowywać się jak w środę

wieczorem. Pamiętasz, jak...

- Ian, nie waż się nawet. - Otworzyła oczy, zaciskając mocniej pięści.

Wyglądała, jakby zaraz miała skoczyć na niego i go uderzyć.

Uśmiechnął się jak kajający się grzesznik. - Daj spokój, pozwól Edwardowi, by wykonał swoją pracę. Uważnie się mu przyglądam. Nie musisz się obawiać, że zrobi coś niestosownego. Wie doskonale, że gdyby to zrobił, stłukłbym go na kwaśne jabłko. A potem zakopałbym go wśród petunii. A na grządce z petuniami wypasałbym kozy.

Zaśmiała się. - To wcale nie jest śmieszne, Ian. Śmieję się tylko dlatego - urwała. - A, zresztą nieważne. Pożałujesz, że powiedziałeś to, co powiedziałeś przy Edwardzie.

- Pozwól, by wykonał swoją pracę - powtórzył książę. Przyciągnął krzesło do łóżka i wziął żonę za rękę. - Już. Edwardzie, rób co do ciebie należy.

- Brandy, rozluźnij mięśnie. Tak, już lepiej. O, dzieciątko mnie kopnęło. - Uśmiechnął się kładąc rękę na rosnącym wciąż brzuchu. - Ruchliwe maleństwo, mam wrażenie, że się kręci jak koło u wozu.

- To maleństwo to mały brutal - powiedział Ian. - Okazywałem żonie trochę czułości dziś rano, kiedy wystawił na mnie nogę. Wiem, że to była noga, chociaż Brandy twierdzi, że głowa. Nie sądzę, powiedziałem jej, książęta Portmaine mają duże stopy. - Świetnie, pomyślał, udało mi się odwrócić jej uwagę. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli go po tym wszystkim nie zastrzeli. - Tak, tak - dodał jeszcze - jeśli o to chodzi, będzie podobny do ojca. Wielkie stopy i świetny kochanek.

- Nie zapominaj o wrodzonym takcie - powiedział Edward.

Ian patrzył, jak ręce Edwarda znikają pod pościelą. Nie był zachwycony, a co dopiero Brandy, która wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Edward pracował szybko, Ian musiał to przyznać.

Chwilę później Edward wstał, poprawił kołdrę i powiedział do Brandy: - Wszystko jest w najlepszym porządku. Brzuch jest mały, ale to dobrze. Patrząc na rozmiary twojego męża, wolałbym, by nie rósł zbyt duży. Tak, wszystko w porządku. A teraz, gdybyś mogła porozmawiać z łanem na temat jego nieustających docinków związanych z tym, że ogrywa mnie w szachy. Słyszałem, że też grasz. Pobij go, Brandy, rozłóż na łopatki.

- Spróbuję - powiedziała. - Obiecuję.

- Mówiąc serio - powiedział Edward - jesteś okazem zdrowia, Brandy. Twoje dziecko również. Nie masz się czym martwić poza tym, że Ian wpędzi cię do domu wariatów. Przysięgam, jeśli zada mi kolejne pytanie dotyczące szczegółów rozwiązania, każę mu odebrać poród samemu.

- Oj, nie. Dziękuję - powiedział książę, blednąc. - Musisz przy tym być, po prostu musisz.

- Tu go masz, Edwardzie - odezwała się Brandy. - Zagraj z nim partyjkę po obiedzie. Może się okazać, że tym razem wygrasz.

Książę uśmiechnął się. - Zejdziemy na dół, Brandy. Wyślę do ciebie Lucy, chociaż jestem pewien, że kręci się pod drzwiami jak troskliwa kwoka. Zjesz z nami, prawda, Edwardzie?

- Bardzo chętnie.

Ian pogłaskał dłoń Brandy i wyprowadził Edwarda z sypialni. Zeszli do pokoju myśliwskiego, mijając po drodze lokaja. - Gdyby cię nie było, sądzę, że nawet by mnie nie wpuściła.

- Być może, ale mimo całego narzekania, dotrzymała słowa. Kiedy dziecko zaczęło kopać, powiedziała, że da się zbadać. A teraz, powiedz mi czy wszystko jest w tak idealnym porządku, jak powiedziałeś Brandy.

- Owszem. - Edward przyjął z rąk przyjaciela szklaneczkę sherry. - Tak jak mówiłem, dziecko jest mniejsze, niż oczekiwałem, ale to dobrze. Moim zdaniem, im mniej Brandy przybierze na wadze,

tym lepiej. Przynajmniej tak uważa wiele nowoczesnych londyńskich akuszerek.

Edward zakręcił pięknym kryształowym kieliszkiem, który musiał liczyć co najmniej trzysta lat. - Nosi dziecko bardzo wysoko, co zgodnie z moim doświadczeniem oznacza chłopca. Ale nie dam sobie za to głowy uciąć.

- Sądzę, że Brandy wolałaby dziewczynkę. Bystrą, rudowłosą małą, jak jej siostra Fiona, która za miesiąc przyjeżdża, by zamieszkać z nami na stałe.

- Na Boga, Ian, zrobił się z ciebie prawdziwy ojciec rodziny. W niecały rok od ślubu będziesz miał już dwoje dzieci. Co Brandy mówiła parę dni temu? De zawarła z tobą układ jak Persefona?

- Ech, nic w połowie tak mitologicznego. Nigdy bym nie oczekiwał od Brandy, aby zapomniała o wszystkim, co kocha i spędziła resztę życia w Anglii. Co roku kilka miesięcy będziemy mieszkać w Penderleigh. Musisz koniecznie przyjechać z wizytą. To cudowne, potężne zamczysko, w wielu miejscach nadgryzione zębem czasu, z sypiącą się wieżyczką. Jest tam służąca Morąg, która się nie myje, poza jednym wyjątkiem, kiedy wykąpała się z okazji wesela Percy'ego. Już sobie wyobrażam, Edwardzie, jak siedzisz naprzeciwko lady Adeli, słuchając jej poleceń, co należy zrobić, jak i kiedy.

Mogę się założyć, że przyszłaby do ciebie z dolegliwościami, o których nigdy nie słyszałeś, tylko po to, żeby cię przetestować. Chętnie zobaczę, jak zapomnisz języka w gębie. Jedziemy do Szkocji w przyszłą wiosnę.

- Brzmi to jak wyrok. Nigdy przedtem nie słyszałem szkockiego dialektu, ale wszyscy zachwycają się tym, jak mówi Brandy. Mam nadzieję, że nigdy nie straci tego swojego śpiewnego akcentu.

- Nie pozwolę na to. Pewnie w Londynie niektórym się to nie spodoba, ale ponieważ jest księżną, wątpię, by ktoś ośmielił się otwarcie zadzierać nosa.

Radzi sobie świetnie. Tak się bała, że popełni jakieś głupstwo i ośmieszy siebie i mnie. - Uśmiechnął się szeroko. - Służący daliby się za nią zabić.

Wszyscy poza jedną pokojówką, Lizą, która stwierdziła, że Brandy to uzurpatorka. Oczywiście, nie pracuje już w Carmichael Hall.

- Po tym, jak ją zwolniłeś, rozgłaszała jakieś wstrętne plotki po wsi, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. - Edward skrzyżował ramiona na piersi. - Boże, jak szybko w tym roku zrobiło się zimno.

- Mam nadzieję, że te cholerne pawie zmarzną i zgubią pióra - powiedział książę.

- Niełądnie z twojej strony. Co ubogi człowiek może dać księciu w prezencie ślubnym? - Rozejrzał się po pokoju wyłożonym czarną boazerią. Kolekcja broni, pomyślał bez cienia zazdrości, wystarczyłaby na wyposażenie całego regimentu. Przypomniał sobie ołowiane żołnierzyki i zabawkowe pistolety, którymi wspólnie bawili się w wieku ośmiu lat. - Człowiek, który sprzedał mi te pawie, powiedział, że twardo śpią. Rozumiem, że śpią w nocy, prawda?

- Zazwyczaj. Ach, i oto Danvers z pocztą. - Edward patrzył, jak książę wyciąga brudną kopertę o zagranicznym wyglądzie i podnosi ją w górę. - List od lady Adeli. Jestem pewien, że Brandy zaraz zapomni o swoim skrępowaniu. Mam tylko nadzieję, że nie dostanie konwulsji, jeśli po raz kolejny wysłucha narzekań Adeli na temat odrażającego zachowania nowego hrabiego, to jest Claude'a. Biedny Claude, ma ten tytuł dopiero od miesiąca. Boję się myśleć, jak lady Adela będzie go nazywać, kiedy pojedziemy tam na wiosnę.

Czytając listę żali napisaną przez oburzoną lady Adelę, Brandy nie dostała konwulsji, lecz zakrztusiła się ze śmiechu nad zupą. Książę poklepał ją po plecach, mówiąc, by uważała na dziecko.

- Biedna babcia - powiedziała Brandy. - Wygląda na to, że jest zrozpaczona.

Wyobrażasz sobie, że Claude miał czelność jej rozkazać, by oddała klucze do zamku Konstancji?

Nie żeby babcia kiedykolwiek poświęcała wiele uwagi sprawom domu, ale nazwać ją... hm, gdzie to było... Już mam, „wtrącającą się, wścibską babą, która jest niczym więcej jak wdową po byłym hrabim" - musiało przyprawić ją niemal o apopleksję.

- No tak, być może usłyszymy wkrótce, że go zastrzeliła.

- Albo wbiła mu laskę w chorą nogę - śmiała się Brandy.

- Mam ciotkę o imieniu Milly, która wydaje się podobna do lady Adeli - powiedział Edward. Jest znana z tego, że swoim jadem rzuca na kolana nawet miejscowego księdza. Jej rodzeństwo żyje przed nią w wiecznym strachu.

- Może mogłyby zamieszkać razem. To dopiero byłyby zawody. A teraz słuchaj, Brandy - dodał książę - lady Adela pisze, że Percy kuje żelazo póki gorące, bo zdołał „posiać swoje nasienie w brzuchu Joanny". Wygląda na to, że Percy zachowuje się jak przykładny małżonek. Ta sytuacja, komentuje dalej lady Adela, potrwa tak długo, na ile Joannie starczy sił charakteru.

- Musimy do nich napisać - powiedziała Brandy - i pogratulować. - Jestem zdania, że jeśli ktoś potrafi trzymać na wodzy te mniej przyjemne skłonności Percy'ego, to jest to właśnie Joanna.

- Zwłaszcza że to ona trzyma kasę - powiedział książę. - Jest więc nadzieja. W ostatniej linijce Adela pisze, jeśli tylko zdołam to właściwie odcyfrować, że Fiona błaga, by ci powiedzieć, że prawie oswoiła merli... nie, morli...

- Morświna, Ian, morświna. To cudownie. Książę tylko potrząsnął głową i powiedział do Edwarda: - Mój inny kuzyn uważa, że Brandy jest morską syrenką, bo tak kocha morze. Patrzę na nią teraz, myślę o tym i nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Wyobrażasz sobie syrenkę w stanie błogosławionym?

- Ciekawe, jak syrenka miałaby urodzić - powiedział Edward, dostrzegając, że Brandy patrzy na niego z przerażeniem. Szybko odchrząknął. - Głupie pytanie. Nie, Ian, nic już nie mów. Nie chcę, żeby księżna wyrzuciła mnie stąd razem z pawiami.

- Nie ciebie, Edwardzie. Chcę, żebyś powiedział mojemu mężowi, że będę miała bliźniaki. Niech wie, że będzie miał zwalistą, grubą żonę.

Edward roześmiał się. - Już mu powiedziałem, że dziecko będzie tym razem jedno. Musisz znaleźć inny sposób, by go pogrążyć.

- Codziennie znajduje jakiś sposób - zauważył książę i ugryzł plasterek cienko krojonej szynki, jednego ze specjałów kucharki. Spojrzał jeszcze raz na list. - Wydaje się, że twoja szacowna babka zużyła całą żółć. Na koniec nawet życzy ci wszystkiego najlepszego. Ciekawe, czy boli ją, gdy coś takiego mówi? A teraz, Edwardzie, skoro wiesz o kilku rodzinnych trupach w szafie, mam nadzieję, że nie uciekniesz się do szantażu.

- Dopóki nie wygram z tobą w szachy, to nie. - Spojrzał na zegarek. - Muszę już lecieć. Obiad był pyszny, jak zwykle. Muszę jechać do Rigby Hall. Lady Eleanor jest bliska rozwiązania. To już dziesiąte. Nie jest zadowolona z sir Egberta.

- Ja też bym nie była zadowolona - powiedziała Brandy. - Dziesiąte?

Kiedy wstali od stołu, Ian odezwał się: - Pamiętam, jak narzekałeś, że nie masz nic do roboty. Ani jednego czyraka, mówiłeś. A teraz widzisz, jeśli panowie z naszych kręgów nie zmienią swojego postępowania, będziesz tkwił po uszy w dzieciach.

Stali na schodach frontowych, machając na pożegnanie. Brandy podniosła głowę do męża. Pocałował ją raz, potem drugi. Położył rękę na jej brzuchu. - Kocham cię - powiedział, kiedy dotknęła palcami jego twarzy. - A ja ciebie, Ian.

Pocałował ją jeszcze raz, tym razem dotykając lekko piersi. Jęknął. - Wystarczy, że cię czuję - powiedział, gorącym oddechem muskając jej usta. - Uwielbiam cię czuć.

Usłyszał kroki Danversa. Przeklął pod nosem, zabierając rękę z piersi żony. Spojrzał na jej usta. Danvers już się zbliżał i książę odwrócił się, patrząc na murawę przed pałacem.

Brandy odezwała się poważnym tonem, chociaż ręce ją świerzbiły, by go dotknąć: - Wiesz, Ian, Anglii brakuje szkockich zapachów.

- Owszem, w promieniu wielu mil nie ma żadnych owiec.

Danvers był już tuż obok. Brandy odsunęła się o krok od męża, ponieważ jego ręka znów znalazła się w okolicy brzucha. - Nie o to mi chodziło - powiedziała.

Danvers chrząknął głośno. Książę powiedział: - Wiem, Brandy, ale wystarczy, że mamy pawie, o ile Danvers pozwoli im żyć z dala od garnków kucharki. Co o tym sądzisz, Danvers? Pozwolimy tym krzykaczom pożyć jeszcze tydzień?

- Czemu nie, wasza wysokość. Czemu nie. Brandy zaśmiała się, przytulając się do Iana. Objął ją mocno.

- Życie jest cudowne - powiedziała. - Bardzo się cieszę, że zostałam twoją żoną.

- Rzeczywiście cudowne - zgodził się książę. - Ale gdybyś nie chciała, przerzuciłbym cię przez siodło i wywiózł do jakiegoś odległego kraju. Nie miałaś szans.

- Cóż za piękna myśl.

Książę następnie pocałował żonę w obecności pierwszego lokaja Portmaine, który nawet nie mrugnął, ale zapomniał, co też ważnego miał powiedzieć księciu.